

NIKTÓRZY NIE COFNĄ SIĘ PRZED NICZYM,  
ŻEBY CHRONIĆ SIEBIE I SWOICH BLISKICH.

MAREK  
**STELAR**  
**NIEWIADOMA**



FILIA

MAREK  
**STELAR**  
**NIEWIADOMA**

FILIA

Copyright © by Marek Stelar, 2017  
Copyright © by Wydawnictwo FILIA, 2018

Wydanie I, Poznań 2018

Projekt okładki: © Mariusz Banachowicz  
Zdjęcie na okładce: © Kawin168/Shutterstock

Redakcja: Jacek Ring  
Korekta: Dorota Wojciechowska  
Skład i łamanie: Jacek Antoniuk

eISBN: 978-83-8075-391-4

**FILIA**

Wydawnictwo Filia  
ul. Kleeberga 2  
61-615 Poznań  
wydawnictwofilia.pl

Seria: FILIA Mroczna Strona  
mrocznastrona.pl

Redaktor prowadzący serii: Adrian Tomczyk

## Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

\*\*\*

I

II

III

IV

V

VI

VII

VIII

IX

Od autora

– Dlaczego pan tutaj jest? – zapytała kobieta.

Mężczyzna trwał w swojej części przestrzeni w absolutnej ciszy. Trwali w przestrzeni gabinetu wspólnie, choć ta część, którą zajmował on, była nieco mroczniejsza. Dla ludzi siedzących po tamtej stronie była mroczniejsza z różnych względów, nie tylko dlatego, że lampa ze szpagatowym abazurem stała po tej stronie, po której była kobieta. Mężczyznę i kobietę dzieliła granica, ale była ona złudna i nie dało się dokładnie określić miejsca, w którym przebiegała. A było to tam, gdzie światło i półmrok się równoważyły; tam gdzie nie można było stwierdzić przewagi ani światła nad cieniem, ani cienia nad światłem. Mimo to, mimo istnienia tej granicy i mimo jej złudności, przestrzeń była wspólna. Mieli w niej oboje tkwić przez najbliższą godzinę; on i ona, mężczyzna i kobieta. Razem, solidarnie, na dobre i na złe.

Mężczyzna się nie poruszył. Nie westchnął, nie roześmiał się, nie zrobił nic, co mogłoby świadczyć o tym, że pytanie, które przed chwilą padło z ust kobiety, skłoniło go do jakiegokolwiek refleksji. Jej słowa nie spowodowały u niego żadnej fizycznej reakcji, wyrażonej chociażby grymasem głębokiego namysłu albo niezobowiązującym mruknięciem czy nieco nerwowym

parsknięciem śmiechem, co również czasem się zdarzało. Nawet przyśpieszonym oddechem. Wyglądało na to, że pytanie, które kobieta zadawała na początku pierwszego spotkania każdemu, kto siedział po tamtej stronie, nie zaskoczyło mężczyzn w żaden sposób: nie zdziwiło go ani nie zasmuciło czy wręcz przeciwnie – nie rozbawiło. Siedział w bezruchu i milczeniu, jakby na coś czekał. Bez żadnych oznak zniecierpliwienia. Taki bezruch w tym fotelu, w tej części przestrzeni, był rzadkością. Milczenie – nie. Czasem mijało kilka, a nawet kilkanaście minut, zanim ktoś siedzący w fotelu po tej mroczniejszej stronie zdołał przełamać się i wydusić pierwsze słowo. Zanim ono przeszło przez zaciśnięte skrępowaniem i stresem gardło, zanim w ogóle mózg był w stanie je sformułować i kazać ustom je wyrzec. Ale taki nienaturalny bezruch? To naprawdę było niespotykane.

Pomimo tej ciszy, pomimo milczenia kobieta wiedziała, że mężczyzna ma piękny głos. Przyszła jej do głowy myśl; trochę zabawna, a trochę nie, że można by się zakochać w takim głosie. Miewała pacjentki, które mogły zakochać się w mężczyźnie, słysząc jedynie jego głos, zwłaszcza taki głos.

Zadzwonił dwa dni temu, umiejętnie wykręcił się od odpowiedzi na pytanie, kto mu ją polecił. Z takim głosem nie musiał się długo tłumaczyć. Wysławiał się nie tyle poprawnie, ile wręcz elegancko, jakby miało dla niego znaczenie nie tylko to, co mówi, ale i jak to robi. Poczula

jakąś podświadomą chęć, żeby się z tym człowiekiem zobaczyć, poznać go, poznać jego problem. Czysta ciekawość, wyzwanie zawodowe czy coś innego, coś, czym absolutnie nie powinna się kierować? To bez znaczenia, była profesjonalistką, nie musiała się obawiać, że dopuści, by jakikolwiek czynnik zaburzył relację między nią a kimś po tamtej stronie pomieszczenia.

Tej mroczniejszej stronie przestrzeni.

Poczuła zawód, kiedy zobaczyła mężczyznę, który miał piękny głos. Rozczarowanie: bezsensowne, nieprofesjonalne i... głupie, ale jednak rozczarowanie. Mężczyzna miał około pięćdziesiątki, ale nie potrafiła dokładnie określić jego wieku, może był odrobinę młodszy, a może starszy. Nie był przystojny, wręcz brzydki, przynajmniej jej zdaniem. Miał pospolitą, pooraną dziwnymi, maleńkimi bliznami twarz, ale zachowywał się w sposób, który świadczył, że nie ma z tego powodu kompleksów. Świetnie ubrany, spod rękawa marynarki błyskała spinka do mankietów, a spod mankietu koszuli wystawał sporych rozmiarów, zapewne drogi zegarek. Menedżer? Wysokiej rangi urzędnik?

Zaciekawił ją mimo początkowego rozczarowania. On i jego styl bycia. Jaki powód do złożenia wizyty w tym miejscu mógł mieć ktoś taki? Problemy rodzinne? Problemy z samym sobą? Cóż, zaraz się dowie...

Nagle mężczyzna, wciąż nic nie mówiąc, wstał z fotela. Stukając o deski parkietu obcasami eleganckich

półbutów, wyszedł ze swojej części przestrzeni, wyłaniając się z półmroku. Stawiając stopy nieco na zewnątrz, powolnym, statecznym krokiem podszedł do okna, mijając noski jej zamszowych szpilek o niecały metr. Stał tak, patrzył na jedenastokondygnacyjne bloki obsmarowane mineralnymi tynkami w brudno pastelowych barwach i poprawiał koszulę, utykając ją z tyłu za paskiem spodni. To nie był elegancki gest. Elegancki mężczyzna nie robi tak przy kobiecie. Może przy swojej kobiecie, po kilkunastu latach związku, ale nie w takiej sytuacji. Czyżby jednak nie był tak elegancki, jak myślała? Kiedy skończył robić to, czego elegancki mężczyzna raczej nie powinien robić przy kobiecie, nie swojej kobiecie, podparł się pod boki i dalej stał, wciąż nie mówiąc ani słowa. Nie czuła potu, a to był dość częsty zapach w tym pomieszczeniu. Zapach, który nie uznawał granicy wyznaczonej przez światło i cień, przebijał się przez barierę mydła, dezodorantów, wód toaletowych i perfum, dochodził do niej razem z westchnieniami, płaczem i gorzkimi słowami. Teraz czuła zapach wody toaletowej mężczyzny. Ładny. Pasował do niego, mimo że on nie był ładny. W końcu mężczyzna westchnął głośno, więc uznała, że to wstęp do rozmowy. Wolałaby co prawda, żeby usiadł z powrotem w fotelu, ale postanowiła, że poczeka jeszcze chwilę, zanim go o to poprosi.



Spojrzał na nią w momencie, gdy studiowała kształt jego głowy.

– Leiszmanioza skórna – wyjaśnił z uprzejmym uśmiechem błakającym się na wąskich ustach, mylnie uznając, że jej wzrok błądzi po maleńkich bliznach na policzkach i czole. – Bywało się tu i tam na świecie. I tak w porównaniu z tymi, których widywałem, przeszedłem to ulgowo, niech mi pani wierzy. U mnie wygląda to jak blizny po trądziku, ale u innych, zwłaszcza u tubylców... – Pokręcił głową i cmoknął z niesmakiem.

– W porządku – mruknęła, stwierdzając z lekką irytacją dwie rzeczy; że nie ma zamiaru wyjaśniać mu pomyłki i że przyszedł czas na przywołanie go do porządku. – W takim razie zapraszam pana na miejsce i słucham.

Odwrócił się od okna i stanął przodem do niej, górując nad nią swoją masą i wzrostem. Poczwała się nieswojo. Rozumiała, że ktoś nie może usiedzieć na miejscu i pozwalała nawet na kilka minut spaceru po gabinecie, aż się uspokoi. Ale mężczyzna stojący teraz przed nią nie był nerwowy. Nie musiał dreptać między jej przestrzenią a swoją, tą mroczniejszą. Właściwie między częściami tej samej przestrzeni, przedzielonej niewidzialną granicą. Nie musiał tego robić, żeby zapanować nad nerwami. Każdy jego ruch był przemyślany, pewny, precyzyjny i spokojny, żaden nie był zbędny. Ten człowiek był jak robot. Jak maszyna.

Patrzyła na niemal rozchodzącą się na brzuchu koszulę widoczną pomiędzy połami rozpiętej marynarki, patrzyła na sprzączkę paska od Louisa Vuittona i na wielkie dłonie oparte knykciami na biodrach, z palcami zwisającymi swobodnie. Jeszcze jeden znak, że nie jest zdenerwowany; jego dłonie nie były zaciśnięte w pięści, a palce się nie ruszały. Nie wiedzieć czemu, pomyślała nagle, że to dłonie dusiciela; wielkie, lecz zręczne. Mordercze, o długich, lekko powykręcanych palcach i zadbanych paznokciach. Nie chciała pytać o te palce i bała się trochę, że on będzie chciał opowiedzieć jej ich historię z własnej inicjatywy. Ale nie chciał.

Mężczyzna stał w rozkroku metr od niej i spoglądał na jej głowę. Czowała jego spojrzenie, czuła, jak wwierca się w czaszkę, w punkt na jej czubku, w którym włosy rozchodzą się kuliście we wszystkich kierunkach, jak promienie słońca na rysunku małego dziecka. Zmusiła się, żeby podnieść głowę i spojrzeć temu człowiekowi w twarz. Poczowała ukłucie niepokoju. Nie podobało się jej to, co widzi. Miała irracjonalne wrażenie, że wszystko zaczyna zmierzać w złą stronę.

– To pytanie, które pani zadała na początku... – zaczął mężczyzna tym swoim boskim głosem.

– Tak? – powiedziała obojętnie, nie zmieniając pozycji, choć zeszywniała odrobinę, a on to zauważył.

Zauważył. Ta sztywność wynikała z lekkiego przestrawienia i on ją dostrzegł. Była tego pewna; pewna,

jak niczego dotąd. I była zła, że pokazała to po sobie. Była zła podwójnie, że pokazała mu tę sztywność i tę złość na samą siebie.

– ...To zabawne pytanie – dokończył, wypuszczając głośno resztkę powietrza, które zostało mu z wdechu, jakby nabrał go za dużo na tak krótką wypowiedź.

– Wcale nie – odparła sucho, lekko się prostując i starając się równocześnie, żeby ten ruch wyglądał naturalnie i godnie. – Jest pojemne. Każdy odpowiada na nie nieco inaczej. A ja z każdej takiej odpowiedzi wyciągam jakiś wniosek. Więc powie mi pan wreszcie, po co pan tutaj przyszedł?

Niepotrzebnie dodała to „wreszcie”. To oznaka, że powoli przestaje nad sobą panować. Mężczyzna uśmiechnął się, ale jego oczy nie brały w tym udziału. Zmrużył je lekko, ale wyłącznie dlatego, że rozciągnięte w uśmiechu wargi naciągnęły zbliżowaciałą skórę twarzy policzków i powiek. Same oczy pozostały bez wyrazu. Poza tym miał specyficzny uśmiech, jak odwrócony o sto osiemdziesiąt stopni, jak kot z Cheshire leżący na plecach. Kiedy się uśmiechał, kąciki jego ust nie unosiły się jak u większości ludzi, tylko opadały, czyniąc go nieco upiornym. On się nie uśmiechał, on się krzywił.

– „Po co pan tutaj przyszedł”... – powtórzył powoli jej słowa, cedząc każde z nich. – Nie tak brzmiało to pytanie.

– Nie? – zdziwiła się, ale sama słyszała, że to zdziwienie wypadło nieudolnie i strasznie sztucznie.

– Nie. – Pokręcił głową. – Przedtem zapytała pani, dlaczego tu jestem, a nie, po co przyszedłem.

– A to jakaś różnica? – zapytała, czując, jak wysychają jej usta, język i wewnętrzna strona policzków i jak ta straszna susza postępuje w dół, w kierunku gardła, obejmując jego ścianki mackami strachu.

Na dodatek przewaga psychologiczna, którą zwykle odczuwała z racji zachodzącej między nią a pacjentem relacji, stopniała w okamgnieniu. Nie było już żadnej przewagi, ale czy w ogóle taką przewagę miała? Teraz miał ją ten mężczyzna. W dodatku napawał się nią. Nie ordynarnie: nie wydymał warg w grymasie pogardy, nie częstował jej pełnym zwycięskiej pychy spojrzeniem, po prostu patrzył na nią pozbawionym wyrazu wzrokiem, tylko te wygięte w łuk plecy i oparte na biodrach ręce aż nadto świadczyły o tej przewadze.

– Nie spodobają się pani wnioski, jakie wyciągnie pani z mojej odpowiedzi na to pytanie. Pytanie, po co tu jestem. Ale najpierw, żeby wszystko było na swoim miejscu, wyjaśnię pani tę różnicę. Bo moim skromnym zdaniem istnieje różnica między tym, po co człowiek dokądś przychodzi, a po co tam jest. Czy to istotna różnica, diametralna? Pewnie nie, raczej subtelna, ale mimo wszystko istnieje, więc to musi mieć jednak jakieś znaczenie. Może nie zasadnicze, ale to kwestia swego

rodzaju gradacji ważności. Przychodzenie po coś jest raczej banalne, sugeruje wpadnięcie na chwilę po mało ważną rzecz, rozumie pani, o czym mówię? A bycie gdzieś po coś... Tu już mamy wrażenie, że chodzi o coś istotnego. – Pochylił się lekko nad nią i zamrugał nagle powiekami, które do tej pory były nieruchome jak u woskowego sobowtóra z galerii madame Tussaud. – I ja nie przyszedłem tu po coś, tylko po to tu JESTEM. Jestem tu po coś bardzo ważnego...

Próbowała uspokoić oddech, pozbierać myśli. Próbowała zrobić cokolwiek. Przecież, do cholery, jeszcze nic się nie zdarzyło. Facet nie rzucił się na nią z pięściami, nie krzyczał na nią, nie groził jej nożem. Ale podświadomie czuła, że stanowi dla niej zagrożenie. Ogromne. Że być może powraca właśnie koszmar przeszłości, a mężczyzna, który ten koszmar uosabia, najwyraźniej jest tym faktem niezwykle rozbawiony.

– To, o co zapytała pani na początku, wydało mi się zabawne pod względem sytuacyjnym – powiedział tonem wykładowcy prowadzącego zajęcia ze studentami pierwszego roku. – To było takie trochę profetyczne, jakby w jakiś dziwny, nadnaturalny sposób przewidziała pani znaczenie mojej wizyty tutaj. Pani pewnie tego nie zrozumie, a może zrozumie, kiedy to już nie będzie takie istotne, niemniej informuję panią, że z mojej strony można to w jakiś sposób uznać za zabawne. To tyle, jeśli chodzi o wyjaśnienie tej kwestii. A teraz ja chcę zadać

pytanie. Krótkie, króciuteńkie, ale bardzo ważne pytanie, na które chcę poznać odpowiedź. Jak bardzo chcę ją poznać, może się pani domyślić, prawda, pani Martyno? – Ostatnie zdanie powiedział niemal czule.

Naprawdę mogłaby je tak odebrać: czule, gdyby nie to, co mężczyzna zrobił w tej samej chwili. Bo to, co zrobił, stało w kompletnej sprzeczności z tą czułością w słowach. Zobaczyła, jak sięga pod pachę i spod poły marynarki wyjmuje czarny pistolet.

– Nie rozumiem, to chyba jakaś pomyłka – wyjąkała, płacząc już bezgłośnie i czując, jak łzy spływają jej po policzkach. – Mam na imię Milena... Nie wiem, o co panu chodzi... Proszę zostawić mnie w spokoju...

Wszystkie algorytmy postępowania z niestabilnym pacjentem, wszystkie sztuczki, które poznawała podczas cyklicznych spotkań z innymi psychoterapeutami, gdy wspólnie zrzucali z kolegami po fachu brzemię współuczestniczenia w cudzym nieszczęściu – wszystko to wywietrzało z jej głowy w jednej chwili. Nastąpił moment, którego obawiała się w najgorszych snach. Moment, na który absolutnie nie była gotowa.

– Gdzie? – zapytał.

Nie podniósł głosu. Cudownego głosu. Nie było w nim gniewu, tylko zainteresowanie, ciekawość.

– Słucham?

– Gdzie?

– Błagam... Nie wiem, o czym pan mówi.

- Gdzie?
- Proszę pana...
- Gdzie?
- Chryste...
- Wstań!

Wstała jak automat, jak świetnie wyszkolony żołnierz kompanii honorowej. Bez wahania spełniła jego polecenie. Nie wiedziała, czy kazały jej to zrobić resztki zdrowego rozsądku, jakie zachowała gdzieś w zakątkach przerażonego umysłu, czy była już tak bezwolna, że nic nie miało znaczenia? Rób, czego chce, dopóki nikomu nie dzieje się krzywda – kołatało się jej w głowie. I robiła to. Stała przed nim, usiłując nie patrzeć na lufę pistoletu groteskowo pogrubioną nakręconym na jej koniec tłumikiem. Wiedziała, że to tłumik. Każdy to wie, choćby z filmów. A teraz ona czuła się jak w filmie. Tylko że to nie był film.

- Gdzie?

Miał śmierdzący oddech. Nie nieświeży, tylko śmierdzący. Przez głowę przeleciały jej błyskawicznie dwie myśli, jakby ta druga była natychmiastową konsekwencją pierwszej. Że ten smród buchający z ust zupełnie nie pasuje do reszty i że takie wnioski w takiej chwili są kompletnym absurdem. A potem wyjąkała:

- Nie wi...

Tłumik wbił się w jej bok ze straszliwą siłą. Miała wrażenie, że skamieniały płomień bezlitośnie wdziera się

do wnętrza jej ciała, rozrywając skórę i powłoki brzuszne, niszcząc wszystko na swej drodze. Ogarnął ją ból tak wielki, że nie mogła krzyczeć. Jej umysł podzielił się na dwie części. Jedna owładnięta była cierpieniem, pochłaniającym ją jak ogień wyschnięty na słońcu liść, a druga myślała: „Boże, przecież to nie może aż tak strasznie boleć...?”. Jakby w odpowiedzi na ten podział jedna połowa jej ciała zdrętwiała, a druga wzięła na siebie odpowiedzialność za utrzymanie całości. Ale jedna połowa nie dała rady, więc kobieta nie miała innego wyjścia, jak tylko zgiąć się wpół i wpaść w ramiona mężczyzny, a kiedy ból rozluźnił mięśnie ujścia pęcherza moczowego, poczuła na wewnętrznej stronie uda mokre ciepło. Obejmowała mężczyznę jedną ręką za ramię, a drugą ścisnęła dół jego marynarki, jakby chciała ją z niego zerwać. I wciąż sikała z bólu, nie będąc w stanie zapanować nad pęcherzem.

– Już, lepiej? – zapytał mężczyzna, odsuwając ją lekko od siebie i próbując zajrzeć jej w oczy.

W jego głosie słyhać było autentyczną troskę i to przeraziło ją jeszcze bardziej.

Nigdy się tak nie bała. Usiłowała nie zwymiotować, opanowując jakoś skurcze przełyku. Brakowało jej tchu; brakowało na krzyk, brakowało do życia w ogóle, a gdyby zwymiotowała, tylko pogorszyłaby swoją sytuację. Umarłaby z bólu i z powodu zachłyśnięcia się treścią żołądka, którą łaknące tlenu płuca zassałyby w spazmie



walki o oddech. Pojękiwała tylko i kręciła głową, strząsając z twarzy łzy i wydzielinę z nosa. I nie puszczała mężczyzny. Był jej jedynym oparciem, bez niego by upadła. Poza tym dawało jej to złudne, naprawdę złudne wrażenie, że ma nad nim jakąś kontrolę. Choć odrobinę. Dobrze i to. Potrzebowała tego nie mniej niż tlenu.

– Wiesz już, że potrafię sprawić, żebyś bardzo cierpiała – powiedział mężczyzna, a jego słowa docierały do niej jak przez zimowe, futrzane nauszniki. – Następna rzecz, jaką zrobię, również nie będzie miła, choć o wiele, wiele gorsza niż ta przed chwilą. Otóż zaknebluję cię i przywiążę twoimi własnymi ciuchami do twojego własnego fotela z nogami rozłożonymi jak na wizycie u ginekologa. Popatrzę sobie trochę, a może nie tylko popatrzę, a potem dobrze wyceluję. – Podniósł broń, gdyby nie zrozumiała, co ma na myśli, mówiąc „wyceluję”. – Chyba nie muszę ci mówić, że to boli o wiele bardziej niż cios w nerkę? Od czegoś takiego umiera się wiele godzin, uwierz mi, obserwowałem to kiedyś i nie był to przyjemny widok, rozumiesz?

Kiedy przystawił jej broń do twarzy, poczuła na policzku zimną śliskość metalu, a w nozdrzach jego drażniący zapach. To było jak otrzeźwienie.

– Rozumiesz, co mówię? – Mężczyzna spojrzał jej uważnie w oczy i powtórzył. – Pytam: czy rozumiesz?

Pokiwała głową i zamglonymi z bólu i szoku oczami spojrzała na niego, prostując się lekko w jego ramionach. Wylot tłumika wciąż dotykał jej policzka, a jego chłód aż parzył.

– Więc skoro mnie rozumiesz, zadam swoje krótkie, ale bardzo ważne pytanie po raz ostatni: gdz...

Jej ręka puściła marynarkę i wystrzeliła w kierunku ich twarzy, które dzieliło tylko kilkanaście centymetrów. Nie myślała, co robi. Nie myślała o tym, co zrobi potem on, kiedy jej się nie uda. Nie myślała wcale. Modliła się w duchu, żeby śliska i zimna stal przestała dotykać jej skóry i żeby zniknął zapach wody tego mężczyzny, nie chciała patrzeć w jego nieruchome oczy ani na odwrócony uśmiech. Marzyła tylko, żeby ściągnąć zasikane rajstopy, a także nie czuć dłużej bólu. Żeby to wszystko się już wreszcie skończyło.

I skończyło się w ułamku sekundy.

Nasadą dłoni uderzyła w nadgarstek mężczyzny. Jego zaciśnięta na broni ręka odskoczyła, tłumik zsunął się z jej policzka i uderzył w twarz mężczyzny, również w policzek. Poczula na twarzy jakby cios zadany czymś gorącym, usłyszała dosyć głośne „plop” i zanim sporej wielkości rana spowodowana oderwaniem kawałka skóry wypełniła się krwią, przez ułamek sekundy zdążyła zobaczyć biel kości jarzmowej odsłoniętej uderzeniem pocisku. A potem mężczyzna dziwnie stęknął, a jego oko po prostu wytrysnęło z oczodołu razem z odrobiną krwi,

która ochlapała jej czoło kilkunastoma małymi kropelkami. Źrenica i tęczówka drugiego oka uciekły w głąb czaszki i mężczyzna zwiotczał, wydając z siebie krótki, świszczący dźwięk, a potem upadł na parkiet, uderzając głową w stojącą na podłodze lampę ze sznurkowym abażurem i przewracając ją. Pasiasty cień abażuru przesunął się po ścianie, kiedy lampa przez chwilę toczyła się po parkiecie. Noga i zaciśnięta na broni ręka mężczyzny drgnęły jeszcze konwulsyjnie kilka razy, obcas buta i kolba pistoletu zastukały w drewniane klepki w krótkim, śmiertelnym staccato. Z wewnętrznej kieszeni jego marynarki wysunął się telefon i spłynął po żebrach na błyszczący materiał podszewki. A potem wszystko znieruchomiało; ona, mężczyzna, jego telefon, lampa i cień abażura na ścianie, czas, a wszystko to odbyło się w niemal absolutnej ciszy.

Poczuła smród spalonego prochu, mdławą woń krwi i białka wygrywające z zapachem wody toaletowej, który został na skórze jej policzka, kiedy przez chwilę ich twarze były tak blisko. Zwymiotowała. Wbrew wcześniejszym obawom jej organizm nie pozwolił już zrobić sobie krzywdy; wymiotowała cicho, bez rżenia i charczenia, jakby chciała tę panującą wokół ciszę uszanować. Pozbywała się treści żołądka i czuła niewysłowioną ulgę. Nie straciła tchu ani przytomności; przeżyła spotkanie z tym mężczyzną, przeżyje i torsje. I ten ból też przeżyje. Ważne, że przeżyła. Wolała rzygać,

niż leżeć tak jak mężczyzna: z dziurą w policzku, bez oka. Bez życia. To było ważne, życie było ważne.

Ból brzucha, który pojawił się nagle, równie nagle zelżał po tym, jak skończyła wymiotować. Był drobnostką w porównaniu z bólem nerki, ale poczuła się szczęśliwa, że zniknął. Chociaż tyle... Zaczęła jasno myśleć. Nie o wszystkim, ale otrząsnęła się na tyle, żeby nie stać jak przydrożny krzyż na rozstaju dróg, z rękami obejmującymi głowę w pustym, pozbawionym konkretnego odruchu paniki. Musiała działać. Robić cokolwiek. Schyliła się i podniosła z podłogi telefon mężczyzny. Nie chciała patrzeć na jego twarz, ale wzrok wbrew jej woli powędrował w tę stronę. Pożałowała natychmiast, ale opanowała się jakoś. Przełożyła telefon do drugiej ręki i wybrała numer, który знаła na pamięć, mimo że nie powinna. Przyłożyła komórkę do ucha, lecz kiedy usłyszała sygnał oczekiwania na połączenie i nieco zmęczone „halo”, nagle się rozłączyła. Odruchowo wytarła cały aparat skrajem tuniki i z przestachem odrzuciła go w kąt pomieszczenia.

Stojąc jeszcze przez moment, otarła czoło wierzchem dłoni i czując wilgoć, spojrzała na swoją skórę. Z zaskoczeniem zauważyła, że to nie pot, lecz krew. Przez chwilę serce ścisnął strach, ale po chwili zrozumiała, że to nie jej krew, i odetchnęła z ulgą. Poczuła, że mokra nogawka oblepia jej udo i łydkę plamą chłodu. Zrzuciła szpilki, podniosła brzeg tuniki i krzywiąc się z bólu

pulsującego z boku i promieniującego już z dołu pleców, zsunęła z siebie zasikane rajstopy. Suchą nogawką wytarła najpierw czoło, potem dłoń i wilgotną skórę na udzie. Popatrzyła na smugi krwi na cienkim materiale i rzuciła rajstopy gdzieś przed siebie. Zrobiła to z pasją i obrzydzeniem, nie widząc nawet, że wylądowały na twarzy trupa i ją niemal w całości zakryły niczym w obrazoburczej parodii starohebrajskiego zwyczaju owijania chustą twarzy zmarłego na znak, że odszedł do wieczności. Zniknęła koszmarna rana na policzku i pusty oczodół z zapadniętą powieką oblepioną resztkami gałki ocznej i drobnymi skrzepami krwi.

Nie czuła jeszcze bólu poparzonej od gazów wylotowych twarzy. Z powrotem włożyła buty, zsunęła podciągniętą tunikę, rozejrzała się trochę bezradnie dookoła, a potem wzięła zza fotela swoją torbę i odgarnęła niesforną grzywkę opadającą na czoło. Znów mimo woli jej spojrzenie powędrowało w kierunku trupa, ale tym razem zamiast obrzydzenia poczuła zaskoczenie. Dopiero w tej chwili zobaczyła swoje rajstopy z poplątanymi nogawkami, leżące na nim jak larwa Gigerowskiego Obcego na twarzy załoganta Nostromo. Parsknęła nerwowym śmiechem, chichotała przez chwilę świadoma tego, że to objaw narastającej paniki. Opanowanie przyszło w sama porę. Wybiegła z gabinetu, trzaskając drzwiami, ale nie zamykając ich na zamek.

Pozostała tylko cisza i smród śmierci.

## I

To był ładny dzień. Naprawdę ładny. Dlatego mogłem mieć uzasadnione pretensje do kogoś, kto mi go spieprzył swoim przyjściem. Nawet jeśli tą osobą był mój dobry kolega, któremu sporo zawdzięczałem. Bo tego dnia jego przyście nie miało nic wspólnego z tym, że był moim dobrym kolegą. Tego dnia, tego pięknego dnia, który mi spieprzył, przyszedł służbowo, a może półsłużbowo, zadał mi kilka dziwnych pytań, na które nie znałem odpowiedzi, a potem zostawił mnie samego z pustką w głowie. Naprawdę czułem się, jakby po jego wyjściu została w niej wyłącznie ta pustka. I, oczywiście, pocisk kalibru 9 mm Parabellum, czy raczej zniekształcony kawałek metalu, który nim kiedyś był.

To rzecz jasna skrócony opis tego dnia, jego zgryźliwe podsumowanie dokonane przez nieco zgorzkniałego faceta tuż po pięćdziesiątce, inwalidę egzystującego samotnie w altanie na małej działce, jednej z kilkuset skupionych w bartoszewskim ROD. W rzeczywistości i dzień, i rozmowa z Jackiem Mołczunem wyglądały nieco

inaczej. Zgadzała się tylko ta pustka w głowie, która po nich została...

\* \* \*

Od czasu postrzału, jaki otrzymałem w głowę, i od zabójstwa mojej żony i córki minęło półtora roku. Półtora roku życia w żalu z powodu ich śmierci i półtora roku życia w rozżaleniu z powodu tego, że ja przeżyłem, a one nie. Półtora roku w smutku z powodu ich braku i półtora roku niepewności, którą przynosił tkwiący w mózgu kawałek metalu. Półtora roku... Ponad pół tysiąca gorzkich dni i tyle samo jeszcze gorszych nocy.

Bóle głowy nie były zwykle dokuczliwe, po prostu co jakiś czas dawały o sobie znać lekkim, przypominającym migrenową aurę szumem, przechodzącym w jednostajne pulsowanie nad brwią. Pomagał ketonal, czasem kilka piw albo coś mocniejszego, ale jeśli przegapiłem ten szum, tę aurę, miałem naprawdę ciężki dzień. Wciąż również doskwierały mi lekkie kłopoty z pamięcią, ale wyłącznie tą dotyczącą mojego życia przed postrzałem. Co jakiś czas coś sobie przypominałem, jakieś zapomniane zdarzenie, starałem się wtedy chłonąć te wspomnienia wszystkimi zmysłami, jakbym bał się, że znów uciekną w mrok niepamięci, zanim zdążę zapisać je w swojej głowie na nowo. Ale nie uciekały. Zostawały, wpasowywały się jak klasty we właściwe miejsca i tkwiły już tam, oby na zawsze. Tylko ten szajs pod

czaszką... Wciąż śmiertelnie niebezpieczny i nieprzewidywalny.

Po kilku miesiącach przestałem na siebie uważać. Być może to efekt sesji terapeutycznych, a być może przekonałem sam siebie; wmówiłem to sobie, żeby przestać wreszcie żyć jak płochliwa mysz, w strachu i poczuciu wszechobecnego zagrożenia. Przestałem ostrożnie stawiać każdy krok, unikać stromych schodów czy rozglądać się na wszystkie strony przed wejściem gdziekolwiek w poszukiwaniu pułapek, które czyhałyby na moją głowę: niskich stropów, rur i przewodów czy słupów stojących tam, gdzie teoretycznie nie powinny stać. Przestałem się bać i zacząłem wreszcie żyć w miarę normalnie. Pozbierałem się jakoś, co nie oznacza, że nie myślałem czasem o tym, żeby skończyć ze sobą. Nie w odruchu buntu przeciw niesprawiedliwości losu, który mnie zostawił przy życiu, a zabrał Jolę i Agnieszkę. To nie tak. Po prostu chciałem skończyć życie, które nie miało za bardzo sensu. Samotne, puste, jałowe. Bez rodziny, bez pracy, choć nie bez pieniędzy. Tam na parkingu nieopodal Bernau, na którym to wszystko się najpierw zaczęło, a kilka miesięcy później skończyło, zdecydowałem wreszcie, że zostaję. Zostaję przez szacunek dla życia. Za dużo widziałem i przeżyłem, żebym mógł odebrać komuś jeszcze jedno życie, nawet jeśli jest moje, należy wyłącznie do mnie i mogę z nim zrobić, co chcę.



Nawet je zakończyć.

Zaoszczędzoną ze „Streli” część euro zachowałem na czarną godzinę, pieniądze z policyjnej renty w zupełności zaspokajały moje niewielkie potrzeby. Sprzedałem mieszkanie, w którym spędziłem sporą część swojego życia. Spędziłem je tam z Jolą i z Agnieszką i w związku z tym byłem w jakiś sposób mocno związany z tymi kilkoma pomieszczeniami, w których mieszkaliśmy, spaliśmy, jedliśmy i kochaliśmy się. Sprzedałem je, te kilka pomieszczeń, już pustych i zimnych, bezosobowych i obcych, i kupiłem okazjonalnie altanę w Rodzinnych Ogrodach Działkowych w Bartoszewie, maleńkiej wiosce ukrytej w lasach Puszczy Wkrzańskiej, gdzieś między podszczecińskim Pilchowem a Tanowem. Kilka domów, restauracja i karczma, sklep u „Pomidora”, małe jeziorko i te ogrody. Mijam główne, w zasadzie jedyne skrzyżowanie, jadę kilkadziesiąt metrów w stronę Sławoszewa, a potem skręcam w lewo, w nieutwardzoną ścieżkę i sto metrów dalej, niedaleko lasu, na skraju Ogrodów stoi mój dom. W nim mieszkam i w nim żyję. Spokojnie. Marzenia o domku nad jeziorem gdzieś na Pojezierzu Drawskim zrealizowałem w wersji oszczędnościowej. Ale nie żałowałem. Nie byłem może szczęśliwy, ale pogodzony ze sobą. W miarę.

A na pewno bardziej niż rok temu.

Rozpocząłem całkiem nowe życie i kto wie, być może nawet trochę zdziwaczałem. Żyłem sam, z dala od miasta

i jego zgiełku, zostawiając je w tyle, nie tęskniąc za nim i unikając w nim za częstych wizyt. Bywałem tam wyłącznie z powodu okazjonalnych zakupów w hipermarkecie i wizyt na cmentarzu. Do Szczecina ściągały mnie wyłącznie głód i tęsknota za Jolą i Agnieszką. I to wszystko. Zżyłem się za to z kilkoma sąsiadami z działek, przeważnie takimi samymi dziwakami jak ja, czasem pokiereszowanymi przez życie, a czasem po prostu chcącymi od niego wyłącznie świętego spokoju, który znaleźli właśnie tu. Tak jak ja. Chyba pasowaliśmy do siebie.

\* \* \*

Kiedy tego dnia przyszedł Jacek Mołczun, byłem pewien, że do drzwi puka właśnie któryś z sąsiadów. Waldek, któremu skończył się gaz w butli. Józek, który chce pożyczyć piwo (piwo, nie na piwo). Albo Aśka pytająca, czy nie przyszedł do mnie na żebry któryś z jej czterech kotów. Kotów, które jak to koty, znikają często i wracają raz na kilka dni, zregenerować siły, podjeść i pospać w ciepłej pościeli, a potem znów zdradzić i pójść w cholerę, żeby móc znów wrócić, przeprosić, pobyc i znowu zniknąć, i tak w kółko. Ale tym razem to nie było żadne z nich; ani Józek, ani Waldek, ani Aśka. Ani żaden z jej kotów obszarpańców.

To był Jacek.

– Wejdz – powiedziałem, otworzywszy mu drzwi, i wróciłem do kuchni.

Byłem zdziwiony tą wizytą, nawet bardzo, ale nie widziałem powodu, żeby to okazywać. Zostawiłem Jacka przy drzwiach, bo był dorosły i nie musiałem mu pomagać w rozbieraniu się. Poza tym, mimo że był tu pierwszy raz, uznałem, że może czuć się jak u siebie i nie potrzebuje asysty. I choć widywaliśmy się rzadko, był w końcu moim dobrym kolegą i byłem więcej niż pewien, że on czuje to w ten sam sposób.

Mój pies, wielki golden retriever, pobiegł przywitać gościa, choć zważywszy na rozmiar domu, nie miał nawet jak i gdzie się rozpędzić.

– Promo! – zawołałem. – Do mnie!

Tupnąłem mocno, żeby poczuł wibracje drewnianej podłogi. Odwrócił się z pretensją w oczach i wystającym spod fafli jęzorem, wyglądającym jak soczysty kawał polędwicy. Jego wielkie łapy były już na piersi Mołczuna. Klepnąłem się w udo, dając wyraźny sygnał, czego od niego chcę.

– Dobra, zostaw go – powiedział Jacek, czochrając Promo po łbie. – Daj się kundlowi przywitać...

Dałem. Chwilę później pies przybiegł do mnie i położył się obok kanapy. Dobre psisko. Gdyby ludzie charakterem przypominali psy, ten świat byłby o wiele lepszy.

– Promo? – zapytał Jacek, zdejmując marynarkę.

Na zewnątrz było gorąco jak w dżungli, a on chodził w garniturze. Ja już nie musiałem. Jeden z niewielu plusów bycia na rencie: przez cały dzień można chodzić w krótkich gaciach. Albo i bez, jeśli sobie tylko życzysz.

– W zeszłym roku byłem na grzybach pod Dobieszczykiem – wyjaśniłem Jackowi. – To były żniwa; żałowałem, że zamiast noża nie wziąłem kosy. Zapełniłem oba koszyki, reklamówkę i koszulę. A na koniec znalazłem to wielkie bydlę, przywiązane do drzewa przez inne bydlę, tylko dwunożne. Wróciłem razem z nim, zostawiając pod drzewem reklamówkę, bo nie miałem ręki. Wysypałem też grzyby z koszuli, podarłem ją na pasy i zrobiłem smycz z obrozą. Jak wróciliśmy do domu, to sąsiad śmiał się, że pies to dodatek do grzybów, w promocji... Jest już stary, weterynarz oszacował jego wiek na jakieś dziesięć lat. No i głuchy jak pień.

– Fajnie mieszkasz. – Jacek rozejrzał się po wnętrzu. – Las, cisza, spokój... Trochę ci płot zarósł, jak zamek Śpiącej Królowej.

– Żywopłoty na granicy działki, będącej również granicą ROD, nie mogą mieć powyżej dwóch metrów wysokości i muszą być prowadzone w ten sposób, żeby nie przerastały poza ogrodzenie ROD – wyrecytowałem. – Tak stanowi regulamin uchwalony przez Krajową Radę Polskiego Związku Działkowców w dniu pierwszym października dwa tysiące piętnastego roku. Obowiązuje

od pierwszego stycznia tego roku. A mój żywopłot rośnie sobie do środka. Bujnie, przyznaję, ale do środka.

– Chciałeś mi zaimponować znajomością regulaminu?  
– mruknął Jacek.

– Nie – też mruknąłem. – Chciałem dać ci do zrozumienia, że jako rencista nie mam zbyt wielu rozrywek. To z nudów studiuję regulamin. Trochę ścinamy się z zarządem działek w niektórych kwestiach, więc chcę mieć pewność, że to ja mam rację, a nie oni. Jak mnie znalazłeś?

– Ptaszki ćwierkały, że wyniosłeś się z miasta. – Uśmiechnął się, a skóra wokół oczu pomarszczyła się mu jak stary pergamin.

Pamiętałem tę twarz sprzed wielu lat, jeszcze bez tyłu zmarszczek, jeszcze nie poszarzałą od zmartwień, i to było w jakiś dziwny sposób miłe – widzieć przez ten cały czas znajomości z Jackiem nie tyle, jak jego twarz się starzeje, ile, jak moja starzeje się razem z nią. To uczucie trudno zdefiniować, ale czułem to właśnie w ten sposób. Mołczun był mi naprawdę bliski, ja jemu pewnie też, choć nigdy sobie tego nie powiedzieliśmy. Widocznie nie było takiej potrzeby.

– Gadatliwe te ptaszki – zauważyłem zgryźliwie. – I nie pilnują własnych spraw.

– No. – Jacek wyjrzał przez okno. – Nie boisz się, że pewnego dnia na te działki wparuje nadzór budowlany i wyda nakazy rozbiórki? Że to miejsce rozjeżdżą

wywrotki wywożące gruz, w który zmienia się te wszystkie... pałacyki i wille, zwane skromnie altanami?

– A ty nie boisz się, że przylecą obcy i skolonizują Ziemię?

– Niezbyt trafne porównanie – zauważył.

W oczach miał lekki wyrzut, jakby spodziewał się po mnie czegoś na wyższym poziomie i jakbym te oczekiwania zawiódł.

– Mylisz się – powiedziałem spokojnie. – Jest bardzo trafne. Bo stopień prawdopodobieństwa wystąpienia tych zdarzeń szacuję mniej więcej na równo. A nawet jeśli... – machnąłem ręką – ...to mój dom został wybudowany przed dziewięćdziesiątym piątym.

– No i?

– Prawo nie działa wstecz. Wtedy nie było przepisów budowlanych, które regulowałyby tę kwestię, tak jak regulują ją dziś. Więc płacę jedynie podatek od nieruchomości za każdy dodatkowy metr przekraczający wartość dopuszczalną i śpię spokojnie.

– Aha.

– Więc co cię do mnie sprowadza? – Spojrzałem na Jacka, a on na mnie, i tak patrzyliśmy na siebie przez chwilę. Dwóch kumpli, których łączyło tak wiele. Widywaliśmy się naprawdę rzadko, rozmawialiśmy tylko trochę częściej, niż się widywaliśmy, każdy z nas miał swoje problemy: Jacek chorą żonę, ja brak żony. Ale mogliśmy na siebie liczyć i udowodniliśmy to sobie

nawzajem, raz czy pięć, w ciągu ostatnich kilkunastu lat; po raz pierwszy, kiedy nasze twarze były jeszcze w miarę gładkie.

– Jerzy Lichota. – Jacek usiadł na kanapie, odlepiając koszulę od spoczonej piersi. – Znasz to nazwisko?

Promo, który nie usłyszał Mołczuna, tylko poczuł wibracje wysłużonych sprężyn kanapy, o którą opierał się grzbietem, podniósł łeb. Po chwili, uspokojony, znów położył go na podłodze i zamknął oczy.

Jerzy „Lichy” Lichota. Były podoficer Legii Cudzoziemskiej, bandyta i goryl Jarosława Leśniewskiego, „Malechy”, jednego z bardziej znanych w mieście ludzi „interesu”. Podobno „interesy” ostatnio kulały, tak słyszałem, choć nie miałem z tymi ludźmi za wiele do czynienia, żeby wiedzieć to na pewno. Tak ćwierkały ptaszki.

– Znam to nazwisko – potwierdziłem. – Ale jeśli zapytasz, czy znam gościa osobiście, to odpowiem ci, że nie. Spotkałem go raz, ponad rok temu i nie wspominam tego miło. On chyba też nie, o ile dobrze pamiętam. Widzieliśmy się mniej więcej przez dziesięć minut, więc raczej nie można powiedzieć, że go znam.

– Tylko raz?

– Tylko raz. Ostrzegał, co prawda, że się jeszcze spotkamy, ale wygląda na to, że zmienił zdanie. A przynajmniej tak jest do tej pory. – Uśmiechnąłem się.

A potem przypomniałem sobie dokładnie, co stało się wtedy pod „Kafe Tango” i w mercedesie Leśniewskiego, a mój uśmiech zastygł na twarzy, zmieniając się zapewne w grymas lekkiego niesmaku.

– To już cię chyba nie odwiedzi – powiedział Jacek dość beztruskim tonem.

– Nie?

– Nie. Nie da rady.

– Czemu tak sądzisz? – zapytałem, choć już domyślałem się, co Jacek mi zaraz oznajmi.

– Bo nie żyje – odparł, potwierdzając moje przypuszczenie.

Pochylił się i podrapał Promo za uchem, a kiedy wciąż nic nie mówiłem, spojrział na mnie lekko podejrzliwym wzrokiem i zapytał:

– Nie jesteś zdziwiony?

– Nie. Dlaczego miałbym być?

– No, wiesz... – Pies nie zareagował, więc Jacek dał mu spokój.

– No, właśnie nie wiem.

– Z reguły wiadomość o czyjejś śmierci raczej człowieka dziwi. W jakiś sposób go, bo ja wiem... Porusza?

– Owszem – przyznałem. – Ćwiczyłem to w wersji hard.

Jacek niedostrzegalnie skrzywił usta, patrząc gdzieś w bok, więc uznałem to za sygnał, że nie chce do pewnych



spraw wracać. Ja też nie chciałem wracać do śmierci swojej żony i córki. Było dopiero południe, a robiłem to z reguły dopiero wieczorem. Wtedy zaczynałem, a kończyłem późno w nocy. Minęło półtora roku od ich śmierci, a ja myślałem o nich częściej niż za ich życia.

– Wiesz, o co mi chodzi – bąknął.

– Wiem – odpuściłem mu, bo wyraźnie go to męczyło.

– Ale ja nie jestem ani zdziwiony, ani w żaden sposób poruszony śmiercią Jerzego Lichoty. Wcale.

– Wyjaśnisz mi dlaczego?

– Oczywiście. Bo po pierwsze to skurwiel, więc w ogóle mi go nie żal. I to dlatego nie jestem jego śmiercią poruszony, jak to ładnie określiłeś. A po drugie, tacy jak Lichota prędzej czy później kończą w ten sposób. Takie jest moje skromne zdanie. Po prostu kwestia czasu, zwykle niedługiego. I to dlatego nie jestem zdziwiony. Widać dla Lichoty nadszedł właśnie ten czas. Niech mu ziemia ciężką będzie. Amen.

– Mówiłeś, że go nie znałeś osobiście. To skąd wiesz, że był...

– Skurwielem – pomogłem Jackowi, bo od zawsze miał problem z tym, żeby sobie swobodnie rzucić mięsem.

– Właśnie. – Chrząknął. – Skąd to wiesz?

Przewróciłem oczami.

– Po prostu wiem. Po tym jednym spotkaniu nabrałem co do tego absolutnej pewności. Rozumiesz? Dał mi naprawdę poważne powody, żeby mieć o nim takie

zdanie, i musiałbym być Matką Teresą z Kalkuty albo idiotą, żeby je zignorować i uważać go za supergościa, który ma tylko taki nietypowy sposób bycia.

Mołczun mruknął coś pod nosem.

– Jak zginął? – zapytałem. – Bo skoro tu jesteś i mnie o tym informujesz, to oznacza, że odszedł raczej w sposób niespodziewany i gwałtowny, a ty z jakiegoś bliżej nieznanego mi powodu postanowiłeś podzielić się tą wieścią akurat ze mną. Mylę się?

– Nie mylisz się. – Pokręcił głową i powtórzył: – Nie mylisz się. Został zastrzelony. Przedwczoraj.

– No widzisz. – Uśmiechnąłem się tryumfalnie. – I co, nie zgodzisz się teraz ze mną?

– W jakiej kwestii?

– Chodzi o moją koncepcję, że ludzie pokroju Lichoty na ogół kończą gwałtowną śmiercią. Zwłaszcza śmiercią tego rodzaju. Ludzie wykonujący niewdzięczny zawód bandyty odchodzą zwykle z hukiem, Jacek. Hukiem wystrzału albo eksplodującego pod ich samochodem ładunku wybuchowego. „Pershing”, „Kielbasa” i masa innych.

– Z hukiem... Możliwe, możliwe... Więc mówisz, że się nie znaliście?

– Tak mówię. I jeśli zapytasz mnie o to jeszcze raz, moja odpowiedź będzie dokładnie taka sama. Więc nie pytaj więcej, bo to się mija z celem.

– To zdradź mi, Darek, proszę, jedną rzecz. Po co Lichota dzwonił do ciebie na chwilę przed śmiercią?

– Eee... Słucham?

– W jego komórce zapisało się połączenie z twoim numerem. Trwało dwie sekundy. Godzina dwunasta siedem. Masz jakieś wytłumaczenie?

Wstałem i podszedłem do blatu rozdzielającego mikroskopijną kuchenkę od „salonu”, który był wielkości kuchni w moim poprzednim mieszkaniu. Wziąłem komórkę i wróciłem do Jacka. Zjrzałem do historii połączeń.

– Przedwczoraj? – upewniłem się.

– Przedwczoraj...

Faktycznie, w telefonie zapisało się połączenie z nieznanego mi numeru, rzeczywiście zaczęło się o dwunastej siedem i trwało dwie sekundy, ale ja w ogóle nie pamiętałem tej rozmowy. O ile w ciągu dwóch sekund można przeprowadzić jakąkolwiek rozmowę. Pokazałem Jackowi numer, on poprawił okulary na nosie, spojrzął i skinął głową.

– Co mogę powiedzieć... – zacząłem.

– Właśnie chciałbym to usłyszeć. Co możesz powiedzieć, Darek.

– Mogę ci powiedzieć, że kompletnie nie mam pojęcia po pierwsze: skąd Lichota miał mój numer, a po drugie: po cholerę do mnie zadzwonił w godzinie swej śmierci, że

użyję poetyckiej przenośni. Przecież, kurwa, nie dzwonił po pomoc, no nie?

Podejrzewam, że nawet jeśli Lichota leżałby obok mnie, a ja miałbym mu pomóc, to z pewnością znalazłaby się nagle jakaś wyjątkowo pilna rzecz, którą musiałbym niezwłocznie załatwić. Cóż, nigdy nie twierdziłem, że jestem fajny, choć na pewno nie byłem aż takim skurwielem jak Lichota.

Zerknąłem na wyświetlacz, na numer telefonu „Lichego”, który dla mnie był zwykłym ciągiem dziewięciu cyfr, i zapytałem Jacka:

– Miał mnie w kontaktach?

– Nie. Po prostu wybrał twój numer z klawiatury.

– To już w ogóle nie rozumiem.

– Może dałeś mu numer podczas tego spotkania, o którym wspomniałeś, ale tego nie pamiętasz?

To prawda. Dałem mu wtedy swoją wizytówkę, ale on jej nie chciał. Teoretycznie mógł zapamiętać numer, ale to nie miało znaczenia. To był numer mojej służbowej komórki, którą zdałem razem z bronią i dokumentami z sejfu, kiedy odchodziłem z komendy.

– Spotkanie z Leśniewskim i Lichotą odbyło już po śmierci Joli i Agi, po postrzale – powiedziałem, dotykając głowy i krzywiąc się. – Pamiętam wszystko, co zdarzyło się potem. Kłopoty mam tylko z tym, co było przedtem.

– Ale o tej rozmowie z przedwczoraj zapomniałeś.

– Jacek. – Westchnąłem. – Czy ty pamiętasz każde niemające znaczenia dwusekundowe wydarzenie ze swojego życia? To jedna z tych rzeczy, do których nie przywiązujesz żadnej wagi. Po cholere zaśmiecacie sobie czymś takim pamięć?

– Nie oddzwoniłeś?

– Widać nie. Zresztą po co miałbym oddzwaniać?

– Z ciekawości. Ja bym oddzwonił.

– A ja nie. Jak ktoś ma interes, to zadzwoni później. A jak nie ma, to niech spierdala i nie zawraca mi dupy.

– Zgorzkniałeś. – Jacek podrapał się w powiekę, lekko unosząc okulary knykciem.

Poprawił je odruchowo palcem, a potem zdjął, chuchnął na szkło, starł z niego odcisk za pomocą krawata i założył z powrotem na nos.

– Wiem – potwierdziłem, i to raczej beztrasko. – Takie życie. Jestem już starszym panem, w zeszłym miesiącu stuknęła mi pięćdziesiątka. To zobowiązuje.

– Uhm. Wszystkiego najlepszego, przy okazji.

– A, dziękuję.

– Spóźnione, ale szczerze.

– Nie wątpię. Nie musisz się tłumaczyć, nie mam ci za złe, sam prawie zapomniałem.

– Powiedziałeś przed chwilą, że wszystko pamiętasz.

– Wszystko, ale nie o wszystkim. Nie wiem, jak ci to wytłumaczyć, to taka subtelna różnica. Poza tym „prawie” zapomniałem. A „prawie” robi różnicę.

Kiedy sobie już przypominałem, wypilem tyle, że ledwo doczołgałem się do kanapy. Prawie litr na dwóch, przy czym na mojej urodzinowej imprezie był wyłącznie Promo. Jak większość psów odmówił spożycia alkoholu, więc musiał zadowolić się kiełbasą.

– Wiadomo, kto go zastrzelił? – Moje pytanie było naturalną kontynuacją wątku.

Jacek nic nie mówił. Zauważyłem, że ma taki zwyczaj. Zanim oznajmi coś, co zwykle wywraca ludziom życie do góry nogami albo chociaż przestawia je o co najmniej dziewięćdziesiąt stopni, milczy długą chwilę. Kilka razy zastanawiałem się, po co to robi, ale koniec końców nigdy go o to nie zapytałem. Formułuje w myślach to, co chce za chwilę powiedzieć, żeby adresat wypowiedzi nie poczuł, jakby dostał deską w twarz? A może napawa się tym? Czy po prostu obserwuje i wyciąga wnioski? Wypadałoby go o to wreszcie zapytać.

– Nie podoba mi się twoje milczenie, Jacek – powiedziałem ostrożnie. – Znam również osobę, która go zabiła, tak? Również dlatego tu jesteś, a nie tylko z powodu tego, że Lichota do mnie dzwonił?

Spojrzał na mnie z jakimś smutkiem w oczach.

– Domyślny jesteś – odparł z tym samym smutkiem w głosie.

– Wiem – odparłem tonem pełnym rezygnacji. – Więc go znam...

– Tak. – Zabrzmiało to jak szczeknięcie – krótkie i ostre.

Promo, wiedziony jakimś psim szóstym zmysłem, bo przecież nie słuchem, podniósł łeb i zastrzygł uchem, spojrzał na Jacka z wyrzutem w psich oczach, mlasnęła i wrócił do krainy snów.

– Jeezu... A jak dobrze go znam? Lepiej niż Lichotę? – Zacząłem gorączkowo przetrząsać w myślach niezbyt obszerny katalog znajomych w poszukiwaniu ewentualnych i prawdopodobnych kandydatów.

– Nie: jego, tylko: ją.

– Zastrzel mnie. – Westchnąłem, szykując się na zimny prysznic.

Teraz już nikt nie przychodził mi do głowy. Z wyjątkiem Marty Kielan, ale to było niemożliwe. Miałem nadzieję, że to niemożliwe.

– Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że to Marta? – nie wytrzymałem.

– Nie, no coś ty, skąd ci to przyszło do głowy?

– Nie wiem. – Wzruszyłem ramionami. – Wiem tylko, że na wiele ją stać, udowodniła to niejednokrotnie, co? Może uciekła z pierdła?

Moja była współpracownica i kochanka, zleceniodawczyni zabójstwa mojej rodziny i kilku innych osób odsiadywała dożywocie w zakładzie karnym w Lublińcu. Jej współnik, Marcin Bogutowicz, nawiasem mówiąc kochanek mojej córki i jej zabójca, przebywał

w Sztumie, chyba najcięższym więzieniu w Polsce. Z takim samym wyrokiem jak Marta. Podobno wciąż kulał i nie wyglądało na to, żeby ten stan miał się kiedykolwiek zmienić.

– Nic mi o tym nie wiadomo, żeby uciekła z więzienia.

– Jacek, kiedy to mówił, miał na twarzy wyraz lekkiego obrzydzenia.

– Dobra, więc kto?

– Milena Korcz.

To nie był zimny prysznic. To było wodospad lodowatej wody, który niemal przygniół mnie do podłogi swoim ciężarem. Uczucie, jakie ma się po opuszczeniu sauny i wejściu do kadzi z wodą o temperaturze czterech stopni Celsjusza. Zrobiłem to kiedyś w jakimś spa i teraz czułem się mniej więcej jak wtedy. Zdezorientowany i w szoku.

– A więc wyjaśniła się tajemnica dwusekundowego połączenia – powiedziałem, kiedy już mogłem oddychać.

– Mianowicie?

– To nie Lichota do mnie zadzwonił. Nie zrobił tego ani przed swoją śmiercią, ani po niej. To Milena. Musiała zadzwonić do mnie z jego telefonu. Oczywiście, jak już go... Jak już nie żył.

– Możliwe...

– To jedyne rozsądne wytłumaczenie. Chyba że z jakichś powodów Lichota pozwolił jej to zrobić, zanim...



No, zginął. Choć nie mam pojęcia, dlaczego miałby jej na to pozwolić i po co.

– Masz rację – przyznał Mołczun, a ja zacząłem się zastanawiać, czemu on nie wpadł na to pierwszy, przecież to było oczywiste, dla mnie również; teraz, kiedy wiedziałem już, o kogo chodzi.

A on przecież wiedział to dużo wcześniej. Chciał sprawdzić moją reakcję?

– Milena знаła twój numer na pamięć? – zapytał.

– Nie wiem. – Wzruszyłem ramionami. – Pewnie tak. A być może wybrała go na komórce Lichoty, przepisując ze swojego telefonu. Ale znów nie sądzę, żeby tak było. To nie miałyby sensu. Zadzwoiłaby po prostu ze swojego, a nie kombinowała. Chyba że istniał jakiś powód, z którego nie mogła wykonać połączenia ze swojej komórki.

– Może karta jej się skończyła?

– Myślisz, że miała telefon na kartę? Prowadziła... – dziwne przejęzyczenie – prowadzi prywatną praktykę, czyli indywidualną działalność gospodarczą. Wtedy zwykle ma się telefon na abonament, bo to się bardziej opłaca. Wrzucasz faktury w koszty prowadzenia firmy...

– Ale pewności nie masz?

– No, nie mam – przyznałem.

– Dobrze, załóżmy, że jest, jak mówisz. Że znała twój numer na pamięć i z jakichś powodów użyła komórki

Lichoty, wpisując twój numer z głowy. Czyli byliście ze sobą dość blisko. Tak?

– Nie rozumiem, do czego zmierzasz? – Zmarszczyłem brwi.

Zauważyłem, że mówiąc o Milenie, Jacek też stosuje czas przeszły.

– Ja pamiętam numery telefonów jedynie do najbliższych osób – powiedział, spuszcżając wzrok. – Niewiele ich mam, ale chodzi o zasadę. Zwykle pamięta się numer do tych, do których najczęściej się dzwoni. U mnie to żona... Szef... Siostrzeniec...

– To nadinterpretacja, Jacek. Rzeczywiście, widywaliśmy się dość często, ale to nigdy nie wykroczyło poza ramy zwykłej terapii. A Milena miała... – sam nie wiem, czemu znów powiedziałem to w czasie przeszłym, wiem za to, dlaczego nie powiedziałem, że zapraszałem ją na obiad już z piętnaście razy, zawsze nieskutecznie – ... Milena ma znakomitą pamięć. Fenomenalną. Przecież dobrze to wiesz, bo sam miałeś okazję się o tym przekonać, prawda?

Jacek też bardzo dużo zawdzięczał Milenie. Karierę, a być może nawet więcej. Miałem kolegę ze studiów, który wypijał takie ilości alkoholu, że w końcu któraś z jego delirycznych wizji zmusiła go do zakończenia przygody zwanej życiem. Zamknął się w swoim pokoiku na komisariacie w jakimś Zabadziewiu czy innym Pierdziszewie, włożył lufę służbowej broni tak głęboko

w usta, jakby chciał ją połknąć i udławić się nią, a potem strzelił, trafiając w szyjny odcinek kręgosłupa. Umierał na intensywnej terapii przez trzy dni. Milena zawróciła Jacka z tej drogi w ostatniej chwili. Tak uważam i nie sądzę, żebym za bardzo się mylił.

– W takim razie po co do ciebie dzwoniła, Darek?

– Nie wiem. Po pomoc?

Teraz już nie żartowałem. W przeciwieństwie do Lichoty, Milenie pobiegłbym na pomoc, nawet gdybym miał amputowane obie nogi. Kto wie, być może tak jak Jacek Mołczun również zawdzięczałem jej życie? W końcu to ona pomogła mi się pozbierać po śmierci rodziny.

– Dobra, Jacek, to bez sensu. Zaczynaj od początku. Po kolei.

– Zrobisz mi kawy?

– Nie wolisz czegoś zimnego?

– Nie, tylko kawę...

Poszedłem do części kuchennej i zacząłem nastawiać ekspres. Psu włączył się czujnik ruchu i podreptał za mną.

– Możesz zaczynać, usłyszę cię – rzuciłem przez ramię, Jacka ode mnie dzieliło raptem jakieś trzy metry.  
– Mocniejsza, słabsza, ze spienionym mlekiem?

– Słabsza z mlekiem.

Wybrałem odpowiednią kapsułkę, dolałem do zasobnika mleka i podstawiłem szklanekę do latte, otarłszy przedtem jej brzeg z kurzu. Bardzo powoli

przyzwyczajalem się do faktu, że pewnych rzeczy, takich jak na przykład zbieranie kurzu, nikt już za mnie nie zrobi.

– Dwa dni temu, wczesnym popołudniem, przy ulicy Bandurskiego, w gabinecie terapeutycznym Mileny Korcz ujawniono zwłoki mężczyzny. Postrzał w głowę, w zasadzie w twarz, pocisk przebił kości twarzoczaszki i utkwiał w mózgu, powodując natychmiastowy zgon. Ofiara trzymała w ręku pistolet. Wstępne ustalenia są takie, że broń, z której strzelano, to właśnie ta, która była w ręku ofiary. To był glock. Nie ma jeszcze wyników balistyki, eksperta przyciskali ci z dochodzeniowego, więc oceniał pocisk wyjęty z czaszki Lichoty na oko i sam przyznał, że to trochę jak wrózenie z fusów. Czyli może być różnie. Zwłoki odkrył pacjent, umówiony do Mileny na czternastą. Pukał, nikt nie odpowiadał, więc nacisnął klamkę. Drzwi były otwarte, to znaczy niezamknięte na klucz. Wszedł do środka i natknął się na ciało Lichoty. Teraz pewnie, biedaczysko, będzie potrzebował następnej terapii... – Jacek pozwolił sobie na żart z czegoś, z czego nigdy nie żartował. – Wyglądało to trochę na samobójstwo, tyle że kąt strzału był dość nietypowy. Można teoretycznie założyć, że człowiek przyszedł na terapię, coś mu odbiło i postanowił się zabić na oczach kogoś, kto nie mógł mu pomóc, chociaż miał, bo po to się w takie miejsca przychodzi: po pomoc. Tylko po co mu do tego tłumik? Tak, broń była z tłumikiem, Lichota miał

dłoń zaciśniętą na jej rękojeści. Jak wspomniałem, nie mamy jeszcze pełnego potwierdzenia, że pocisk, który miał w głowie, wystrzelono z tej właśnie broni, ale bez wątpienia z niej strzelano mniej więcej w krytycznym czasie. Skoro nikt w sąsiednich gabinetach nie słyszał strzału, można zakładać, że to jednak ten glock był narzędziem zbro... hmm... przyczynił się do śmierci Lichoty. Nigdzie nie znaleziono innych pocisków ani śladów po nich. Chyba że Milena również miała broń z tłumikiem...

– Co wydaje się dość głupim pomysłem – zauważyłem, przynosząc mu gotową kawę.

– Owszem. – Jacek odebrał ode mnie szklankę. – Ale nie takie rzeczy się zdarzały. I to nie był mój pomysł, to jedna zakładanych wersji śledczych. Wielu.

– Rozumiem.

– W magazynku glocka Lichoty brakowało tylko jednego naboju. Pytanie: zabójstwo czy samobójstwo pozostaje jednak otwarte. Drzwi do pomieszczenia nie były zamknięte na klucz, jak wspomniałem, żadne drzwi zresztą nie były. Na miejscu ujawniono ślady krwi oraz cieczy wodnistej oka, należące do ofiary. Oprócz nich technik zabezpieczył ślady wymiocin i moczu. To był mocz kobiety. Wymiociny też...

– Zaraz, zaraz – przerwałem mu lekko zdziwiony. – Rozumiem mocz: hormony, ja wiem, jakieś tam enzymy

i tak dalej... Ale wymiociny? Chcesz mi powiedzieć, że po treści żołądka można określić płeć?

– To nie wynik badań laboratoryjnych, tylko dedukcji, Darek – powiedział sucho Jacek, patrząc na swoje dłonie. – Lichota miał pełny żołądek. Jadł tuż przed śmiercią, prawdopodobnie w McDonalddie, niedaleko gabinetu. Między innymi jadł frytki...

– Tego akurat mógłbyś mi oszczędzić – zauważyłem. – Widzę, że znasz raport z sekcji tak dokładnie, jak ja regulamin ROD.

– Może i mógłbym, ale chciałeś po kolei. – Jacek obojętnie wzruszył ramionami. – Znalezione także damskie rajstopy, również zaplamione moczem. Jej. Leżały na twarzy Lichoty, jakby zostały tak rzucone specjalnie, żeby zakryć ranę. Albo twarz czy oczy ofiary...

– To brzmi, jakby ktoś tu doszukiwał się oznak działania psychopaty.

– Mówiłem ci, na razie wszystkie wersje są prawdopodobne. – Mołczun upił łyk kawy i odstawił szklankę na stolik.

Chyba mu nie smakowała albo stracił ochotę. A może zapomniałem o cukrze?

– Kobiety zazwyczaj mordują tak, żeby nie uszkodzić twarzy ani głowy – zauważyłem. – Zresztą rzadko kiedy mają tyle siły, żeby uderzyć w nią na tyle mocno, by mieć pewność, że zrobiły to skutecznie, czyli zakończyły sprawę definitywnie. Gdy w grę wchodzi broń,

z oczywistych względów jest trochę inaczej. Choć i tak przeważnie wybierają korpus. Chcesz cukru?

– Zgadza się. Ale to mogło wynikać z dynamiki sytuacji. Dzięki, nie słodzę.

Zdziwiłem się trochę. Nigdy nie zwróciłem na to uwagi. Znałem go tyle lat, a nie wiedziałem, czy słodzi kawę, czy nie. Tylko czy to w ogóle o czymkolwiek świadczyło w kontekście naszych relacji?

– W porządku. – Odniosłem cukier do kuchni. – Czyli nie atak psychopaty, tylko jakaś walka?

– Możliwe. Ale po co rzuciła mu rajstopy na twarz? Obawa czy irracjonalny lęk przed spojrzeniem martwej ofiary? Typowo kobiece zachowanie.

– Nie ma czegoś takiego jak zachowanie typowo kobiece. – Wróciłem do saloniku i usiadłem obok Jacka. – Typowo kobiece zachowanie to zachowanie nietypowe i nieprzewidywalne. Chyba obaj jako mężczyźni w sile wieku zdążyliśmy się o tym przekonać, co? Wspominałeś coś o resztkach oka Lichoty czy mi się wydaje? To jak miał na nią spojrzeć? Czym?

Jacek zerknął na mnie spode łba, lekko zły.

– Drugie mu zostało. A mówiąc o typowo kobiecym zachowaniu, miałem na myśli statystyki dotyczące zabójczyń. Wiem, że psychopatki można policzyć na palcach jednej ręki, ale chodzi mi właśnie o te zachowania irracjonalne. To nie ma znaczenia, że na nią nie patrzył, bo nie miał czym. No... – Uznał temat za

zakończony. – Denat miał przy sobie telefon, ale to już wiesz. Samsung leżał w kącie gabinetu i nie miał na sobie żadnych odcisków palców. Został wytarty. To tyle, jeśli chodzi o kwestię, kto dzwonił. – Uśmiechnął się odrobinę złośliwie.

Fakt, w policji nie pracują jasnowidze. Oni nigdzie nie pracują.

– Przeszedłeś z tym do mnie, żeby się poradzić, obgadać temat?

– Czynności dochodzeniowych dokonuje na zlecenie prokuratury komenda miejska, ale my bardzo się tą sprawą interesujemy, to zupełnie naturalne. Milena pracowała u nas, miała kontakt z wieloma policjantami z różnych jednostek garnizonu, więc to może być grubsza sprawa... I to chyba oczywiste, że musiałem do ciebie przyjść. Nie powinienem, ale musiałem, rozumiesz?

– Nie bardzo – przyznałem.

– Znałeś i ofiarę, i osobę podejrzaną o jej zabójstwo. Podejrzaną, co nie przesądza o jej winie, oczywiście. Statystyki są jednak nieubłagane, sam wiesz, ile procent morderstw popełnianych jest przez osoby znające swoją ofiarę...

Westchnąłem.

– Widzę, że jesteś miłośnikiem statystyk. Mówiłem ci już, ja nie znałem Lichoty. To nie była znajomość.

– Ale miałeś z nim jakiś kontakt, sam to przed chwilą przyznałeś.



– Zgadza się, ale o tym wiesz tylko ty. Więc te statystyki, o których wspomniałeś, nie mają w tym wypadku nic do rzeczy.

– Owszem, według śledczych mają. Może i nikt oprócz mnie nie wie o twoim spotkaniu z Lichotą, ale dla nich jedno jest jasne: skoro Lichota zadzwonił do ciebie ze swojego telefonu, to znaczy, że się znaliście. A to, że ktoś potem ten telefon wytarł z odcisków palców, niczego nie zmienia. Przykro mi, Darek, znalazłeś się w kręgu zainteresowania organów ścigania. Dziś jestem tu ja, ale jutro, pojutrze będą inni. Albo ty będziesz musiał ruszyć cztery litery, opuścić tę oazę spokoju i jechać do miasta, żeby wyspowiadać się prokuratorowi. Ale nie przejmuj się za bardzo, po prostu powiesz mu to, co mnie przed chwilą, a potem zmówisz w myślach króciuteńką modlitwę, żeby w to uwierzył.

– Ty mi nie wierzysz?

– Nie o to chodzi, w co wierzę, a w co nie. Tak się składa, że ja ci akurat wierzę. Ale sam wiesz, że chodzi o to, żeby prokurator uwierzył. Poinformowanie go o twojej znajomości z Mileną powinno załatwić sprawę.

Prychnąłem krótko. Akurat...

– Dobra, a co mówi Milena? Przecież od tego powinniśmy w ogóle zacząć? Rozumiem, że skoro snujemy te dywagacje o psychopatycznym podłożu, nie wyjaśniła, o co chodziło? Niczego nie wyjaśniła?

Mołczun miał stropiony wyraz twarzy. Dopiero teraz zorientowałem się, że nie powiedział jeszcze nic, co dotyczyłoby Mileny. Przedstawiał jedynie ustalenia śledczych, a nie jej wersję zdarzeń, przynajmniej niektórych.

– Odmawia złożenia zeznań?

Znów milczenie i jeszcze dłuższa twarz Jacka.

– Ale została zatrzymana? – zapytałem, a krew niemal zastygła mi w żyłach, kiedy uświadomiłem sobie, że być może będę musiał zadać jeszcze jedno pytanie. Czy Milena żyje?

– Milena... Cóż... Nie ma Mileny. Zniknęła. I to jest w tym wszystkim najdziwniejsze. Zapadła się pod ziemię.

– Najdziwniejsze? – zapytałem i mimo upału zrobiło mi się nagle zimno, choć równocześnie poczułem lekką ulgę. – To chyba akurat wcale nie jest dziwne. Po zrobieniu czegoś takiego człowiek zwykle stara się zniknąć na dobre. To normalne. Wiesz, w sensie... – Utknąłem, bo co jest normalnego w zabijaniu ludzi i ukrywaniu się potem z tego powodu.

– Znasz Milenę, prawda? – Jacek poluzował węzeł krawata i rozpiął koszulę pod szyją, kręcąc nią, aż chrupały mu kręgi, i przesuwając przy tym zuchwę na boki, jakby bezgłośnie zgrzytał zębami. – Ja też ją znam, spędziliśmy ze sobą długie, naprawdę długie godziny. To silna kobieta, w dodatku psycholog, niejedno widziała, o niejednym słyszała, rozmawiała z policjantami, wie, jak

to wszystko wygląda. Nawet gdyby coś się stało, gdyby on chciał ją zabić, walczyliby i ona zabiłaby go w samoobronie, przecież nie zachowałyby się tak. Nie uciekałyby. To profesjonalistka! – Umilkł i spojrzał na mnie ponuro. – Chyba że... Chyba że zabiła Lichotę z premedytacją. – Taaa... Skąd w ogóle wiadomo, że to ona? Że w ogóle tam była?

– Mówiłem ci, że obok są gabinety lekarskie. Ortopeda, chirurdzy plastyczni, interniści. – Machnął ręką. – Zresztą przecież to doskonale wiesz, byłeś tam nie raz... Dotarcie do świadków nie było trudne, tam wszystko jest odnotowane: kto, u jakiego lekarza i o której godzinie. Kilkoro pacjentów siedzących w poczekalni, w tym wspólnym przedsionku koło klatki schodowej i windy, widziało, jak wybiegła ze swojego gabinetu. Kilka minut po południu. Była czerwona na twarzy i wyraźnie wzburzona...

Zastanowiłem się nad czymś.

– Powiedziałaś przed chwilą pewną rzecz. Powiedziałaś, że ja ją znam. Że ty też ją znasz. Ale zastanów się, czy na pewno, Jacek? Czy ze stuprocentową pewnością możesz twierdzić, że znasz Milenę Korcz? Bo co do tego, że ona zna nas obu, to ja nie mam żadnych wątpliwości. Absolutnie żadnych, nawet cienia. Zna nas na wylot. Obu. Ale czy my rzeczywiście znamy ją? I od razu odpowiem ci na to pytanie. Otóż nie znamy jej, Jacek. Nie znamy jej wcale. Rozumiesz? To my

powiedzieliśmy jej o sobie niemal wszystko, ale ona nie dała nam w zamian tego samego, bo nie po to tam chodziliśmy. Taka jest prawda...

Jacek siedział przez chwilę w milczeniu ze wzrokiem wbitym we własny krawat.

– Masz rację – przyznał po chwili. – Nikt o niej nic nie wie. Koleżanki z zespołu, współpracownicy, nikt... Z żadnym z nich nie utrzymywała bliższych kontaktów, wiesz, mam na myśli spotkanie się po pracy i tak dalej. Przeszukanie jej mieszkania nic nie dało. Nie przyniosło żadnych efektów, żadnych. Nie znaleziono także niczego w rodzaju terminarza wizyt czy spisu pacjentów. A Milena nie miała recepcjonistki, czy tam rejestratorki, która umawiałaby wizyty i pilnowała tego.

– No właśnie...

– Zastanawiam się, czy jest sens wypytywać o nią jej pacjentów. Pewnie wiedzą o niej tyle samo co my.

– Tych pacjentów zapisanych w terminarzu wizyt, którego nie ma? – zapytałem zgryźliwie.

Nie podjął rękawicy.

– Myślisz, że Lichota też był jej pacjentem? – zapytał.

– Nie mam pojęcia. Nawet jeśli, to nie możemy mieć co do tego pewności. Zakładanie czegokolwiek w tej kwestii jest teraz bezcelowe, tak uważam.

– Tu się z tobą zgodzę.

– Dobra. – Chrząknąłem. – Szczerze wątpię, żeby Lichota był jej pacjentem, a podejrzenie, że z jakichś

powodów popełnił samobójstwo na jej oczach, jest... kompletnie chybione, Jacek. Ten tłumik tu nie pasuje. Tacy ludzie jak on nie potrzebują terapii, bo nie mają ze sobą problemów. To oni tworzą problemy innym. We własnym przekonaniu są panami świata, a nawet jeśli w ich życiu pojawi się jakiś problem, to rozwiązują go sami siłą. Nie wierzę w depresję gangstera. Rozmawiałem kiedyś z Lichotą przez dziesięć minut, ale te dziesięć minut wystarczyło, żebym dowiedział się, jakim człowiekiem jest „Lichy”. Podłym. Dziesięć minut, Jacek. No i jeszcze jedna rzecz: nie chodzi się na terapię z bronią z tłumikiem. Z samą bronią, jeszcze jakoś zrozumieć, zwłaszcza w przypadku Lichoty, ale z tłumikiem nakręconym na lufę? To jednoznacznie określa cel wizyty, nie sądzisz? On przyszedł ją zabić, zamiast tego zabił siebie; może przypadkiem, może zrobiła to jednak Milena. Dlaczego przyszedł? Dlaczego chciał ją zabić? Kto mu kazał? A może zaszła pomyłka? Może miał zabić lekarkę z któregoś z sąsiednich gabinetów, z tej części, gdzie jest prywatna przychodnia? I pomylił się?

– Darek, przecież o tej porze w przychodni było mnóstwo ludzi!

– No to co? Wszedłby do poczekalni, zarejestrowany wcześniej na fałszywe nazwisko, poczekałby na swoją kolej, wszedł do gabinetu, dajmy na to ortopedy... ortopedki, załatwił ją po cichu, przecież miał tłumik,

wyszedł i powiedział następnemu w kolejce, że ma czekać, aż pani doktor poprosi. Zanim ktokolwiek by się zorientował, co się stało, miałyby ze dwadzieścia minut na ucieczkę, spokojną i bez wzbudzania podejrzeń...

– Sam w to chyba nie wierzysz? Po co miałyby robić to w tak skomplikowany sposób? Poza tym co, pokazałyby twarz dziesiątkom ludzi? I pomyliłyby psychoterapeutkę z ortopedką?

– Wiem, że to się kupy nie trzyma, ale próbuję złapać cokolwiek. Ta śmierć Lichoty w gabinecie Mileny też się kupy nie trzyma, zwracam ci uwagę. Nic tu nie gra! Jeszcze bardziej niż w mojej historii o ortopedce.

– Ach, ja zdaję sobie z tego sprawę, Darek, i owszem. Jak cholera. Tylko co z tego?

– Zgadza się: co z tego? – powtórzyłem. – Trzymasz rękę na pulsie, widzę?

– Muszę. Stary ją lubi. Jego żona ma depresję, chodziła do niej, ale to tak między nami.

– To musi być teraz rozdarty wewnętrznie?

– Kto, Stary? Co masz na myśli?

– Martwi się o Milenę, zakładając, że to jej ktoś chciał zrobić krzywdę. Ale jeśli to ona chciała... Czego przecież nie możemy wykluczać... To powinien martwić się o żonę. O siebie w sumie też. „Żona komendanta wojewódzkiego leczyła się u zabójczyni”. Widzisz te nagłówki?

– Dlatego proszę cię o dyskrecję.

– To i tak zawsze wychodzi w najmniej spodziewanym momencie. Wiesz o tym?

– Wiem.

– Ciekawe, czy komendant wie?

– To już może lepiej wróćmy do Lichoty, co?

– Jak sobie życzysz.

– Na czyje zlecenie by działał? Gdyby faktycznie działał na zlecenie, a nie na własną rękę?

– Tak na szybko, do głowy przychodzi mi tylko Jarek Leśniewski. „Malecha”. Jego szef. To chyba naturalne skojarzenie?

– Owszem. Chyba...

– No właśnie: chyba. Wszystko w tej historii jest „chyba”. I wszystko to czyste dywagacje. Ale nawet tak dywagując, pojęcia nie mam, czemu Leśniewski życzył Milenie śmierci. W jakim celu ktokolwiek, poza świrniętym pacjentem, chciałby ją zabić. W dodatku przy użyciu broni palnej z tłumikiem. I dlaczego po takiej próbie Milena uciekła, zamiast wezwać policję.

– Trzeba by go zapytać, może? Tego Leśniewskiego?

Zerknąłem na Jacka.

– Pytasz mnie o zdanie w tej sprawie?

– Nie, dywaguję sobie. Głośno myślę.

– Uhm. Cóż, przykro mi. W niczym więcej ci nie pomogę. Jak sam widzisz, nasza rozmowa to tworzenie fikcji opartej na niewielu faktach. Wyjaśniłem swój

udział, a właściwie brak swojego udziału w tej tajemniczej sprawie?

– W zasadzie tak. Ale to jeszcze nie koniec i musisz się z tym liczyć.

– Liczę się. Niestety się z tym liczę...

Jacek dopił letnią kawę, wymieniliśmy jeszcze ostatnie ploty z komendy, choć w zasadzie to on mnie nimi zarzucił. Skąd ja miałbym znać najnowsze plotki z miejsca, w którym nie byłem od roku? Wiedziałem tylko, że muszę to nadrobić i wybrać się tam. Zwłaszcza teraz.

Kiedy Mołczun już wychodził, spojrzał na mnie smutno.

– Jest jeszcze coś, co musimy wziąć pod uwagę.

– Mianowicie?

– W gabinecie Mileny nie było innych pocisków...

– Tak, wspomniałeś o tym.

– Ale ona mogła mieć jakiś w sobie, rozumiesz?

– Mówiłeś, że w pistolecie Lichoty brakowało tylko jednego naboju?

– Tak...

– Znaleziono na miejscu ślady jej krwi?

– Nie, ale...

– Ci ludzie z sąsiedniej poczekalni, którzy widzieli ją wychodzącą szybkim krokiem z gabinetu, mówili, że była ranna?



– Też nie, ale rana mogła nie być widoczna na pierwszy rzut oka. Milena mogła być w szoku i sama przez kilka pierwszych minut nawet o tym nie wiedzieć...

– Sugerujesz, że w głowie Lichoty był pocisk z jej broni, a ten, którego brakowało w jego glocku, był w Milenie? I że zmarła gdzieś w ukryciu, bo bała się pojechać do szpitala? Albo po prostu nie zdążyła i teraz jej ciało leży gdzieś, nie wiadomo gdzie?

Promo podszedł do Jacka, jakby chciał go pożegnać w drzwiach. Mołczun pochylił się i machinalnie podrapał psa za uchem.

– Wspominałem, że nie ma jeszcze balistyki i że wszystko jest jeszcze możliwe? A ja... Po prostu bardzo ją lubię... I martwię się – powiedział cicho.

– Ja też, Jacek. Ja też. Ale poczekajmy wpierw na wyniki balistyki. Na martwienie się będzie jeszcze czas...

Poszedł, zostawiając mnie z czarnymi myślami.

\* \* \*

Moje obawy co do kontynuacji tematu Mileny w bardziej oficjalnej atmosferze ziściły się następnego dnia tuż po południu. Nie przeliczyłem się. Kiedy wracałem z Promo z lasu, pod płotem zobaczyłem radiowóz. Musiał nieźle nastraszyć sąsiadów. Kiedy podszedłem do skody, drzwi od strony kierowcy otworzyły się i z radiowozu wysiadł funkcjonariusz służby patrolowo-interwencyjnej w randze sierżanta, wielki

chłop o twarzy sukinsyna i wesołych, dobrych oczach. Był opalony i zarośnięty, a może zapuszczał brodę, jak większość mężczyzn dzisiaj? Kiedy byłem w jego wieku, za coś takiego mój szef zaciągnąłby mnie do łazienki na komendzie i ogolił bez mydła własnym scyzorykiem. Partnerką sierżanta była dziewczyna, drobna blondynka z końskim ogonem wystającym spod czapki z daszkiem. Została w samochodzie z ręką przewieszoną przez otwartą szybę w drzwiach, popatrywała tylko przez uchylone okno na psa, wyraźnie mając ochotę go pogłaskać. Pewnie psiara. Na jej nadgarstku zauważyłem dyskretny tatuaż, jakieś kółko i strzałkę przypominającą tę, która wskazuje północ na róży wiatrów. Kiedy ja byłem w jej wieku, tatuaże mieli tylko mieszkańcy wysp Pacyfiku, marynarze, przestępcy, zboczeńcy i „psychiczni”, a posiadanie czegoś takiego na skórze automatycznie skreślało właściciela z listy kandydatów do służby w milicji, policji, wojsku i wielu innych instytucjach. Dziś nie stanowi to problemu i zastanawiałem się, czy to znak czasów, degrengolada czy po prostu niewarta uwagi kwestia osobistego wyboru każdego człowieka. Takiego samego wyboru, jakim w przypadku mężczyzn jest noszenie wacka w lewej albo prawej nogawce spodni: Bon Scott na przykład, zanim na własne życzenie odjechał autostradą do piekła, lubił swojego nosić w lewej i nikt nie miał o to do niego

żadnych pretensji. Czasy się zmieniają, przecież kiedyś ślepo się od masturbacji i nie przechodziło pod drabiną.

Suder – pomyślałem sobie nagle. – Jesteś starym zgredem.

– Pan Suder? – zapytał wielkolud. – Dariusz Suder?

– Odprowadzę psa i jedziemy. – Westchnąłem.

– Czekamy. – Sierżant uśmiechnął się, ale widziałem, że jakby co, nie będzie czekać w nieskończoność. – I doradzamy pośpiech.

– A dokąd jedziemy? Z ciekawości pytam.

– Do Koszalina.

– Proszę! – Odruchowo spojrzałem na nadgarstek, na którym nie było zegarka.

Wciąż nie mogłem pozbyć się tego przyzwyczajenia, mimo że zegarka już nie nosiłem, bo nie było takiej potrzeby. Przeważnie nigdzie się nie spieszyłem.

– Zabieramy pana do prokuratury okręgowej w Koszalinie.

– Chyba pan żartuje! Miałem plany na wieczór.

– Wieczorem będzie pan w domu. Komendant Mołczun prosił, żeby życzyć panu miłej podróży.

Nie pokazali mi żadnego papierka: wezwania do stawienia się w prokuraturze, jakiegoś nakazu czy czegokolwiek innego. Mogłem odpowiedzieć, że mam ich pod ogonem i nic nie mogliby mi zrobić. To dlatego Jacek kazał im przekazać te życzenia. Żebym im tego nie powiedział.

Zaprowadziłem Promo do ogrodu. Była ładna pogoda, nie było sensu, żeby siedział w domu. Zamykając furtkę, zapytałem policjanta:

– Skąd taka kurtuazja?

Łypnął na mnie.

– Być może z powodu obiektywnych trudności z ustaleniem adresu, pod który należało doręczyć wezwanie – powiedział, rozglądając się po najbliższych altanach, a ja w myślach się z nim zgodziłem.

Taak, to było nawet logiczne wytłumaczenie.

– Ale odwieziecie mnie z powrotem? – upewniłem się, jednak nic to nie dało, bo nie dostałem odpowiedzi.

Wsiadłem do radiowozu, czując, jak plastikowe okładziny siedzeń parzą mnie w tyłek, uda, a najbardziej w odsłonięte łydki. Czuję się jak kurczak w piekarniku, obserwując przez oddzielającą mnie od policjantów pleksiglasową szybkę blond kucyk dziewczyny i błyszczącą kroplami potu szczecinę na głowie jej kolegi. Jechaliśmy w milczeniu, a ja nie mogłem nawet uchylić szyby. Nic nie mogłem zrobić. Przysłali po mnie radiowóz wysyłany zwykle na pierwszą linię frontu podczas nocnych walk z szumowinami, plującymi jadem bluzgów, śliną i rzygowinami po dopiero co spożytym alkoholu. Ale dałem radę. To tkwi w głowie, trzeba sobie tylko pewne rzeczy poustawiać i jest już łatwiej. Nawet przez dwie bite godziny z jedną dziesięciominutową przerwą na stacji benzynowej, w czasie której pochłonąłem litr wody.

Drugą godzinę podróży spędziłem w stanie półsnu, budząc się tylko co jakiś czas, żeby odlepić język od podniebienia i oblizać wyschnięte usta. Kiedy dotarliśmy do Koszalina, na ulicę Andersa, byłem mokry jak świnia w cieplarni. Pot ściekał mi po dupie, a koszulka nadawała się tylko do wyżęcia. Sierżant wysiadł i otworzył mi drzwi. Powietrze, które wdarło się do radiowozu, było równie nagrzane od słońca jak to wewnątrz, ale nie pogardziłem nim. Przynajmniej było świeże. Wsiadłem z samochodu z ulgą, z mlaśnięciem spoconej skóry ud odlepiającej się od plastiku w miejscu, gdzie podwinęły się nogawki krótkich spodni. Plac przed budynkiem                      koszalińskiej                      delegatury Zachodniopomorskiego Urzędu Wojewódzkiego, w którym znajdowała się również prokuratura okręgowa, prażył się w słońcu, tak samo jak kamienne lwy na wjeździe, zastygły w mosiądzu marszałek Piłsudski i wszystko inne w promieniu kilkuset kilometrów.

Wejście do budynku było cudownym przeżyciem. Otoczył nas przyjemny chłód, kojący i relaksujący niczym balsam dla spoconej skóry. Czasem warto się pomęczyć, żeby przeżyć coś tak wspaniałego. Zimna woda smakuje inaczej, kiedy nie chce ci się pić, a zupełnie inaczej, kiedy przebiegłeś dziesięć kilometrów w upale. Wtedy staje się najsmaczniejszym napojem na świecie. Z takim chłodem, jaki panował teraz w budynku, było podobnie. Był boski. Odzyskałem wigor.

– Drugie piętro, pokój sto sześćdziesiąt – rzucił sierżant. – Prokurator czeka na pana.

Wspiałem się na górę i po krótkim błądzeniu po korytarzach wśród pomieszczeń Wydziału Śledczego odnalazłem właściwy numer. Wszedłem do środka, nie pukając. Urząd jest dla człowieka, a nie na odwrót.

– Cześć, Darek. – Powitanie prokuratora było dla mnie sporym zaskoczeniem.

Za biurkiem siedział kompletnie łysy facet w moim wieku, patrzył na mnie z lekkim uśmiechem i najwyraźniej miał ubaw z faktu, że go nie poznaję. Skupiłem się i oczami wyobraźni dodałem mu włosy. Dalej nic. Zmieniłem ich kolor z blond na czarne, dodałem kilka kilogramów i podziałało.

– Janusz Pałka – rzuciłem z rozbawieniem.

Pokiwał głową. Więc jednak Pałka został prokuratorem. Nie widziałem go od trzydziestu lat, od czasów studiów na Wydziale Prawa i Administracji, które porzuciłem dla WSO w Szczytnie po zaliczeniu pierwszego roku. W tamtych czasach był pulchnym nastolatkiem, zafascynowanym historią Drugiej Rzeczypospolitej, raczej skrytym, stroniącym od dziewczyn. Rysy wtedy pucołowatej, niemal dziecięcej twarzy wyostrzyły się, czarne brwi oraz mocno zarysowane linie wydatnej szczęki i kości policzkowych nadawały jej lekko złowieszczy wyraz. Łysa jak kolano głowa osadzona na mocnym karku tylko potęgowała to

wrażenie. Wejście na salę rozpraw kogoś o takiej fizjonomii i spojrzeniu musiało obniżyć temperaturę o kilka stopni, a co najmniej powodować skok ciśnienia krwi u typu, który miał nieszczęście trafić akurat na Janusza. Podwinięte rękawy koszuli ukazywały umięśnione przedramiona z grubymi węzłami żył. Pałka uprawiał chyba jakiś sport, który wymagał nie tyle siły, ile dobrej wydolności. Janusz od początku wiedział, że będzie właśnie prokuratorem, a nie radcą prawnym, notariuszem czy adwokatem. Twierdził, że woli wsadzać, niż wyciągać, przy czym mowa wyłącznie o przestępcach. Sędzią też nie chciał być. W akademiku mieszkał w jednym pokoju ze Zbyszkiem Kijewskim, który również chciał zostać prokuratorem. Zawsze trzymali się razem, a przynajmniej tak było na pierwszym roku, więc mówiliśmy na nich: „nie Kijem go, to Pałką”.

Janusz jakby odczytał moje myśli.

– Kijewski zdradził – poinformował mnie z uśmiechem. – Jest znanym wrocławskim adwokatem, ma willę na peryferiach miasta, domek nad morzem, żaglówkę na Mazurach, drugą żonę, zresztą o połowę młodszą, i brzuch, jakby połknął piłkę plażową. Standard.

– Za to ty wierny sobie i młodzieńczym ideałom, co? – zapytałem. – Żałujesz?

– Nigdy niczego nie żałuję. Nigdy. Ani nie zazdroszczę.

– Nawet żaglówki?

– Nawet. Wolę rower. Choć od wody też nie stronię.

– Ale nie powiem, że się nie zmieniłeś.

– Moje włosy były jak pieniądze, jakoś nigdy nie chciały się mnie trzymać. Cóż...

– Nie rewanżuj mi się – ostrzegłem, grożąc mu palcem. – Wiem, jak wyglądam.

– Słyszałem – mruknął, spuszcżając na chwilę wzrok.

– Przykro mi...

– To było półtora roku temu. Można powiedzieć, że czas leczy rany.

– Można powiedzieć, ale nie trzeba? – Podniósł głowę i spojrzał na mnie uważnie.

– Otóż to. Trafiłeś w sedno. Nie trzeba niczego mówić.

Wyprostował się, rozłożył szeroko ręce, opierając dłonie o blat biurka, i oczami wskazał mi stojące przed nim krzesło.

– Siadaj, Darek.

Usiadłem z lekką ulgą. Nie musiałem dłużej stać przed Januszem jak uczeń przed dyrektorem, z drugiej strony wizja siedzenia na tym krześle wywoływała u mnie lekkie swędzenie tyłka. W końcu znajdowałem się w prokuraturze, nie w kinie. Ale przemogłem się jakoś.

I to był koniec wymiany uprzejmości. Chyba nie było potrzeby dłużej się na nie silić, w końcu Janusz Pałka i ja kompletnie się nie znaliśmy, byliśmy obcymi sobie ludźmi, których los przypadkiem zetknął na chwilę wieki



temu. Jedyłą konsekwencją tego zetknięcia było tak naprawdę to, że teraz mogliśmy mówić sobie po imieniu.

Przyjąłem swobodną pozycję i założyłem nogę na nogę. W przeciwieństwie do wielu innych siedzących na tym krześle osób mogłem sobie na to pozwolić. Janusz splótł palce, oparł się piersią o krawędź biurka i lekko przekrzywiając głowę, zapytał:

– Wiesz, o co chodzi, prawda?

– Jeśli masz na myśli to, czy wiem, po co tu jestem, to tak. Wiem. Domyślam się.

– To dobrze. Wyjaśnisz to jakoś?

– Rozmawiałeś już z Jackiem Mołczunem?

– To nie ma znaczenia, Darek. Chcę usłyszeć od ciebie, co masz na ten temat do powiedzenia.

Powtórzyłem więc mu to, o czym rozmawiałem z Jackiem. Rzecz jasna nie powiedziałem Pałce o wszystkim, bo nie było takiej potrzeby, niemniej dokładnie wyjaśniłem kwestię, o którą pytał.

– Rozumiem... – powiedział powoli Janusz, gładząc się po podbródku.

– A ja za to nic nie rozumiem.

– No dobra, ja też nie – przyznał, wzdychając.

Siedzieliśmy przez chwilę w ciszy. Patrzyłem na Janusza, jego zmęczone oczy za pobrudzonymi palcami szklami okularów, przekrzywiony krawat i niezły bałagan na biurku. Za jego plecami wisiała korkowa tablica, a na niej zdjęcie dwóch uśmiechniętych

chłopaków, bliźniaków. I oni, i Janusz byli do siebie podobni jak trzy krople wody, jedyną różnicą było to, że małe krople miały włosy. Zdjęcie otaczały karteluszeki pokryte zapiskami oraz kilka pocztówek z jakichś zimnych gór i znad jakichś ciepłych mórz. Mikroświat, najważniejsze rzeczy skupione na niecałym metrze kwadratowym powierzchni.

– Dlaczego Koszalin? – zapytałem.

– Wyłączenie organu. Ta Korcz w ciągu ostatnich kilku lat pracowała z kilkudziesięcioma policjantami z komendy wojewódzkiej, miejskiej i nie tylko. Miała również kontakty ze szczecińską prokuraturą. Wyznaczono Koszalin, więc... *Here we are...*

– Wyjątkowo szybko działacie.

– Bo?

– To bardzo uprzejme z twojej strony, że zapewniłeś mi wygodny... w miarę wygodny transport. Załatwienie go tak szybko to musiał być majstersztyk. Raport z sekcji zwłok ofiary gotowy dwa dni po jej śmierci to też ewenement. – Pozwoliłem sobie na lekki uśmiech.

– Bawi cię ta sytuacja? – Pałka zmarszczył brwi, jedyne włosy, jakie zostały mu na głowie.

– Odrobinę. Bawiłaby mnie zapewne bardziej, gdyby nie chodziło o kogoś, kogo lubię i cenię. I gdybym nie miał przed sobą perspektywy przebywania kolejnych dwóch godzin w piekarniku, w którym mnie tu przywieziono.

– Przykro mi, musiałem z tobą porozmawiać osobiście, tak czy siak. I to jak najszybciej. A mogę wiedzieć, co cię tak bawi?

– Rozpaczliwość waszych działań. Czepianie się czegokolwiek. Na przykład mnie.

– Pomijając sprawę tego telefonu, to z tego, co mi wiadomo, Milena Korcz pracowała również z tobą. W każdym razie wie, co tam się u was dzieje, może w jakiś sposób chceć wykorzystać te informacje...

– W jaki sposób? Co masz na myśli?

– Nie wiem, nawet nie chcę wiedzieć i być może wręcz nie jestem sobie w stanie tego wyobrazić. Ale to prawda, to, co powiedziałaś przed chwilą. Nie mamy nic. Nie mamy sensownych świadków, nie mamy z kim o niej pogadać... Mamy tylko ciebie. To nieszczęsne połączenie z twoim numerem o dwunastej siedem.

– Przecież już ci to wyjaśniłem.

– Zgadza się, ale to oznacza, że teraz już naprawdę nie mamy praktycznie nic. Nie wiemy nawet, jaki status powinna mieć Milena Korcz. Podejrzanej czy raczej świadka w sprawie? A może nawet poszkodowanej?

Przypomniały mi się obawy Jacka. I moje również.

– Co z balistyką? – zapytałem.

– Dlaczego pytasz?

– A na kiedy ci obiecali?

Janusz przypatrywał mi się przez jakiś czas.

– Są już wyniki ekspertyzy. Oczywiście, biorąc pod uwagę twój status w tej sprawie, nie mogę ci niczego powiedzieć.

Milczałem przez chwilę.

– Nawet tego, czy pocisk pasował do jedynej znalezionej na miejscu broni?

W moim głosie musiało coś być, bo Janusz westchnął i nie patrząc na mnie, odparł:

– Nie mogę ci powiedzieć przede wszystkim tego, że pasował. I żadnych więcej pytań, Darek, dobrze?

Odetchnąłem z ulgą. Szanse Mileny wzrastały. Postanowiłem się Januszowi odwdziaczyć.

– Wspominałeś, że nic nie macie – powiedziałem powoli i rozejrzałem się po gabinecie. – Macie przecież Jarosława Leśniewskiego.

– Tak, Mołczun wspominał mi o nim...

– To może jego się czepicie?

– Myślisz, że ma z tym coś wspólnego?

– Nie wiem. Po prostu coś wam proponuję. Może trochę dlatego, żebyście odczepili się ode mnie, wiesz, taki odruch samoobrony. A tak poważnie: to pierwsza rzecz, jaka przyszła mi do głowy, kiedy usłyszałem o Lichocie. Skoro był gorylem Leśniewskiego, to reszta nasuwa się sama. On go tam wysłał, choć zupełnie nie wiem po co. Oczywiście mogę się mylić i chciałbym, żebyś wziął to pod uwagę. To tylko sugestia. Drobną pomoc dawnego kolegi ze studiów.

Janusz wpatrywał się we mnie ze zmarszczonymi brwiami, jak pracodawca oceniający pracownika pod kątem jego przydatności i szans na dalszą karierę. Tak patrzył na mnie mój pierwszy szef, naczelnik w komendzie miejskiej, dawno, dawno temu. Ten od golenia scyzorykiem. Był starym, zagorzałym komuchem, mentalnie wciąż tkwiącym w Urzędzie Spraw Wewnętrznych i właśnie w związku z tym długo już w niej miejsca nie zagrzał.

– Planujesz jakieś podróże w najbliższym czasie? – Pytanie Janusza sprawiło, że wróciłem do teraźniejszości.

– Podróże?

– Zagraniczne, na przykład?

– O ile wiem, to nie. Dobrze mi w mojej wiosce. A co?

– Wolałbym, żebyś na wszelki wypadek nie wyjeżdżał teraz z kraju. A gdybyś miał jechać gdzieś w Polskę, to też wolałbym, żebyś mnie uprzedził.

– Po co?

– Na wszelki wypadek.

– Nakładasz na mnie jakieś sankcje? – zdziwiłem się.

– Chyba nie ma takiej potrzeby. To jest prośba. Ze względu na starą znajomość, co ty na to? Postaraj się mnie zrozumieć: ja się tylko zabezpieczam w ten sposób. Chcę mieć cię w zasięgu, jakby co.

– Jakby co... – powtórzyłem.

– Jakby coś się nagle wydarzyło – uściślił Pałka. – Z mojego doświadczenia wynika, że kiedy jakaś sprawa

jest tak zagmatwana, że nie wiesz nawet, czego się dalej spodziewać, w którymś momencie, w dodatku najmniej oczekiwanym, dzieje się coś, co komplikuje ją jeszcze bardziej. Wszystko pierdoli się na skalę globalną. – Osunął się w fotelu, rozpierając się w nim wygodnie, i założył ręce za głowę.

Fotel stuknął o ścianę i ciemna smuga na tapecie, na wysokości krawędzi jego oparcia, pociemniała jeszcze bardziej.

– W porządku, rozumiem. Gdybym coś planował, dam ci znać.

– Będę wdzięczny. Dzięki.

– Nie ma sprawy. – Wstałem. – Na razie, Janusz.

– Do zobaczenia, Darek. Cześć.

Wyprostował się gwałtownym rzutem górnej części ciała, pochylając się nad biurkiem. Uścisnęliśmy sobie ręce. Ostatni raz zerknąłem na synów Janusza wpatrujących się we mnie z korkowej tablicy i wyszedłem. Na dole w holu spotkałem wielkoluda i psiarę z blond kucykiem, widać nie odważyli się czekać na mnie na zewnątrz. Ale teraz nie mieliśmy wyjścia. Jeszcze w Koszalinie zaopatrzyliśmy się w wodę i ruszyliśmy z powrotem do Szczecina. Było trochę lepiej, upał zelżał nieznacznie z powodu późnej pory, ale kiedy wylewałem się z radiowozu pod swoim domem, miałem naprawdę dość. Promo przywitał mnie donośnym szczeniem, policjanci pożegnali mnie zmęczonymi

spojrzeniami i rozstaliśmy się; oni wrócili do swoich obowiązków, a ja wreszcie do domu. Był wieczór, ale czułem się, jakby to był ranek po nieprzespanej nocy.

## II

Następnego dnia około jedenastej, kiedy jadłem śniadanie, Radio Szczecin podało komunikat o zatrzymaniu szczecińskiego biznesmena Jarosława L. w związku z podejrzeniem o zamieszanie w tajemnicze zabójstwo w prywatnej przychodni przy ulicy Bandurskiego. Prokuratura wystąpiła do sądu o tymczasowe aresztowanie, a policja odmówiła szerszego komentarza w tej sprawie, tłumacząc milczenie tym, czym zwykle, czyli dobrem śledztwa. Komunikat był lakoniczny, ale wystarczył mi, by zrozumieć dwie rzeczy. Po pierwsze: że to Leśniewski został zatrzymany, i żeby się tego domyślić, nie trzeba było geniusza. Po drugie, że luźną rozmowę podczas przedwczorajszej wizyty u mnie Jacek Mołczun potraktował bardzo poważnie. Podobnie jak Janusz Pałka. Być może dlatego „Malecha” zawdzięczał zmianę miejsca swojego pobytu właśnie mnie. Jego zatrzymanie też było działaniem rozpaczliwym. Ale nie zamierzałem się tym absolutnie przejmować.

Miałem lepsze rzeczy do roboty.



Kiedy przełknąłem śniadanie, wsiadłem w samochód i pojechałem do Szczecina. Zamierzałem odwiedzić komendę wojewódzką, a właściwie zajść do swojego dawnego biura, żeby pogadać z byłymi współpracownikami. To prawda, trochę mi się cknęło, w końcu spędziłem z nimi kawał życia. Ale jadąc tam, miałem jeszcze jeden cel, o którym nikt nie mógł się dowiedzieć.

Dawni koledzy z zespołu na wieść o mojej wizycie zlecieli się do sekretariatu Biura do spraw Międzynarodowej Współpracy Policji jak pszczoły do miodu. Przyjęli mnie miło, wręcz czule, zwłaszcza pani Henia. Nawet Skibiński zamienił ze mną kilka słów, takie tam pogaduchy o niczym. Albo trochę znormalniał i nie żywił już do mnie żadnej urazy, albo robił dobrą minę do złej gry i tylko udawał, że jej nie żywi. Trochę przytył i zmężniał, widać małżeństwo mu służyło. Kiedy poszedł już do siebie, Henia powiedziała mi w zaufaniu, że jego żona jest w ciąży, a fakt ten najwyraźniej go odmienił; może nie radykalnie, ale różnica była podobno widoczna. Z dupka powoli stawał się normalnym, kontaktowym facetem. Nie został moim następcą; stanowisko dostał człowiek z innego wydziału, którego teraz nie było w pracy, bo przebywał służbowo w Niemczech. Ale komisarz Skibiński nie rozdzierał z tego powodu szat ani nie czał się za plecami swojego nowego szefa ze szpadlem, gotów kopać pod nim dołek za

dołkiem. A przynajmniej nic na to nie wskazywało. Kto wie, może to samotność i chora ambicja czyniły go w przeszłości zmorą tej komórki komendy wojewódzkiej? O Marcie Kielan nie wspomiano, nie wiem, czy ze względu na mnie, czy ze względu na nią, w każdym razie jej imię ani razu nawet nie przewinęło się w rozmowie, jakby nigdy nie istniała. Jakby była faraonem, któremu po śmierci odmawiano nie tylko czci, ale nawet pamięci, skuwając ze ścian świątyń kartusze z jego imieniem. I dobrze. Poza tym w Biurze wszystko było w jak najlepszym porządku. Jak mawiała Henia, kiedy wszystko było w porządku: „kula się”. Oraz: „gra i buczy”.

Kiedy zostaliśmy w sekretariacie sami, łakomie zerknąłem na szafę stojącą obok jej biurka i spytałem:

– Pani Heniu, zrobi mi pani kawki? Takiej jak kiedyś?

Henia spojrzała na mnie rozpromienionym wzrokiem.

– Oczywiście! – zawołała. – Nawet lepszej! Mamy teraz ekspres!

Zmarkotniałem. Faktycznie, trudno go było nie zauważyć. Czasy kawy rozpuszczalnej minęły, odchodząc widać wraz ze mną. Byłem trochę jak dinozaur zepchnięty w mroczną otchłań historii potężnym kopem nadciągającej cywilizacji. A może to mój następca miał większą siłę przebicia, jeśli chodzi o zdobywanie środków na wydatki celowe, takie jak ciśnieniowy ekspres do kawy marki Nespresso? Niewielki automat stał w rogu

na szafce gospodarczej, błyszczał nowością i samym swym widokiem niweczył mój niecny plan.

A plan był w gruncie rzeczy prosty.

W szafie obok biurka mojej dawnej sekretarki były różne przedmioty, które Henia lubiła mieć pod ręką. Jako osoba wyjątkowo dobrze zorganizowana ceniła porządek i lubiła wykonywać czynności biurowe w sposób wymagający jak najmniejszego nakładu pracy. Ergonomia i efektywność chyba należały do ulubionych słów Heni i jeśli nawet nie do końca wiedziała, co znaczą, to i tak jej działania były im podporządkowane. To dlatego w szafie w idealnym i niezakłóconym porządku znajdowały się na przykład blankiety najczęściej używanych przez pracowników biura dokumentów i formularzy: szablony pism urzędowych, wnioski o urlop i inne, które chętni pobierali za wiedzą i zgodą pani Heni. I broń Panie Boże tego, kto ośmieliłby się zrobić tam bałagan! Ale w szafie było coś jeszcze. Coś, czego teraz potrzebowałem, jeśli miałem bezpiecznie zrobić to, co miałem w planach.

Żeby dostać się do tego czegoś, potrzebowałem chwili samotności, której ze względu na nowy ekspres mogłem już nie mieć, a to z tej prostej przyczyny, że teraz Henia nie musiała biegać do toalety po wodę do czajnika. Na szczęście okazało się, że czuwa nade mną jakaś tajemnicza siła. Lubilem kiedyś myśleć, że to mój wrodzony fart, a traktowanie siebie samego jako dziecka

szczęścia pomagało mi czasem szybciej podejmować pewne ważne decyzje. Szczęście skończyło się półtora roku temu w miejscu zwanym Probstheide, ale miałem nadzieję, że w końcu jednak stęskniło się za mną i wróciło.

Zobaczyłem, jak Henia zagłąda z tyłu urzędnika i unosi brwi.

– Woda się skończyła – stwierdziła z zaskoczeniem.

Nie da się zrobić czegoś z niczego: ekspresy też trzeba czasem uzupełnić. Poczuję, że moje szczęście uśmiecha się do mnie cudownie i szeroko, jak Beata Chmielowska-Olech do widzów... *Teleexpressu*.

Poczekaliśmy, aż Henia wyjdzie z sekretariatu, zamykając za sobą drzwi. Zostałem sam, miałem jakieś półtorej minuty. Podeszedłem do szafy, z tylnej kieszeni spodni wyciągnąłem przygotowane w domu paski papieru i położyłem je na parapecie okna.

Kodeks postępowania administracyjnego oraz inne ustawy, na których podstawie działają jednostki administracji, także zespolonej, jak komenda wojewódzka policji, regulują mniej lub bardziej wyraźnie sposób tego działania. Jednym z kluczowych aktów wydawanych przez te jednostki w ramach swej działalności jest decyzja administracyjna. Oprócz kilku ważnych rzeczy jednym z jej niezbędnych elementów jest pieczęć okrągła z godłem państwowym, o której mowa w artykule szesnastym „c” ustawy o godle, barwach i hymnie

państwowym oraz o pieczęciach państwowych, z trzydziestego pierwszego stycznia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku, znowelizowanej i mającej tekst jednolity opublikowany w dzienniku urzędowym z dwa tysiące piątego roku, numer dwieście trzydzieści pięć, pozycja dwa tysiące. Organem wydającym był marszałek Sejmu RP. Aktem wykonawczym regulującym formę pieczęci miało być w założeniu rozporządzenie wydane przez wskazany w ustawie organ, czyli Radę Ministrów, w praktyce jednak wciąż obowiązują w tym zakresie przepisy rozporządzenia w sprawie tablic i pieczęci urzędowych, wydanego jeszcze w roku pięćdziesiątym piątym i podpisanego przez premiera Cyrankiewicza. Pieczęć urzędowa zamawiana jest w Mennicy Państwowej, w środku ma godło, w otoku – nazwę podmiotu uprawnionego do jej używania, ewentualnie każdy jej wtórnik zamawiany ze względu na wielkość jednostki organizacyjnej ma kolejną numerację rozpoznawczą. Jak widać, sprawa jest poważna. Pieczęć, stawiana przez pracowników Biura do spraw Międzynarodowej Współpracy Policji na sporządzanych przez nich decyzjach administracyjnych podpisywanych przez szefa Biura z upoważnienia komendanta, jest metalowa, solidna i strzeżona. Teoretycznie strzeżona, ale komu wpadłoby do głowy, że ktoś może chcieć jej użyć do własnych niecnych celów.

A ja musiałem mieć jej odcisk. A najlepiej kilka.

Drzwi do szafy jak zwykle nie były zamknięte na zamek. Nic się nie zmieniło. Pieczęć stała sobie w przezroczystym plastikowym pudełku po Ferrero Rocher, razem z tuszem i poduszką. I to też się nie zmieniło.

Minuta piętnaście sekund.

Wyjąłem pudełko z szafy, wytarłem spód pieczęci chusteczką, a potem zalepiłem numer rozpoznawczy małym kawałkiem przezroczystej taśmy, który wcześniej zapobiegliwie przygotowałem sobie w domu, przyklejając go do paznokcia.

Minuta.

Przytknąłem pieczęć do poduszki z tuszem, zdjąłem taśmę i odcisnąłem na pasku papieru cztery godła, jedno obok drugiego, w odstępach około dziesięciu centymetrów. Ostatnie było nieco blade, ale nie było wątpliwości, że jest to pieczęć Komendy Wojewódzkiej Policji w Szczecinie. Wątpliwości pojawiały się, gdyby ktoś chciał się dowiedzieć, z którego wydziału czy biura pochodziła. Ale i tak miałem pewność, że absolutnie nikt nie zwróci uwagi na ten drobny szczegół. Opieczętowany kawałek papieru schowałem do portfela, pieczęć odłożyłem do pudełka, które chwilę później zniknęło z powrotem w szafie Heńki.

Czterdzieści sekund.

Kiedy paznokciem zdejmowałem z parapetu przyklejony do niego kawałek taśmy, którą maskowałem

numer pieczęci, do sekretariatu weszła Henia z napełnionym wodą pojemnikiem do ekspresu. Trzydzieści sekund, które pozostało mi według moich szacunków, zmieniło się w zero sekund. Henia pobiła rekord albo po prostu nie spotkała nikogo po drodze do łazienki ani w samej łazience. Ale zdążyłem. Prawie. Prawie, bo Henia zauważyła chusteczkę, którą ścisnąłem w dłoni. Chusteczkę pobrudzoną czerwonym tuszem.

– Co się panu stało? – zapytała zdziwiona.

Podziękowałem jej w myślach za podpowiedź, przytknąłem chustkę do nosa czystsza stroną i uniosłem głowę wysoko.

– Zdarzają mi się krwotoki, naczynka mi pękają, wie pani? Chyba powinienem jeść więcej mięsa. Drobiazg. – Machnąłem ręką i schowałem chusteczkę do kieszeni dzinsów. – Już w porządku.

– Niech pan wyrzuci do kosza, pobrudzi pan sobie spodnie – zaoponowała Henia.

– A co z zagrożeniem biologicznym? – Głupio, nie głupio; jakoś musiałem zareagować.

– Wie pan, co tu zostawia inspektor Wyrzek? – Wskazała oczami śmietnik koło biurka; Wyrzek był moim następcą. – Ma na coś alergię i ciągle smarka...

– Krew to krew – mruknąłem, ucinając temat, i zatarłem ręce. – To co, kawka, pani Heniu?

Uśmiechnęła się promiennie.

– Jak pan sobie życzy, szefie! Jak pan sobie życzy...

Wypiliśmy kawę i powspominaliśmy stare czasy. Ogarnęło mnie specyficzne uczucie nostalgii pomieszanej z przerażającą pewnością, że tamte czasy, stare, dobre i moje, już nie wrócą. Zostaną tylko w głowie. Zostanie ich ochłap, zostanie w pamięci, która będzie z wiekiem słabnąć, choć podobno im odleglejsze w czasie zdarzenia, tym lepiej starcza pamięć je pamięta. Taki prezent od natury. Dziwny prezent, bo w tym wieku człowiek nie ogarnia już, gdzie jest kuchnia, a pamięta, jaka była pogoda tego dnia, kiedy zamiast na pochód pierwszomajowy poszedł z kolegami chlać tanie wino za winklem szkoły, w krzakach koło bunkra, w których niejeden z jej uczniów stracił dziewictwo. Tak musiał czuć się George Smiley, kiedy odwiedzał „Cyrk”, będąc już na przymusowej emeryturze. Dół, totalny dół. Wyszedłem stamtąd znów z mieszanymi uczuciami: ulgą i smutkiem jednocześnie. Wyszedłem przed komendę, w której murach spędziłem prawie ćwierć wieku i której otoczenie zmieniło się w ciągu ostatnich paru lat tak bardzo, jak moje życie w ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy. Puste i ponure place wokół niej zniknęły, przeobrażając się w budynki, które albo z nich powyrastały, albo w nie wrosły. To już było inne miejsce – ładne, brzydkie, nagradzane, kontrowersyjne, ale już nie moje.

Wróciłem do domu razem ze swoją zdobyczą.

\* \* \*



Miejsce zamieszkania Mileny było jedną z trzech rzeczy, jakie o niej wiedziałem. Pozostałe dwie to to, jak ma na imię i nazwisko. Tego, gdzie mieszka, dowiedziałem się czystym przypadkiem jakieś pół roku temu. Pewnego dnia spieszyła się gdzieś, miała zepsuty samochód i zgodziła się na moją propozycję, że po skończonej sesji podrzucę ją do domu. Zgodziła się z niechęcią, z nieufnością, której nie rozumiałem, ale którą tłumaczyłem sobie jej zawodową ostrożnością. Zgodziła się, bo najwyraźniej nie miała innego wyjścia, choć przecież zawsze mogła zadzwonić po taksówkę. Zawiozłem Milenę na Pogodno, na ulicę Mickiewicza, gdzie wysiadła na odcinku między Abramowskiego a Karłowicza. Czekałem jeszcze chwilę, zanim włączyłem się do ruchu i widziałem, jak w pośpiechu podchodzi do klatki z numerem siedemdziesiąt sześć, wyciąga z torebki klucze, wkłada jeden z nich do zamka drzwi i wchodzi do środka. Miałem więc teraz od czego zacząć.

Zbliżał się wieczór. Zadowolony z efektów dzisiejszej wizyty w komendzie wyjrzałem przez okno kuchni i zobaczyłem, że sąsiad Waldek kręci się przed swoim domem, ładując drewno pod stary sejf, w którym urządził domową wędzarnię. Wyszedłem na zewnątrz i ruszyłem do płotu.

– Dzień dobry, panie Waldku!

Machnął mi ręką.

– Ma pan chwilę? – zapytałem.

– Trochę zajęty jestem, ale chodź pan do mnie. Chodź pan... Tylko psa pan nie bierz, bo kiełbasę zeżre.

Wyszedłem na dróżkę, starannie zamykając za sobą furtkę, i skręciłem w stronę ogrodu Waldka. Promo biegł za mną wzdłuż płotu, słyszałem, jak żywopłot szeleści, kiedy wielkie cielsko przesuwa się po nim w krótkim, ale szaleńczym biegu. Kiedy wchodziłem do Waldka, szczeknął raz, a potem ucichł.

Pewnie pamiętał jeszcze, jak poprzedni właściciel zostawił go w lesie.

Sąsiad Waldek Magdziak był w porządku. Emerytowany pracownik szpitala klinicznego na Pomorzanach w randze konserwatora urządzeń mechanicznych i ślusarza, żyjący obok mnie sam jak palec, bez rodziny i przyjaciół, poza tymi kilkoma bliskim znajomymi, którymi byli jego najbliżsi sąsiedzi, w tym ja. Niski, korpulentny starszy pan z szarymi, dość długimi włosami starannie zaczesanymi mokrym grzebieniem do tyłu i za uszy, z paznokciami wiecznie czarnymi od smarów i krwiałków. I smary, i krwiałki pojawiały się na nich w wyniku ciągłej dłubaniny różnej maści narzędziami przy wędzarni i skuterku azjatyckiej produkcji, którym kiedyś jeździł do pracy, a teraz nie wiadomo gdzie. Waldek parał się również drobnymi naprawami ślusarskimi, i nie tylko; dorabiał sobie nimi do nędznej emerytury i był z tego znany w całym Bartoszewie. Miał do tego smykałkę, a ponadto zmysł

techniczny, który mimo braku wykształcenia sprawiał, że do pewnych rzeczy wydawał się niezastąpiony. Taka lokalna złota rączka.

– Potrzebowałbym pana do pewnej delikatnej operacji – powiedziałem, podchodząc do Waldka. – Jutro rano, co pan na to?

Chciałem to załatwić o takiej godzinie, żeby szansa, że ktoś mi przeszkodzi, była jak najmniejsza. Około wpół do dziewiątej ci, którzy mieli wyjść do pracy, już wyszli; ci, którzy mieli wyjść po zakupy, jeszcze nie wyszli, bo sklepy otwierano o dziesiątej, rok szkolny jeszcze trwał, więc dzieciaki też nie powinny sprawiać problemu. Powinny być w szkole.

– Jakiej operacji, panie Darek? – Waldek, upychający w pozycji hydraulika szczapy drewna pod sejfem, odwrócił głowę w moją stronę i uniósł brwi.

Koszulka podjechała mu na plecach, spodnie zjechały w dół i jego wypięty tyłek przypominał dekolt lekko przechodzonej kurtyzany. To mi oczywiście absolutnie nie przeszkadzało. Jeśli już o tym mowa, była tylko jedna rzecz, która odrobinę denerwowała mnie w tym człowieku. Zwracając się do kogoś, nie odmieniał imienia.

– Pan się zna na zamkach różnych, panie Waldku, nie? – zapytałem, świadomy, że jest to pytanie retoryczne.

– Można tak powiedzieć.

– Otworzyć taki zamek, albo dwa, bez klucza pan potrafi?

– Zależy jaki. – Spojrzał na mnie podejrzliwie.

– Jeszcze nie wiem jaki. Ale muszę chociaż spróbować go otworzyć. Z pana pomocą, mam na myśli.

– Znalazł pan w swojej chacie jakieś tajne drzwi? – zainteresował się.

– Muszę otworzyć jedne drzwi, ale nie u siebie.

– A gdzie?

– Hmm... Chciałem pana prosić o przysługę, panie Waldku. Odwdzięczę się.

– Znaczy, jaką przysługę?

– Chciałem pana prosić o ich otwarcie.

– Otwarcie tych drzwi nie u siebie?

– Zgadza się. To nie są moje drzwi.

– A czyje?

– Znajomej.

– A ona o tym wie?

– Cóż... W tym sęk, że nie wie.

– Panie Darek... – Waldek uniósł ręce i pokręcił głową.

– Naprawdę się odwdzięczę!

– Nie chodzi o to, ile można za to dostać pieniędzy, panie Darek. Chodzi o to, ile można dostać lat.

– To są teraz bezpieczne drzwi, panie Waldku. Niczyje. Mieszkanie już było przeszukiwane przez moich kolegów, ale sądzę, że coś przeoczyli. Ta moja znajoma

zaginęła, wie pan? A ja bardzo chcę ją odnaleźć, bo wiele jej zawdzięczam. Chcę jej po prostu pomóc.

– A więc o kobietę chodzi? – wymruczał to pytanie z jakąś goryczą i dodał tonem znawcy: – Z tego nigdy nie wychodzi nic dobrego. Nigdy...

Z plotek krążących po Ogrodach wiedziałem, że Waldek nie miał za dużo doświadczeń z kobietami, a w zasadzie, poza jednym przypadkiem, nie miał ich w ogóle. Był bardzo nieśmiały, a w młodości sparzył się okrutnie, kiedy wybranka jego serca porzuciła go dla żonatego mężczyzny. Ta zadra tkwiła w nim widać do dziś i to właśnie ona, a nie doświadczenie, którego nie miał, sprawiała, że swój pogląd na tę sprawę wyartykułował w taki, a nie inny sposób. Prawda o kobietach, jedyna, jaką w swym okrucieństwie objawiło mu życie, zabrzmiała teraz w jego ustach wyjątkowo gorzko i ponuro.

– Nie w tym sensie, panie Waldku. – Chrząknąłem. – To porządna dziewczyna, dobry człowiek, ale z jakiegoś powodu przerosły ją okoliczności. Jak mnie nie tak dawno temu. Już pan wie, o co mi idzie?

Pokiwał głową, ale nie był do końca przekonany. Zadry trafiają widać do serca łatwiej niż słowa. A może byłem za mało przekonujący?

– Powiem tak: nie jestem już policjantem, ale mam przyzwolenie moich byłych przełożonych, żeby załatwić tę sprawę delikatnie. De-li-kat-nie, panie Waldku. Dlatego

proszę o pomoc pana, a nie dzwonię do kolegów, żeby to zrobili oficjalnie. Bo już raz zrobili to oficjalnie i nic im to nie dało.

– Nie weszli do środka?

– Nie, no weszli. Ale nic nie znaleźli. A ja sędzę, że coś znajdę. Coś, co oni przeoczyli, bo nie wiedzieli, czego szukać. Rozumie pan?

– Mówisz pan do mnie jak jakiś glina z amerykańskiego filmu...

Widziałem, jak Waldek, dobry, poczciwy facet, walczy ze sobą. Z jego szczerzej, uczciwej twarzy można było czytać jak z książki.

– Mam taki zestawik, jeszcze ze szpitala... – Wątpliwy uśmiech rozjaśnił ją nagle i już wiedziałem, że kupiłem go swoją historią. – ...Głowy panu nie dam, że coś będzie pasować, ale zrobię, co mogę. Mam nadzieję, że to nie jakiś patenciaczek albo inny wynalazek?

– Tego nie wiem, ale też mam taką nadzieję, panie Waldku. Pan nią jesteś, pan jesteś moją ostatnią nadzieją. Jutro tam pojedziemy i sprawdzimy. Jak się nie da, to trudno, ale przynajmniej spróbujemy, co?

\* \* \*

– Które piętro?

Głos Waldka był przejęty, cały Waldek był przejęty, zresztą tak samo ja. Nigdy przedtem nie włamywałem się do czyjogoś mieszkania. To była kolejna niezbyt mądra

rzecz, którą robiłem dla kogoś, nawet nie dla siebie. Konsekwencje mogły być poważne. Gliny z amerykańskich filmów, o których wspominał Waldek, takimi rzeczami raczej się nie przejmują, a przynajmniej na to nie wygląda, ale trzeba być idiotą, żeby się tym nie przejmować. Z drugiej strony, trzeba być również idiotą, żeby takie rzeczy robić...

Staliśmy z Waldkiem przy jednym z wejść do długiego, wieloklatkowego budynku, w którym mieszkała Milena. Samochód zostawiłem na Karłowicza, jakieś sto metrów dalej, tak na wszelki wypadek.

– Nie wiem – odpowiedziałem na pytanie Waldka. – Nie wiem, które to piętro ani który numer, bo nigdy u niej nie byłem. Szukamy drzwi z policyjną plombą.

– Jaką plombą?

Wyciągnąłem opieczętowany godłem państwowym kawałek papieru, który miałem w kieszeni spodni.

– Taką. – Pokazałem mu go.

– To jest plomba?

– Tak, to jest właśnie policyjna plomba. I takie coś będzie na tych drzwiach, których szukamy.

– Skoro jedna już tam jest, to po co...

– Bo tamtą zerwiemy, żebym mógł wejść do środka – tłumaczyłem cierpliwie.

Cenne sekundy mijały, a my wciąż byliśmy na dole.

– A to tak można, panie Darek? – zapytał Waldek.

– Co można?

– Plomby zrywać?

– A włamywać się można? – zażartowałem.

Niepotrzebnie, bo Waldek nagle się zjeżył.

– To co innego. Trochę... Pan mnie prosił, co nie? I mówił pan, że koledzy z komisariatu pozwolili...

– Spokojnie, panie Waldku, można. – Pomachałem mu swoją „plombą” przed nosem. – Widzi pan przecież, nową dostałem z komendy, wszystko jest na legalu.

– To nie mogli dać panu też kluczy? – zapytał bystro Waldek.

Zaczynałem się lekko denerwować.

– Niech pan sobie wyobrazi, że zgubili, sieroty jedne. Niech pan mi tylko otworzy te drzwi, resztę załatwię sam, okej? Idziemy?

Prawda była taka, że nawet bez tej „plomby” zrobiłbym to, co planowałem, choć zostawiłbym niepotrzebny, wzbudzający podejrzenia ślad. Ale miałem ją, choć i tak musiałem wcisnąć Waldkowi kit. Waldka, mimo całej sympatii, jaką go darzyłem, nie mogłem nazwać człowiekiem wybitnie inteligentnym, choć równocześnie nie byłem dumny z faktu, że moja przewaga na tym polu pozwalała mi nim manipulować. Zacząłem przy okazji zastanawiać się, czy ciągle okłamywanie ludzi nie zacznie mi w końcu sprawiać przyjemności.

Nie byłem kłamcą patologicznym, kłamałem kiedyś dość często, teraz trochę też, ale nie zaspokajałem tym



zadnej chorej potrzeby. To nawet nie były kłamstwa, raczej kłamstewka. Po prostu, jak zresztą większość ludzi, robiłem to dla zrealizowania konkretnego celu: uzyskania drobnej korzyści bądź zamaskowania występku. Obojętność wobec własnych kłamstw i przechodzenie nad nimi do porządku też byłoby jakąś patologią, ja na szczęście czułem z ich powodu lekkie wyrzuty sumienia. Towarzyszyły każdemu z nich, a ja dzięki tym wyrzutom miałem się znacznie lepiej.

Wygodne, nieprawdaż?

Wdrapywaliśmy się na górę, oglądając drzwi na każdym piętrze. Słyszałem, jak idący za mną Waldek nerwowo pobrzękuje swoją saszetką i ciężko oddycha przez nos. Drzwi do mieszkania Mileny znaleźliśmy na trzecim piętrze. I od razu niespodzianka: zamki były rozwiercone. Ziały wielkimi otworami o krawędziach mieniących się świeżym metalem i cieszyły moje oczy swoim widokiem. Cieszyły chyba nie tylko mnie. Ulga, z jaką Waldek wypuścił z płuc powietrze, była niemal namacalna. Obejrzałem się i powiedziałem cicho:

– Mówiłem, że klucze zgubili. Ale myślałem, że zamki chociaż nowe wstawią. Zeszło już z pana ciśnienie?

– Jeszcze jak, panie Darek, jeszcze jak... – Wyszczrzył się do mnie, a potem podniósł przybornik. – I tak zawsze było ryzyko, że nie dałbym im rady tym, co mam w środku. Ciekawe, co byś pan wtedy zrobił?

Wskazałem swój but i wyszczrzyłem zęby.

– Użyłbym chyba klucza uniwersalnego.

Odwróciłem się i paznokciem podważyłem róg plomby. Waldek pociągnął nosem, z powątpiewaniem patrząc, jak zdzieram ją delikatnie, zaczynając od drzwi.

– Niech pan leci. – Obejrzałem się. – Góra za godzinę zejdę do pana i pojedziemy do domu. Może być?

– Musi. – Westchnął smętnie i powlókł się na dół.

Miał tam na mnie czekać i ewentualnie dać znać, gdyby coś było nie tak. Obaj nie wiedzieliśmy, co by to mogło być, ale miał zachować czujność.

Po chwili plomba wisiała już tylko na futrynie. Nacisnąłem klamkę, pozbawione zamków drzwi ustąpiły i znalazłem się w środku.

Mieszkanie Mileny miało dwa pokoje z kuchnią i małą łazienką, niski strop, okna szersze niż wyższe i wyglądało najzwyczajniej w świecie. Sam nie wiem, czego się spodziewałem, ale zdawałem sobie sprawę z jednego: miałem przed sobą sporo roboty. Postanowiłem zabrać się do niej starannie i metodycznie. Żadnego bałaganu, ale też żadnego opuszczania oczywistych miejsc. Zresztą i tak nie miałem pojęcia, czego szukam.

Tak naprawdę szukałem czegokolwiek.

Kwadrans później wiedziałem już, co miał na myśli Jacek, mówiąc, że w mieszkaniu Mileny niczego nie znaleziono. Nie znaleziono niczego, bo niczego w nim nie było. Było, jak to się mówi w żargonie, czyste. Czyściuteńkie. Żadnych papierów, rachunków, faktur,

wyników badań, zaświadczeń, nic. Niby normalne, przeciętne mieszkanie z kwiatami, naczyniami w szafkach i tablicą magnesową nad blatem kuchennym. Pustą tablicą. Poza tym żadnego życia, które w normalnych domach tętni w szufladach i na regałach, świadcząc o tym, że jego mieszkańcy są normalnymi ludźmi; opłacają czynsz, rachunki za prąd, wodę i gaz, robią sobie badania krwi, dostają zawiadomienia z OFE i informacje o debecie z banku. To mieszkanie było pozornym mieszkaniem, wyglądało jak scenografia Klanu albo M jak miłość. W szafach, z wyjątkiem jednej puchowej kurtki, nie było nawet ubrań.

Stałem na środku saloniku z opuszczonymi rękoma, patrzyłem na ściany, szafki i półki, na których nie było żadnych osobistych zdjęć, i zastanawiałem się, o co tu, kurwa, chodzi. Ale nie poddałem się. Ruszyłem do łazienki i zacząłem przetrząsać szafki. Wszystkie. W przeciwieństwie do reszty mieszkania w łazience zostało trochę rzeczy. Dzięki nim dowiedziałem się, że Milena ma wrażliwą skórę, łamliwe włosy z rozdzwajającymi się końcówkami, nogi depiluje, a nie goli, najprawdopodobniej bardzo rzadko uprawia seks, a jeśli już, to z przyjacielem na baterie, i lubi dodawać do kąpieli tabletki barwiące wodę na wesołe kolory. Znam gorsze zboczenia niż przyjaciel na baterie i kąpiel w fioletowej wodzie.

To było dziwne uczucie grzebać w czyimś życiu, naprawdę głęboko zanurzać się w jego intymność. Czułem niestosowność tego, co robię, ale wiedziałem, że robię to w dobrym celu, choć wbrew swojemu imperatywowi kategorycznemu. W końcu kogoś, kto robiłby coś takiego w mojej łazience, potraktowałbym bardzo boleśnie. No, ale nie byłem też pierwszy, lateksowa rękawiczka technika kryminalistycznego leżąca w szafce pod umywalką świadczyła o tym dobitnie.

Rozejrzałem się jeszcze raz po maleńkiej łazience. Nie miałem już za wiele do roboty. Obok pralki zobaczyłem kosz na brudną bieliznę, więc schyliłem się i zajrzałem do niego w odruchu desperacji. Niewiele w nim było, ale wybebeszyłem go aż do dna, wysypując wszystko na podłogę. Brak w mieszkaniu jakichkolwiek ciuchów poza tymi leżącymi przede mną wciąż mnie zastanawiał. Przebrałem je pobieżnie: bluzka, stanik ze sporymi miseczkami i zielone spodnie, w których widywałem Milenę przeważnie jesienią i wiosną. Nieznacznie czuć je było stęchlizną, co oznaczało, że musiały leżeć tu w lekkiej wilgoci już od dłuższego czasu. Widać nie pasowały do żadnego prania ze względu na kolor albo rodzaj materiału i Milena czekała, aż ubrań tego rodzaju zbierze się więcej.

Kiedyś nie wiedziałem, że tak się robi, ale życie samotnika uczy takich rzeczy dość szybko, i to przeważnie na błędach: raz straciłem kilka koszul, które

wyprałem z granatowym swetrem. A teraz dziękowałem losowi i swojemu szczęściu o szerokim uśmiechu ze słodkimi dołeczkami w kącikach ust, że Milena w kwestii prania trzymała się zasad.

W tylnej kieszeni zielonych spodni tkwił jakiś paperek. Wyciągnąłem go i rozprostowałem w palcach. To był rachunek przedarty na dwie części wzdłuż zgięcia, które osłabiło papier tak, że przedarcie było idealnie równe. Trzymałem w ręku górną połowę. Wystawiono go dwudziestego pierwszego maja tego roku o godzinie jedenastej osiemnaście i trzynaście sekund w Ahlbeck OstseeTherme. Szybko wyciągnąłem telefon i sprawdziłem, gdzie to jest. Okazało się, że to kompleks wodny w miejscowości Ahlbeck, położonej nad Bałtykiem na niemieckiej części wyspy Uznam, niedaleko Świnoujścia.

Schowałem telefon i gapiłem się w zamyśleniu w małe okienko z szybą z mlecznego szkła. Stałem tak w cudzej łazience nad rozsypanymi na podłodze ciuchami i medytowałem nad podłużnym świstkiem światłoczułego papieru zadrukowanym literkami i cyferkami. Rachunek za pobyt na basenie, dla dwóch osób. Miały szafki obok siebie, numer sto dwadzieścia jeden i sto dwadzieścia dwa. Przedarty rachunek odruchowo włożony do tylnej kieszeni spodni.

Mój jedyny ślad.

Schowałem go do kieszeni, pozbierałem ubrania i bieliznę, wrzuciłem z powrotem do kosza i wyszedłem na klatkę schodową. Darowałem sobie rozglądanie się, to zawsze wygląda podejrzanie. Wystarczyło, że na schodach panowała cisza. Z oficjalną miną zatrzasnąłem drzwi, całkowicie zerwałem z nich starą plombę i nakleiłem swoją. Nawiasem mówiąc, prawie się nie różniły. I bardzo dobrze.

Gdy zbiegłem na dół, zobaczyłem, że Waldek czeka przed wejściem i pali, nieco nerwowo się zaciągając. Kiedy mnie zobaczył, pokręcił głową i fachowo pstryknął serdecznym palcem końcówkę świeżo zapalonego papierosa. Żar oderwał się od niego i rozpadł na kilka części, które niczym lotki kartacza poszybowały łukiem na trawnik, ciągnąc za sobą delikatne smużki dymu. Waldek skwapliwie schował resztę do pudełka.

– Panie Waldku, przecież niedopałki śmierdzą jak cholera. Tego w ogóle nie da się palić! – powiedziałem.

Wciąż nie paliłem, choć parę razy mało do nałogu nie wróciłem. Ale pamiętałem sporo. Smak niedopałków też.

– Da się, da się – odparł Waldek ponuro i z przekonaniem, chowając paczkę do kieszeni na piersi takim samym ruchem, jakim robił to kiedyś mój dziadek. – Zwłaszcza gdy już się wszystkie inne fajki przedtem spaliło, co nie, panie Darek?

Nie odpowiedziałem. Nie musiałem. Waldek miał absolutną rację.

\* \* \*

Do Ahlbeck pojechałem jeszcze tego samego dnia. Gdy wyruszałem, ledwo minęło południe, wciąż miałem więc sporo czasu, by dotrzeć tam o rozsądnej porze.

Wybrałem trasę przez Niemcy z kilku względów. Z Bartoszewa odległość była mniej więcej taka sama jak przez Świnoujście, a startowałem spod domu, bo musiałem odwiedzić przejętego Waldka, wydrukować zdjęcie Mileny znalezione w Internecie i zabrać rzeczy na basen. Jadąc przez Eggesin, Ueckermünde, Anklam i Usedom, poruszałem się przeważnie lokalnymi drogami, czyli wolniej niż na naszej krajowej „trójce”, ale w ten sposób unikałem po pierwsze przeciskania się przez całe miasto, żeby dostać się w ogóle na autostradę, po drugie korków, które latem były zmorą tej drogi, a po trzecie stania w długiej kolejce na przeprawie promowej w Karsiborzu. Świnoujście wciąż nie doczekało się ani mostu, ani obiecanego tunelu pod Świną, a nie miałem winietki uprawniającej mnie do skorzystania z przeprawy miejskiej. Trasa alternatywna nad morze wytyczona przez wioski była jeszcze gorszym rozwiązaniem, a i tak zaczynała się dopiero w okolicach Wolina. Jeden pies. Koniec końców tu dwie godziny, a tam dwie do trzech. Rachunek był prosty, a trasa przez Niemcy wygodna i malownicza.

Wypuściłem Promo do ogrodu i sprawdziłem, czy klapka z boku ogrodzenia, którą pies wymykał się do lasu załatwiać swoje sprawy, jest odblokowana. Była. Nalałem wody do kamiennej miski, rzuciłem mu na pociechę świńskie wędzone ucho i odprowadzany jego tęsknym spojrzeniem ruszyłem w drogę szukać śladów Mileny.

Było sucho i gorąco. Powoli nadchodziło lato.

\* \* \*

O wpół do trzeciej znalazłem się na miejscu. Pogoda wciąż była piękna, rozgrzane powietrze przesycone zapachem sosen stało w miejscu, więc ukrytego za wąskim pasmem lasu morza nie było czuć. Ani widać. Zostawiłem samochód na wielopoziomowym parkingu w zbawiennym cieniu stropu kolejnej kondygnacji, wziąłem z bagażnika torbę z ręcznikiem, klapkami i kąpielówkami i wszedłem do środka.

Ośmiokątny hol kasowy przypominał nieco wnętrze palladiańskiej willi, tylko kosz plażowy, bramki ze stali i szkła oraz monitory kas psuły nieco atmosferę ducha renesansu. Kupiłem bilet i dostałem bransoletkę z czipem do szafki oraz taki sam papierek jak ten, którego połowę znalazłem w mieszkaniu Mileny. W szatni przebrałem się, pobłądziłem przez chwilę po labiryncie, którym była, aż wreszcie odnalazłem właściwą drogę i przeszedłem do części rekreacyjnej. Nie dotarłem tam. Co prawda miałem ochotę wylogować się i pomoczyć, ale nie miałem ochoty



na towarzystwo rozbrykanych dzieciaków, wdrapujących się na sterczącą z błękitnej wody sztuczną skałę, którą nie wiedzieć czemu pomalowano na żółto-pomarańczowy kolor. Inne taplały się z wrzaskiem wokół niej. Mijając przeszklone drzwi, zauważyłem napisy po polsku i niemiecku: „basen zewnętrzny”. To było coś dla mnie. Był prawie pusty, miał lekko słoną wodę, a słońce bez przeszkód padało na jej powierzchnię i na moją twarz, którą wystawiłem ku jego promieniom. Zamknąłem oczy i siedziałem tak kilkanaście minut, nie myśląc o niczym. Naprawdę o niczym. Nawet o Milenie.

A potem wpłynąłem z powrotem do budynku, wziąłem prysznic i przebrałem się. Przy kasie oddałem bransoletkę z czipem i zapytałem dziewczyny siedzącej za kontuarem:

– Przepraszam, chciałbym widzieć się z osobą odpowiadającą w tym ośrodku za bezpieczeństwo.

– Czy coś się stało? – zapytała lekko zaniepokojonym tonem.

– Absolutnie nic. – Wyszczерzyłem się do niej. – Proszę się nie martwić. To sprawa prywatna.

– Dobrze. – Spojrzała na mnie podejrzliwie i pokazała jedno z białych, zwykłych, prostych drzwi.

Rzuciłem na nie okiem, a potem spojrzałem do góry na świetlik. Duch Andrei Palladia objawiał się wyłącznie w ogólnym odbiorze przestrzeni. Detal, włączając wystrój

wnętrza, potraktowano po macoszemu i bardzo oszczędnie.

– Proszę tam podejść – powiedziała dziewczyna. – Zaraz dam znać, pan Witte pana wpuści...

Niemcy są bardzo uczynni i dyskutują znacznie mniej i rzadziej niż Polacy. Nasza nacja ma typowo słowiańską zadrzotność, objawiającą się w podobnej sytuacji dziesiątkami pytań, podejrzliwością graniczącą z paranoją, a czasem wręcz ledwo skrywaną agresją. Niemcy są inni. Zapewne po prostu mniej szczerzy, ale to nie ma znaczenia. Ważne, że dziewczyna współpracowała.

Podniosła słuchawkę, zadzwoniła do kogoś, wciskając dwa klawisze, i rzuciła do telefonu kilka cichych słów, z których usłyszałem tylko pierwsze: Marcus. Nie czekałem, tylko ruszyłem w kierunku drzwi, które mi przed chwilą wskazała.

W ciągu ostatniego roku moja metoda zdobywania informacji sprawdzała się wiele razy. Nie zastanawiałem się, czy jest sens w napastowaniu ludzi i wypytywaniu ich o różne rzeczy, po prostu to robiłem. I ten system działał zaskakująco często. Dobrze jest nie wiedzieć, że czegoś nie da się zrobić, bo wtedy można to zrobić bez żadnych przeszkód. Miałem nadzieję, że teraz będzie tak samo, choć oczywiście zakładałem również, że może mi się nie powieść.

Drzwi otworzył mi zwalisty mężczyzna mniej więcej w moim wieku, z krótkimi włosami w kolorze pieprz i sól

zebrany z przodu w coś w rodzaju leżącego na czole szpica. W uchu tkwiło czarne kółko, wsadzone w otwór w jego płatku, jakby tylko czekało, aż ktoś przewlecze przez nie sznurówkę. Pod dolną wargą miał miniaturową bródkę w takim samym kolorze jak włosy na głowie. Na takie coś moja babcia mówiła „plujka”, być może dlatego, że kojarzyła się jej ze śliną spływającą po brodzie. Nigdy jej o to nie zapytałem, a potem, jak niestety wszystkie babcie, w końcu umarła. Stojący przede mną facet wyglądał, jakby na przekór bezlitosnemu upływowi czasu stylizował się na nastolatka. Nie wiem dlaczego, ale u starszych Niemców nigdy mi to nie przeszkadzało. W przeciwieństwie do wielu naszych rodaków w tym wieku, którzy z rozkoszną nieświadomością robili z siebie pajaców, oni wyglądali raczej naturalnie. Może dlatego, że przeciętny pięćdziesięcioletni Niemiec był po prostu bardziej zadbany niż Polak? A może dlatego, że przeciętnego Niemca w naszym wieku było na to po prostu stać?

Marcus Witte był ubrany w granatową koszulkę z logo OstseeTherme, jak wszyscy z obsługi. Patrząc na mnie badawczo, wpuścił mnie do środka małego, chłodnego pomieszczenia bez okna, w którym cicho buczał nieduży serwer. Pięć sporych rozmiarów monitorów wisiało na ścianie, na każdym z nich widać było kilka fragmentów kompleksu. Prawdziwy raj dla podglądacza. Witt zamknął za nami drzwi, szczerknął elektrozamek, a ja

zadrzałem z zimna. Temperatura w porównaniu z tą na basenie była dobre kilkanaście stopni niższa.

– Słucham pana – zagaił.

Miał zaskakująco wysoki głos jak na gościa o takiej posturze.

– Nazywam się Dariusz Suder i mam do pana małą prośbę.

– Świetnie pan mówi po niemiecku. – Witte odwrócił się i usiadł za swoim oplecionym kablami biureczkiem na obrotowym fotelu z wysokim, wyprofilowanym oparciem.

– Dziękuję. – Wciąż stałem, bo nie zaproponował mi, żebym usiadł, zresztą i tak nie było gdzie. – Jak wspomniałem, mam prośbę. Bardzo nietypową, ale liczę na wyrozumiałość. Wyrozumiałość i zrozumienie.

– Taak?

– Tak. Nie wiem, czy to ma dla pana znaczenie, ale zdradzę panu, że jestem byłym policjantem.

– Naprawdę? Coś takiego, bo tak się składa, że ja też. Ale to chyba nie ma żadnego znaczenia. Nie dla mnie i nie tutaj.

– Poważnie, był pan gliną?

– Poważnie. – Jego głos, a przede wszystkim oczy wskazywały, że mówi prawdę.

To dobrze, że trafiłem na byłego gliniarza. Swój swojego zrozumie.

– Cieszę się – powiedziałem.

– Dlaczego?

– Dlaczego się cieszę?

– Tak. Dlaczego pan się cieszy? Z jakiego powodu?

– Bo myślę, że dwóch byłych policjantów dogada się lepiej niż jeden byłych policjant z niepolicjantem.

– Wspomniałem chyba przed chwilą, że to nie ma żadnego znaczenia? A o czym chce gadać z byłym policjantem drugi byłych policjant?

– Szukam kogoś.

– Tutaj?

– Tak, tutaj – odparłem, wyciągając z kieszeni bojówek zdjęcie Mileny i kładąc je na biurku, niemal pod samym nosem Wittego. – Szukam pewnej osoby. Ta osoba, kobieta, była u was w maju; była z kimś, najprawdopodobniej z jakimś mężczyzną.

– No i? – Witte na chwilę spuścił wzrok, spoglądając na wydruk, a potem znów zaczął mi się intensywnie przypatrywać.

– No i mam nadzieję, że dysponuje pan nagraniami z monitoringu, na których ta kobieta będzie widoczna. Razem z tym mężczyzną. – Uśmiechnąłem się. – Znam dokładną datę, a nawet godzinę ich pobytu.

– Rozumiem. – Witte pokiwał głową, a potem zmarszczył nos. – Nie, nie rozumiem. Nie całkiem...

– Czego pan nie rozumie?

– Nie rozumiem, dlaczego sądzi pan, że może tu przyjść i zażądać nagrań z monitoringu...

– Ja ich nie żądam, *Herr Witte*. Ja pana o nie proszę.

– W porządku: poprosić o nagrania. Przecież pan doskonale zdaje sobie sprawę, że ja nie mam prawa panu ich udostępnić.

– Oczywiście, że zdaję sobie z tego sprawę. W końcu jestem byłym policjantem – przypominałem, jakbym z uporem maniaka chciał mu to wdrukować w umysł, zahipnotyzować go i zmusić do wykonania moich poleceń.

Przepraszam: próśb.

Górna połowa jego ciała była nieruchoma, dolna kręciła się w obrotowym fotelu w lewo i w prawo, jakby w odcinku lędźwiowym kręgosłupa miał przegub kulowy i żyroskop.

– Skoro jest pan byłym policjantem, *Herr Suder*, a nie, nazwijmy to: aktualnym policjantem, to w jakim charakterze pan się tutaj w ogóle znajduje? Oczywiście jako „aktualny” policjant też nie mógłby pan za wiele działać, ale chciałbym, żeby mi pan odpowiedział na to pytanie.

– Oczywiście. Można powiedzieć, że jestem prywatnym detektywem.

Miałem nadzieję, że to nie do końca prawdziwe wyznanie pomoże mi go sobie zjednać. Dwaj byli gliniarze, którzy muszą sobie radzić w życiu: jeden jest prywatnym łapsem, drugi cieciem na basenie. Historia z potencjałem... No, i takie rzeczy zbliżają, bez wątplenia.

– To poproszę potwierdzający to dokument – rzucił niespodziewanie Witte. – Od razu zaznaczam, że nie

obowiązuje na terytorium Niemiec, ale mimo wszystko, skoro już pan mi przyznał się, że jest prywatnym detektywem, to z chęcią go zobaczę. Będzie nam się dalej lepiej rozmawiać.

To nie jest miłe uczucie, kiedy człowiek dowiadyuje się, że solidarność zawodowa byłych policjantów to pusty frazes.

– Tak się składa, że nie mam przy sobie żadnego dokumentu. To znaczy... Jestem po egzaminie, ale jeszcze nie dostałem licencji – bredziłem. – Mam tylko taką tymczasową.

– Może być. Dokument to dokument.

Z kieszeni spodni wyjąłem portfel i wyciągnąłem z niego sto euro. Pochyliłem się i położyłem banknot na blacie biurka, patrząc Wittemu w twarz. Wpatrywał się w niego nieruchomym wzrokiem, a potem oblizał usta koniuszkiem języka. W pomieszczeniu zrobiło się nagle bardzo gorąco i duszno.

Witte popatrzył na mnie, a w jego szarych oczach, do tej pory obojętnych, dostrzegłem lekką odrazę. Poza tym nic nie mówił. Nie musiał.

– Dobra. – Westchnąłem. – Widzę, że źle zacząłem...

– Zaczął pan dobrze – odpowiedział z przekonaniem, biorąc z biurka zdjęcie Mileny i podając mi je. – Tylko skończył źle. Verpiss dich. Spierdalaj, zanim zawołam prawdziwe gliny. – Wskazał drzwi. Proste, białe drzwi, którymi tu przed chwilą wszedłem.

Powoli schowałem swoją tymczasową licencję do portfela, wziąłem od Wittego zdjęcie i wyprostowałem się. Popełniłem gruby błąd. Po prostu źle faceta oceniłem.

– Niech pan zrozumie – zacząłem zebrać, choć tego nie znosiłem, ale czułem, że szansa wymyka mi się z rąk – nie mam wyboru, muszę się czegoś o niej dowiedzieć. Muszę!

– Nie interesuje mnie to. – Witte pokręcił głową, zamykając oczy.

– Dobra, zacznę jeszcze raz. Nie jestem prywatnym detektywem. Za to naprawdę jestem byłym policjantem. – Witte wciąż miał zamknięte oczy, ale nie przerwał mi, co uznałem za dobry omen. – Odpowiadałem za kontakty z policją niemiecką, byłem szefem komórki współpracy międzynarodowej policji. Jestem na rencie inwalidzkiej. Zostałem ranny podczas wykonywania czynności służbowych, tak się złożyło, że przy tym zginęła cała moja rodzina: żona i nastoletnia córka. Ktoś, kto za to odpowiadał, też był policjantem. A ta dziewczyna, której szukam, uratowała mi życie. Kiedy już wyzdrowiałem, mam na myśli wyjście ze szpitala, pomogła mi pozbierać się do kupy, za co będę jej wdzięczny do końca swojego popapranego życia. Jest policyjnym psychologiem, a ja żyję dzięki niej, nie przesadzam, panie Witte. A teraz ona ma kłopoty i wygląda na to, że jak na razie jestem jedyną osobą, która może jej pomóc. Która w ogóle chce jej pomóc...



– Jakiego rodzaju kłopoty? – Witte otworzył oczy.

– Powiedzmy, że natury kryminalnej. – Jego spojrzenie wyostrzyło się, więc dodałem szybko: – Spokojnie, jest w to tylko lekko zaplątana i to przez czysty przypadek, ale spanikowała. Po prostu spanikowała. Wiem, jak to jest być w jej sytuacji...

– Skąd pan to wie?

– Długo by opowiadać. – Uśmiechnąłem się lekko do siebie, i to raczej smutnym uśmiechem. – To naprawdę dobra dziewczyna. Jeśli pan chce, proszę zadzwonić do *Woiwodschaftskommandantur der Polizei in Stettin*, mojej dawnej pracy, potwierdzić moją tożsamość. I intencje. Oczywiście wolałbym, żeby nie wspominał pan jednak ani o tym, po co tu jestem, ani o tej dziewczynie. W ostateczności może pan to powiedzieć zastępcy komendanta wojewódzkiego. Nazywa się Jacek Mołczun. – Wyciągnąłem z kieszeni telefon. – Nikomu innemu.

– Zna niemiecki? – Witte wyprostował się i wyglądało na to, że na serio będzie chciał mnie sprawdzić.

– Nie zna. Ale ma pan tu kilkoro Polaków. Niech pan poprosi któregoś z nich o tłumaczenie. Możemy też zrobić to inaczej. Mam trochę znajomych w Landeskriminalamt. W Brandenburgii i tu, w Mecklemburg-Vorpommern. Proszę znaleźć numer w Internecie, zadzwonić do wydziału współpracy międzynarodowej; albo tu, albo tam i zapytać o mnie. – Znów się pochyliłem nad jego biurkiem, zadowolony z siebie.

Witte ponownie spojrział na mnie z namysłem. Przestał kręcić tyłkiem, złożył ręce na blacie, splatając palce. Łokcie rozjechały się na boki, kiedy pochylił się ku mnie, uniósł głowę i powiedział:

– Nie będę nigdzie dzwonił. Powiedzmy, że mnie pan przekonał. Trochę. Dobrze panu z oczu patrzy, o ile się na tym znam. Problem w tym, że nie mamy już nagrań z monitoringu z maja. Nie ma potrzeby trzymać ich tak długo. *Tut mir leid*. – Rozłożył ręce z przepaszającym uśmiechem na ustach.

– *Scheisse...* A ja tyle się nagadałem, co? – powiedziałem, kręcąc z niedowierzaniem głową.

Trop właśnie mi się urwał, zupełnie jak ten rachunek, który mnie tu przywiódł.

Witte uśmiechnął się lekko kącikami ust i uniósł jedną brew.

– Gdyby mi pan tego wszystkiego nie powiedział, ja również nie powiedziałbym niczego panu. Tylko kazał spieprzać. Od razu.

– Kazał mi pan – przypominałem mu.

– Bo to, co pan zrobił z tą „licencją”, było brzydkie. – Skrzywił się. – Wie pan, za co wyleciałem z policji?

– Skąd mogę wiedzieć, panie Witte? Skąd w ogóle mogę wiedzieć, że pan wyleciał?

– To teraz to panu mówię. Wyleciałem. Za łapówkę, której nie wziąłem. Dobre, co?

– Znam takie przypadki ze swojego podwórka. Funkcjonariusz polskiej policji oskarżony o wzięcie łapówki nie ma lekko. Ma przesrane, nawet jeśli jest czysty jak łąza. A często cholernie trudno to udowodnić. Zarówno winę, jak i niewinność. Zwłaszcza gdy takie zarzuty padają ze strony nieco skonfliktowanego z nim bandyty. A prokurator bierze je na poważnie. Bo musi, przynajmniej teoretycznie...

– O właśnie! No, to wie pan doskonale, o czym mówię. Dlatego wylądowałem tutaj, w OstseeTherme, i dlatego też takie „tymczasowe licencje” budzą we mnie negatywne reakcje związane z niezbyt dobrymi wspomnieniami. Ciśnienie mi rośnie, kiedy wracają, rozumie pan? – Pokazał na swoją szyję.

– Owszem, rozumiem.

Rozejrzałem się po pokoiku wypełnionym monitorami.

– Przyjęli do takiej pracy byłego gliniarza z zarzutami łapówkarstwa?

– Okazało się, że jestem niewinny. – Witte się uśmiechnął. – Po moim... odejściu z policji. Ale nie było do czego wracać, i tak miałem już lekko zszarganą opinię. Oraz starą matkę, tu, niedaleko, w Heringsdorfie. – Odchylił się na oparcie i założył ręce za głowę. – Kwestia podjęcia pewnych ważnych decyzji. I tyle...

Coś o tym wiedziałem. Witte wyglądał teraz na zrelaksowanego. I pogodzonego z losem.

– Cóż... – Westchnąłem, szykując się do wyjścia. – Nie będę zabierał panu więcej czasu.

– Nie narzekam na pracę – dokończył. – Wróciłem do miejsca, gdzie się wychowałem, lubię Bałtyk, mam gdzie mieszkać, dzieciaka gdzie zabrać... A propos. Niech pan pójdzie na basen. – Pokazał na szybę, za którą widać było tę nieszczęsną żółto-pomarańczową skałę.

– Dzięki, już byłem.

– Wiem, ale tylko na zewnętrznym.

– Bystrzak z pana. Tak mnie pan zapamiętał?

– Owszem. – Uśmiechnął się lekko. – Chodząc po termach, rozglądał się pan w specyficzny sposób.

– Chce pan powiedzieć, że miałem spojrzenie gliniarza? – Roześmiałem się.

– No, powiedzmy.

– Byłem tylko policyjnym urzędnikiem.

– Nie wiem, kim pan był. Wiem, że gapił się pan na wszystko z takim specyficznym namysłem widocznym na twarzy. Nie potrafię nawet tego nazwać. Ani tego, jak pan patrzył, ani tego, jak to odbierałem.

– W porządku. Chyba rozumiem, o co panu chodzi.

– No. To teraz niech pan pójdzie na basen jeszcze raz... – zaproponował – ...ale na ten w środku i popyta ludzi z obsługi. Ja z całą pewnością nie pamiętam tej dziewczyny, to było kilka miesięcy temu, zresztą nawet mogło mnie wtedy nie być na miejscu. I nie zamierzam sprawdzać, czy byłem tego dnia w pracy, czy nie, bo to nie

ma kompletnie żadnego znaczenia dla sprawy. Ale oni? Może któreś z nich ją zapamiętało? – Wskazał na zdjęcie, które wciąż ściskałem w dłoni. – W każdym razie nie zaszkodzi spróbować. W końcu jest pan prawie prywatnym detektywem, tak?

To prawda, nie zaszkodzi spróbować, chociaż szansa, że się czegoś dowiem, była mniej więcej taka sama jak to, że Witte odnajdzie nagle pliki z filmami z maja. Pliki, których nie było. Ale nie dyskutowałem. Życie oduczyło mnie polemizować z dobrymi radami. Z niedobrymi, ale danymi w dobrej wierze, również.

Wyszliśmy razem z ciasnego pomieszczenia, potem Witte przeprowadził mnie przez stanowisko kasowe, machając obsłudze, żeby nas przepuściła przez automatycznie blokowane bramki. W szatni znowu się rozebrałem, z lekką niechęcią wciągnąłem na siebie wilgotne i zimne kąpielówki. Włożyłem klapki i przeszedłem do strefy basenowej.

W głównym basenie, tym z żółto-pomarańczową skałą, wciąż pluskały się dzieciaki. Zjeżdżały ze skały wyprofilowanymi w niej korytami, z pluskiem i z wrzaskiem wpadając do wody mieniącej się błękitem w promieniach słońca sięgających dna poprzez ogromny, oktagonalny świetlik. Na leżakach odpoczywali dorośli, porozrzucani wokół niecki basenu niczym fok i morsy zażywające relaksu na skalistym morskim brzegu. Przy brodziku dla maluchów, pilnowanym przez kilka

sztucznych zwierząt, wypatrzyłem pracownika obsługi. Tylko on był ubrany. Stał oparty o jaszczurkę z żywicy epoksydowej plującą strumieniem wody i patrzył na kolejne sztuczne skały, z których spływały kaskady wody, znacząc je brązowymi śladami żelaza. Te miały już naturalny kolor kamienia, tylko brunatne smugi wyglądały niezbyt apetycznie, choć baraszkującym wokół przycupniętego u ich podnóża hipopotama malcom absolutnie to nie przeszkadzało. Nie miały takich skojarzeń jak ja. Dzieciom to dobrze.

Podszedłem do szczupłego chłopaka w granatowej koszulce z logo ze stylizowaną muszlą.

– Dzień dobry – zagadnąłem do niego po niemiecku. – Możemy chwilę pogadać?

Oderwał wzrok od smug i spojrzał na mnie.

– Jasne – odparł, a ja wiedziałem już, że jest Polakiem.

Wiedziałbym to wcześniej, gdybym spojrzał na tę jego koszulkę bystrzejszym wzrokiem. Na piersi, nad logo OstseeTherme był napis, stało na nim jak byk: K. Konkolewski. Niemal zapłakałem nad własnym gapiostwem. I ja miałem znaleźć Milenę...

– Od czego to „K.”? – zapytałem już po polsku.

– Od „Krzysztof” – odparł nieco zdziwiony i raczej odruchowo.

– Dobra, Krzysztof, ja nazywam się Darek Suder i chciałbym ci pokazać zdjęcie pewnej kobiety. Mojej

znajomej.

– O...kej. – Był coraz bardziej zaskoczony. – A po co?

– Może ją przypadkiem pamiętasz? Podobno tu była...

– Czy to legalne? – zapytał podejrzliwie. – Nie chcę mieć potem kłopotów w pracy.

– Jestem po rozmowie z Wittem. Nie miał mi wiele do powiedzenia, ale kazał popytać was.

– Chyba że tak. – Wyraźnie się uspokoił.

– Jeśli faktycznie odwiedziła te termy, to w maju, dwudziestego pierwszego, w sobotę. Była najprawdopodobniej z jakimś mężczyzną, choć nie mam pojęcia, jak on wyglądał. Kojarzysz?

Podsunałem mu pod nos zdjęcie Mileny. Chłopak potarł nos i zmarszczył brwi.

– Cholera, pamiętam ją – powiedział z zaskoczeniem, wyjmując mi zdjęcie z ręki.

Spojrzałem w kierunku ściany, za którą była kanciapa Marcusa Witte. Sam nie mogłem w to uwierzyć. Prorok jaki czy co? Międzynarodowy dzień pieprzonego fartu?

– Pamiętasz? – zapytałem. – Na pewno? Jeśli ci się tylko wydaje, to powiedz, przecież...

– Na pewno. Nie żebym był jakimś szpiclem czy coś, ale ją akurat zapamiętałem. – Popukał palcem w papier, zerknął na mnie i dodał: – Jego też.

– Dlaczego akurat ją? – Zostawiłem na razie tego „jego”.

– Bo tak śmiesznie ruszała głową, kiedy odgarniała z czoła grzywkę. Nie robiła tego ręką, tylko potrząsała głową. Wydało mi się to trochę zabawne. Ja bym dawno założył na te włosy jakąś spinkę albo coś takiego... Lakierem do włosów prysnął, nie wiem, cokolwiek...

To musiała być Milena. Ten ruch grzywką był jak tik, jak odruch. Jak znak szczególny. I rozpoznawczy.

– Właściwie to zapamiętałem nie ją, tylko tę blond grzywkę. Od razu ją sobie przypomniałem, gdy tylko zobaczyłem zdjęcie. – Oddał mi wydruk. – Potem widziałem ją w Świnoujściu, późnym popołudniem. Tam mieszkam – wyjaśnił. – W pizzerii. W „Venezii”, na Słowackiego. Znaczący, tam ją widziałem, a nie tam mieszkam, oczywiście.

– Była sama czy też z tym gościem?

Popatrzył na mnie z uśmiechem.

– Siedziała w towarzystwie tego mężczyzny, z którym była u nas w termach.

– Jak on wyglądał?

Modliłem się o cud. Modliłem się, żeby chłopak zapamiętał faceta równie dokładnie jak Milenę i potrafił mi go opisać w taki sposób, żebym zdołał go znaleźć. Nie liczyłem, że jakimś cudem widział jego dowód osobisty i zapamiętał dane, ale tajemniczy mężczyzna mógł mieć na przykład protezę lewego przedramienia z przegubem hybrydowym. Chociaż tyle. Niepokoił mnie tylko dziwny uśmiech chłopaka w granatowej koszulce.



– Miał okulary i długie włosy. Znaczą takie za długie, jakby dopiero zapuszczał.

– Zapuszczał?

– No, takie przerośnięte, taka wisząca szopa... Nie wiem, jak to panu wytłumaczyć.

– Przystojny był?

Dziwne pytanie. Powinienem zacząć od cech charakterystycznych: wzrost, oczy, nos i tak dalej. Albo proteza ręki. Ale czy był przystojny?

Chłopak się roześmiał.

– Wie pan, trudno mi ocenić, czy dziesięciolatek jest przystojny, czy nie.

– Dziesięciolatek? – wykrztusiłem.

– Na oko. Może miał dziewięć, a może dwanaście lat, nie wiem. Nie znam się na dzieciach. To z nim była ta pana znajoma.

Brawo, Suder, niewolniku stereotypów. Samo założenie, że do parku wodnego, tak jak do kina czy teatru, idzie się z osobą płci przeciwnej, nie było pozbawione logiki. Ale równocześnie trochę jak w starym dowcipie o policjantach i książce o logicznym myśleniu: jeśli nie masz w domu akwarium, to jesteś pedałem. Błędem było to, że czepiłem się tego mężczyzny, nie biorąc realnie pod uwagę nikogo innego. Nawet kobiety, przyjaciółki. A już to, że Milena miała syna, w ogóle nie przyszło mi na myśl. Chyba nikomu by nie przyszło, zresztą o dziecku nigdy nie wspomniała. Choć z drugiej

strony aż nie chciało mi się wierzyć, że nikt nie wiedział o synu Mileny. Jacek wspominał, że współpracowników Mileny wypytywano o jej życie prywatne, a posiadanie dziecka raczej trudno ukryć, nawet jeśli z matką nie utrzymuje się bliższego kontaktu. A co z zakładową „Solidarnością”, ze związkami zawodowymi? Nie brała „zajączka” ani „Mikołajków” na dziecko?

Jednak konkluzja, jaka w tej samej chwili wpadła mi do głowy, była następująca: głupi ma zawsze szczęście. Usprawiedliwiało mnie trochę pechowe miejsce przedarcia rachunku. Gdyby był zgięty kilka milimetrów niżej, to na górnej części, która pozostała, zobaczyłbym „1 Kind”, zamiast jeszcze raz „1 Erw.”, czego podświadomie się spodziewałem. I wszystko stałoby się jasne.

– To nie żadna pana znajoma, co? – zapytał chłopak z porozumiewawczym uśmiechem.

– Co masz na myśli?

– Zachowuje się pan jak pies na polowaniu. I wyraźnie się pan uspokoił, kiedy okazało się, że ten facet, który z nią był, to dzieciak. To jakie mogę wyciągnąć wnioski?

Spojrzałem na niego.

– No właśnie, jakie możesz z tego wyciągnąć wnioski?

– Na przykład takie, że to pana była żona, która z kochankiem porwała waszego syna i wywozła za granicę, a pan chce go odzyskać.

– Krzysztof, czytasz za dużo „Faktu” albo „Bilda” – powiedziałem, chociaż faktycznie, jak się tak dobrze

zastanowić, to mogło tak wyglądać. Trochę.

Ja jednak wyciągnąłem z tego zupełnie inny wniosek, mianowicie taki, że o wiele łatwiej będzie mi wytropić Milenę, mając ślad w postaci jej nieletniego syna niż nieznanego mężczyzny z protezą lewego przedramienia.

Jeśli to faktycznie był jej syn.

Podziękowałem chłopakowi i szurając klapkami, wróciłem do szatni, żeby się przebrać. Kiedy kilka minut później zamyślony przechodziłem przez bramki wyjściowe, nagle głośnik ryknął chrapliwie głosem Wittego.

– I jak, *Herr Suder*?

Stałem zaskoczony i rozejrzałem się dookoła. Zobaczyłem kamerę wiszącą pod stropem na słupie i wyciągnąłem ku niej dłoń z uniesionym kciukiem.

– *Sehr gut* – szcęknął głośnik.

Uśmiechnąłem się i wyszedłem na zewnątrz. Upał zelżał, było przyjemnie i wciąż słonecznie. Wrzuciłem torbę do bagażnika, wsiadłem do auta, potem podjechałem do szlabanu i wsunąłem kartę do czytnika. Kiedy szlaban się otworzył, minąłem go, skręciłem w lewo, w stronę centrum Ahlbecku, i ruszyłem w drogę do domu.

\* \* \*

Wróciłem do Szczecina z gotowym planem dalszego działania.

Skoro syn Mileny miał około dziesięciu lat, jak każde dziecko podlegał powszechnemu obowiązkowi szkolnemu. Nie mógł być wyjątkiem. Nie przyszło mi co prawda do głowy zapytać chłopaka na basenie, czy dziecko wykazywało jakieś cechy niepełnosprawności intelektualnej albo miało na przykład zespół Downa. Z drugiej strony chyba by to zauważył i powiedział o tym. Jeśli było zdrowe, istniała duża szansa, że chodzi do którejś ze szczecińskich podstawówek. Jeśli nie, zostawały specjalistyczne placówki. Musiałem oczywiście brać pod uwagę ryzyko, że Milena widywała się z dzieckiem raz na jakiś czas, na przykład przez weekend; ktoś je przywoził, być może nawet z bardzo daleka, a potem odbierał. I sam nie wiem, kto to mógłby być: eksmąż, matka, babcia, ktokolwiek. No i oczywiście wciąż musiałem liczyć się również z tym, że chłopak jednak nie był jej synem. Tak naprawdę musiałem brać pod uwagę wszystko, a sytuacji nie poprawiał fakt, że nie wiedziałem o Milenie absolutnie nic z wyjątkiem tego, jak się nazywa. I gdzie mieszka.

I właśnie to, że wiedziałem, gdzie mieszka, było dla mnie jakimś punktem zaczepienia. Wymyśliłem sobie bowiem, że znajdę ją przez jej syna. A skoro tak, to musiałem najpierw odnaleźć jego, a najprościej było zrobić to przez szkołę, do której chodził. Mogłem

zakładać, że skoro teoretycznie obowiązuje rejonizacja, powinienem zacząć poszukiwania od szkół zlokalizowanych w okolicy. Istniała jeszcze jedna możliwość sprawdzenia, gdzie syn Mileny chodzi do szkoły; dużo prostsza, ale niedostępna. Przynajmniej dla mnie, bo dla policji i prokuratury owszem. Można to było po prostu sprawdzić w magistracie, poprzez Wydział Oświaty albo w kuratorium. I już.

Zamiast tego sprawdziłem w Internecie lokalizacje podstawówek w obrębie Pogodna. Założyłem, że Krzysztof, pracownik basenu, nawet mimo że „nie znał się na dzieciach”, raczej dobrze określił wiek synka Mileny na przedgimnazjalny. Cóż, gdyby się pomylił i nie znalazłbym małego w żadnej ze szkół podstawowych, próbowałbym dalej w gimnazjach. Ale zacząć postanowiłem od podstawówek. Najbliżej miejsca, w którym mieszkała Milena, była „trójka” na Reymonta, niewiele dalej szkoła numer pięćdziesiąt trzy na Budzysza Wosia, czterdziesta siódma na Jagiellońskiej, pięćdziesiąta pierwsza na Jodłowej oraz szkoły salezjańskie na Witkiewicza. Tysiąclatki na samym początku Mickiewicza, która była jednak najdalej z nich wszystkich, mogłem spokojnie nie brać pod uwagę. Na deser zostały szkoły podstawowe: specjalne, muzyczna, sportowa i prywatne, których rejonizacja nie dotyczyła. Może synek Mileny był dobrze zapowiadającym się pływakiem, skrzypkiem, przyszłym laureatem Nagrody

Nobla albo papieżem, cholera wie. Miałem przed sobą sporo pracy i mało czasu.

Do wakacji został tydzień.

\* \* \*

Rankiem następnego dnia odwiedziłem pierwszą ze szkół, „trójkę”, tę, która była najbliżej mieszkania Mileny. Była to najzwyczajniejsza szkoła, jakich pełno wszędzie, w każdym mieście tego kraju.

Budynki, w których się mieściła, przedzielało boisko do gier różnych i bieżnia. Tartanowa nawierzchnia, profesjonalne bramki i kosze, piłkochwyty i bajery. Za moich czasów boiska szkolne były wyasfaltowanymi placami ze szczątkami wytartych podeszwami tenisówek linii i zgliszczami bramek, a „bieżnie” były w najbliższym parku. Mimo to, jak słyszałem, niewielu dziś było w szkołach amatorów sportu, którym takie rzeczy jak te między budynkami mogłyby służyć. Chyba że do ganiań pokémonów z tabletem w rękach.

Wejście do szkoły było dla mnie traumatycznym przeżyciem. Akurat trafiłem na przerwę i naprawdę nie byłem przygotowany na poziom hałasu panującego na korytarzu. Było gorzej niż na trybunach stadionu podczas meczu wysokiego ryzyka. Niemal czułem, jak pocisk w mojej głowie wpada w rezonans, wibrując i drażniąc tkankę mózgową, nie sprawiając bólu, ale wywołując dziwne uczucie przypominające swobodne spadanie. Ryk.

Nie można było określić tego innym słowem niż „ryk”. Ciągłe wycie, przerywane piskami, które ocierały się o granicę słyszalności oraz wytrzymałości. Nietoperz nie dałby rady, a co dopiero ja.

Sekretariat znajdował się na pierwszym piętrze, o czym poinformował mnie dyżurujący na korytarzu nauczyciel, najwyraźniej uodporniony na tę diabelską kakofonię. Ze stoickim spokojem powtórzył informację, bo za pierwszym razem nic nie usłyszałem; za drugim patrzyłem mu na usta, co niewątpliwie nieco mi pomogło. Dotarłem tam schodami koło stołówki. Na półpiętrze minęła mnie grupka goniących się dzieciaków, które na ułamek sekundy zwolniły, żeby przyjrzeć się obcemu, a potem pognały dalej, jakimś cudem nie łamiąc sobie nóg i rąk.

Wszedłem do sekretariatu, przywitałem się z siedzącą tam starszą panią i poprosiłem o spotkanie z dyрекcją. Kiedy w odpowiedzi usłyszałem pytanie „w jakiej sprawie?”, dyskretnie pokazałem odznakę policyjną.

Jakoś tak się złożyło, że została mi ze starych czasów. Powiedziałem w komendzie, że miałem ją przy sobie wtedy, na parkingu koło Bernau i widać zginęła w tym całym zamieszaniu. Nie zginęła. Zostawiłem ją sobie na pamiątkę. Nie mogłem się powstrzymać, po prostu czasem bywam nieodparcie sentymentalny. A kiedy przed odejściem z pracy rozliczałem się ze wszystkiego, co miałem na stanie, ogarnęło mnie jakieś dziwne

i nieokreślone przeczucie, że odznaka może mi się kiedyś jeszcze przydać. Zawsze uważałem, że trzeba ufać przeczuciom.

Cóż, przyznaję, posługiwanie się odznaką policyjną przez nieuprawnioną do tego osobę jest przestępstwem. Powoli jednak zaczynałem przyzwyczajać się do myśli, że się staczam. Podejrzywałem też, że jeszcze niejednokrotnie złamię prawo. Raczej ze szlachetnych pobudek, ale złamię.

Zdarza się.

Kobieta lekko pobladła, twarz stężała jej w wyrazie czegoś, co określiłbym roboczo „uprzejmym przerażeniem”. Trzymała jednak fason, bo wstała, jakby nigdy nic podeszła do drzwi w bocznej ścianie pomieszczenia i zniknęła za nimi. To dziwne, że ludzie reagują w taki sposób na przedstawicieli służb, które mają za zadanie ich chronić.

Po chwili drzwi znów się otworzyły i pojawiła się w nich druga kobieta. Sposobem, w jaki weszła do sekretariatu, dała mi znać, jaką jest osobą. Dynamiczną, pełną werwy i gotowości do działania. To musiała być dyrektorka we własnej osobie. Stwierdziłem, nie bez wyraźnej przyjemności, że szkoła podstawowa numer trzy imienia Juliusza Słowackiego ma bardzo reprezentacyjną dyrekcję. Czterdziestoparoletnia blondynka o nieco ostrych rysach twarzy, z dopasowanymi do jej owalu oprawkami okularów roztaczała wokół siebie aurę



kompetencji. Krótkie, natapirowane blond włosy pasowały jej jak ulał, czerwień szminki korespondowała z barwą kostiumu eksponującego zgrabne wcięcie w talii, a delikatny, nienachalny makijaż wokół oczu świadczył o tym, że jest w pełni świadoma własnej urody. Dyrektorka szkoły podstawowej numer trzy była po prostu ładna.

– O co chodzi? – zapytała chłodnym, rzeczowym i trochę szorstkim tonem.

– Dzień dobry, pani zapewne jest...

– Owszem. Joanna Walas. Dyrektor. Co pana do mnie sprowadza?

Żadnych zbędnych wstępów. Rzeczowość i profesjonalizm. To lubię. Gdyby tylko nie była przy tym taka oschła i kostyczna.

– Nazywam się Dariusz Suder, jestem przedstawicielem Komendy Wojewódzkiej Policji w Szczecinie...

Wypowiedziałem te słowa autorytatywnym tonem, niczym *Herr Flick* z Gestapo, a z tym „przedstawicielem” to był majstersztyk. Półprawda jest zawsze lepsza niż gówno prawda. Zanim jeszcze skończyłem wypowiadać swoją kwestię, ponownie pokazałem odznakę, podnosząc ją, żeby wszyscy dobrze widzieli. Mniejsza z tym, że była nieważna; ważne, że była prawdziwa.

Dziewięćdziesiąt dziewięć koma pięć procent ludzi nie ma pojęcia, jak wygląda aktualny wzór legitymacji

policyjnej, nie mówiąc o znajomości zasad legitymowania się przez policjanta, czy to legitymacją, czy to odznaką. Połowie z tych, którzy mają pojęcie, tej bardziej spolegliwej połowie, i tak jednak można wmówić, że to, co im się pokazuje, jest ważną legitymacją policyjną, mimo że nie jest. To dlatego tylu ludzi pada ofiarą oszustw i wyłudzeń na „policjanta”. I to wcale wbrew pozorom nie są ludzie upośledzeni umysłowo. W tłumie jest jeszcze lepiej: wraz ze wzrostem pobudzenia emocjonalnego, co jest dla jego uczestników charakterystyczne, obniża się poziom ich procesów poznawczych, a co za tym idzie, zdolność do rozumienia komunikatów i odbioru informacji. Przeprowadzano nawet eksperymenty, w których noszącemu przypominające mundur ubranie człowiekowi kazano wydawać tłumowi niezbyt sensowne polecenia do wykonania. I co? Ludzie je wykonywali. Nawet ci wątpiący; kręcili głowami, ale wykonywali. Oto siła autorytetu. Oto potęga psychologii tłumu.

Ja nie miałem na sobie munduru, tylko dzinsy i sprany T-shirt, występowałem nie przed tłumem, tylko dwiema paniami, nie miałem w końcu legitymacji, tylko nieważną odznakę, ale znałem ogólne zasady postępowania. I wiedziałem, że grunt to pewność siebie.

– Sprawa jest bardzo poufna, dotyczy pewnej kobiety, która najprawdopodobniej jest matką jednego z uczniów tej szkoły. To właśnie chcę sprawdzić.

– Co zrobiła? – zapytała sekretarka.

Ach, ta ciekawość, no...

Obie twarze zaczęły przypominać kocie pyszczki.

– Niestety, nie mogę tego ujawnić. – Wciąż byłem niezmiernie oficjalny. – W chwili obecnej miejsce pobytu tej pani nie jest nam znane. Usiłuję je ustalić.

– Dobrze, w takim razie zapraszam do mnie do gabinetu – zdecydowała dyrektor Walas.

Przeszliśmy do sąsiedniego pomieszczenia. Puściłem ją przodem, co najwyraźniej nie zrobiło na niej wrażenia. Albo była przyzwyczajona, albo uważała to za kompletnie nieistotne. Zamknąłem za sobą drzwi i patrzyłem, jak sztywno wyprostowana siada za swoim biurkiem, precyzyjnym ruchem dłoni wskazując mi stojący przed nim fotel.

– Chciałbym porozmawiać z uczniem o jego matce – powiedziałem. – Oczywiście, jeśli okaże się, że faktycznie jest synem tej pani, o którą mi chodzi, i w ogóle uczęszcza do tej szkoły.

– Oczywiście – przytaknęła i niemal zabiła mnie, zadając bardzo niewygodne pytanie. – Czemu policja nie zwróci się z tym do odpowiedniej instytucji?

– Ma pani na myśli kuratorium albo urząd miejski? – zapytałem, robiąc dobrą minę do złej gry i usiłując nie stracić rezonu.

– Na przykład. – Pokiwała głową, ale linia jej białego w moją twarz wzroku, jak obiektyw steadycam, nie zmieniła położenia. Tak nieruchome, białe w ofiarę oczy

mają krokodyle, niepostrzeżenie podpływające do pijącej wodę antylopy. Widziałem to na Discovery Channel.

Zerknąłem na stojącą w rogu gabinetu wielką doniczkową roślinę, szukając w skomplikowanej strukturze jej drobnych liści jakiegoś natchnienia. Ta roślina była trochę jak sprawa Mileny: miała tyle listków, że nie widać było, jak naprawdę wygląda i jak przebiega układ pnia, łodyg i gałęzi. Tylko te liście. A za nimi nie wiadomo co.

– Wspominałem o pośpiechu, prawda? – zapytałem, wracając spojrzeniem do ładnej twarzy pani dyrektor.

– Nie. Nie wspominał pan.

– Aha. W takim razie wspomnę teraz. Widzi pani, gdyby policja lub prokuratura wystąpiły z oficjalnym wnioskiem o udzielenie takiej informacji, mielibyśmy ją za tydzień albo dwa. Nie mamy tygodnia, ani tym bardziej dwóch, na odnalezienie tej pani. Mamy naprawdę mało czasu, pani dyrektor. Dlatego właśnie dokonuję niniejszym czynności operacyjno-rozpoznawczych w pani gabinecie, korzystając z pani pomocy jako osoby fizycznej niebędącej funkcjonariuszem. To zwykle czynią w takich sytuacjach funkcjonariusze policji. Czy ta odpowiedź panią zadowala? – Uśmiechnąłem się promiennie. Oraz niewinnie.

– Owszem.

Ucieszyłem się nawet, bo mnie też moja odpowiedź bardzo zadowoliła. Była precyzyjna i niejasna równocześnie, ale wyczerpywała temat.

– Cóż, w takim razie może przejdźmy do konkretów? – zaproponowała.

– Wspaniale, o nic innego mi nie chodzi. Nazwisko ucznia brzmi Korcz.

A przynajmniej miałem nadzieję, że tak brzmi. Tu też mogła zdarzyć się niespodzianka i chłopak mógł nosić inne nazwisko niż matka, na przykład nazwisko ojca.

– O ile mnie pamięć nie myli, w szkole jest obecnie trójka uczniów o tym nazwisku. Dwóch chłopców i dziewczynka. Ale sprawdzę to, oczywiście.

Zapowiadało się świetnie. Trafienie za pierwszym razem. Suder, ty cholerny farciarzu! Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że Korcz to bardzo popularne nazwisko i że noszące je dzieci są pewnie niemal w każdej szkole.

– Dziewczynkę sobie darujemy. – Uśmiechnąłem się. – Chodzi mi o chłopca.

Nie wydało mi się prawdopodobne, żeby chłopak z basenu nie odróżnił płci dziesięcioletniego dziecka, nawet pomimo dłuższych niż normalnie włosów.

– To zostaje nam dwóch.

– Zgadza się – przytaknąłem niepotrzebnie, ot tak, żeby coś powiedzieć i sprawiać wrażenie miłej osoby.

Dyrektorka zniknęła w sekretariacie i po chwili wróciła z dwiema kartami. Razem z nią do gabinetu weszła kolejna kobieta, ale nie sekretarka, którą zobaczyłem pierwszą. Ta miała krótkie włosy, mocny makijaż, a na sobie mnóstwo metalu z przewagą srebra. Metal miał różną, często bardzo wymyślną formę i był wszędzie; na szyi, w uszach, na nadgarstkach i palcach, i aż bałem się pomyśleć, gdzie jeszcze. Dyrektor Walas położyła papiery na swoim biurku, usiadła za nim, a jej ręce zawisły nad arkuszami jak u wróżbity nad kartami tarota albo tabliczką ouija. Zerknęła na mnie jeszcze i wskazała na koleżankę, uznając, że powinienem wiedzieć, kto zacz.

– To pani Helena Podkalicka, wychowawczyni jednego z tych dwóch chłopców. Ma teraz „okienko” – wyjaśniła, jakbym mógł się czepić, że nie jest na lekcji, tylko obja się w pokoju nauczycielskim, znajdującym się zapewne za drugimi drzwiami, które zauważyłem w sekretariacie, dokładnie naprzeciwko tych prowadzących do gabinetu dyrekcji.

– Maciek Korcz chodzi do drugiej klasy, Kosma do piątej – powiedziała dyrektor Walas. – Ale jeśli chodzi jednak o Kosmę, to będzie mały problem, bo chłopiec nie uczęszcza już do szkoły. Dobrze kojarzę? – Zerknęła znad okularów na Podkalicką.

To musiało być to. Ale jeszcze byłem ostrożny. Pamiętałem z dzieciństwa bajkę o lisie w ogródku, pocisk

w głowie jej akurat mi nie zabrał. I nieważne, że w tej bajce koniec końców lis i tak wyszedł na swoje; najpierw wpieprzył się w kłopoty, bo za szybko się cieszył.

– Dlaczego nie uczęszcza? – zapytałem.

– Pani dyrektor ma rację. Kosma zakończył naukę nieco wcześniej na życzenie matki – odparła Podkalicka. – Zaraz koniec roku szkolnego, stopnie wystawione, więc nie ma przeciwwskazań. Zadzwoniła do szkoły, że wyjeżdżają wcześniej na wakacje.

To z całą pewnością było to. Pora witać się z gąską.

– Czyli to pani uczeń? – zapytałem, a kiedy potwierdziła skinieniem głowy, dodałem: – Jak ma na imię jego matka?

– Milena. Milena Korcz.

I trzeba było zapytać o to od razu.

– Ojciec Kosmy nie żyje – wyjaśniła dyrektor Walas. – Wychowuje go tylko mama. Bardzo miła kobieta, jest psychologiem. Nawiasem mówiąc, Kosma jest świetnym uczniem...

– Tak, wiem – przerwałem jej uprzejmie, a może jednak nie za bardzo, ale nie miałem czasu na pogaduchy.

Myślałem gorączkowo, co dalej. Gąska wymykała mi się z rąk.

– Czy Kosma ma jakiegoś dobrego kolegę? – zwróciłem się do Podkalickiej. – Takiego, z którym trzyma się bliżej niż z innymi chłopakami?

– Wydaje mi się, że z Wojtkiem Bilskim... – Zawahała się. – Tak, na pewno z nim. Prezentują podobny poziom, obaj są bardzo kulturalni i grzeczni.

– Czy on jest dziś w szkole?

– Jest – potwierdziła Podkalicka, a żelastwo na jej szyi znów dźwięcznie zabrzęczało.

– Można go tu poprosić?

– Chce pan z nim rozmawiać? – zapytała dyrektorka, a wyraz jej twarzy świadczył o tym, że jest lekko zniesmaczona moim życzeniem.

– Nie, wie pani, chciałem go zjeść. Przepraszam, głupi żart. Tak, oczywiście, chciałem z nim porozmawiać. I jeśli panie nie mają nic przeciwko temu, chciałbym to zrobić jak najprędzej. Jak wspominałem... – obdarzyłem panią dyrektor najmiłszym z moich uśmiechów – ...czas jest tu dość istotny.

Panie popatrzyły na siebie. Dyrektor Walas wzruszyła ramionami, a Podkalicka odwróciła się i przeszła do sekretariatu.

– Proszę mu na razie nie mówić, że chce z nim rozmawiać policja! – rzuciłem za Podkalicką.

Nie obejrzała się, tylko zniknęła za zamykającymi się drzwiami. W gabinecie zapadła niezręczna cisza. Po chwili ramiona dyrektor Walas uniosły się wysoko, kiedy nabrała głęboki wdech, wstrzymując oddech na dłuższą chwilę. Gdy głośno wypuściła powietrze, jej ramiona opadły jak ręczki miecha. Opadły razem z kształtnym



biustem, a podmuch wydechu dotarł aż do mnie. Miał zapach mentolowego papierosa wypalonego dość dawno temu; wystarczająco dawno, by nie był przykry, a jedynie zdradzał nałóg.

– Bardzo bym pana prosiła, żeby ta rozmowa... – zaczęła Walas i urwała zakłopotana. – Dziecko w tym wieku jest niestabilne emocjonalnie, boję się, że wizyta policjanta może na niego wpłynąć niezbyt korzystnie. Proszę go nie stresować, dobrze?

– Oczywiście. Ale proszę się nie przejmować, mam ogromne doświadczenie w pracy z dziećmi – uspokoiłem ją.

Siebie też. Podobno jak w coś mocno się wierzy, to się spełnia. Jak kłamstwo, które powtórzone wiele razy, staje się prawdą.

Dwie minuty później drzwi gabinetu otworzyły się i pojawiła się w nich Podkalicka, prowadząca za rękę drobnego chłopca w okularach i o króciutkich, obciętych tuż przy skórze włosach. Za czasów mojego dzieciństwa taką fryzurę sprawiało się pociechom przed wyjazdem na wakacje ze względów czysto utylitarnych, wydatnie zmniejszając ryzyko przywiezienia w nich czegoś, co się ruszało. Chłopiec miał na sobie granatową kamizelkę, spod której wystawały krótkie rękawy białej koszuli, nosił niebieskie buty z literą „N” i rzucał zza szkieł okularów nieco przestraszone spojrzenia. Wyglądał jak archetyp kujona, ale nie wiedzieć czemu spodobał mi się,

zanim jeszcze wszedł do gabinetu. Miał w sobie coś zadziornego.

Podkalicka przyprowadziła go do mnie. Wyciągnąłem do niego rękę.

– Cześć, Wojtek.

– Wojciech Bilski – przedstawił się, usiłując maksymalnie obniżyć głos i uściśnął mi dłoń z taką siłą, że gdybym miał w niej bilet tramwajowy, nie byłoby na nim śladu załamania.

– Ja mam na imię Darek – powiedziałem z uśmiechem, kucając przed nim. – I nie mam nic przeciwko, żebyśmy od tej chwili mówili sobie po imieniu. Co ty na to?

– Pan już mówi do mnie po imieniu – zauważył rezolutnie.

Teraz wiedziałem, czemu mi się spodobał. Spojrzałem na dyrektora Walas. Chyba mogła przestać martwić się o stan psychiczny Wojtka po rozmowie ze mną, a zacząć martwić się o mój.

– Słusznie. To ty też możesz zrobić to samo, prawda?

– Prawda.

– No to fajnie. Pewnie już wiesz, że jestem policjantem, co? – Podniosłem głowę i popatrzyłem na Podkalicką, która lekko poczerwieniała. – Chciałbym zadać ci kilka pytań...

– Zabierzesz mnie na komisariat? – zapytał Wojtek, a oczy rozszerzyły mu się z radości.

– Nie. Załatwimy to tu, na miejscu.

– Szkoda. – Wyraźnie zmarkotniał.

– A co cię tak tam ciągnie?

– No wiesz... Przygoda mała będzie.

– Przygoda, mówisz? Dla znaczącej większości ludzi taka wizyta na komisariacie to ostatnia rzecz, jaką chcieliby przeżyć. A jeśli już tak się dzieje, to raczej nie traktują tego w kategoriach przygody. Wierz mi, coś o tym wiem.

– Ale ja bym chciał.

– Hmm... Jak chcesz, to dam ci potrzymać „blachę”.

– Serio!? – Jego oczy znów błysnęły niewysłowionym szczęściem.

To zawsze lubiłem w dzieciach. Do szczęścia potrzeba im naprawdę bardzo niewiele. Potem rosną i to się zmienia.

– Serio, serio – mruknąłem i wcisnąłem mu odznakę w drobną dłoń.

Dotykał jej z zachwytem, wodząc palcami po wklęsłościach w jej powierzchni i drapiąc paznokciem niebieską emalię, jakby chciał sprawdzić, czy się dobrze trzyma. Wykorzystując chwilę, wstałem i powiedziałem cicho do Podkalickiej:

– Zostawi nas pani samych?

Nie bawiłem się w wyjaśnienia. Dyrektor Walas znów wzruszyła ramionami i Podkalicka jak na sygnał wyszła, lekko zadzierając podbródek w geście urażonej dumy.

Może ten ruch ramion faktycznie był sygnałem? Ludzie pracujący wiele lat razem wypracowują sobie specyficzny kod komunikacji, obejmujący również mowę ciała. Widać wzruszenie ramion w ich kodzie oznaczało: „zrób to”.

– Masz trzy szóstki obok siebie w numerze – zauważył nagle Wojtek.

– Noo... Zgadza się.

– Wiesz, że to diabelska liczba?

– Skąd wiesz takie rzeczy?

– Z religii. Katechetka mówiła.

– Aha. – Delikatnie wyjąłem mu odznakę z dłoni i schowałem do kieszeni.

– Nie przejmuj się. – Machnął niedbale ręką. – My mamy trzy szóstki na tablicy rejestracyjnej. I żyjemy.

– Fajnie. Słuchaj, Wojtek, bo my tu gadu, gadu... Dobrze znasz Kosmę Korcza?

– Pewnie. Siedzimy razem w ławce. Często rozmawiamy i w ogóle...

Wojtek nie używał jeszcze uczniowskiego slangu. Może był za młody, może za dobrze wychowany, ale to też lubiłem w takich dzieciakach: mówiły w miarę normalnie i dało się je jeszcze zrozumieć. Potem bywało różnie.

– Kosma wyjechał już na wakacje, prawda?

– Prawda.

– Nie wiesz dokąd?

– Nie wiem. Zaskoczył mnie, aż mi się trochę smutno zrobiło, bo ani się nie pożegnał, ani nie powiedział, dokąd

jedzie. Po prostu nie przyszedł następnego dnia do szkoły.  
A co się stało?

– A, wiesz... W sumie nic wielkiego. Musimy skontaktować się z jego mamą, dosyć pilnie, a nie wiemy, gdzie jest. Więc mówisz, że wyjechał...

– No. Nawet esemesa nie wysłał. I nie odpowiada na moje.

– Macie telefony?

– A to takie dziwne?

– Dla mnie trochę dziwne. Ale wiesz, ja już jestem trochę stary...

– No. – Przyjrzał mi się krytycznie. – Ale przecież to nie twoja wina, no nie?

– Eee... No nie, nie moja... Przedtem Kosma w ogóle nie wspominał nic o wakacjach? Miesiąc temu, dwa? Dokąd jedzie, z kim?

– Nie.

– A gdzie jeździł na poprzednie?

– No... Jeździł, ale właśnie nie pamiętam dokładnie gdzie.

– A niedokładnie?

Spojrzał w okno ze skupieniem na twarzy. Cała jego postawa świadczyła o tym, jak bardzo chce mi pomóc.

– Coś jak Międzyzdroje, tylko że w górach. Wspominał, że tam czasem jeździ i mama go prosiła, żeby nikomu tego nie mówił.

– Ale tobie powiedział?

– Bo ja jestem jego najlepszym kolegą. – Dla Wojtka było to najzupełniej naturalne.

– W porządku, wróćmy do tych gór... W jakich górach? W Tatrach, Bieszczadach, Karkonoszach?

– Właśnie też nie pamiętam. Ale pamiętam, że to było coś ze świerkiem.

Świerk? Przychodził mi do głowy tylko ten w Otwocku, gdzie mieściło się centrum badań jądrowych. Pojechanie tam na wakacje to jak podróż do atrakcyjnego lunaparku na drugim końcu Polski, kiedy nie ma się pojęcia, że jest zamknięty z powodu remontu: jedziesz, jedziesz, jedziesz, a potem i tak cię tam nie wpuszczają. Różnica jest taka, że lunapark jest interesujący, przynajmniej z punktu widzenia dzieciaka, a Otwock niekoniecznie.

– Dobra, Wojtek, więc mamy świerk i Międzyzdroje, ale w górach...

– Świerkowy Zdrój – wyrzucił z siebie nagle i niespodziewanie, wyglądając przy tym, jakby się krztusił.

– A może Świeradów-Zdrój? – zapytałem.

– O, to, to! Świeradów-Zdrój!

– Brawo, chłopie! – Poklepałem go plecach. – Jestem pod wrażeniem, naprawdę! Spisałeś się!

Wyglądało na to, że Wojtek też jest pod wrażeniem siebie samego, a przynajmniej tak wyglądał.

– To jakie to są góry? – zapytał z zainteresowaniem.

– Izerskie – odpowiedziała odruchowo dyrektor Walas.

– Aha. To nie znam...

– Nie szkodzi, poznasz – powiedziałem z przekonaniem i zapytałem: – Do kogo Kosma tam jeździ?

– Do cioci.

– Nazywa się jakoś?

– Kto?

– Ta ciocia.

– Coś mi się kojarzy, że Dorotka... Nie, Renatka. Ciocia Renatka.

– Renata, mówisz...

– Renatka.

– Nic więcej nie mówił? Nazwiska, na przykład?

Wojtek spojrzał na mnie bystro.

– Nie mówi się po nazwisku, kiedy opowiada się o swojej ciotce, prawda?

– Prawda. Ale sam rozumiesz...

– Rozumiem, ale nic więcej nie wiem. Dasz mi jeszcze trochę potrzymać swoją „blachę”?

Sięgnąłem do kieszeni i podałem mu ją. Patrzyłem, jak znów ogląda odznakę, i zastanawiałem się, czy to, co powiedział, może mi jakoś pomóc w odnalezieniu Mileny. Bez wątplenia było to coś, ale wyłącznie na zasadzie lepszy rydz niż nic. Wojtek oddał mi odznakę z westchnieniem. Dyrektor Walas siedziała za swoim biurkiem i, jak sobie wyobrażałem, podziwiała w myślach

moją fantastyczną łatwość w nawiązywaniu kontaktu z dzieckiem. Ja też podziwiałem sam siebie, nawet nie podejrzewałem się o tę łatwość, z drugiej strony należałoby się zastanowić, na ile zawdzięczałem ją po prostu Wojtkowi: jego dziecięcej bezkompromisowości i absolutnemu brakowi skrupowania.

Była marchewka, przyszedł jednak czas na kij. Przybrałem poważny wyraz twarzy i dotknąłem ramienia Wojtka, żeby na mnie spojrzał. Dyrektor Walas wstała zza biurka, jakby ta powaga na mojej twarzy wzbudziła w niej jakiś niepokój.

– Muszę cię prosić, żebyś zachował naszą rozmowę w tajemnicy – powiedziałem do Wojtka. – Potrafisz dochować tajemnicy?

Zwykle takie słowa wzbudzają tylko jeszcze większą chęć do podzielenia się z kimś ową tajemnicą, ale wydawało mi się, że jeśli tego nie powiem, to Wojtek wypapla to komuś jeszcze prędzej, niż gdybym go przed tym przynajmniej nie spróbował powstrzymać.

– Oczywiście, że potrafię! – Wypiął dumnie chudą pierś okrytą granatową kamizelką. – Kiedyś zbiłem szybę w szklarni dziadka i nikomu o tym nie powiedziałem.

Zamknął oczy i pokręcił głową.

– Szlag... – wyszeptał zdruzgotany. – I po tajemnicy.

– Nie szkodzi, Wojtuś – pocieszyłem go. – To nawet lepiej, że ci się wysnęło. Kiedyś, pewnego dnia najdzie cię ochota, żeby komuś o tej naszej rozmowie sprzed



chwili opowiedzieć. Mamie, tacie, kolegom... To normalne i naturalne, nie martw się, ale to nie oznacza, że można to zrobić. Bo kiedy najdzie cię ochota, to wtedy przypomnisz sobie tę szybę dziadka. I zrozumiesz, jak łatwo tajemnice wychodzą na światło dzienne, kiedy zapomnimy, że przyrzekliśmy komuś ich dochować. Czy to sobie, czy komuś innemu, na przykład mnie. I że to może być groźne. Rozumiesz?

Chyba za dużo słów i za dużo treści w jednym przekazie jak na dwunastolatka, ale Wojtuś z całą pewnością był inteligentnym dzieckiem.

– Rozumiem.

– Więc przyrzekasz, że nikomu nie powiesz, nawet najlepszemu koledze? Nawet Kosmie? Tak jak ja nie powiem twojemu dziadkowi o szybie w szklarni?

To było nieco podłe, przyznaję. Ale im wcześniej chłopak dowie się, że całe życie to jedna ciągła transakcja wiązana, tym lepiej dla niego.

Na twarzy Wojtka pojawił się wyraz skupienia.

– Przyrzekam – powiedział z powagą i spojrzał na dyrektorkę. – Teraz pani.

– Co: ja? – zapytała Walas, unosząc wysoko brwi.

– Niech teraz pani przyrzeknie. Słyszała pani naszą rozmowę, więc panią też obowiązuje tajemnica. Prawda?

– Wojtek spojrzał na mnie, najwyraźniej szukając pomocy.

Dużo wysiłku kosztowało mnie zachowanie powagi. Chłopak szybko się uczy. Dyrektorce z kolei wcale nie było do śmiechu. Stała zaskoczona z rękoma luźno opuszczonymi wzdłuż ciała w wyrazie bezwolnej rezygnacji.

– To jakaś abstrakcja – powiedziała.

Abstrakcja? – pomyślałem. – Abstrakcja to kot srający tęczą.

– Ależ to całkiem logiczne. Wojtek ma rację. Proszę, pani dyrektor – zachęciłem ją. – Śmiało.

Walas oblizwała usta.

– Przyrzekam – wycedziła, patrząc mi w oczy wzrokiem już nie krokodyla, tylko bazyliuszka. Bo krokodyl zabija zębami, a bazyliszek ma od tego oczy. I dyrektor Walas właśnie tak na mnie patrzyła. Jakby chciała mnie zabić.

Wojtka jej przyrzeczenie wyraźnie usatysfakcjonowało. Jego wzrok zdecydowanie poweselał.

– Chciałbym kiedyś zostać policjantem, jak ty. – Uśmiechnął się do mnie.

Ja też się do niego uśmiechnąłem. Najładniej, jak umiałem.

– Wojtek. – Klepnąłem go pieszczotliwie w chude ramię i poczułem kość łopatki. – Życie jest piękne i możesz nim pokierować, jak będziesz chciał. Możesz zostać strażakiem, maszynistą, kosmonautą, zawodnikiem MMA, Lewandowskim, Wolszczanem.

Możesz być, kimkolwiek zechcesz. I bądź, kimkolwiek zechcesz. Tylko nie policjantem, błagam cię.

Wojtek spojrzał na mnie z rozdziawioną buzią, jego oczy zaczęły podejrzanie błyszczeć, a ja przez chwilę poczułem się, jakbym zrujnował chłopakowi życie, choć być może właśnie mu je uratowałem. Dyrektorka miała taką samą minę jak Wojtek. Popchnęła go lekko w kierunku drzwi i powiedziała:

– Dobrze, Wojtku, wracaj do klasy, dziękujemy za pomoc, prawda? – Jej wbity we mnie wzrok był jak kopnięcie w kostkę pod stołem.

– Prawda, oczywiście – przytaknąłem, najzupełniej serio. – Bardzo ci dziękuję i potraktuj moje słowa poważnie. Te o zachowaniu tajemnicy też, nawet jeszcze bardziej. Lubisz kopać piłkę?

– Nie za bardzo – chlipnął, odwracając się od drzwi. – I tak zawsze stawiają mnie na bramce...

No, to „Lewym” nie zostanie, może chociaż Fabiańskim, choć i na to się nie zanosilo. Fabiański, o ile mi wiadomo, nie nosił takich szkieł jak Wojtuś. Nie mam pojęcia, czy istnieją soczewki kontaktowe odpowiadające wartości okularom, jakie chłopak miał na nosie.

– Bardzo lubię biologię – wyznał po chwili Wojtek, lekko zawstydzony.

– No widzisz! Zostań w takim razie lekarzem i, co najważniejsze, bądź dobrym lekarzem. To ci na pewno wyjdzie na zdrowie, chłopie, uwierz mi – pocieszyłem go.

Pani dyrektor uśmiechnęła się nieco nerwowo i dłonią ponownie pomogła Wojtkowi wybrać właściwy kierunek, choć był już przy drzwiach. Kiedy wyszedł, odczekała chwilę z twarzą zwróconą w kierunku drzwi, a potem odwróciła się do mnie i zapytała cierpko:

– Coś jeszcze mam panu przyrzec?

– Nie ośmieliłbym się pani o to prosić – wyznałem, choć bardzo podobały mi się jej piersi ukryte i równocześnie odkryte pod koszulą z jakiegoś lejącego materiału. – Pani również bardzo dziękuję. Wasza pomoc była wprost nieoceniona. Proszę nie dzielić się z nikim szczegółami tej rozmowy i uczulić panią Podkalicką, by potraktowała sprawę równie poważnie. Ewentualnie tę rzecz mogłaby mi pani przyrzec. Co pani na to, pani dyrektor?

Uśmiechnęła się nagle i mimo że była tylko kilka lat młodsza ode mnie, z belferki sztywnej jak kołnierzyk wykrochmalonej koszuli przeistoczyła się w naprawdę fajną dziewczynę. Miała ładny i zarazem łobuzerski uśmiech. Poczułem, jak budzi się we mnie z uśpienia samczy instynkt, nakazujący podjąć tę odwieczną grę; grę toczoną pomiędzy dwoma osobnikami płci przeciwnej, gdziekolwiek by się spotkali. Wiedziałem, że miałbym u niej szansę na dużo więcej niż kawa po południu. Więcej nawet niż kolacja w dobrej knajpie. Widziałem to w jej oczach, w których pojawiły się figlarne błyski. Iskierki zaciekawienia skrzące się spod zmrużonych

leciutko powiek okolonych podwiniętymi do góry gęstymi od tuszu rzęsami. Niedoceniając sygnałów dawanych przez oczy i skupianie się na innych częściach ciała, zwłaszcza tych eksponowanych, jest poważnym niedopatrzeniem, a nawet błędem. Tak uważam. Lecz zamiast działać, uścisnąłem jej drobną dłoń, na której nie było żadnych pierścionków. Obrączki też nie.

– To jak będzie? – zapytałem.

– Przyrzekam, panie... – powiedziała ciepło, niemal zalotnie.

– Po prostu Darek – nie mogłem się powstrzymać.

– Przyrzekam, Darek.

– Dzięki.

– Powiesz mi, co zrobiła matka Kosmy?

– Mam nadzieję, że nic – odparłem. – Dlatego właśnie musimy ją jak najszybciej znaleźć. Żeby to potwierdzić.

Pokiwała głową w zamyśleniu.

– Jeszcze raz dzięki i do widzenia. – Ostatni raz popatrzyłem jej w oczy.

– Do zobaczenia... – powiedziała miękko głosem.

Nie mogłem powstrzymać uśmiechu, ale to było wszystko, co chciałem jej dać. Właściwie co mogłem jej dać, a nie: co chciałem. Obróciłem się na pięcie i ruszyłem w stronę drzwi.

– Hej, nie zostawisz mi wizytówki?! – usłyszałem jeszcze.

Stałem nagle i na wszelki wypadek nie odwracając się, powiedziałem:

– Cholera, przepraszam... Skończyły mi się wczoraj.

A potem poszedłem sobie, zanim przyszło mi do głowy, żeby zmienić zdanie i wrócić do starych, dobrych reguł tej gry.

### III

Jarosław Leśniewski był jedyną osobą, od której mogłem dowiedzieć się czegokolwiek o Lichocie. Moje ostatnie spotkanie z „Malechą” odbyło się w dość dziwnych okolicznościach, zapewne obaj nie wspominaliśmy go miło, zresztą i tak przez większą jego część rozmawiałem chyba z Lichotą, który również w nim uczestniczył. A teraz musiałem spotkać się z Leśniewskim jeszcze raz. Na szczęście już bez Lichoty.

Tym razem nie zamierzałem dopadać go pod jakimś nocnym klubem. Tym razem chciałem załatwić to w cywilizowany sposób. I nie musiałem nawet w tym celu prosić Jacka Mołczuna o umożliwienie mi widzenia z Leśniewskim. „Malecha” wyszedł na wolność, ponieważ sąd nie uwzględnił wniosku prokuratury o środek zapobiegawczy w postaci aresztu tymczasowego.

I jakoś wcale mnie to nie dziwiło.

Wyszukiwarki wskazywały powiązania Leśniewskiego z kilkoma spółkami z ograniczoną odpowiedzialnością i komandytowymi. Figurował w KRS-ach albo jako członek zarządu, albo jako prokurent, w dwóch jako

prezes: „Malserwis” oferował usługi utrzymania czystości, natomiast Z.A.DO.BE usługi transportowe na terenie krajów Unii i byłego Związku Radzieckiego. Zdziwiło mnie to. Do tego trzeba było mieć wyższe wykształcenie i odpowiednie kursy kończące się niełatwymi egzaminami. Większość firm, z którymi Leśniewski był powiązany, miała siedzibę na ulicy Zbożowej 4. To była świeża lokalizacja. Świeża i niezła.

Budynek „Lastadia Office” wybudowano niedawno na Łasztowni, od której wziął swą nazwę, nad brzegiem Odry, opodal neorenesansowego gmachu Urzędu Celnego. Był duży, prezentował nową jakość, nawiązującą jednak do tradycji lokalnego budownictwa, nawet mimo kontrastu, jaki swym gabarytem stanowił z niedalekimi zabudowaniami starej miejskiej rzeźni. Od zakończenia wojny Szczecin unikał wody jak ognia, jakby zbliżenie jakimkolwiek nowym budynkiem do brzegu rzeki mogło stanowić dla niego jakieś zagrożenie. Jakby każdy taki budynek miał zsunąć się do wody i utonąć w odmętach Odry.

A teraz stałem przed takim budynkiem o fasadzie stanowiącej kompilację klinkieru i szkła i zastanawiałem się, czy Leśniewski w ogóle zechce się ze mną spotkać. Miałem głęboką nadzieję, że po pierwsze: nikomu nie przyszło do głowy wspomnieć mu o mnie czy raczej o mojej roli w jego zatrzymaniu, a po drugie: że był dziś w firmie.



Był.

Zanim się o tym przekonałem, musiałem stoczyć walkę z recepcjonistką jego biura. Babsko siedziało przy szklanym biurku pod ścianą wyłożoną jakimiś panelami z milionami otworków, na której wisiały znaki firm wycięte z blachy nierdzewnej. Wszystkie firmy należały zapewne do Leśniewskiego. Pierwszą fazą walki było wydobycie informacji, że Leśniewski jest dziś w pracy. Podejrzywałem, że w związku z wczorajszymi emocjami dał sekretarce *prikaz*, że ma spławiać wszystkich, którzy zechcą go niepokoić. Druga faza była dużo cięższa, bałem się, że wobec przeważających sił wroga polegnę, na szczęście w ostatniej chwili, niczym Opatrzność interweniował sam Leśniewski. Najwyraźniej usłyszał nasze podniesione głosy. Fakt, darliśmy się niemal na siebie, bo obojgu nam zależało tak samo mocno: jej, żeby mnie nie wpuścić, a mnie, żeby zostać wpuszczonym.

– Coś takiego... – Dziwnie ponurą twarz Leśniewskiego rozjaśnił szeroki uśmiech, kiedy po krótkiej chwili mnie rozpoznał, a chyba naprawdę był zaskoczony moim widokiem. – Kogo moje oczy widzą...

Wystawał ze swego gabinetu górną połową ciała, opierając się jedną ręką o framugę, a drugą o uchylone skrzydło drzwi. Przez szczelinę, ponad jego głową, do ciemnej recepcji wpadało światło dnia. Leśniewski lekko wachlował drzwiami, bujając się delikatnie na rękach i wyglądał przy tym wyjątkowo beztrusko. A może

tylko chciał tak wyglądać? Ale jego uśmiech wyglądał na autentyczny.

– Dzień dobry. – Chrząknąłem. – Mogę zająć panu chwilę?

– Tak, oczywiście! Zapraszam... – Zerknął na heterę za biurkiem recepcji. – Kawy?

Ostatnie słowo było jednocześnie pytaniem do mnie i poleceniem dla hetery. Pokręciłem głową.

– Tylko wody, jeśli można.

– Wodę mam u siebie. Niech pan wejdzie. Proszę. – Cofnął się do środka, robiąc mi miejsce i otwierając szerzej drzwi.

Światło dnia już bez przeszkód wlało się do naszej części, wygrywając ze sztucznym oświetleniem recepcji, tak jak ja wygrałem przed chwilą z heterą.

Mijając ją, powstrzymałem się przed rzuceniem jej spojrzenia pełnego tryumfu. Ledwo się powstrzymałem. Potem minąłem Leśniewskiego i wkroczyłem do jego królestwa. Przyznaję, prawie zapało mi dech w piersiach. Nie jestem koneserem, ale z racji odbytych wielu podróży służbowych, także po Europie, napatrzyłem się na przeróżne biura. Także na te należące do ludzi, którzy wiele znaczyli.

Największe wrażenie robił widok za oknem. Biuro Leśniewskiego znajdowało się na trzecim piętrze, skąd roztaczał się wspaniały widok na szeroką, jeszcze nieopatrzoną panoramę miasta. Do tej pory, z wyjątkiem

Urzędu Celnego, na prawym brzegu Odry nie znajdowało się nic, skąd można by taki widok ujrzeć. Wały Chrobrego, Trasa Zamkowa, dwudziestoparoletnia starówka, Zamek Książąt Pomorskich, katedra, wieża uniwersytetu medycznego, kościół Świętego Jana, poczta główna, dworzec, oddzielone błękitną wstęgą rzeki, w której odbijało się bezchmurne niebo. Wszystko niemal na wyciągnięcie ręki. Podszedłem do pionowego okna biegnącego przez całą wysokość pomieszczenia, jednego z kilku, i spojrzałem w dół. Pod wejście „B” zajeżdżała właśnie olbrzymia ciężarówka z logo firmy Z.A.DO.BE. Nad napisem był inny, wyklejony czerwonymi literami, który głosił: „Sprzedam”. Zacząłem zastanawiać się, gdzie zmieści się ten wóz, skoro cała uliczka zastawiona była samochodami zaparkowanymi niemal jeden na drugim. Bolączka każdego większego miasta i rozterka deweloperów: jeśli już buduje się gdzieś biurowiec, to szkoda miejsca na parking. Zwykle gdzieś niedaleko znajduje się jakiś trawnik, który częściowo rozwiąże problem parkowania.

Kiedy już nasyciłem wzrok widokiem panoramy Szczecina, odwróciłem się. Samo wnętrze biura też robiło wrażenie. Nie było monstrualnie wielkie, zwłaszcza że panele sufitowe zawieszono dość nisko, ale miało dobre pięćdziesiąt metrów kwadratowych. Posadzkę wyłożono czarnym polerowanym kamieniem, jedna z obwieszonych zdjęciami ścian była klinkierowa, dwie białe, kolejna

obłożona boazerią z ciemnego drewna. Oddzielała wizualnie tę część biura, w której stało biurko szefa. Koło niej stał postument, na którym leżała przykryta pleksiglasowym koszem makieta małego osiedla. Wnętrze biura było proste i nieprzeładowane i właśnie dlatego robiło na mnie takie wrażenie. Reszty dopełniały wysmakowane detale: bibeloty, designerskie lampy, które pewnie kosztowały fortunę. O gustach się nie dyskutuje, ale to wnętrze było gustowne. Bez wątpienia.

Nie byliśmy sami. Zobaczyłem, że przy oknie, czy jak inaczej nazwać szklaną, przedzieloną w równych odstępach pasami cegły tafle oddzielającą wnętrze od zewnątrz, stał jedyny niepasujący do nowoczesnego wystroju element. Była to brązowa, pokryta błyszczącą, pikowaną skórą kanapa z fikuśnymi podłokietnikami, na której siedziała dziewczynka. Miała jakieś dwanaście, trzynaście lat i była otyła; to nie był dziewczęcy tłuśczyk, który znika w okresie pokwitania, kiedy dziecko zmienia się w kobietę. Miała na uszach słuchawki, a w rękach tablet. Kiedy zobaczyła mnie kątem oka, odwróciła głowę w moją stronę, skinęła nią i wróciła wzrokiem do ekranu. Leśniewski, widząc to, podszedł do niej, zdjął z jej uszu słuchawki i powiedział wesołym tonem, bez śladu zdenerwowania:

– Kochanie, przywitaj się porządnie z panem Darkiem. To mój znajomy.

– Dzień dobry – bąknęła nieśmiało.

Leśniewski pocałował ją w nos, co onieśmieliło ją jeszcze bardziej, delikatnym, czułym ruchem założył jej słuchawki z powrotem na uszy i wrócił do mnie.

– Andżelika, moja najmłodsza córeczka. Dość późno nam się trafiła, więc jest oczkiem w głowie tatusia. – Spojrzał na mnie, a ojcowska duma w oczach zmieniła się w rozdrażnienie. – Bardzo przeżyła moją nieobecność przez te dwa dni. Dlatego zabrałem ją ze sobą do pracy. Jej siostra jest teraz z matką.

– Rozumiem – mruknąłem.

Patrzyłem na jego twarz, zupełnie inną, niż zapamiętałem ze spotkania rok temu. Wtedy siedzieliśmy w ciemnym samochodzie, w moim krwiobiegu krążyła adrenalina i miałem lepsze rzeczy do roboty niż studiowanie twarzy Leśniewskiego. Teraz widziałem ją w pełnej krasie, choć sformułowanie „krasa” nie bardzo tu pasowało. Leśniewski nie grzeszył urodą, choć u ludzi w jego wieku, o jego pozycji i majątku takie rzeczy mają drugorzędne znaczenie, jeśli w ogóle mają. Taka prawda.

Łysa głowa osadzona była mocno na grubym karku, otoczonym kołnierzykiem rozpiętej pod szyją błękitnej koszuli. Włosy na brwiach były tak rzadkie, że prawie niewidoczne. Na niezbyt kształtnym nosie o szerokich skrzydełkach tkwiły okulary o tak delikatnej konstrukcji, że na miejscu ich właściciela drżałbym na samą myśl, że musiałbym je poprawić. Składały się ze szkieł spiętych ledwo widocznym mostkiem i zauszników, cienkich jak

igła do zapładniania in vitro. Oczy patrzyły bystro, a worki pod nimi świadczyły o tym, że pobyt w izbie zatrzymań okupił nieprzespaną nocą. Mięiste usta niemal pozbawione były czerwieni wargowej i przypominały usta amerykańskich aktorów ze starych filmów: wydatne, ale kolorem zlewające się ze skórą. Zęby były równe i trochę pożółkłe, pewnie jego własne. Obrazu dopełniał podbródek z dołkiem w środku, który pewnie trudno się goliło. Leśniewski nie był wysoki, sięgał mi mniej więcej do nosa. Stał przede mną i też mi się przypatrywał. Trwało to nie więcej niż trzy sekundy, ale z pewnością obaj zdążyliśmy w tym czasie dokładnie się sobie przyjrzeć i zapewne wyciągnąć z tego jakieś wnioski.

Zacząłem pierwszy.

– Chciałem zadać panu kilka pytań o Lichotę.

Leśniewski nie był chyba zdziwiony.

– Dlaczego akurat pan?

– Dlaczego akurat ja? – nie zrozumiałem.

– Czemu pan interesuje się Jurkiem?

Milczałem przez chwilę, zastanawiając się, ile mogę temu człowiekowi powiedzieć, a ile nie.

– Byłem w pewien sposób związany z kobietą, którą chciał zabić.

– Związany?

– Trochę zawodowo, trochę prywatnie. Ale bez podtekstów. Zaprzyjaźniliśmy się.

– Aha. Więc już wiadomo, że on chciał ją zabić?

– Zdaje się, że za to właśnie pana zatrzymano?

– Nie, nie za to. Ściśle rzecz biorąc, zatrzymano mnie jako podejrzanego o zlecenie mu zabójstwa tej pani. Pani, o której istnieniu nie miałem nawet pojęcia, rozumie pan? Sam nie wiem, kto na to wpadł, ale to musiał być jakiś kompletny idiota. Na szczęście sąd też nie wiedział... – Prychnął. – I wolałbym, żebyśmy nie poruszali więcej tematu mojego pobytu w areszcie. To nie było przyjemne i miało wpływ na moje dzieci. Destrukcyjny wpływ, obawiam się. Nie martwię się o siebie, tylko o córki. Najstarsza, Wiktoria, jest już na szczęście dorosła, ale Andżelika i Sandra... Ja sobie dam radę, one dwie nie. To przecież dzieci.

– Przyjmuję do wiadomości.

– Cieszę się. Więc Jurek chciał zabić tę kobietę? Powiedział pan tak przed chwilą.

– Tak powiedziałem, to prawda. Chociaż może nie powinienem był tego mówić, zwłaszcza panu.

– Rozumiem. Owszem, naprawdę rozumiem. Ale przecież nie jest pan już policjantem.

– Zgadza się. Gdybym był, to z pewnością nie doszłoby do tego spotkania. W każdym razie nie w takich okolicznościach.

– Zapewne. – Leśniewski pokiwał głową, nie patrząc na mnie, tylko na swój kciuk. – Wobec tego słusznie zakładam, że teraz powtarza pan to, co robił w momencie,

gdy się poznaliśmy? W zeszłym roku. Czyli prowadzi pan prywatne śledztwo.

Dopiero teraz na mnie spojrział. I uśmiechnął się, choć oczy nie brały w tym udziału.

– Można tak powiedzieć. Choć, jak pan sam widzi, robię to w nieco mniej agresywny sposób niż ostatnio.

– To prawda. Nigdzie nie widać broni, po prostu spotykamy się, gawędzimy sobie kulturalnie... O, przepraszam, woda dla pana, zupełnie mi z głowy wyleciało. – Podszedł do stolika stojącego pod ścianą niedaleko wejścia.

Stał na nim dzbanek z wodą i kilka szklanek; na dnie dzbanka leżały plasterki cytryny, a na powierzchni wody pływały listki mięty i prawie roztopione kostki lodu. Nalał do szklanki trochę wody i podał mi ją. Upiłem łyk, a potem wypięłem wszystko niemal jednym haustem. Smakowała bosko. Leśniewski uśmiechał się, śledząc wzrokiem szklankę. Wyjął mi ją z ręki, a kiedy na propozycję dolewki pokręciłem głową, odstawił szklankę z powrotem na stolik.

– No dobrze. Skoro już się spotkaliśmy w cywilizowanych warunkach, to pogadamy chwilę. Zrobię to dla pana. Mam akurat trochę czasu, Andżelika zajęła się sobą, zresztą i tak jestem jeszcze na tyle roztrzęsiony z powodu całej tej sytuacji, że nie mogę zabrać się do jakiejś sensownej roboty. Zapraszam. – Wskazał wewnątrz biura i przeszedł w kierunku okien.



– Muszę przyznać, że ma pan wspaniałe biuro – powiedziałem, idąc za nim, a w moim głosie brzmiał podziw, którego nie mogłem i nawet nie próbowałem ukryć. – Imponujące.

– Dziękuję. – Twarz Leśniewskiego pokraśniała z zadowolenia i tym razem radość błysnęła też w jego oczach. – Wynajmuję ponad trzysta metrów. Tam dalej są moi pracownicy: księgowi, logistycy i pozostali, którzy na miejscu dbają o moje interesy. Zespół nie jest duży, ale prężny. To jest trzon. A moje biuro... Biuro to wizytówka firmy, wie pan? Pokaż mi swoje biuro, a powiem ci, jakim jesteś biznesmenem. Pozwoliłem sobie sparafrazować to przysłowie na własne potrzeby.

Podszedł rozochocony do wyłożonej klinkierem ściany i wskazał jedno z wiszących na niej zdjęć, zanim otrząsnąłem się z zaskoczenia, że zna słowo „parafrazować”.

– Niech pan zobaczy. To ja z byłym prezydentem Aleksandrem Kwaśniewskim. Jakiś turniej tenisowy, nawet nie pamiętam gdzie. Takie dyskretne akcenty to dla klienta sygnały: patrz, temu gościowi możesz ufać, skoro zadaje się z kimś takim jak Kwachu.

Wcale nie uważałem, żeby sygnał, o którym mówił Leśniewski, był w tym wypadku dyskretny.

– Wie pan... – powiedziałem, patrząc na zdjęcie, na którym dumny z siebie niczym paw Leśniewski usiłował wyglądać równie luzacko jak najwyraźniej znudzony

sytuacją eksprezydent – ...nie traktowałbym swojego zdjęcia ze znaną osobą jako czegoś, z czego mogę być dumny, jak z jakiegoś osiągnięcia. Po pierwsze, spotkanie z Kwachem było zapewne przypadkowe, prawda? – Leśniewskiemu nie udało się tego ukryć; zrobił minę ewidentnie świadczącą o tym, że owszem, było przypadkowe. – No właśnie. Po drugie, pewnie setki osób ma z nim taką fotkę. A po trzecie, takie zdjęcie siebie z byłym prezydentem mógłbym potraktować serio, gdyby to Kwachu powiesił je w swoim gabinecie.

Leśniewski roześmiał się szczerze.

– Ma pan rację, cholera, ma pan rację! Ale socjotechnika to nie triki, to nauka, zdaje sobie pan z tego sprawę? To fakt. Robi pan zakupy w supermarkecie dokładnie w taki sposób, w jaki zaplanowali spece od niej. Ona opisuje zachowanie człowieka, zanim jeszcze ten się urodzi, rozumie pan? Wie, jak zachowa się każdy z nas w sklepie, w tłumie, na placu zabaw, wszędzie. Może się pan śmiać, ale jestem pewien, że to zdjęcie pomogło niejednemu mojemu klientowi podjąć decyzję o współpracy ze mną. I już.

Zacząłem zastanawiać się, jakiego rodzaju klientów wabił Leśniewski zdjęciem z byłym prezydentem. Czy tych z jasnej, czy ciemnej strony mocy. Byłem też pewny, że Leśniewski dokładnie pamięta, gdzie zrobiono to zdjęcie. Jego „nawet nie pamiętam gdzie” było zbyt

pogardliwe. Czyżby traktował mnie jak potencjalnego klienta?

Rozejrzałem się po ścianie. Oprócz zdjęć zdobiło ją jeszcze mnóstwo różnego rodzaju certyfikatów i wyróżnień. Kiedy nagle zadzwieczał telefon, Leśniewski przeprosił mnie, dał mi znak, bym czuł się swobodnie, i odebrał. Nigdzie mi się nie spieszyło, więc zacząłem studiować te oprawione w ramki dowody zdobytej wiedzy, osiągniętych laurów i zyskanej wdzięczności. Coś było w tym, co powiedział mi przed momentem „Malecha”. Cała ściana niemal krzyczała: jestem wielki, zaufaj mi, jak zaufało wielu. Podziękowania za akcje dobroczynne, sponsoring dziecięcych sportowców, kursy przedsiębiorczości będące przykrywką dla alkoholowych libacji w drogich hotelach w atrakcyjnych miejscowościach, a wszystko to w ciągu ostatnich kilkunastu lat. Nagle moją uwagę zwrócił jeden z laurów. Zwrócił ją z kilku powodów. Pierwszy z nich to tytuł: Gepard Biznesu 2014, przyznany przez kapitułę Pomorskiej Izby Gospodarczej. Gepard Biznesu... Gdzieś z tyłu dobiegał mnie cichy, monotony głos rozmawiającego przez komórkę Leśniewskiego, a ja stałem i gapiłem się na tego nieszczęsnego geparda, który był nieudolną kopią logo jaguara i studiowałem drugi powód, dla którego zwróciłem uwagę akurat na ten, a nie inny obrazek. Pomijając aspekt socjotechniczny, czyli jego umiejscowienie na ścianie akurat na jej środku i na

wysokości oczu. Powodem tym były podpisy członków kapituły: przewodniczącego i sekretarza. Słyszałem, że na podstawie podpisu można sporo powiedzieć o człowieku. Pierwszy z nich wyglądał jak zwiokrotnione do przesady arkady logo McDonalda przekreślone poziomą zdecydowaną krechą postawioną przez człowieka świadomego swojej pozycji. Drugi podpis potrafiłoby podrobić nawet dziecko; był to półokrągły bazgroł z ogonkiem i z kropką w środku, postawiony przez półanalfabetę i nieoznaczający nic. Każdy z nich osobno wyglądał komicznie, ale zestawione razem, tworzyły przezabawny duet. Iście barokowy przepych i bieda, aż piszczy.

Kontemplując laur Geparda Biznesu, nie usłyszałem nawet, że Leśniewski skończył już rozmowę. Obejrzałem się i zorientowałem, że przygląda się mi i przy okazji temu, na co patrzę.

– Gepard Biznesu. – Machnął z lekceważeniem ręką.  
– Panu mogę zdradzić moją małą tajemnicę: niech pan nie da się nabrać, to prezencik od przyjaciół. Towarzystwo wzajemnej adoracji. Takie układy, wszyscy się tam dobrze znamy w tej Izbie; ja ich, oni mnie... Pijemy ze sobą od lat, to mi przyznali, żebym miał się czym chwalić. Wie pan, ja robię interesy tak naprawdę w całej Polsce, więc wypada mi mieć takie rzeczy na ścianach firmy, bo to dodaje prestiżu. Ten Gepard to taki

odpowiednik fotki z Kwaśniewskim. Zabieg socjotechniczny.

– A ci, którzy do pana przychodzą, żeby robić z panem interesy... Oni nie znają tych technik i trików? W końcu też robią w biznesie, w którym te zasady obowiązują.

– Znają, znają... – Znów machnął ręką, tym razem z lekkim uśmieszkiem. – Większość ma takie same wabiki u siebie na ścianach. Lwy Biznesu, zdjęcia z Wałęsą, Komorowskim i tak dalej.

– To po co to wszystko? – zdziwiłem się.

– Nie rozumie pan? To taka gra. Gramy sobie w to wszyscy, bo tak wypada, bo tak się robiło od zawsze. To jak z drogimi furami u bogatych facetów, ale tu nie chodzi nawet o to, kto ma droższą. Chodzi o to, żeby mieć i pokazać. Więc pokazujemy. – Wskazał swoją ścianę chwały, a potem ogromne okno. – I dlatego właśnie „Lastadia Office”. Prestiż...

Rozłożył ręce w geście świebodzińskiego Chrystusa: tak jak Jego pomnik, Leśniewski również miał zbyt dużą głowę w stosunku do krępego, zbitego ciała. W przeciwieństwie do Niego, ciało Leśniewskiego opięte było w markowe ciuchy z dobrej jakości materiału. Granatowy garnitur był pierwszorzędny, z gatunku tych, które leżą dobrze nawet na kiju od szczotki. Mimo to byłem niemal pewien, że nie pracował nad nim znany krawiec z Londynu, tylko małe, anonimowe i śniade rączki gdzieś w Azji Południowo-Wschodniej. Każdy ma

granice, taki Leśniewski również. Może niekoniecznie finansowe, bo garnitur szyty na miarę nie kosztuje przecież tyle, co samochód, ile mentalne.

„Malecha” zauważył chyba moje taksujące spojrzenie, bo opuścił ręce, poprawił marynarkę i podszedł do mnie.

– Nie wiem, co pan sobie wyobraża na mój temat. Nie mam pojęcia, ile pan wie, a ile panu nakłamano, ale ja jestem biznesmenem. Człowiekiem interesu. Ja zarabiam pieniądze i to jest mój cel w życiu, a nie jakaś gangsterka i układy z ludźmi z miasta. Ukończyłem zaoczne studia ekonomiczne, niech pan sobie wyobrazi. Zajmuję się różnymi rzeczami, czasem ślizgam się po przepisach i balansuję na krawędzi prawa, ale nie jestem tu wyjątkiem ani nie robię tego w sposób jawnie bezczelny, rozumie pan?

Pamiętałem historię, którą usłyszałem w zeszłym roku: Leśniewski sprowadzał z zagranicy samochody drogich marek, deklarując w papierach ich przeznaczenie jako auta pomocy technicznej. Jeśli to nie było jawną bezczelnością, to już nie wiem, co nią jest...

– To nie ma znaczenia – powiedziałem. – I tak nie sprawdzę tego, co pan mi mówi, tak jak nie mam możliwości sprawdzenia tego, co mówili mi o panu inni. I nie po to tu jestem. Choć musi pan przyznać, zwykły przeciętny człowiek interesu nie ma przy sobie goryla niemal przez cały czas, jak pan. Jeszcze do niedawna – dodałem.

– Kto panu tak powiedział? – Otworzył szeroko oczy, ale uśmiech, który temu towarzyszył, nie był do końca szczery. – Że Jurek był ze mną przez cały czas?

– Chyba nie spodziewa się pan, że mu to powiem? – Uśmiechnąłem się.

– Fakt – sapnął.

– Przypominam, że jestem byłym policjantem.

– Czyżbym był na celowniku organów ścigania? – zdziwił się nieszczerze.

– Nie, skąd? Dlaczego pan tak myśli? – odparłem, też nieszczerze.

– Tośmy się pośmiali, co? Ale ten ktoś, od kogo ma pan te informacje, wyciągnął widać mylne wnioski. Jurek mieszkał w moim domu, to prawda. Ale to jeszcze nic nie znaczy. On nie był moim, jak pan to określił: gorylem. Przede wszystkim był moim przyjacielem...

– Wszyscy biznesmeni mają obok siebie uzbrojonych przyjaciół? Wie pan, nie znam się. – Uśmiechnąłem się przeprasząco i zarazem jadowniczo. – Nigdy nie zajmowałem się interesami, przez całe życie byłem zwykłym policyjnym urzędasem.

Leśniewski nie obruszył się ani nic z tych rzeczy. Wiedział, że sobie z niego kpię, to było oczywiste, zwłaszcza że nie starałem się nawet z tym kryć, ale chyba mu to latało. Ludzie bywają przewrażliwieni na swoim punkcie, lecz „Malecha” był chyba pozytywnym wyjątkiem od tej reguły, bo miał do siebie dystans. Lubię

to u ludzi, choć nie lubię osobników pokroju Leśniewskiego. Ale on sam miał w sobie coś, za co można było go polubić. Może tym czymś był właśnie ten dystans?

„Malecha” podniósł głowę i trzymając się za klapy marynarki, zamrugał oczami ze wzrokiem wbitym w sufit, jakby właśnie coś z niego spadło mu prosto na twarz.

– To nie takie proste do wytłumaczenia...

– Eee, gdyby pan się odrobinę postarał... No, nieważne. Wiem, że Lichota mieszkał z panem. Przyjmijmy, że był pańskim ochroniarzem, choć jak pan sam wspomniał, nie ma pan kontaktów z nazwijmy to mafią czy inną formą przestępczości zorganizowanej. To po co panu ochroniarz?

Leśniewski spojrział na mnie chytrze.

– To też trudno wytłumaczyć – rzucił szybko, ale spoważniał nagle, podszedł do swojego biurka i usiadł za nim, moszcząc się w fotelu.

Przez szklany blat widziałem jego skrzyżowane nogi obute w coś cholernie drogiego, choć równocześnie wręcz koszmarne brzydkiego. Zapytałem w myślach sam siebie, czy gdybym był bogaty, też nosiłbym coś takiego. I od razu odpowiedziałem sobie na to pytanie. To mi nie groziło; ani noszenie czegoś takiego, ani bycie bogatym. Może to i dobrze?

– Powiem panu coś, zanim przejdziemy do dalszej części rozmowy – powiedział Leśniewski i zerknął na



córkę, czy wciąż jest zajęta sobą i nie podsłuchuje. – Ale też coś o Jurku, naturalnie. Skoro przyszedł pan pytać o niego, to musi pan to wiedzieć. Nie bez kozery nazywam go przyjacielem. To był specyficzny rodzaj przyjaźni, jaka istnieje czasem między dwoma silnymi mężczyznami. I proszę nie szukać tu żadnych podtekstów. Mówię o przyjaźni, czystej przyjaźni, choć szorstkiej, surowej, ale równocześnie pełnej zaufania. Stuprocentowego zaufania. Uratowaliśmy sobie kiedyś wzajemnie życie, wie pan? Ja jemu, on mnie...

Oczy zaszły mu lekką mgiełką, a ja zacząłem się zastanawiać, czy facet odstawia przede mną jakieś przedstawienie, a jeśli tak, to w jakim celu. Zapowiadało się romantycznie...

– Wiem, brzmi to jak kwestia z filmu klasy B, i to kiepska kwestia. – „Malecha” jakby czytał mi w myślach. – Ale zapewniam pana, że dla mnie to jak najbardziej realne wspomnienia okupione bólem. Bólem i strachem. Dla mnie to nie był film klasy B, tylko, kurwa, horror, rozumie pan? No, niechżeż pan usiądzie, na litość boską!

Z oczu zniknęła mgiełka wspomnień, wzrok się wyostrzył, a rzadkie brwi zeszyły się nad okularami, znikając za szlifowanymi na gładko krawędziami szkielek. Skorzystałem z propozycji i zająłem jeden z dwóch foteli stojących przed jego biurkiem.

– Poznałem Jurka po tym, jak wrócił z Francji i już był po odsiadce. – Leśniewski oparł się wygodnie i złożył

palce dłoni w daszek, brakowało tylko Pankracego albo innego zwierzaka, a wyglądałby jak prezenter z telewizyjnej Dobranocki sprzed czterdziestu lat. – Obaj byliśmy w nieco podobnej sytuacji, bo obaj usiłowaliśmy się odnaleźć w rzeczywistości, która wówczas w Polsce panowała. Ja w rzeczywistości biznesowej, a on... On w ogóle usiłował się odnaleźć. To niełatwe wrócić po kilkunastu latach do swojego kraju, który jest już zupełnie innym krajem, rozumie pan? W dodatku zaraz potem trafić na parę następnych lat do więzienia. A on miał specyficzne umiejętności i to nie wyćwiczone na szmacianym manekinie w sali gimnastycznej jakiejś jednostki wojskowej, tylko w realnym życiu. Pan wie, że służył w Legii Cudzoziemskiej? No właśnie, takie umiejętności przydawały się w tamtym czasie. Były wiele warte. Pan również żył w tamtych czasach, więc powinien pan znakomicie zdawać sobie z tego sprawę, prawda?

Skinałem lekko głową. Prawda.

– Zaczynałem od skupowania długów. Miałem paru chłopaków, z którymi chodziłem te długi potem egzekwować. Zwykle wystarczył ich widok, żeby dłużnicy miękli i przynajmniej część kasy nagle cudem się odnajdowała. To były czasy kijów bejsbolowych i gazowców, nie było maczet ani ostrej broni. Zdarzało się, że trzeba było przemeblować jakiś lokal albo sklepać komuś twarz. Normalna w tamtych czasach, że tak powiem. Kiedy Jurek zaczął ze mną chodzić, było jeszcze

łatwiej. A zaczęło się tak: kiedyś poszliśmy do jednego człowieka po pieniądze. Wiedział, że przyjdziemy, bo dostał wcześniej ostrzeżenie. Miał mieć przygotowaną gotówkę, nie było tego nawet dużo, jakieś sto milionów... Na stare, oczywiście, to było w pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych, jeszcze przed denominacją. Jurek został przed bramą, to było takie podwórze na Kolumba, w tych ruinach, które miejscowi romantycy nazywają szczecińską Wenecją, a ja ruinami, bo tym tak naprawdę są... Kupą ruin. Facet prowadził tam swój biznes: na ciasnym podwórzu trzymał kilka sprowadzonych z Niemiec i Holandii aut, które były w takim samym stanie, jak te okoliczne zabudowania. Nazywał się Stypuła, jak dziś pamiętam... No i wszedłem tam z tymi moimi dwoma, kurwa, pomocnikami od siedmiu boleści. Czekał na nas. Był przygotowany, oj, mówię panu, był... Chluśnięcie z kanistra dosięgnęło na szczęście tylko moich kolan. Oblał mi benzyną buty i nogawki spodni. Chodziłem na te akcje w garniturkach, choć pan pewnie pomyślał, że w dresie, ale nie, ja byłem poważna firma i musiałem być porządnie ubrany. Porządnie jak na tamte czasy i warunki, oczywiście. I te moje garniturki były raczej kiepskiej jakości, wszystko sztuczczyna, i podejrzewam, że to miało wpływ na skalę moich obrażeń. Te dwa palanty, z którymi wszedłem na to podwórze, patrzyły tylko, jak palą mi się nogi, ja zresztą robiłem to samo. Siedząc na ziemi, gapiłem się, jak moje

spodnie od kolan w dół stoją w płomieniach. Jak jakiś cholerny tybetański mnich, który na środku ulicy podpala się na złość Chińczykom. Tym samym Chińczykom, którzy zrobili mój garnitur. Ten garnitur, który właśnie palił się na moich nogach. Na początku nie czuje się bólu, tylko zdziwienie, smród palonej tkaniny i swąd białka, kiedy tlą się włosy na łydkach. Dopiero potem przychodzi ból, potworny. Zacząłem wrzeszczeć i wierzgać, chciałem ten ból strzepnąć z siebie, nie myślałem nawet o zgaszeniu płomieni, po prostu chciałem, żeby ten ból ze mnie zlaźł... I wtedy zobaczyłem, jak ten Stypuła bierze zamach kanistrem, żeby znów polać mnie benzyną, tym razem pewnie całego. Nie miał już zapalniczki, odrzucił ją, nie potrzebował jej więcej, ognia miał pod dostatkiem, co nie? Śmiał się jak opętany, krzyczał: „I co teraz, podły skurwysynu? Chodź, weź sobie tę kasę!” i machał tym kanistrem. A ci dwaj gnoje stali z tymi bejsbolami jak skamieniali i bali się podejść. Mówię panu, to była groteskowa sytuacja. – Leśniewski pokręcił głową. – I wtedy wpadł Jurek. Przyleciał z tej bramy, kiedy usłyszał moje krzyki; moje i tego gościa z kanistrem. To, co zrobił, to był jeden płynny ruch, jak tancerz baletowy, jak jakiś pieprzony Jackie Chan, wie pan? Przebiegł obok jednego z tych tępaków, wyrwał mu z ręki kij, przeskoczył nade mną, wziął zamach i w locie walnął tamtego w rękę, w której trzymał kanister. Potem poprawił mu w plecy, w krzyż. Porządnie, aż coś tam mu

chrupnęło. Kopnął kanister gdzieś w bok i rzucił się na mnie, po drodze zdzierając z siebie kurtkę. Położył mi się na nogach z tą kurtką i zdusił płomień. Do dziś to pamiętam, chociaż niedługo potem zemdlałem. Tamtych dwóch Jurek przegonił, nigdy więcej ich nie zobaczyłem, zresztą nie potrzebowałem ich już. Potem zapytał mnie, co ma zrobić temu Stypule. Widziałem, że facet nie może poruszać nogami i jest cały zaszczany. Też był w szoku, cały się trząsał, Jurek złamał mu kręgosłup i chciał go żywcem spalić. Powiedziałem mu, że już dość. Posłuchał mnie. Zawiózł mnie do domu, w aucie zemdlałem. Potem, już u mnie, wezwaliśmy karetkę, że niby przypadkiem oblałem się benzyną w garażu i skądś pojawiła się iskra. Leżałem dwa miesiące na oparzeniówce w Siemianowicach Śląskich, w kilku miejscach trzeba było zrobić przeszczep skóry, bo materiał tych cholernych spodni stopił się z nią w jedno... Pojawiły się również lekkie przykurcze ścięgien, ale koniec końców, nie było aż tak źle. Chodzę, i to chodzę normalnie, mogę jeździć na rowerze. Oszczędzę panu wrażeń i nie będę unosił nogawek spodni, żeby pokazać blizny.

– Dziękuję, mam swoją – odparłem.

– No właśnie... Tamten w końcu wylądował na wózku, wie pan? Nie zakapował nas, ale przyszliśmy do niego pół roku później; oddał wszystko, kiedy tylko zobaczył Jurka.

– Spojrzał na mnie. – Takie historie łączą ludzi, nieprawdaż?

– A jak pan się zrewanżował Lichocie? – zapytałem, nie komentując ostatniej kwestii.

Leśniewski uśmiechnął się skromnie.

– Wtedy, na Kolumba, to Jurek mi się zrewanżował. Ja byłem pierwszy. Chce pan usłyszeć, jak się poznaliśmy?

– Sam nie wiem – mruknąłem. – Straszne historie pan mi tu opowiada.

– Och, niech pan nie udaje delikatesa. W pracy nie napatrzył się pan na takie rzeczy?

– Pracowałem jako urzędnik – wyjaśniłem enigmatycznie.

To była półprawda. Wcześniej nie byłem urzędnikiem i stykałem się z gorszymi rzeczami niż ta, o której opowiedział mi przed chwilą Leśniewski, ale nie widziałem powodu, żeby się z nim tymi wspomnieniami dzielić.

– W porządku. – „Malecha” uniósł ręce. – Ale jakąś świadomość ich istnienia pan ma, co?

Skinąłem od niechcienia głową.

– Na odwrót było nieco spokojniej. Ja po prostu wyciągnąłem go z szamba, w jakie wpadł. Złapali go po napadzie, kiedy próbował się jakoś zaczepić w tej nowej dla siebie rzeczywistości. Dostał wyrok, a kiedy wyszedł, nie miał niczego ani nikogo. Nie miał kolegów, nie miał gdzie spać, nie miał dokąd pójść, nawet wysrać się nie miał gdzie, rozumie pan? Nie miał nic. Postanowił więc

sobie, że zapije się na śmierć. Wybrał ławkę w parku niedaleko miejsca, gdzie miałem wtedy swoją firmę, w centrum, na Śląskiej. Zgromadził zapas alkoholu: wybrane i ukradzione butelki wódki. I zaczął pić. Przechodziłem obok i zobaczyłem obszarpańca ze stojącą obok ławki reklamówką, z której wystawały szyjki butelek. Zatrzymałem się na chwilę, bo moją uwagę zwrócił jeden szczegół... – Zawiesił głos, więc uznałem, że teraz wypada zapytać, co to był za szczegół.

– Jaki?

– Maleńki znaczek w klapie tego czegoś, co udawało marynarkę, którą na sobie miał. Siedmiopłomienny granat Legii Cudzoziemskiej. Zapytałem go o to. Wybełkotał, że to jedyna cenna rzecz, jaka mu została. W ogóle jedyna rzecz, jaką ma. Wyjawiał mi swój plan przeniesienia się na tamten świat. Taka dziwna sytuacja: przegrany człowiek w ostatnim odruchu szczerości wyznaje obcemu powód, z którego zamierza targnąć się na swoje życie. Zapewne zrobił to tylko dlatego, że był już pijany, a może wzruszył się tym, że ktoś obcy zainteresował się jego losem? Nawet nie wiem, nie pytałem go o to później. Nigdy do tego nie wracaliśmy. No więc, kiedy już opowiedział mi swoją historię, ja zaproponowałem mu przełożenie tego, co zamierzał zrobić, na bliżej nieokreśloną przyszłość. Pamiętam jego wzrok, kiedy się zastanawiał. Przysięgam panu, bił się z myślami. A potem chuchnął na tę odznakę legionisty,

wytarł ją mankietem i zapytał: „Co konkretnie może mi pan zaproponować, *monsieur*?”. Więc złożyłem mu swoją propozycję. Powiedział tylko: „Maszeruj albo giń”. I został ze mną. Na próbę. Potem była akcja na Kolumba i został na zawsze. Był ze mną przez tyle czasu... Jasne, że to była swego rodzaju zależność, ale z biegiem lat zbliżyliśmy się do siebie. Ufaliśmy sobie bez zastrzeżeń. Bez najmniejszych, rozumie pan? Takie rzeczy zbliżają ludzi, nawet nie wie pan, jak bardzo.

Nagle zrozumiałem, dlaczego tak bardzo mi zależało na Milenie. To już nie był domysł; słowa Leśniewskiego uświadomiły mi to z całą mocą.

Chrząknąłem i poprawiłem się w fotelu.

– Aż w końcu nadeszła ta bliżej nieokreślona przyszłość, którą odłożył wtedy w parku na później, co? – zapytałem.

– Na każdego kiedyś przyjdzie jego czas – rzucił Leśniewski filozoficznie, a ja, jak zwykle w takich chwilach, musiałem powstrzymać się, żeby nie sięgnąć ręką do blizny na głowie.

– Jaka smutna historia o przyjaźni na śmierć i życie. – Westchnąłem. – Jak z Dumasa.

– Może pan sobie drwić, ale mówiłem panu: ja patrzę na to zupełnie inaczej.

– Zgadza się i rozumiem to. Cieszę się również, że mi pan to wszystko opowiedział, bo to pozwala mieć nadzieję na wyjaśnienie pewnych trapiących mnie wątpliwości.



W takim razie, kiedy już wiem, co was obu łączyło, zadam teraz panu kilka pytań dotyczących Lichoty. Mogę?

– Proszę bardzo. – Buty nie zniknęły, mimo że Leśniewski podciągnął nogi, dalej widziałem ich podwinięte noski, zadarte jak u dumnej albo zadowolonej z siebie świnki.

– Został pan zatrzymany po tym, co się Lichocie przydarzyło w tym gabinecie...

– Miał pan pytać o Jurka? – Okulary błysnęły zielonkawym refleksiem odbitego światła, kiedy gwałtownie poruszył głową.

– Owszem, i to jest pytanie o niego, ale nie pozwolił mi pan dokończyć...

– Przepraszam, jestem trochę przewrażliwiony na tym punkcie. – Znow zerknął na córkę. – To naprawdę nie było miłe...

– Oczywiście, mówił mi pan o tym przed chwilą – odparłem grzecznie, choć rzecz jasna nie miałem pojęcia, jakie uczucia stały się udziałem Leśniewskiego w związku z pobytem na PdOZ. – Ale chodzi mi o to, że powodem pańskiego zatrzymania był ewidentny związek z Lichotą, jakkolwiek byśmy go nazwali: przyjacielski, zawodowy, nieważne. Na tym opierały się zarzuty...

– Kompletnie bezsensowne. O tym też panu mówiłem, prawda?

– Owszem. I fakt, że pan został zwolniony, to potwierdza. Więc w dalszych rozważaniach przyjmujemy,

ze wizyta Lichoty w tym gabinecie psychoterapii nie miała absolutnie żadnego związku z panem.

– Zgadza się. I tu nie chodzi o to, że prokurator nie był w stanie udowodnić tego związku. Nie mógł go udowodnić, bo takiego związku naprawdę nie było, rozumie pan? Na szczęście sąd...

– On chodził na terapię? – przerwałem mu, bo nie chciało mi się słuchać historii, która zawsze brzmiała tak samo, niezależnie od tego, czy ktoś był winny, czy nie był.

„Malecha” parsknął śmiechem, rzucając się w fotelu jak człowiek z kamicą nerkową tknięty paroksyzmem bólu.

– Nie. Nie chodził na terapię – powiedział z rozbawieniem, a duża, łysa głowa kręciła mu się na boki, świecąc plamami światła odbitego na powierzchni gładko wygolonej skóry.

– Jest pan pewien?

– Tak. Raczej tak. Wiedziałbym o tym, tak jak wiedziałem o wszystkim. – Zastanowił się przez chwilę i dodał z lekkim zaskoczeniem: – Cholera... Naprawdę, wiedziałem o Jurku wszystko.

– To po co tam poszedł?

Leśniewski sam wpadł na to, że w świetle tego, co oznajmił mi przed momentem, jego odpowiedź zabrzmiała co najmniej głupio. Twarz stężała mu w wyrazie skupienia.

– Dobrze: inaczej. Nie musiał chodzić na żadną terapię, bo nie miał ku temu żadnych powodów. Był

szczęśliwy, miał wszystko, czego potrzebował od życia, tak to określimy. A jego potrzeby nie były jakieś wygórowane, wystarczyło mu, że może dobrze się ubrać i od czasu do czasu dobrze podjeść. Wyrzutów sumienia raczej nie miał, mówię o rzeczach, które robił w Legii i o których mi czasem po wódce opowiadał. Płaciłem mu nieźle, nie musiał się martwić o dach nad głową, wikt, opierunek...

Nie miałem pojęcia, że ktoś jeszcze w ogóle używa tych słów, a tu proszę...

– Kwestie rodzinne? – wtrąciłem. – Toksyczna matka, ojciec alkoholik z ciężką ręką? Taki polski standard, a może nawet i niepolSKI? Może to w nim siedziało?

Leśniewski prychnął.

– Matka zostawiła go swojej siostrze, kiedy miał trzy lata, i uciekła z jakimś fagasem za granicę, zresztą jego ojciec posuwał je obie, bo mieszkali razem w jakiejś melinie. Myśli pan, że Jurek miał z tym problem? Nie miał. Oni wszyscy przestali dla niego istnieć, kiedy miał piętnaście lat. Uciekł z domu i zamieszkał u jakiegoś dalekiego wuja do czasu osiągnięcia pełnoletności. Czytał książki, pracował fizycznie... A niedługo potem wzięli go do „syfu” i więcej nie widział na oczy nikogo z nich, bo od razu po wojsku uciekł na Zachód i zaciągnął się do Legii.

– Myli się pan. „Oni” nigdy nie znikają. Może z oczu, ale nie z głowy. Zostają w niej na zawsze. I po to są na świecie psychoterapeuci. Żeby to uświadomić.

– To pan się teraz myli. Jemu nie trzeba było tego uświadamiać. On to wiedział i bez psychoterapeutów. I nie miał z tym problemu.

– To po co tam poszedł? – powtórzyłem.

– No dobra... – powiedział powoli Leśniewski, wyraźnie waząc słowa. – Widzę, że pan nie ustąpi. Otóż... Mieliśmy z Jurkiem pewien układ. Mój mecenas zabronił mi mówić o takich rzeczach, ale panu mogę zdradzić, bo i tak jakby co wyprę się tego. Nie nagrywa mnie pan przecież...

– A skąd pan to wie?

– Wiem. – Uśmiechnął się z wyższością. – Niech mi pan wierzy, że wiem to z całą pewnością.

– Okej – mruknąłem. – W takim razie słucham.

– Jurek święty nie był i potrzebował czasem adrenaliny. U mojego boku było raczej spokojnie, rozumie pan? A jego nosiło. Nie wystarczało mu jeżdżenie na strzelnicę, szarpanie się gdzieś w amatorskim klubie sportów walki, on potrzebował czasem czegoś innego. Czegoś, czego przy mnie nie miał.

– Czyli?

Leśniewski złożył usta w ciup i spojrzał w sufit.

– Nasz układ polegał na tym, że od czasu do czasu pozwalałem mu na trochę swobody. Czasem ktoś zgłaszał się do niego... Ktoś z miasta, albo ktoś z Polski, i prosił go o jakąś przysługę. Nastraszenie kogoś, asystę przy dużej transakcji... Wie pan, pełno jest ziomali, którzy uważają

się za herosów tylko dlatego, że kilka razy wpierdolili komuś na macie albo na podwórku czy pod wiejską dyskoteką. Ale takich ludzi jak Jurek, z takim doświadczeniem, niewielu. Ruskich bił na głowę, bo Ruskowi nie można ufać: po pierwsze, nie da rady go sprawdzić, a po drugie... Po drugie, Rusek to Rusek. To samo z tymi z Bałkanów i z ciemnymi z Zakaukazia. A on... Był znany. Sprawdzony. I pewny. Umowa między nami była taka: nie wikła się w rzeczy, które mogą zaszkodzić moim interesom. I nie zabija ludzi. Nie przyjmuje zleceń na odpalenie, bo kiedy go za to dupną, ucierpię również ja, a tego sobie nie życzyłem, rozumie pan? Miał mnie o każdym zleceniu zawsze informować, ja miałem prawo się nie zgodzić, jeśli uznałem, że to w jakiś sposób uderza we mnie. Taki był układ. Gdyby mu to nie pasowało, zawsze mógł odejść. Ale nie odszedł. Jak do tej pory ten układ się sprawdzał... Legionistę cechującą odwaga i lojalność, powtarzał... Tak często, że mnie czasem wkurzał, ale on w to święcie wierzył, bo to właśnie wpoili mu w Legii.

– „Jak do tej pory”, tak pan powiedział o tym waszym układzie? – zapytałem.

– Owszem, tak powiedziałem. Bo tym razem o niczym nie miałem pojęcia. – Leśniewski popatrzył mi w oczy. – Jurek o niczym mi nie powiedział. Nie wiem dlaczego. Cały czas pytam sam siebie, czemu do tego doszło. Tak głupio zginąć... Kurwa, w głowie się nie mieści. Wie pan,

co on przeżył w tej cholernej Legii Cudzoziemskiej? A tu nagle zastrzeliło go jakieś babsko. W dodatku z jego własnego pistoletu. Ale by się Jurek uśmieł, gdyby jakimś cudem mógł o tym wiedzieć...

– Dla kogo Lichota wykonywał zlecenia? Mówił panu?

Nikły uśmiech pojawił się na wargach Leśniewskiego.

– Oczywiście, że mówił, to była część naszego układu. A co, chce pan, żebym zaczął teraz rzucać nazwiskami?

– Chętnie kilka usłyszę. „Zięty” na przykład...

– To nie jest dobry przykład. – Uśmiech zniknął, a twarz spochmurniała. – Tomek nie żyje, więc nie ma o czym mówić.

– Ale Lichota coś dla niego robił?

– Nie. Tomek miał własnych ludzi.

– Ziętek próbował pana wciągnąć w handel narkotykami – przypomniałem.

– Poszedł w swoją stronę, jego sprawa. Łączyła nas przyjaźń i tyle. Byłem głupi, prawie mu uległem, przyznaję. Boże, mało co zostałem gangsterem... Chciwość nie jest dobra, za to odbiera rozum. Miałem szczęście, że nie mogłem wtedy być w tym magazynie. Potraktowałem to jako szansę od losu i myślę, że dobrze ją wykorzystałem. Najlepiej, jak umiałem. W każdym razie więcej nie przyszło mi do głowy babrać się w prochach.

„Malecha” milczał przez chwilę, wpatrzony w swoją ścianę chwały za moimi plecami, a potem spojrzał na

mnie i wskazał ją palcem.

– Jak się tak dobrze zastanowić, to Jurek też był elementem tej gry, o której panu mówiłem, wie pan? On dodawał mi prestiżu. Bez wątpienia.

Chciałem zapytać, wobec której grupy klientów Lichota reprezentował ten prestiż, ale nie zapytałem. Przyjaźń to przyjaźń. Nie będę ranił uczuć faceta, który stracił przyjaciela, tylko żeby mu dla zasady dowalić. Nawet jeśli to ktoś taki jak Leśniewski.

– A jakieś inne nazwiska?

– Są takie, które nic panu nie powiedzą, są również znane, o których z kolei ja nie chciałbym panu mówić.

– Nie pomaga mi pan.

– Owszem, pomagam. Sam fakt, że pan tu jest, o tym świadczy. Niech pan nie nadużywa mojej gościnności.

– Pozwoli mi pan przeszukać pomieszczenie, w którym mieszkał Lichota?

Leśniewski wybuchnął śmiechem.

– Pan daruje, ale to już byłaby przesada. Zresztą tam już nie ma czego szukać. Policja przeszukała i zabrała niemal wszystko.

– Na pewno nie wszystko. – Przypomniałem sobie kosz na bieliznę w mieszkaniu Mileny. – Coś mogli przeoczyć.

– Możliwe – przyznał Leśniewski. – Ale mimo to wciąż twierdę, że to nie ma sensu. Kiedy mówię „nic”, to mam na myśli „nic”. Nie zostało NIC, rozumie pan? Ubrania

oddałem do MOPR-u, a to, czego nie zabrały gliny, wyrzuciłem i spaliłem. Wszystko. Przyda się teraz dodatkowe pomieszczenie w domu, dziewczynki rosna, wreszcie będą miały osobne pokoje.

– A gdzie sentyment do przyjaciela? – zapytałem zdziwiony.

Zdziwiony byłem również tym, że w domu biznesmena Leśniewskiego nie ma tylu pokoi, ilu można by się spodziewać. Czyli mnóstwa, a przynajmniej tylu, by każdy z mieszkańców miał swój. A może to kwestia zasad czy wygody, albo wręcz jakichś wyjątkowych metod wychowawczych?

– Owszem, mam sentyment. Ale do niego, a nie do jego gaci, skarpetek czy garniturów. Co, mam to trzymać jako relikwie? O, przepraszam, trochę pana okłamałem. – Zmarszczył brwi. – Zatrzymałem sobie jeden drobiazg. Ten granat, siedem płomieni, znak legionisty. Na pamiątkę.

– W porządku, pańska sprawa. A gdyby pan tak zaczął rozmyślać nad tym, dlaczego Lichota nie poinformował pana o najnowszym zleceniu... Nasunęłyby się panu jakieś wnioski?

– Żadnych. Nie będę spekulował. To nie ma sensu, więc skończmy temat. Mam rzucić panu coś na odczepnego? Jesteśmy poważnymi ludźmi, prawda? Po prostu kompletnie nic nie przychodzi mi na myśl. Jurek nie zdradził się nawet słowem. Nie chcę, żeby pan myślał,



że coś przed panem ukrywam. Skoro zadeklarowałem szczerą, to nie widzę powodu, żeby o jednym mówić, a o drugim nie. Dlatego powiedziałem panu wszystko...

– Doceniam to.

Powiedziałem to szczerze. Przecież mógł od razu, kiedy tylko do niego przyszedłem, kazać mi spieprzać.

Leśniewski rozparł się wygodnie w swoim fotelu, miał zadowolony wyraz twarzy, szeroki uśmiech i ręce złożone na piersiach. Wyglądał dobrotliwie i tak jakoś duszpastersko.

– Nie dziwi pana, że tak sobie rozmawiamy? – zapytał nagle, rozluźniając się nieco. – Że przyjąłem pana u siebie, że opowiedziałem praktycznie wszystko o Jurku?

– Przyznaję, trochę jestem zaskoczony. Ale tłumaczę to sobie tym, że po pierwsze, rzeczywiście nie ma pan nic do ukrycia, a po drugie, dopuszczam możliwość, że mimo dzielących nas różnic światopoglądowych i pańskiej niezbyt chlubnej przeszłości oraz teraźniejszości jest pan facetem do rzeczy.

– O, to całkiem miłe z pańskiej strony. Mam teraz zaproponować przejście na „ty”?

Roześmiałem się.

– Nie, dziękuję, może jednak utrzymajmy *status quo*. Ale skoro już pan zaczął temat, to może pan zaspokoić moją ciekawość i odpowiedzieć mi na pytanie, które przed chwilą sam pan zadał. Jaka jest przyczyna tej nadzwyczajnej szczerości wobec byłego gliniarza?

– Szacunek – odpowiedział błyskawicznie i całkiem serio. – Szacunek, jaki do pana żywię. Pamięta pan to, co stało się pod „Kafe Tango” w zeszłym roku?

– Oczywiście. To była jedna z najgłupszych rzeczy, jakie zrobiłem w życiu.

– Możliwe, nie będę się kłócił, przecież nie mam pojęcia o pańskim życiu. Ale zgadzam się, to nie było za mądre, a mówię to, wiedząc, kim był Jurek Lichota i na co go było stać.

– Ja też o tym mówię – zgodziłem się. – Przede wszystkim o tym.

– Pomogłem wtedy panu trochę, prawda?

– Nooo, powiedzmy. Po tej rozmowie wykluczyłem pewne fakty, więc można powiedzieć, że tak, że trochę mi pan pomógł. Lichota również...

– Sam pan widzi. A wie pan, dlaczego panu pomogłem? Dlaczego w ogóle chciałem panu pomóc?

– Bo miałem w ręku glocka „Lichego”? – zapytałem niewinnie.

– Też. Ale umówmy się, mogłem pana zbyć półsłówkami, kazać się odpierdolić, przecież i tak nic pan by wtedy na to nie poradził. – Przez chwilę miałem dziwne wrażenie, że Leśniewski czyta mi w myślach. – Teraz również mógłbym to zrobić: kazać się panu odpierdolić. Ale tego nie robię. Pańskie wyjaśnienia dotyczące stanu psychicznego brzmiały wówczas całkiem przekonująco, ale ja i tak wiedziałem, ba! byłem tego

pewien, że pewnej granicy pan nie przekroczy. To całe wymachiwanie bronią było trochę na pokaz, prawda? Nie wynikało ze strachu, braku strachu czy tego pana stanu psychicznego, tylko zasad. Bo pan jest człowiekiem z zasadami. I pan to udowodnił, wsiadając do mojego samochodu w ten nieco dziwny sposób. Zaimponował mi pan. Zaimponował mi pan przede wszystkim swoją determinacją. Wiedziałem, kim pan jest; kiedy pan się wtedy przedstawił, przypomniałem sobie, znałem pańską historię, bo rozpisywały się o niej gazety. I ta determinacja w poszukiwaniu zabójcy swojej rodziny to właśnie było coś, co sprawiło, że zgodziłem się z panem porozmawiać. A umówmy się, wcale nie musiałem, i obaj o tym doskonale wiemy. Nie tak?

– Nie wracajmy już do tego. – Nigdy nie przyszło mi do głowy przeczytać tego, co pisały o mnie gazety; wystarczył mi film z monitoringu w Probstheide. – Niech pan po prostu powie, o co chodzi.

Pochylił się nad blatem i przybliżył twarz ku mnie. Przez to szkło, które miał pod łokciami, wyglądał trochę, jakby górna połowa ciała lewitowała nad kolanami wbrew prawu ciężenia i ludzkiej anatomii.

– Powiem panu, o co mi chodzi. Chodzi mi o pańską córkę...

Przełknąłem ślinę. Bałem się, że Leśniewski poinformuje mnie za chwilę, że Agnieszka go znała

i chodzili razem na imprezy. A już zaczynałem go trochę lubić...

– Wciąż nie wiem, za jakiego człowieka mnie pan ma, ale powiem panu, że jestem człowiekiem rodzinnym. *Family man* to ja. Rodzina jest dla mnie świętością. Tak jak była dla pana. Też mam w najbliższej rodzinie same kobiety. To specyficzna sytuacja; moim skromnym zdaniem sam fakt, że to kobiety, nadaje miłości do nich specyficznego charakteru, bo płeć ma znaczenie nawet w przypadku rodzica: inaczej syn kocha ojca, inaczej matkę i na odwrót, z córkami jest tak samo... Przepraszam, że pytam: pańska matka żyje?

– Nie – odparłem krótko.

– Rozumiem, rozumiem... Matka, żona... – Cmoknął kącikiem ust. – Pewnie, że można być dobrym synem i kochać własną matkę całym sercem. Pewnie, że można być kochającym mężem, dobrym i czułym dla swojej żony. Nie wątpię, że jest pan, czy, proszę wybaczyć, był pan tego rodzaju człowiekiem: kochającym i dobrym dla swojej matki i żony, kiedy żyły. Ja jestem. Ale dziecko to co innego, rozumie pan?

– Nie, jeszcze nie.

Naprawdę nie rozumiałem. Z tego, co wiedziałem, „Malecha” lubił zaliczać poznane w klubach dziewczyny. Robił to podobno pasjami. Nie wiem, jak w kwestii matki, ale to byłoby tyle, jeśli chodzi o bycie dobrym i czułym mężem dla swojej żony. Po chwilowym namyśle

stwierdziłem, że nie będzie kocioł przyganiał garnkowi. Były czasy, że sam smoliłem, aż miło. Uznałem, że akurat za to Leśniewski nie będzie u mnie miał minusa.

– Już panu mówię, o co chodzi. Otóż z dzieckiem jest inaczej. Wie pan, widziałem kiedyś taki film, chyba Kutza... Co, zdziwiony? Tak, wiem, kto to jest Kutz, niech pan sobie wyobrazi.

– Przecież nic nie mówię?

– Nie musi pan. – Leśniewski uśmiechnął się, ale ten uśmiech nie był nawet kpiący, raczej wyrozumiały. – *Ludzie z pociągu*, taki był tytuł tego filmu. Środek wojny, przypadkowi ludzie w pociągu stojącym na stacji, *Bahnschutz*, który zgubił broń, i oficer SS, szukający partyzanta, który ponoć tę broń ukradł. Szwab stawia tych wszystkich ludzi w szeregu, idzie wzdłuż niego i wybiera co którąś osobę. Jeśli partyzant się nie ujawni, ci wylosowani zostaną rozstrzelani. Ci, na których padło, szarpią się, buntują, nie chcą wystąpić, bo wiedzą, że pójdą pod ścianę. Jest tam starszy człowiek, który odtrąca sięgającą do rękawa jego palta rękę esesmana i z godnością sam występuje przed ten szereg. I jest tam para, ona i on. Kochają się. Przez cały film byli czuli dla siebie, widać, że to wielka miłość. I wtedy ta wyliczanka trafia na nią. Ona ogląda się na niego, kiedy esesman wyciąga ją z szeregu, błaga oczami, żeby coś zrobił, ale on stoi obojętnie, udając, że jej nie zna. Ona patrzy na niego, jakby ją wręcz temu esesmanowi podstawił, ratując siebie

samego. A on patrzy tylko gdzieś w dal. Strach przed śmiercią zabił miłość w jednej chwili. A może to nie była miłość, nie wiem. Może on ją lubił po prostu posuwać, ale w tamtych czasach takich rzeczy się w filmach nie pokazywało. I może on faktycznie ją podstawił, kiedy zorientował się, jaki klucz stosuje esesman przy wyborze ofiar, kto wie? Ale do czego zmierzam?

Też od jakiegoś czasu zadawałem sobie to pytanie.

– Czy zastanawiał się pan kiedyś, oczywiście czysto hipotetyczne, co by pan zrobił, gdyby przyszli Niemcy i taki esesman wylosował pana matkę albo żonę? Co-by-pan-zrobił? Zaczął go błagać, żeby zamiast niej wziął pod mur pana? Pana życie za jej życie? Czy udawałby pan, że jej nie zna? Stałby pan w miejscu, starając się, żeby nie drgnął panu ani jeden mięsień twarzy i dziękował Bogu, że nie padło na pana? Zadaję teraz to pytanie panu i liczę na uczciwą odpowiedź.

Zagryzłem wargi. Wyglądało na to, że wbity w drogi garnitur omałocogangster usiłował wciągnąć mnie w dysputę o moralności. Ale czemu nie, przecież miałem czas. Trochę...

– Nie oglądałem tego filmu – powiedziałem.

– To nieistotne. Musiał pan sobie kiedyś zadać tego rodzaju pytanie, prawda?

Miał rację. Zadawałem sobie takie pytania, a przynajmniej podobne. Kiedyś, kiedy jeszcze miały sens.

– Nie wiem – odparłem. – Chciałbym odpowiedzieć, że tak; oczywiście, że tak, ale skłamałbym. Daję panu uczciwą odpowiedź: nie wiem. I chyba nie chcę wiedzieć. Nie byłem w takiej sytuacji. Bałbym się.

– Otóż to – przerwał mi. – Bałby się pan również swojej reakcji, co? Z jednej strony miłość, męstwo, bohaterstwo, którego wymaga się od głowy rodziny, od mężczyzny, a z drugiej strony zwykły ludzki strach przed śmiercią, chęć przeżycia za wszelką cenę, silniejsza niż wszystko inne. To instynkt, chęć przetrwania. Ja zadawałem sobie to pytanie kilka razy od czasu, kiedy obejrzałem ten film. Moja odpowiedź na to pytanie była podobna do pańskiej, a przecież kocham swoją matkę i kocham swoją żonę. Uczciwie: nie miałem pojęcia, co bym zrobił. Obawiam się, że bym stchórzył. Tak, to całkiem możliwe. Nie wiem, czy potem mógłbym z czymś takim żyć, ale to już inna sprawa.

– „Była podobna”? – zapytałem. – „Nie miałem pojęcia”?

– Brawo! – Leśniewski aż klasnął w dłonie. – Zwrócił pan uwagę na czas przeszły. Bo to się trochę zmieniło. Oczywiście wciąż targają mną te same wątpliwości, co zrobiłbym, gdyby chodziło o matkę czy żonę. Niech pan im tylko tego, broń Boże, nie mówi. – Mrugnął do mnie z uśmiechem i nagle spoważniał. – Ale pojawiły się na świecie moje córki, najpierw pierwsza, potem druga i wreszcie trzecia. – Wskazał kanapę, dziewczynka wciąż

miała słuchawki na uszach, a jej kciuki przesuwają się po tablecie. – I przypomniałem sobie ten film pewnego wieczoru, kiedy usypiałem Andżelikę. I wie pan co? Z zaskoczeniem uświadomiłem sobie, że w ich przypadku nie miałbym żadnych wątpliwości, rozumie pan? Żadnych! Gdybym mógł oddać swoje życie za życie którejś z córek, zrobiłbym to bez chwili wahania. Jeszcze byłbym pewnie szczęśliwy, że ten pierdolony esesman dał mi szansę jej uratowania. Nieważne, że ja będę martwy, ważne, że ona będzie żyć! Oto potęgą miłości do dziecka! Pamięta pan, jak cała Polska kibicowała Salecie, kiedy oddawał nerkę swojej chorej córce? Martwili się, że ryzyko, dla niego również... Pewnie, też się martwiłem, w końcu i ja mam córkę, to naturalne, że takie rzeczy odnosi się do siebie. Mówili, że taki odważny, że pełen poświęcenia... A ja się pytam: co, kurwa, miał zrobić? Powiedzieć, że nie da, bo boi się szpitali? Albo że on też kiedyś może zachorować na nerkę i lepiej, żeby miał jednak obie? Co innego mógł zrobić prawdziwy ojciec kochający swoją córkę, niech mi pan powie? Pan by się nie poświęcił?

Pytanie zawisło w ekskluzywnej przestrzeni biura. Popatrzyłem na córkę Leśniewskiego siedzącą na kanapie. Potem spojrzałem ponad jej głową na widoczne przez przeszklenie Wały Chrobrego i na marinę na Wyspie Grodzkiej. Później przeniósłem wzrok wyżej, na szczyty wież, a jeszcze później na błękitne niebo ponad



Wałami, ponad wyspą i ponad wieżami. Był piękny letni dzień.

A potem dziewczynka z wymiotowała.

To stało się całkowicie niespodziewanie. Po prostu siedziała z podciągniętymi pod pośladki nogami i żując gumę, słuchała muzyki z tabletu, a w następnej sekundzie krztusiła się wymiocinami, usiłując złapać oddech. Przez chwilę patrzyła na pobrudzony tablet i spodnie, a potem zaczęła płakać. W powietrzu rozniósł się charakterystyczny kwaśny zapach.

Spojrzałem zdziwiony na Leśniewskiego. Jego twarz zastygła w wyrazie zaskoczenia, przestrawienia i czegoś jeszcze. A potem rzucił się w stronę córki i przytulił ją, nie zważając, że jego drogi garnitur od tej chwili będzie się nadawał do pralni chemicznej. Szlochała mu w szyję, a on uspokajająco gładził ją po włosach. Patrzyłem na to przez chwilę, a w gardle czułem miękką kulę blokującą dopływ powietrza.

Leśniewski popatrzył na mnie znad ramienia wtulonej w niego córki.

– Przepraszam, ale muszę pana pożegnać i zająć się Andżeliką... – powiedział. – Mój pobyt w areszcie nie wpłynął na nią zbyt dobrze, chyba pan to rozumie? Zwłaszcza teraz? Ma rozstrój żołądka i nerwicę. A to przecież dziecko...

Drgnąłem.

– Oczywiście. – Chrząknąłem. – Dziękuję za rozmowę. Rozumiem, że jakby co, mogę się jeszcze z panem skontaktować w sprawie Lichoty?

Skinął głową, nie przestając gładzić córki po włosach.

– Oczywiście, wizytówka leży na biurku, tam jest mój prywatny telefon. Niech pan ją sobie weźmie. Aha, jeszcze jedno... Zorientował się pan, o co mi chodziło? Z historią o ludziach z pociągu i reszcie?

– Szczerze mówiąc, wolałbym, żeby pan to jeszcze doprecyzował – odparłem, zabierając ze szklanego blatu biurka wizytówkę.

– Jesteśmy pod pewnymi względami do siebie podobni, wie pan? Bardzo. – Uśmiechnął się słabo. – I ja zauważyłem to już wtedy, w samochodzie pod „Kafe Tango”.

Pokiwałem głową, nie mając pojęcia, co innego mądrego mógłbym powiedzieć czy zrobić, i wyszedłem z biura.

Opuszczałem budynek „Lastadii” z mieszanymi uczuciami. To dość niezwykle usłyszeć od kogoś takiego jak Jarosław „Malecha” Leśniewski, że się jest do niego podobnym. Brakowało tylko, żebyśmy zawarli braterstwo krwi. Wyobraziłem sobie przez chwilę, jak wyciąga z kieszeni scyzoryk, nacina sobie opuszkę kciuka i podchodzi do mnie, wręczając mi nóż i zapraszając, bym zrobił to samo co on, a potem przyłożył swój kciuk do jego. Ale Leśniewski się mylił. Wciąż nie wiedziałem

dokładnie, co miał na myśli, ale wiedziałem jedno: na pewno nie byliśmy do siebie podobni. Absolutnie. Jeśli chodzi o pewne fundamentalne zasady, którymi rządziły się nasze światy, to byliśmy na dwóch przeciwległych biegunach.

Wychodziłem od Leśniewskiego z niczym.

Wychodziłem nieco rozbawiony rozmową na dość wysokim poziomie, zważywszy na profesję człowieka, z którym ją toczyłem, a także zdjęciem z Kwaśniewskim i Gepardem Biznesu. Lekko zniesmaczony widokiem wymiotującego dziecka i rozczulony widokiem ojca przytulającego córkę. Wychodziłem stamtąd z opinią o tym człowieku o wiele lepszą niż ta, którą miałem o nim, wchodząc do jego biura.

Ale nic nie uzyskałem. Wciąż nie wiedziałem, kto i po co wynajął Lichotę, żeby złożył Milenie tę fatalną w skutkach wizytę...

Kiedy wyszedłem na zewnątrz, spojrzałem na słońce. Ostry blask oślepił mnie na chwilę i w tym samym momencie przyszło mi coś do głowy. Istniała jeszcze jedna opcja, którą chyba też musiałem brać pod uwagę. Założenie, że Lichotę ktoś do Mileny wysłał, mogło być z gruntu fałszywe.

Przecież nikt nie musiał go do niej wysłać. Teoretycznie Lichota mógł do niej pójść z własnej inicjatywy. A jeśli tak, to sprawa rozwiązała się sama. Na zasadzie: nie ma Lichoty, nie ma sprawy.

Tylko kto mógłby to potwierdzić? Przecież nie  
Lichota...

## IV

Dałem sobie tydzień na znalezienie Mileny. Ten tydzień miał być również wakacjami, których zwykle odmawiałem sobie co roku, tłumacząc Joli tę odmowę chęcią odpoczynku od wszystkiego; nie tylko od pracy, ale i męczących wyjazdów, głośnych tłumów, palącego słońca, ulewnego deszczu, straganów z badziewiem, grajdołów na plaży, smrodu spoconych i niemytych ciał, frytek na przepalonym oleju, os, biedronek, meszek, much, kleszczy i komarów. Złamałem się tylko ze trzy razy, a tak cały urlop spędzałem zwykle w domu. Jola z Agnieszką jechały sobie nad morze albo w Bieszczady, a mnie było tak dobrze. To się jednak zmieniło. Teraz nie było już dobrze. Brakowało Joli, brakowało Agnieszki, zamiast nich był Promo, który wypełniał mi pustkę życia swoimi czterdziestoma pięcioma kilogramami życzliwości, ciepła i kłaczącej się sierści. Uznałem więc, że nadarza się okazja, żeby coś zmienić.

Szanse na odnalezienie Mileny w Świeradowie, pomijając brak pewności, że rzeczywiście chodziło o Świeradów, a nie na przykład o Świerzawę czy inny

Świerczów, były nikłe. Taka prawda. Jeśli jednak Wojtuś niczego nie pokręcił, a ja dobrze odczytałem mętne zeznania dwunastolatka spiętego rozmową z policjantem, czy tam byłym policjantem, to stawiałbym jednak na ten Świeradów. Był jedynym „źródłem”, leżał w górach, za cholere nie wiedziałem tylko, jak pośród czterech i pół tysiąca jego mieszkańców i niepoliczalnej liczby spędzających tam wakacje turystów i kuracjuszy odnaleźć ciotkę Renatę. Ale nie poddawałem się. Szanse były i należało je wykorzystać – siedzeniem na tyłku w Szczecinie nie działałbym niczego, a tak przynajmniej mogłem liczyć na łut szczęścia. Niczego innego, prócz nadziei na ten łut, nie miałem. Choć, jak okazało się niedawno w Ahlbeck, nadzieja nie jest matką głupich. A może właśnie jest, ale to przecież głupi mają zawsze szczęście, a nadzieja... itd. Ostatecznie mógłbym spróbować poprosić Jacka Mołczuna o pomoc: ustaliłby policyjnymi kanałami adresy mieszkających w Świeradowie osób o nazwisku Korcz lub panińskim nazwisku Mileny, jeśli po pierwsze, Korcz nim nie było, a po drugie, ciotka Renata była siostrą Mileny, a nie jej męża. Problem pojawiłby się, gdy ciotka nie była prawdziwą ciotką albo nie chodziło jednak o Świeradów. Lub gdyby Milena w ogóle tam nie pojechała, jak przypuszczałem. Ale poproszenie Jacka o pomoc było równoznaczne ze skierowaniem maszyny pościgu

w konkretnym kierunku, a tego pragnąłem uniknąć. Chciałem znaleźć Milenę sam. Zanim zrobi to policja.

\* \* \*

Świeradów to nawet urokliwe i dość rozległe miasto, pełne nieco zaniedbanych poniemieckich domów o typowo uzdrowskiej architekturze, z połamaną geometrią usianych lukarnami dachów i z oknami wypełnionymi szprosami aż do przesady. Pomędzy te nadgryzione zębem czasu klejnociki architektury uzdrowskiej powciskano wybudowane góra kilkanaście lat temu budynki o urodzie maszkar, udające bez żenady za pomocą dwuspadowych, krytych blachą dachów, że stoją tam dobre półtora wieku. Siatka ulic rozpostarta na pofałdowanej płaszczyźnie północno-wschodnich zboczy Gór Izerskich była równie chaotyczna jak zabudowa i sam nie wiem, co wynikało z czego i czy to w ogóle miało jakiś związek. Dobrze chociaż, że ich nawierzchnia była w większości nowa i równa, choć i tak strome ulice Świeradowa dały mi już wkrótce w kość i uświadomiły, jak bardzo zdziażdżałem w ostatnim czasie.

Miasteczko przywitało mnie przepiękną, upalną pogodą, która okazała się zdradziecką ciszą przed burzą. Około czternastej zameldowałem się z psem w pensjonacie „Santa Maria” położonym w pobliżu potoku o tej samej nazwie. Tuż przed tym nadciągające z nad szczytów od strony Sudetów lekko żółtawe chmury, które

nad Szczecinem rozwiałyby byle wietrzyk, ścisnęły się nad miastem i okolicą w bure kołtuny. Kiedy wdrapaliśmy się z Promo na drugie piętro i weszliśmy do naszego pokoiku, spód chmur wygładził się w jednolitą szarą masę, gruchnęło i lunął z nich deszcz. Lało tak i grzmiało bite dwie godziny – jednostajnie, monotennie i z mocą górskiego wodospadu. Kurort spłynął wodą, która zmyła ludzi do domów, hoteli i pensjonatów. Patrzyłem z okna na potoki deszczówki, niczym rwące rzeki sunące korytami o asfaltowym dnie i brzegach z granitowych krawężników, w które zmieniły się ulice. Byłem pewien, że w Szczecinie takie opady wywołałyby stan klęski żywiołowej, a władze miasta zmuszone byłyby poprosić o pomoc wojsko. Tu woda znikwała w rowach, studzienkach i ogródkach, a potem pojawiała się w zardzewiałych rurach odpływów, które sterczały z oskarpowanych brzegów kilku wpadających do Kwisy potoków.

Kiedy lekko się wypogodziło i znów powrócił zmyty deszczem upał, ruszyliśmy z Promo na rekonesans. Byłem uzbrojony w plan uzdrowiska, a w głowie miałem niezwykle chytry plan, polegający w uproszczeniu na odwiedzaniu wszystkich domów po kolei. Domów, ale również pensjonatów i hoteli. Nikt przecież nie powiedział, że ciotka nie może być właścicielem interesu tego rodzaju; w miejscu takim jak Świeradów wynajmem lokali zajmowała się pewnie co druga osoba. Szczegóły



planu zakładały po prostu pytanie o Milenę Korcz, w płonnej tak naprawdę nadziei, że jeśli trafię, to ktoś zidocieję do reszty i powie mi, że tak, taka pani mieszka w tym hotelu czy pensjonacie lub wynajmuje tu pokój. Lepszy taki plan niż żaden. W skrytości ducha liczyłem, że natknę się na Milenę gdzieś na deptaku czy w zaułkach miasteczka. Świeradów nie jest w końcu metropolią, a jeśli ktoś nie przyjechał w Izery jeździć na rowerze albo chodzić w góry, to pobyt w nim polegał przeważnie na kręceniu się wciąż tą samą ścieżką, wzdłuż deptaka. Za Mileną nie wystawiono listu gończego, więc może nie siedziała jak mysz pod miotłą, bojąc się wyściubić nos, żeby chociaż pójść po chleb. W końcu była z synem, który jak to dzieciak na pewno nie zniesie zamknięcia przez dłuższy czas. Będzie musiał wyjść. Na to też liczyłem, choć gdyby ktoś pytał, wolałbym się do tego nie przyznawać. To było naiwne i równie skuteczne jak listy do Świętego Mikołaja, które kiedyś z przejęciem pisałem, zanim dowiedziałem się od starszych kolegów, że gruby koleś z białą brodą i workiem prezentów jest obok kremu na zmarszczki i środków na porost włosów największym oszustwem na ziemi i że po prostu nie istnieje.

Pierwszy dzień, a ściśle rzecz biorąc pół dnia, nie był zbyt udany. Wyruszyliśmy na obchód po szesnastej, chodziliśmy po mieście prawie cztery godziny. Zdołałem odfajkować kilkadziesiąt pensjonatów i domów, ale

niczego nie osiągnąłem. Na ogół mój urok osobisty, upór albo nie wiem co powodowały, że w końcu udzielano mi informacji o treści: osoba o takim imieniu i nazwisku tu nie przebywa. Mojej policyjnej odznaki zdecydowałem się nie używać. Ktoś mógł wykazać się czujnością i zadzwonić na komisariat, żeby mnie sprawdzić, a to z pewnością zakończyłoby moje poszukiwania. Było po dwudziestej, kiedy zdecydowałem, że na dziś dość. Podejrzywałem też, że jutro zakwasy nie pozwolą mi na wiele więcej. Wróciliśmy więc do pensjonatu.

Wchodząc do „Santa Marii”, pozdrowiłem właścicielkę, która po godzinach siadała za kontuarem recepcji, pełniąc funkcję informacji, obsługi i nocnej recepcjonistki równocześnie. Była wdową o dość gburowatym sposobie bycia, a z tego, co zdążyłem się dowiedzieć, owdowiała dość wcześnie i od lat pędziła żywot równie samotny jak mój. Jej wygląd nie budził zaufania; kiedy miałem pięć lat, kobiety takie jak pani Stefania wzbudzały we mnie skrajne przerażenie, a sen, w którym wystąpił ktoś taki jak ona, kończył się moczeniem i zmianą piżamy i pościeli. Ale zgodziła się na pobyt Promo, czym zaskarbiła sobie moją dozgonną wdzięczność. W dobie walki o klienta taki gest był wiele wart i zdobywało się na niego już wiele hoteli, nawet tych, które miały o dwie gwiazdki więcej niż „Santa Maria”. Problem w tym, że gest ów kończył się na pięciu kilogramach, co z grona yorków i chihuahua wykluczało Promo już na starcie.

Pani Stefania nie widziała żadnego problemu, nie musiałem nawet za niego dopłacać, miałem tylko obiecać, że posprzątam wszystko, co pies wydali z siebie górą lub dołem w obrębie jej pensjonatu, włącznie z porośniętym wielkimi jodłami ogrodem. Zgodziłem się bez problemu, zwłaszcza że Promo nigdy nie zdarzyło się zanieczyścić żadnego pomieszczenia czy mojego ogródka. Wszystko robił w lesie, mam wrażenie, że poza lasem nie wycisnąłby z siebie nic, nawet kropelki, nie mówiąc o czymś grubszym.

W pokoju nalałem psu wody i położyłem się na łóżku. Obity sosnowymi deskami skos dachu wisiał nade mną jak nieodknięte wieko trumny, przykurzony i dziobaty od czarnych sęków, którymi był usiany. Kąty zapełniały resztki pajęczyn, ale nie przeszkadzały mi, dopóki nie było w nich zawartości, żywej lub martwej. Wpatrując się w nie, zauważyłem, że coraz mniej rzeczy mi przeszkadza. Podobno ludzie, którym niewiele przeszkadza, mogą mienić się ludźmi szczęśliwymi. To oznacza, że niewieloma rzeczami się przejmują i żyją zdrowiej, przynajmniej psychicznie. Zgrabne, ale nie wiem, czy w moim przypadku dokładnie o to chodziło. Promo położył się obok łóżka, prosto na podłodze. Tak jak i ja od jakiegoś roku, nie był wybredny. Miał w moim domu wygodne legowisko, ale widziałem, że nie potrzebował miękkich betów ani wygod. Być może nigdy wcześniej ich nie miał i dopóki nie zamieszkał ze mną,

nie wiedział nawet o ich istnieniu. A może wystarczały mu pokłady własnego tłuszczu, na których rozkładał swoje cielsko jak na wygodnym materacu?

Patrzyłem w okno, za którym rozpościerał się fantastyczny widok, jedyna rzecz, jaka zasługiwała w „Santa Marii” na więcej niż jedną gwiazdkę. Znów pierzyna z białawych chmur spływała nad Świeradów z biegiem Kwisy, wzdłuż doliny, anektując ją zachłannie, jak jezior lodowca wciskający się między stoki górskich szczytów. Deszczu nie usłyszeliśmy. Promo był przecież głuchy, a ja, kiedy pierwsze krople wody zaczęły bębnić o parapet i pokrycie dachu, spałem już jak zabity, zmęczony drogą i długim spacerem po mieście. A to miał być dopiero początek...

\* \* \*

Zwiewne obłoczki, sunące nad zboczami jak indiańskie sygnały dymne, ocierały się o zalesiony stok Sępiej Góry. Czubki strzelistych jodeł dźgały je, a potem strzępiły i darły na kawałki, kiedy pchane lekkim wiatrem chmurki usiłowały wyrwać się z pułapki i uciec w stronę równiny Przedgórze Sudeckiego, by jeszcze przed dotarciem tam rozpląnąć się bez śladu. Lekko zachmurzone wysoko spiętrzonymi obłokami niebo nie pozwalało mieć pewności, co przyniesie dzisiejszy dzień: upał i słońce czy chłód i deszcz. A może obie te rzeczy, nie

naraz, ale krótko po sobie, w różnej kombinacji oraz kolejności.

Był ranek czwartego dnia mojego pobytu w Świeradowie, stąd wiedziałem już, że jeśli chodzi o pogodę w tym miejscu, to mogę być pewien tylko tego, że niczego nie mogę być pewien. Woda w Kwisie, zanieczyszczona błotem zmytym ulewnymi deszczami do koryta ze zboczy gór, była brunatna i przypominała potok lurowatej kawy. Powietrze było dużo mniej przejrzyste niż zwykle od obecnej w nim wilgoci; było parne i duszne jak w podzwrotnikowym lesie. Miałem spędzić w Świeradowie jeszcze trzy dni, a potem wyjechać, bez względu na wynik. Taki był plan.

Moje poszukiwania nie przyniosły na razie żadnego efektu. Miałem obtarte nogi, Promo lekko kulał, bo poduszki jego łap poobcierały się od ciągłego dreptania po rozgrzanym asfalcie i chropowatym granicie. Liczba odwiedzonych obiektów szła już w setki. A Mileny ani śladu. Na planie Świeradowa, wyglądającym już tak, jakbym wyciągnął go Promo z gardła, przybywały kolejne krzyżyki zaliczonych miejsc. Kolejne kwadraty, rejony poszukiwań, które zaznaczyłem dla wygody, znikwały pod szrafem oznaczającym „sprawdzono, brak”. A i tak nie mogłem mieć pewności, że czegoś nie przeoczyłem.

Musiałem mieć głupią minę, kiedy około godziny czternastej stanąłem nagle na środku ulicy ze wzrokiem wbitym w wielkie litery na elewacji niskiego, podłużnego

budynku z prawie płaskim dachem. Szerokie, ale niskie okna umieszczone w jednostajnym rytmie świadczyły ewidentnie o tym, że jest to obiekt zamieszkania zbiorowego o niezbyt wysokim standardzie. Litery kłuły w oczy soczystą zielenią. Na ścianie budynku widniał napis: RENATKA.

– Kurwa – mruknałem do siebie, dodając: – Witaj, Święty Mikołaju.

Czyżby to miało być to? Promo usiadł na asfalcie krótkiej, ale stromej ulicy, dysząc i czekając, aż podejmę decyzję: idziemy dalej, zawracamy do domu czy zostajemy.

Zostaliśmy.

Przez długą chwilę przyglądałem się „Renatce” i jej przyległościom. Na słupach dzielących każde przesło ogrodzenia znajdował się jakiś gliniany stwór. Ptaszek, kotek, żółw i inne arcydzieła sztuki jarmarcznej, oddzielone od siebie niskimi płótkami z drewnianych sztachet. Weszliśmy przez furtkę do małego przedogródka, który, o dziwo, był poziomy, w przeciwieństwie do ulicy. Na jego końcu znajdował się gruby mur oporowy skarpy opadającej w stronę sąsiedniej posesji. Drzwi do budynku były otwarte. Puściłem psa przodem i po chwili znaleźliśmy się w pomieszczeniu przypominającym recepcję w „Santa Marii”. Było niewiele większe, tak samo zaaranżowane, ale za kontuarem siedziała kobieta, będąca kompletnym

przeciwieństwem pani Stefanii, przynajmniej pod względem wizualnym. Była w podobnym wieku, ale bardzo zadbana: miała szczupłą twarz, krótkie rude włosy z ciemniejszymi pasemkami, dobrze dobrane oprawki okularów i polakierowane paznokcie.

– Dzień dobry – powiedziałem i były to moje pierwsze słowa wypowiedziane tego dnia do kogokolwiek poza mną samym i Promo.

– Dzień dobry – odpowiedziała sucho kobieta. – Przykro mi, ale nie akceptujemy psów, nawet przewodników osób niewidomych. Mamy z córką silną alergię...

– Ja nie w sprawie pobytu – przerwałem jej, zdejmując okulary przeciwsłoneczne. – Chciałem tylko o coś zapytać.

– Słucham. – Jej głos stał się odrobinę cieplejszy.

– Szukam Mileny Korcz...

Kobieta za kontuarem zbladła. Tylko raz w życiu, dwadzieścia lat temu, widziałem, żeby ktoś zbladł tak szybko i tak bardzo. To był ojciec dziewczyny, którą znaleziono w Odrze kilka dni po tym, jak wyszła ze studniówki i nikt jej więcej nie widział. To ja przekazywałem mu wiadomość o odnalezieniu jej ciała. Słyszałem, że przez kilka następnych miesięcy ten człowiek nie był w stanie wypowiedzieć żadnego słowa.

Twarz kobiety wyglądała teraz tak samo. Malowało się na niej całe spektrum odczuć, chociaż byłem pewien,

ze oddałaby niemal wszystko, żeby zachować ją kamienną. Walczyła. Walczyła ze sobą, ze swoją fizjologią i walczyła o kogoś. Wiedziałem już, że znalazłem Milenę. Wojtuś miał u mnie duże lody. Naprawdę duże lody u Marczaka.

– Proszę się nie bać – powiedziałem cicho. – Zaraz sobie pójdę. Proszę przekazać Milenie, że był Suder. Darek Suder. Niech jej pani powie, że nikt nie wie, że tu jestem. Nikt. I proszę powiedzieć, że zapraszam ją do Karpacza, na kręgle dla kulogłowych. Kręgle dla kulogłowych, zapamięta pani? Mieszkam w „Santa Marii”, tam na nią czekam. Do widzenia. I przepraszam... – dodałem, widząc jej oczy, z których wyzierał śmiertelny, niewspółmierny do sytuacji strach.

Strach jak u osaczonego zwierzęcia.

– Ja... Ja nie wiem, o kim pan mówi! – wydusiła, dla odmiany czerwieniejąc. – Tu nie ma żadnej...

Pokręciłem głową. Próbowwała jeszcze walczyć, ale ta walka była już bez sensu, spóźniona i bezcelowa.

– Niech jej pani powtórzy to, co powiedziałem, rozumie pani?

Patrzyłem jej w oczy, żeby znaleźć w nich potwierdzenie, że zrozumiała, co do niej powiedziałem i że potraktuje to poważnie. Zastanawiałem się, czy mogę jej zaufać i rzeczywiście sobie pójść, licząc na to, że zrobi, o co ją proszę, czy jednak zmusić, żeby zaprowadziła mnie do Mileny. Wracając do „Santa Marii”, ryzykowałem, że



Milena znów ucieknie, tym razem gdzieś, gdzie jej nigdy nie znajdę ani ja, ani policja, ani nikt inny i nawet Wojtuś Bilski tu nie pomoże. Robiąc tę drugą rzecz, mogłem stracić jeszcze więcej, bo przecież Mileny mogło tu wcale nie być, a kobieta po drugiej stronie kontuaru była tylko łączącą z nią nicią. Jedyłą nicią, której nie mogłem wypuścić z ręki.

Odwrociłem się, lekko szarpnąłem smycz Promo i wyszedłem na zewnątrz, prosto w lepkie macki upału. Jak gdyby nigdy nic odeszliśmy kilkadziesiąt metrów w dół, gdzie schroniłem się w cieniu drzewa, siadając na niskim kamiennym murku. Wejście do „Renatki” było z tego miejsca doskonale widoczne, ja byłem widoczny o wiele mniej, praktycznie wcale. I o to chodziło. Teraz wystarczyło cierpliwie czekać.

I kiedy tak niemal drżąc z niepewności, czekałem na ruch Mileny, zadzwonił mój telefon. To był Jacek Mołczun. Ten to ma wyczucie...

– Mam trzy wiadomości: dwie dobre i jedną złą, wszystkie trzy nieoficjalne – rzekł szybko, kiedy odebrałem. – Którą wolisz najpierw?

Jestem z gatunku tych, którzy wybierają najpierw dobrą wiadomość i powiedziałem o tym Jackowi.

– Pierwsza dobra wiadomość: kula w głowie Lichoty pochodziła z jego własnej broni, z tej, którą miał w ręku.

– Świetnie... – Nie wspomniałem mu, że już o tym wiem od Janusza Pałki.

– Zgadzą się. Teraz druga dobra?

– Poproszę.

– Ruszyło się co nieco w sprawie Mileny...

– Nnno? – mruknąłem zachęcająco.

– Ale bardzo niewiele – zastrzegł. – Chociaż to wyjaśnia, przynajmniej częściowo, pewne rzeczy.

– No to słucham.

– To również oznacza, że nie będzie więcej informacji o Milenie. Szlaban. To dotyczy ciebie, ale mnie również.

– Powiesz mi wreszcie?

– Milena jest objęta programem ochrony świadków – wypalił Jacek, a ja na te słowa zarechotałem do telefonu, aż obejrzeni się przechodzący obok mnie ludzie.

Programem ochrony świadków obejmuje się podejrzanych o popełnienie przestępstw, którzy zgodzili się zeznawać jako świadkowie w zamian za odstąpienie od wymierzenia kary lub jej złagodzenie. Uzyskują oni wtedy status świadka koronnego, ale jest jeden warunek: przestępstwo, które popełnili, nie mogło być zabójstwem lub nakłanianiem do niego. Zabójcy mogą ewentualnie starać się o status tak zwanego małego świadka koronnego i próbować wyszarpać od prokuratora i sędziego kilka lat życia za kratkami mniej.

– Co ty, chcesz mi powiedzieć, że ona jest świadkiem koronnym? Milena Korcz skruszonym przestępcą?

– Nie mam pojęcia, o co chodzi, Darek. Mówię ci tylko, co mi powiedziano, chociaż nie powinienem tego robić.

Wiesz, że program to ścisła tajemnica?

– Nie mogę w to uwierzyć. Kto ci to powiedział?

– Człowiek z programu, z jednej z komend wojewódzkich, ale nie powiem ci której. To nie ma znaczenia. Ani dla ciebie, ani dla mnie.

– Więc to oznacza, że Lichota... Wynajął go ktoś, żeby zabił Milenę?

– Nie wiem, Darek, co to oznacza. Czekamy, aż sprawa się wyjaśni.

– Nie wyjaśni się, dopóki Milena się nie znajdzie – zauważyłem.

– Też tak sędzę. A to pewnie prędko nie nastąpi. I to jest ta trzecia wiadomość, ta zła. Wciąż nikt nie wie, gdzie ona jest. Nikt, nawet ci z programu ochrony świadków.

– To niedobrze – powiedziałem, widząc, jak Milena pojawia się nagle w drzwiach wejściowych „Renatki”.

– I oby nic się jej nie stało – krakał Jacek.

– Oby – zgodziłem się, budząc Promo z drzemki szarpnięciem smyczy, i ruszyłem za Mileną, pamiętając o zachowaniu bezpiecznej odległości.

Nie miałem wprawy w śledzeniu ludzi, ale liczyłem, że Milena nie umie sprawdzać, czy ktoś za nią idzie. Choć teraz, kiedy od kilkunastu sekund wiedziałem więcej niż rano, zacząłem żywić wątpliwości. Ludzie z programu ochrony świadków na pewno uczulili ją, na co ma zwracać uwagę w nowym życiu i jak ma to robić. A w sytuacji,

w której znajdowała się obecnie, na pewno postarała się to wszystko sobie przypomnieć.

Szła szybkim krokiem w stronę parku zdrojowego i deptaka na Zdrojowej. Promo, grubawy staruszek, wytrwale usiłował dotrzymać mi kroku, uliczka pięła się dość stromo pod górę, tak że ja też ledwo dawałem radę. Przysięgałem zająć się swoją kondycją po powrocie do domu, słuchałem Jacka, który coś tam jeszcze mówił, i dysząc, odpowiadałem mu półsłówkami, wypatrując Mileny między drzewami.

– Jesteś w domu? – zapytał nagle Jacek, słysząc pewnie, jak sapię.

– Eee... Co? Nie. Na wakacjach.

– O? A gdzie?

– Zrobiłem sobie tygodniowy wypad w Izery. Wiesz, luz, bez spinania się, bez stromych szczytów i tak dalej. W końcu dziadek już jestem...

– Nie przesadzaj. Dziadek to ja jestem.

Jacek powoli szykował się do przejścia na emeryturę. Nie miał dzieci, tylko siostrzeńca, a Irena, jego żona, była już naprawdę w złej formie. Choroba postępowała piorunująco.

– Z tego, co słyszę w telefonie, to raczej się nie oszczędzasz – rzucił nieco podejrzliwie.

– Idę po ulicy. Dopiero nabieram formy. Usiłuję. Jakbym nie dał rady, zaopiekuj się Promo. Chyba że on też nie da rady.

W przypadku psów dużych ras wiek, w jakim był Promo, odpowiadał mniej więcej ludzkiej osiemdziesiątce.

– Rozumiem, że z kraju się nie ruszasz?

– Planowałem pobuszować trochę po drugiej stronie granicy i zaopatrzyć się w czeskie piwa.

– Nie planuj, Darek. Lepiej rób to, co ci kazali. W każdej chwili coś może wyskoczyć, więc nie rób sobie kłopotów.

– Od jakiegoś czasu kłopoty to moja specjalność, Jacek. Nieustająco...

– A nie jest czasem tak, że sam je trochę przyciągasz?

– Możliwe – odparłem z zaskoczeniem. – Całkiem możliwe... Dobra, muszę teraz kończyć...

Zorientowałem się, że straciłem Milenę z oczu. Prawie wpadłem w panikę. Niemal wbiegłem na deptak, rozglądając się wokół z szaleństwem w oczach. Promo dyszał jak parowóz, tylko kilka razy szybciej. Zanurzyliśmy się w tłumek sunący w obie strony wzdłuż ulicy Zdrojowej. Stawałem na palcach i wyglądałem ponad głowy ludzi, usiłując dostrzec Milenę. „Bacz, byś spoglądając daleko, ważnej rzeczy, która blisko jest, nie przegapił”, powiadają mądrzy ludzie i mają rację. Mają rację, jak cholera. Mijając „Lewiatana”, jedno z niewielu niewyczerpanych źródeł alkoholu w tym mieście dostępne aż do dwudziestej pierwszej, poczułem na sobie czyjś wzrok. Spojrzałem w bok i zobaczyłem ją.

Nie uśmiechała się. Szła ku mnie, patrząc mi w oczy. Staiałem, a Promo przyjął to z wdzięcznością, uwalając się pyskiem na moich stopach.

– Co mogę powiedzieć... – bąknąłem, kiedy Milena stanęła przede mną. – Dobra jesteś.

Poklepałem się po kieszeni spodni, w której tkwił telefon, i wyjaśniłem:

– Zagadałem się.

– Z kim? – zapytała ostro.

– Z Jackiem Mołczunem. Ale on nic nie wie, zadzwonił przypadkiem, kiedy na ciebie czatowałem, zadzwonił zresztą w twojej sprawie. Nie wiem, czy jesteś tego świadoma, ale sprawiłaś, że kilku ludziom ciężko się ostatnio zasypia. Podobno absolutnie nikt nic nie wie.

– I tak ma być. – Kiwnęła głową, grzywka opadła jej na czoło, a ja stwierdziłem, że trochę mi tego brakowało. – A ty? Co ty wiesz?

– Tylko to, że jesteś świadkiem koronnym. I sam nie wiem, co mam o tym sądzić.

Uniosła brwi i spojrzała na mnie z ukosa z lekkim zdziwieniem. Zauważyłem na jej policzku i nosie kilka strupków, otoczonych czerwoną obwódką odczynu zapalnego.

– Świadkiem koronnym? To rzeczywiście mało wiesz – stwierdziła.

– Pocieszę cię. I tak, teraz, kiedy cię znalazłem, wiem najwięcej z nich wszystkich.

– A jak mnie znalazłeś?

Opowiedziałem jej o kwitku z OstseeTherme, o wizycie w Ahlbeck i w szkole. Jej śmiertelnie poważną twarz rozjaśnił lekki uśmiech.

– Na to nie wpadłam. Zresztą nawet nie wiedziałam, że ten papierek tam był.

– Nikt nie wiedział. Chyba technik krępował się grzebać w twojej bieliźnie. Albo po prostu nie przyszło mu to głowy, lub zrobił to, ale niestarannie i bardzo pobieżnie.

– A ty? Ty się nie krępowalesz?

– Mnie bardziej zależało, więc przyłożyłem się do roboty solidniej niż on. – Miałem ochotę obejrzeć swoje paznokcie, ale wytrzymałem jej spojrzenie.

Przez chwilę patrzyliśmy sobie w oczy, bładziliśmy wzrokiem po twarzach, jak dawno niewidziani przyjaciele. Trochę dziwne uczucie, bo nie byliśmy przyjaciółmi, ale niewątpliwie łączyło nas coś na swój sposób bardzo intymnego. Przynajmniej jednostronnie. To pewnie dlatego tak się starałem.

– Więc to jest Promo? – zapytała, wskazując na psa.

– Tak. Mój substytut rodziny. Poznajcie się... – Poruszyłem stopą, ale nie było żadnej reakcji. – Może jak się już obudzi. A gdzie twoja rodzina?

– Kosma został w pensjonacie – powiedziała cicho. – Porządnie nastraszyłeś panią Teresę.

– Tę kobietę w recepcji?

– Tak, ją. To niania Kosmy, zajmowała się nim, kiedy był malutki. Jej córka prowadzi tu pensjonat, więc pani Teresa przeprowadziła się do niej, żeby jej pomagać. I robić fantastyczne pierogi.

– Wiem, że ją przestraszyłem – mruknąłem. – Widziałem.

– Nie mówiłam jej, co się stało w moim gabinecie. Zna moją historię, to dlatego się ciebie przestraszyła, ale nie chciałam... Dobrze, że wspomniałeś o tych kręglach w Karpaczu, inaczej byłabym już na lotnisku z biletem do Hongkongu. Albo chociaż do Londynu.

Tekst o kręglach był nawiązaniem do jednej z naszych sesji. Wiedziałem, że Milena zapamiętała go, tak jak pamiętała niemal wszystko, co jej mówiłem. Też chciałbym mieć ten dar. Albo umiejętność, jeśli to jednak nie był dar.

– Milena... – stęknąłem. – I tak nie rozumiem, o czym mówisz. Chodź, pójdziemy do mnie, dobra? O wszystkim mi opowiesz. Tak będzie lepiej.

– Dobrze, opowiem ci – powiedziała i nagle opadły jej ramiona. – Nie wiem tylko, czy tak rzeczywiście będzie lepiej...

– Na pewno lepiej będzie pójść do mnie, niż stać na środku ulicy – stwierdziłem, pochylając się nad Promo i budząc go czochraniem za uchem. – Chodźmy.

Poszliśmy powoli w kierunku „Santa Marii”. Nie rozmawialiśmy. Milena milczała, ja jej nie przerywałem.



Dotarliśmy do mojego pensjonatu kwadrans później. Pani Stefania taktownie milczała, kiedy przechodziliśmy obok recepcji, uznałem więc, że nie ma potrzeby, żebym z czegokolwiek musiał się jej tłumaczyć. Weszliśmy na górę do mojego pokoju i usiedliśmy na łóżku, bo było tylko jedno krzesło. Milena miała opuszczoną głowę, jakby opadła z sił albo było jej już wszystko jedno. Siedziała po turecku i machinalnie gładziła palcami wewnętrzny szew opiętej na udzie nogawki spodni. Patrzyłem na jej zwieszającą się blond grzywkę zasłaniającą twarz i nie odzywałem się jeszcze.

– Popełniłaś jakieś poważne przestępstwo? – W końcu musiałem coś powiedzieć, musiałem również zadać to pytanie.

Podniosła powoli głowę, szarpnęła nią lekko, żeby odsunąć grzywkę z oczu, i spojrzała na mnie z dezaprobatą. Albo raczej z kpiną.

– Zastanów się, Darek; czy popełniając przestępstwo, mogłabym pracować w policji?

– Postępowania prowadzone przeciw świadkom są umarzane. Czyli traktuje się czyn jako niebyły. Chyba...

– To nieistotne. To nie ja jestem świadkiem koronnym.

– Nie? To o co w ogóle...?

– Mój mąż nim był. Ale on już nie żyje.

– Wiem, dyrektorka szkoły wspominała. Został...?

– Nie, zmarł na ziarnicę, niedługo po swoim procesie. Dziesięć... Już prawie jedenaście lat temu.

– Słuchaj... – Zacząłem się gubić. – To może jednak zacznij od początku, co?

Roześmiała się, ale to był gorzki śmiech.

– Nie wiem, gdzie jest ten początek, Darek. Niknie w zamęcie mojego życia. Tego poprzedniego.

– Przykro mi, Milena...

– Nie Milena – przerwała mi nagle. – Nie Milena Korcz. Naprawdę nazywam się Maziarz. Martyna Maziarz. Ale wcześniej nazywałam się jeszcze inaczej. – Widząc moją minę, roześmiała się niespodziewanie, tym razem weselej niż poprzednio. – Moje panięskie nazwisko to Liakos.

– Liakos? Jesteś Greczynką?

– Częściowo, w jednej czwartej. Mój dziadek był Grekiem. Był żołnierzem DSE, komunistycznej partyzantki, walczył w wojnie domowej w Grecji. Został ranny pod sam koniec wojny, w czterdziestym dziewiątym, wtedy ewakuowano go do Jugosławii, potem leczył się w szpitalu w Dziwnowie...

– W Dziwnowie? – Uniosłem brwi. – W naszym Dziwnowie?

– W naszym, polskim – przytaknęła. – Przez trzy lata istniał tam szpital polowy. Nie wiesz, że po wojnie domowej do Polski i do innych demoludów trafiło sporo

greckich dzieci? Nawet w Szczecinie jest sporo Greków. Właściwie w Policach.

– O tym akurat słyszałem. Dzieci komunistów trafiały za żelazną kurtynę, a dzieci monarchistów do Stanów.

Roześmiała się.

– Może gdyby dziadek nie był czerwony, to siedziałabym teraz nad oceanem w Kalifornii?

Uśmiech zgasł po chwili. Nie siedziała w końcu na plaży nad brzegiem Pacyfiku, tylko w pensjonacie w Świeradowie, ścigana przez kogoś, kto miał wobec niej złe zamiary. Bardzo złe. Nie było więc powodu do śmiechu.

– To jak mam do ciebie mówić? – zapytałem. – Milena czy Martyna?

– Martyna – powiedziała poważnie. – Mam dość swojego nowego życia. Chcę wrócić do starego. Chcę wrócić do Gdańska.

– Nie da się. – Musiałem jej to uświadomić.

Życie w ułudzie nie ma sensu na dłuższą metę. Prędzej czy później ta ułuda pryska. Jak w jej gabinecie kilkanaście dni temu.

– Wiem... – W jej oczach zabłyśły łzy.

Pociągnęła nosem i szybko wytarła oczy. Spojrzała w okno, na grzbiet Sępiej Góry prześwitujący między pniami jodeł, i odchrząknęła.

– Jestem gdańszczanką – powiedziała cicho. – Moi rodzice byli lekarzami, zginęli w wypadku we Francji,

kiedy wracali z kongresu kardiologicznego. Miałam wtedy dziewiętnaście lat. Z Przemkiem poznaliśmy się na jakiejś imprezie, byłam na studiach, on już od kilku lat pracował... Ja byłam sama jak palec: sierota i jedynaczka w dodatku, Przemek miał brata, z którym nie utrzymywał kontaktu, i mamę. Ojciec odszedł od nich, kiedy byli mali, i więcej nie dał znaku życia. To nas zbliżyło. Dwoje młodych życiowych rozbitków nieźle pokaleczonych przez życie.

Uśmiechnęła się do siebie, a odsuwając grzywkę z czoła, zrobiła to posuwistym, powolnym ruchem, jakby gładziła się po twarzy.

– Przemek był bystrym facetem. Czasem wydawał mi się zbyt beztroski, ale kobiety lubią w facetach odrobinę szaleństwa i ja chyba nie byłam wyjątkiem. Był księgowym, pracował w niewielkiej, ale prężnej firmie; nie jakiejś korporacji wysysającej z człowieka wszystkie soki. To była specyficzna spółka, takie połączenie kancelarii prawnej, podatkowej i doradczej, świadczyła przeróżne usługi z tego segmentu. Nazywała się „Omnium rerum”. Przyływały tam nawet czasem grube ryby z Trójmiasta i spoza niego. On się w tej pracy spełniał, uwielbiał taki harmider, presję, walkę i zyski. Nieważne, że nie były jego, cieszył się, jeśli wypracował zysk dla klienta, jeśli gdzieś mu urwał jakiś pieniądz, zaoszczędzając na podatku i tak dalej.

Nie wiedziałam dokładnie, co robi. Księgowość czy doradztwo finansowe to dość specyficzna dziedzina, nie mówię, że nudna, bo nie mam na jej temat żadnego pojęcia. W każdym razie Przemek na pewno nie był nudny. Ale nie znałam szczegółów jego pracy, rozumiesz? Kilka lat później dalej świetnie zarabiał, ja kończyłam doktorat. Pewnego dnia przyszedł do domu wstawiony, w melancholijnym nastroju. Zaczął przeproszać, głaskał mnie po brzuchu, bo właśnie okazało się, że jestem w ciąży... Spytałam, co się stało. Odpowiedział, że narobił nam kłopotów. Myślałam, że chodzi o jakiś błąd w rachunkach jednej z firm, które obsługiwał. Błąd, za który będzie musiał odpowiedzieć finansowo. Boże... – Pokręciła głową, a grzywka podążyła za nią. – Jak ja bym chciała, żeby to było to. Głupi błąd w obliczeniach. Nawet gdybyśmy musieli spłacać go dziesięć lat czy dwadzieścia... Ale to nie był błąd w rachunkach. Błąd, który popełnił mój mąż, miał dużo poważniejsze konsekwencje, niż ktokolwiek mógłby się spodziewać. Nawet on, kiedy go świadomie popełniał.

– Co zrobił?

– Ukradł pieniądze. Nie wiem, jak to określić: zdefraudował, przeksięgował, nie wiem. Po prostu je ukradł. Nieodpowiednim ludziom.

– Jakim ludziom? Mafii?

Milczała przez chwilę.

– Można tak powiedzieć. Ale to nie są tacy ludzie, jakich ma na myśli przeciętny Kowalski, słysząc o polskiej mafii. To nie wytatuowane karki jeżdżące czarnymi bmw z kijami bejsbolowymi w bagażnikach. Ci, o których mówię, wyglądają całkiem normalnie, a ich samochody to eleganckie i drogie SUV-y z dziecięcymi fotelikami na tylnych siedzeniach. Znają wysoko postawionych ludzi i obracają setkami milionów złotych. Brzmi jak spiskowa teoria dziejów, ale to fakt, Darek, oni istnieją. Mieszkają w willach na obrzeżach miast, mają psy i koty, grzecznie kłaniają się sąsiadom i nie obnoszą się z bogactwem, bo to im nie jest do niczego potrzebne, a wręcz szkodliwe dla ich interesów. Są jak rak, jak nowotwór: wciskają swoje macki niemal w każdą sferę życia, także publicznego, która może przynieść im spory zysk. Przetargi w państwowych spółkach, zbrojeniówka, energia, farmaceutyki. Wszystko! I mają długie ręce. Współpracują z ludźmi, którzy mają jeszcze dłuższe ręce; ręce, które grzały się w ciepłe ognisk na podmiejskich wysypiskach w osiemdziesiątym dziewiątym roku, kiedy palili tony teczek i faktur. Ale te ręce są już pomarszczone ze starości. Przemek mówił wtedy, że już wkrótce w naturalny sposób nastąpi zmiana pokoleniowa. Byli esbecy odejdą w cień, ustępując miejsca swoim młodszym współpracownikom. A ci młodzi są jeszcze bardziej bezwzględni. Ich ręce robią się jeszcze dłuższe niż te pomarszczone, są bardziej zachłanne

i ciągle im mało. Przyzwyczaili się do bogactwa i zrobią wszystko, żeby pozostać w tym cieniu, w którym żyją, rozumiesz? Zniszczą każdego, komu przyjdzie do głowy zniszczyć ich. Także tych, którzy chcieli uszczknąć coś z ich majątku, jak Przemek. Kara, nauczka dla następnych, którzy zechcą spróbować. Ktoś od nich się zorientował. Przemek twierdził, że był ostrożny, że sumy, którymi się zajmował, były gigantyczne, a on skubał małe ochłapki, od dwóch lat. Był zdziwiony, że ktoś to w końcu odkrył. Bardzo zdziwiony.

– Ja pierdolę... – szepnąłem.

– To jeszcze nie wszystko...

– Nie? – jęknąłem.

– Kilka tygodni po tym, jak wyznał mi, co zrobił, został zatrzymany i aresztowany. Napisali o tym w gazetach. Mafia finansowa, tak ich nazwali. Wpadło kilku gangsterów, urzędników i on. „Księgowy mafii”, tak go nazwali, jakby tylko on pracował w tej firmie. Fakt faktem, że to on obsługiwał tych ludzi, ale miło nie było... Nie miałam z nim żadnego kontaktu, kiedy siedział w areszcie, prokurator podobno obawiał się mataczenia, spotykał się z nim tylko jego prawnik. A ja sama z niemowlakiem; gdyby nie było niani Tereski, to nie wiem, jakbym dała radę... Dwa tygodnie później, podczas spaceru w parku, zaczął mnie jakiś człowiek. Podszedł do mnie i cicho poprosił o chwilę rozmowy. Okazało się, że to funkcjonariusz CBŚ. Oświadczył, że Przemek jest

członkiem zorganizowanej grupy przestępczej o charakterze zbrojnym, brał udział w wyłudzeniach i innych przestępstwach finansowych, że bez problemu to udowodnią i pójdzie siedzieć nawet na piętnaście lat. A jeśli okaże się prawdą, że ten gang stoi za niewyjaśnionymi zabójstwami kilku ludzi, to będzie jeszcze gorzej. Ale powiedział również, że jeśli zdecyduje się na współpracę, to dostanie status świadka koronnego w procesie członków grupy, dla której pracował. Przedstawili mu tę propozycję, ale Przemek wahał się i uzależnił swoją decyzję od tego, czy ja się zgodzę. Cóż, przecież nie mieliśmy innego wyjścia, prawda? Ten człowiek w parku dał mi dwa dni na zastanowienie się. Dwa dni, tyle dostałam czasu na podjęcie decyzji, od której zależało całe moje, nasze dalsze życie. Chciałam zobaczyć się z Przemkiem, ale ten policjant powiedział, że nie wolno, że on rozmawia ze mną nieoficjalnie. W końcu zgodziłam się, więc Przemek podjął decyzję jedyną z możliwych. Wypuścili go bez rozgłosu, następane spotkanie CBS zorganizowało już w jakimś wynajętym mieszkaniu w Gdyni i tam poznaliśmy szczegóły. Mieliśmy zostać objęci programem ochrony świadków. A potem zniknąć...

- Ile tego było? Tych pieniędzy?
- Nie wiem...
- Co się z nimi stało?
- Nie wiadomo...



– Jak to... Jak to nie wiadomo?

Westchnęła głęboko, podciągnęła nogi i objęła je, opierając na kolanach podbródek. Nieobecnym wzrokiem patrzyła gdzieś w przeszłość.

– Przemek zmarł na ziarnicę w dwa tysiące piątym. Już w trakcie procesu okazało się, że jest chory, wcześniej objawy składał na karb stresu. Osłabienie, nocne poty, gorączka... A potem okazało się, że to chłoniak Hodgkina, że guz w klatce piersiowej ma już ponad osiem centymetrów. Dziesięć lat temu ta choroba była niemal nieuleczalna, dziś, po wczesnym rozpoznaniu, ma się nawet dziewięćdziesiąt procent szans... Przemek nie miał ich wiele. Ledwie urodził się nasz synek, a on musiał mierzyć się ze śmiertelną chorobą... Z naszej kryjówki w Wejherowie wożono go albo do sądu, albo do szpitala, i tak przez półtora roku: chemia, szpital, sąd, radioterapia, szpital, sąd.... Zanim umarł, powiedział, że wszystko jest załatwione, że musimy trochę odczekać, aż wszystko ucichnie. A kiedy to się stanie, będziemy z dzieckiem urządzeni na resztę życia. Wyznał, że robił to dla nas. Wiedział oczywiście, kto stoi za tą spółką, w której pracował, orientował się w charakterze interesów, jakie prowadziła, ale był pewien, że nikt się nie dowie, co robi on. Gdyby powiedział mi wcześniej, jakoś wybiłabym mu ten pomysł z głowy. Bo zbytnia pewność siebie gubi ludzi, rozumiesz, Darek? Wiem to, słyszałam takie rzeczy od mnóstwa ludzi, swoich

pacjentów, którym życie zawaliło się w gruzy w chwili, gdy najmniej się tego spodziewali. Byli tak bardzo pewni siebie i celowości swoich działań, że nawet nie dopuszczali możliwości wystąpienia pewnych negatywnych zdarzeń. Dlatego kiedy one nagle następowały, dotykały ich w dwójnasób. I z nami było podobnie. Przemek uznał, że my jesteśmy ważniejsi, że praca tam i defraudacja tych pieniędzy to po prostu inwestycja w naszą przyszłość. Niezbyt legalna, ale biednym i uczciwym przecież nie zabierał. Kiedy zaszłam w ciążę, wręcz utwierdził się w tym przekonaniu, i to dlatego wyznał mi to. Tylko że potem ci ludzie odkryli, co zrobił, on mi o tym powiedział, a później w naszym domu zjawiała się policja.

– Właśnie! A co na to policja? Prokuratura? Nie kazali ujawnić tych pieniędzy?

Milena spuściła wzrok.

– Oni nic nie wiedzieli.

– Co ty powiedziałaś!?

– Nic nie wiedzieli. – Popatrzyła na mnie. – Nikt od nich o tym nie wiedział. O pieniądzach ukradzionych przez Przemka w ogóle nie było mowy. Po prostu był „księgowym mafii”, nikomu nie przyszło do głowy, że kręcił lody na własny rachunek... Na mieście się mówiło, że coś tam uszczknął, ale nikt z wymiaru sprawiedliwości nigdy oficjalnie go o to nie zapytał. A może zapytał, ale Przemek powiedział, że to nieprawda, i dali mu spokój?

A ja się nie odzywałam. Nie wtrącałam się. Bałam się pogorszyć naszą sytuację. Po co?

Nie chciało mi się w to wierzyć. Ale nie miałem też powodów, by wątpić w słowa Mileny... Martyny, choć z drugiej strony mogła po prostu nie wiedzieć wszystkiego. Poza tym trzeba wziąć pod uwagę, że w tym kraju nie takie rzeczy się działy, a rola, jaką w podobnych wydarzeniach odgrywał czasami czysty przypadek, też była nie do przecenienia.

– Ta firma, ten „non omnis moriar”...

– „Omnium rerum”.

– Właśnie. Istnieje jeszcze?

Uśmiechnęła się.

– Żartujesz? Trzydzieści procent składu osobowego poszło siedzieć, reszta rozbiegła się na cztery wiatry, pewnie po całej Polsce. Myślisz, że po czymś takim jak ten proces praca w „Omnium rerum” to coś, czym można by się chwalić w CV? To jak bycie trędowatym.

Milczałem przez chwilę, wciąż nie mogąc uwierzyć, jaki obrót przybrały sprawy. Kurwa, wszystkiego mógłbym się spodziewać, ale czegoś takiego!?

– Ktoś się w końcu upomniał o dług, co? – zapytałem.  
– A skoro dłużnik nie żyje, to nęka się jego spadkobiercę.

– Dług to nie jest właściwe określenie, Darek. To była zwykła kradzież. A że ukradł pieniądze złodziejom, to niczego nie zmienia. Wciąż mamy do czynienia

z kradzieżą. Pod względem moralnym kwalifikuje się to jednoznacznie.

Postanowiłem nie drażnić tej kwestii, zwłaszcza jej aspektu moralnego. Można powiedzieć, że miałem jakieś sto siedemdziesiąt pięć tysięcy powodów, by tego nie robić. Taak, można tak to ująć.

– Esbecka kasa. – Westchnąłem.

– Nie esbecka – sprostowała Martyna. – Mafijna.

– Dlaczego akurat teraz, po tylu latach?

Martyna się ożywiła.

– Może to właśnie to, o czym mówił Przemek? – zapytała. – Ci esbecy mają już około sześćdziesiątki, siedemdziesiątki, może właśnie nastąpił ten czas zmiany, a ci młodzi stwierdzili, że nadszedł czas zapłaty i odzyskania tych pieniędzy, które Przemek im ukradł.

– Sześćdziesiąt lat to niedużo. Siedemdziesiątka to też nie jest dziś wiek, w którym stary esbecki wyga może dojść do wniosku, że czas na przekazanie pałeczki.

– To nieważne – przerwała mi. – Nieistotne, którzy to: starzy czy młodzi. To ten sam typ człowieka. Zagrażają mi jednakowo, rozumiesz?

– Rozumiem.

Milczeliśmy przez chwilę.

– Ostatnie kilka tygodni życia Przemka było straszne. Już gasł, był już niemal przez cały czas w szpitalu, ale musieliśmy dalej załatwiać sprawy związane ze zmianą tożsamości. Program ochrony świadków podlega pewnym

prawnym regulacjom, ale w naszym przypadku trzeba było ciągle improwizować. Procedury nie przewidywały pewnych rzeczy, po prostu...

– Milena i Martyna to bardzo podobne imiona?

– Zgadza się. To specjalnie. Po pierwsze, żeby nie było za dużego wstrząsu. A po drugie, gdyby ktoś zawołał nagle na ulicy: „Martyna!”, a ja odruchowo bym się odwróciła, zawsze mogłabym się tłumaczyć, że zrozumiałam „Milena”. Przynajmniej w teorii. – Uśmiechnęła się leciutko. – Nazwisko sami wybraliśmy. Korcz. Mateusz stał się Kosmą, ale z nim nie było problemu, bo był maluszkiem. Zmieniono nam nieznacznie daty urodzenia, przesuwając je o jeden dzień i jeden miesiąc do przodu. I przenosiny do Szczecina. Żeby było duże miasto i niedaleko do morza. Wiesz, że zanim się tu sprowadziliśmy, sądziłam, że Szczecin leży nad morzem? – Roześmiała się.

– Nie ty jedna. Są was setki tysięcy w całej Polsce...

– Słyszałam. – Odgarnęła grzywkę z czoła. – Zakazali mi też pchać się przed obiektyw.

– Twoje zdjęcie, które pokazywałam na basenie, znalazłem w sieci. W jakiejś relacji ze spotkania Polskiego Towarzystwa Psychologicznego czy coś takiego. Tylko jedno, jedyne zdjęcie, to prawda... Ale było.

Wzruszyła ramionami.

– Wszystkiego nie przewidzisz. Trzeba być świadomym, że coś takiego może się zdarzyć. Ale uwierz

mi, mimo że nie przechodziłam żadnej operacji plastycznej, w ogóle nie przypominam sobie sprzed dziesięciu lat.

– Nie proponowali ci operacji?

– To nie amerykański film, Darek. Uznano, że wystarczą środki kosmetyczne. Nauczyli mnie paru sztuczek z makijażem i zaproponowali fryzurę. Myślisz, że męczyłabym się tyle czasu z tą grzywką opadającą na oczy? – Roześmiała się. – Żartuję. Trochę. Przyzwyczaiałam się. Usunięto mi tylko tatuaż z łydki i zaczęłam nosić szkła kontaktowe zamiast okularów w grubej oprawce. Okulary naprawdę niesamowicie zmieniają twarz, zwłaszcza u osób, które noszą je nie tylko do czytania, ale przez cały czas, jak ja kiedyś. I już. Tak właśnie z Martyny Maziarz powstała Milena Korcz.

– Kiedy byłem w twoim mieszkaniu... Odniosłem wrażenie, że jestem w teatralnych dekoracjach, wiesz? Że tam nie ma życia. Nie zorientowałem się nawet, że mieszkało tam dziecko!

– I tak miało być. Wszystko miałam tak przygotowane, żeby w razie zagrożenia spakować się w kilkanaście minut, nie zostawiając śladów. W takiej sytuacji jak moja nie możesz za bardzo przywiązywać się do rzeczy, w związku z tym niewiele tak naprawdę ci ich potrzeba. Kosmie tak urządziłam pokój, żeby móc zlikwidować wystrój w kilka chwil. Jego łóżko składało się łatwo, przenosiło i chowało pod moje. Nie miał

typowego dla chłopców w jego wieku pokoju, ale rozumiał to... To mądre dziecko.

Obrzuciłem ją spojrzeniem. Nie siedziała już zgarbiona; oparła się o ścianę, tuż nad głową mając skos połaci dachu. Roześmiałem się, trochę wbrew sobie, ale na pewno to pomogło nieco rozładować ciężką atmosferę.

– Nie wiem, jak to wyrazić, i pewnie dlatego zabrzmiało to nieco bezsensownie, ale mam wrażenie, i jest to wrażenie graniczące z pewnością, że teraz wiem o tobie jeszcze mniej niż wcześniej. Jesteś dla mnie jedną wielką niewiadomą. Dokładnie tak: niewiadomą.

Wybuchnęła krótkim śmiechem, który zabrzmiał trochę jak kaszlnięcie, ale zaraz spoważniała.

– Co ci się stało? – zapytałem, dotykając palcem jej policzka.

To był odruch, wyraz mojej troski, nic więcej. Odsunęła jednak twarz, odchylając się do tyłu i odwracając głowę.

– Oparzenie od wystrzału – powiedziała cicho, spuszcżając oczy.

– Zadzwońska do mnie z jego telefonu, wiesz o tym?

– Wiem. Pamiętam. Już po tym, jak go... Jak to się stało...

– Dlaczego nie ze swojego?

– Nie wiem. Coś mi dzwoniło w głowie, że nie powinnam używać swojego. Że to może być niebezpieczne. Zresztą telefon wypadł mi z kieszeni i leżał na widoku.

Po prostu schyliłam się i podniosłam go z podłogi, zamiast sięgać do torebki, która leżała za moim fotelem. Może to jednak dlatego? Nie wiem. Nie mam pojęcia.

– A dlaczego akurat do mnie?

– Pamiętałam twój numer.

– Mój numer nie jest jedynym, który znasz na pamięć.

– Zgadza się.

– Więc dlaczego ja?

– Przepraszam, że to byłeś akurat ty... – Zabrzmiało to jak wyrzut. Gorzko.

– Nie masz za co przepraszać, absolutnie. Nie o to mi chodzi. To było akurat najlepsze, co w tej sytuacji mogłaś zrobić. Jezu, nie masz nawet pojęcia, jak się cieszę, że to byłem akurat ja.

– To o co ci konkretnie chodzi? Zadzwoiłam, bo wydawało mi się... Wydawało mi się w tamtej chwili, że jesteś odpowiednią osobą... Że...

– To dobrze. Powtarzam: to świetnie. Inaczej byłabyś z tym wszystkim sama. A tak... Będę mógł ci pomóc. Tylko dlaczego się rozłączyłaś?

Milczała przez chwilę.

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – Zwątpiłam. Pomyślałam, że to jednak nie jest najlepszy pomysł, że dzwonenie gdziekolwiek nie jest dobrym pomysłem. Nawet do ciebie. Ale doszłam do tego wniosku już po wybraniu numeru. Ta przerażona dziewczyna w gabinecie to nie byłam do końca ja, rozumiesz?



– Rozumiem. Chyba rozumiem. Opowiesz mi, co tam się stało?

Zagryzła dolną wargę, jej oczy pociemniały na chwilę i błysnęły w nich łzy, ale opanowała się jakoś, choć musiało ją to dużo kosztować. Widziałem to. Wzięła głęboki wdech, pod plecy wsunęła sobie poduszkę i znów oparła się o ścianę, gwałtownie uderzając w nią plecami. Wyglądała trochę jak moja córka w okresie młodzieńczego buntu, kiedy obrażona siadała na swoim łóżku i nadąsana, nie patrząc mi w oczy, słuchała, co mam do powiedzenia na temat jej wygolonych z boku włosów albo zapachu piwa, który wyczułem kiedyś z jej ust. Takie chwile zdarzały się rzadko, ale raczej dlatego, że ciągle nie było mnie w domu. Wróciłem myślami do Marty. Spojrzała na mnie i zaczęła swoją opowieść. Kiedy skończyła, miałem tak ściśnięte szczęki, że aż zgrzytały zęby.

– Skurwysyn – wywarczałem, kiedy już umilkła. – Pierdolony skurwysyn. Dobrze go wyczułem.

– Zabiłam go – szepnęła Marta. – Zabiłam człowieka...

– Nie. Nie ty go zabiłaś. Zabiła go własna głupota i zbyt duża pewność siebie. Ta sama, o której przed chwilą wspominałaś. Nawet nie ważyła się myśleć, że przyczyniła się do śmierci tego skurwysyna. Nie jestem mściwy, ale on na nią zasłużył. To było niebezpieczne zwierzę, które należało odstrzelić dla dobra społeczeństwa. Kwestia

wyboru. On albo ty. On albo twój syn. On albo inny niewinny człowiek. I ten wybór nie jest trudny.

– Wybór jako taki nie. Ale dalsze działanie tak. Dlaczego to właśnie ja musiałam go dokonywać?

– Przykro mi, co innego mogę ci powiedzieć?

– Fakt. – Otarła kącik oka i trochę poweselała. – Co robimy?

– W Szczecinie już wiedzą, że jesteś objęta programem ochrony świadków. Nie wiem, czy to oznacza, że możesz się ujawnić.

– Poczekam jeszcze trochę. Kiedy zdecyduję, że już czas, odezwę się do mojego opiekuna z programu.

– Dlaczego nie zrobiłaś tego od razu? Kiedy uciekłaś z gabinetu?

Zastanowiła się przez chwilę.

– Mówiłam ci, że nie byłam sobą. Może trochę spanikowałam? A może właśnie nie?

– Wiesz, w takich sytuacjach jest jedna zasada, której należy się trzymać. Trzymać, choćby nie wiem co.

– Jaka?

– Nie ufaj nikomu. Być może podświadomie ją zastosowałaś. Zwłaszcza w momencie, w którym się rozłączyłaś, dzwoniąc do mnie.

– Być może... Hmm, to dobra zasada. Ale siedząc jednak tu koło mnie, stanowisz jej zaprzeczenie, nie sądzisz?

– Właśnie. Więc może nie rób tego więcej? Nie łam jej ponownie?

– Wiem, Darek, ale komuś muszę zaufać. Zaufałam tobie, ale niestety nie jesteś rozwiązaniem mojego problemu, przykro mi. Mój problem nie zniknął. Nie mogę ukrywać się z Kosmą do końca życia. W dodatku narażając panią Teresę. Na razie... Na razie nie mów o mnie nikomu, dopóki nie zdecyduję sama, co robić, okej? Daj mi jeszcze trochę czasu. A kiedy już zdecyduję, co dalej, dam ci znać.

– W porządku. To twoje życie i nie mam prawa w nie ingerować. Jakby co, jestem do dyspozycji. Mam u ciebie taki dług, że spłacenie go zajmie wieki.

– Opłaty za twoje sesje ponosił wyłącznie podatnik.

– Mówię o tej części, za którą podatnik nie płacił. Pomoc tobie jest moim obowiązkiem, rozumiesz? – powiedziałem śmiertelnie poważnie. – I zamierzam go wypełnić.

Objęła mnie i trzymała przez chwilę w ramionach, a ja nieśmiało oddałem uścisk.

– Już wypełniłeś – powiedziała, puszczając mnie.

Szkoda, że to trwało tak krótko.

– Mylisz się. – Zmrużyłem oczy i odsłoniłem zęby w drapieżnym uśmiechu, który miał ją podnieść na duchu. – Ja dopiero się rozkręcam. Powiedz mi jeszcze jedną rzecz: czy podczas tej całej afery, wtedy, przed dziesięcioma laty, przewinięło się gdzieś nazwisko

Leśniewski? Jarosław Leśniewski? Albo pseudonim „Malecha”?

Martyna zastanawiała się dłuższą chwilę. Potem popatrzyła na mnie.

– Nie przypominam sobie – powiedziała.

– Jesteś pewna? To może być dość ważne.

– Raczej tak. Mam dobrą pamięć do nazwisk, w ogóle mam dobrą pamięć.

– To akurat wiem. – Uśmiechnąłem się. – A czy był w tej sprawie jakiś wątek związany ze Szczecinem?

– Nie, na pewno nie. Inaczej nie wybralibyśmy Szczecina do osiedlenia się, prawda?

– Niby racja – przyznałem. – No dobrze...

– A co wspólnego ma ze mną ten Leśniewski?

– Prawdopodobnie nic, ale musiałem zapytać. Człowiek, który próbował cię zabić, był jego... powiedzmy ochroniarzem. Ale wynajmował się chętnie innym zbirom, był z tego znany. Nie był człowiekiem od mokrej roboty, tylko do zadań specjalnych. Postraszyć kogoś, pobić, zmusić do zrobienia czegoś, czego ktoś nie chciał zrobić, i tym podobne.

– W takich wypadkach często kończy się to jednak mokrą robotą. Łatwo przesadzić w biciu, prawda?

– No, właśnie on był znany z tego, że wiedział, jak bić, gdzie i najważniejsze: kiedy przestać.

– No tak, sama miałam przecież okazję przekonać się o tym. Do dziś co jakiś czas siusiam krwią. – Skrzywiła

się.

Ja też się skrzywiłem, zaciskając zęby.

– Dlatego tak chętnie go wynajmowano do takich akcji – kontynuowałem. – Swoim doświadczeniem gwarantowałem sprawne i poprawne wykonanie zlecenia. Sama widzisz, że jego nagły zgon uczynił ten świat odrobinę lepszym. Wszystko ma swoje dobre strony. Nawet śmierć...

– Marna pociecha. Wciąż mam przed oczami tę jego podziobaną bliznami mordę... A w nosie zapach jego wody... Nie mogę się go pozbyć. Jakikolwiek zapach perfum czy wody po goleniu bym poczuła, kojarzy mi się z nim.

– Ale wiesz, jak sobie z tym radzić, prawda? Z taką traumą? – Zadałem to pytanie chyba głównie po to, żeby uspokoić siebie, a nie ją.

– Teoretycznie tak. Ale tylko z książek. Dotychczas nie znałam tego zagadnienia z własnego doświadczenia. Jezu... – Urwała, ale usta zostały lekko otwarte.

Nagle zgarbiła się i zakryła twarz dłońmi, a ja aż przeraziłem się tym, co na niej zobaczyłem, zanim zniknęła pod palcami.

Chyba niepotrzebnie poruszałem tę kwestię. Trudno, stało się, nie mogłem przewidzieć takiej reakcji, nie w takim momencie. A może właśnie mogłem i wręcz powinienem? Ale nie dałem jej czasu na rozklejanie się. Nie mieliśmy go za dużo, poza tym nie wiedziałbym, jak

zareagować, gdyby naprawdę pogрузyła się w czarnej otchłani rozpacz. Nie miałbym zielonego pojęcia, co zrobić, jak ją pocieszyć, jak jej pomóc. Dotychczas to ona mi pomagała. A teraz była o krok od paniki i ja to widziałem.

– Czyli nie znasz ani Leśniewskiego, ani nie znałaś wcześniej Lichoty? – zapytałem takim samym tonem jak poprzednio, jakby nic się nie stało, a rozmowa toczyła się dalej; beznamiętnie, może tylko odrobinę zabarwiona lekkimi, zrozumiałymi w końcu w tej sytuacji emocjami. Ale bez paniki.

Martyna odsłoniła twarz i kilka sekund szybko mrugała oczami.

– Nie. Nie znałam go ani nie widziałam nigdy wcześniej. Tego też jestem pewna. – Nie patrzyła na mnie, ale powiedziała to takim samym tonem, jak ja przed chwilą.

– W porządku, rozumiem. – Byłem jej naprawdę wdzięczny za reakcję, prawidłową reakcję; przede wszystkim ten spokój, który szybko odzyskała, który tak w niej lubiłem i który w jej gabinecie działał na mnie kojąco. – Posłuchaj, Martyna, jeszcze jedno: jakby wypadło coś naprawdę pilnego, zadzwonię do „Renatki” z obcego telefonu, dobra? Tylko w wyjątkowych sytuacjach.

– Czy to bezpieczne?

– Raczej tak – odparłem.

Przecież nie powiem jej, że tu nic nie jest bezpieczne.

– Ustalimy tylko hasło, dobrze? – poprosiłem.

Uśmiechnęła się jakoś smutno i z rezygnacją.

– Dobrze – powiedziała cicho.

– Niech będzie... Milano. Może być?

– Może.

– Jeśli to słowo padnie w jakimkolwiek kontekście, to będę ja. Uprzedź tę panią nianię.

– Chyba trudno ci będzie wymyślić kontekst do słowa Milano?

– To jest akurat nasz najmniejszy problem, nie?

– Niby tak...

– Nie martw się. Coś wymyślę. Mówię o kontekście.

– A o reszcie?

– O reszcie też.

Zeszliśmy na dół. W ślepiach Promo była niema skarga.

– Spokojnie, staruszk. – Poklepałem go po szerokim łbie. – Koniec pieszych wycieczek. Wracamy do domu.

– Nie odprowadzajcie mnie – powiedziała Milena, kiedy wyszliśmy na zewnątrz, do ogrodu. – Nikomu nie mów, gdzie jestem. Nawet Mołczunowi. Jest w porządku, ale sam wiesz...

– Wiem.

– Daj mi jeszcze trochę czasu, potem podejmę jakąś decyzję – powtórzyła. – Skontaktuję się ze swoim opiekunem i postanowimy, co dalej.

- Jasne. Zrozumiałem.
- Być może więcej się nie zobaczymy, Darek...
- To też zrozumiałem. Niestety.
- Przykro mi.
- Mnie jeszcze bardziej, wiesz?

Podeszła i znów mnie objęła, jeszcze mocniej niż poprzednio. Stałem bez ruchu i było mi trochę smutno. Czułem, jakbym bezpowrotnie tracił kogoś bliskiego. Ogarnęło mnie przerażające osamotnienie. To się nadawało na terapię, ale jedyna osoba, do której mogłem z tym pójść, właśnie zniknęła z mojego życia, zdejmując ramiona z mojej szyi i odstępując dwa kroki w tył, żeby jeszcze raz spojrzeć mi w twarz.

- Trzymaj się, Darek.
- Powodzenia, Martyna... I uważaj na siebie, bardzo cię proszę, dobra?
- Będziemy uważać. Obiecuję. – Pomachała mi, odwróciła się i wyszła przez furtkę na ulicę.

Patrzyłem za nią. Będąc już daleko, wyszła z cienia jodeł na pełne słońce, które zalewało ulicę, i jej blond włosy zajaśniały przez chwilę pośród kolorowych punkcików kapeluszy, chustek i czapek turystów. A potem zniknęła mi z oczu.

Spojrzałem na Promo.

- Pakujemy się, stary. Jedziemy do domu.

Wieczorem byliśmy już w Bartoszewie. Niemal od razu po przyjeździe położyłem się spać. Czułem szum



w głowie; ze zmęczenia, z gorąca i emocji. I dobrze było zasnąć wreszcie u siebie...

\* \* \*

Przez dwa następne dni nic się nie działo. Robiłem to, co zwykle: oporządzałem dom i ogród, piłem z Waldkiem nalewki, chodziłem na spacerzy z psem i czytałem książki. I myślałem o Martynie, jak sobie radzi i co zamierza zrobić. Nie dzwoniłem do „Renatki”, nie było sensu, a taki telefon mógł jej tylko zaszkodzić. Musiałem powoli zacząć przyzwyczajać się do myśli, że więcej się nie zobaczymy.

Tej nocy śniła mi się córka. To było wspomnienie pewnej chwili z naszego życia. Było lato, sierpień, Jola leżała w szpitalu, dochodząc do siebie po drobnej operacji ginekologicznej, ja byłem sam z Agnieszką. Pewnego popołudnia zabrałem ją na wycieczkę, nad Goplankę, małe jezioro w Lasku Arkońskim. Pojechaliśmy rowerem, to był stary „Jubilat” mojej żony, miał na kierownicy równie stare wiklinowe krzeselko, w którym Jola jeździła chyba jeszcze jako dziecko. Wsadziłem w nie czteroletnią Agę i jej plastikowego konika, którego miała pilnować jak oka w głowie. Pamiętam teraz, jak stała na piaszczystym brzegu łagodnie opadającym ku wodzie, machała wiklinową witką, uderzała nią o powierzchnię jeziora, strasząc nartniki, i przejęta krzyczała, że łowi ryby. Patrzyłem na nią, na blond włoski, nad którymi latała ważka, na jej grubiotkie łydeczki, na wałeczki

tłuszczu i skóry nad zgięciami kolan, czułem na plecach ciepło słońca, a w nozdrzach miałem zapach wody i słodkawą woń przejrziałych dzikich jeżyn. Patrzyłem na swoją córeczkę, nie zdając sobie sprawy, że to jedna z najpiękniejszych chwil mojego życia. Chwila, której piękno doceniłem tak naprawdę dopiero po trzynastu latach; tej nocy, w tym śnie.

Potem usłyszałem śpiew:

*Wysed' jo se łącke kosić, słońko świeciło,  
Psyałaś do mnie z jagodami, dziewce, jak miło...*

To też był jeszcze sen. Absurdalny, choć kawałek De Press, którego nie słyszałem kilkanaście lat, w jakiś sposób wiązał się z jego treścią. Najbardziej tym słońcem. A potem poczułem na szyi coś zimnego i usłyszałem szept:

– Powiedziała ci, gdzie on schował tę kasę?

Bo jo cie kochom... – zdążyłem jeszcze pomyśleć resztką snu, ale ten szept nie był już snem. Był gorączkowy i usłyszałem go już na jawie. Razem z nim do moich nozdrzy dotarły opary przetrawionego alkoholu przetkane smrodem mnóstwa wypalonych fajek. Mieszanka wybuchowa. Zebrało mi się na mdłości, ale nie mogłem sobie pozwolić na taki luksus. Zorientowałem się, co dotyka mojej szyi. To był nóż.

Wybudzony w środku nocy ze snu, świadomy już, że mam w domu nieproszonego gościa, którego nie słyszy głuchy i stary pies, byłem jak sparaliżowany. Stres wyrugował z mózgu wszelkie myśli, czułem tylko, jak fala obezwładniającego strachu sięga serca, które zaczyna walić jak bęben, a potem trzepotać jak werbel: nieco słabiej niż na początku, ale za to szybko, bardzo szybko. Zanim myśli wróciły, usłyszałem coś jeszcze.

Nigdy wcześniej Promo nie wydał z siebie podobnego dźwięku. Był spokojnym, przyjaznym psem, którego przez te kilka miesięcy wspólnego mieszkania pod jednym dachem zdążyłem poznać jako sympatycznego zwierzaka nieprzejawiającego najmniejszych oznak agresji. Teraz z trudem domyśliłem się, że to on wydaje ten dźwięk. Niski i straszny, narastał z głębi ściśniętego gardła, bulgotał w nim jak gęsta ciecz w kotle i wydobywał się spomiędzy odsłoniętych zębów. W ciszy nocy słyszałem, jak język co chwila oblizuje z mlaśnięciem wyszczerzone zębiska, fafle i nos. Bulgotanie ustawało wtedy na chwilę, w jego miejsce pojawiał się świst wdychanego powietrza, a potem kolejny warkot, jeszcze głośniejszy niż przed chwilą.

– Co jest, kurwa? – Głos napastnika wyrażał zdumienie, i usłyszałem w nim strach, kiedy napastnik pojął, że pojawiło się zagrożenie, którego nie wziął pod uwagę.

Zimne ostrze przestało dotykać mojej szyi, ale kiedy już napinałem całe ciało, żeby rzucić się na trzymającego je skurwysyna, poczułem, jak pod czaszką rozbłyskują mi miliony gwiazd. Z jej boku na całą głowę rozlał się potworny ból, a potem dostałem drgawek. Zacząłem wyc, ale z moich ust i zza zaciśniętych zębów wydostał się zaledwie zduszony jęk. Moje ciało wyprężyło się, poczułem na języku smak krwi. Resztkami świadomości zarejestrowałem skowyt, a potem była już tylko ciemność.

\* \* \*

Obudziłem się. Bolały mnie wszystkie mięśnie, czułem w głowie szum i nie zdawałem sobie sprawy, gdzie jestem. Wiedziałem tylko, że nie w domu. Serce ścisnęło mi się ze strachu, kiedy zobaczyłem stojak na kroplówki.

Jezu... Znów byłem w szpitalu.

Ale tym razem nie szpital był najgorszy. Tym razem najgorsze było wspomnienie, które błysnęło mi przed oczami czernią nocy, zabrzmiało w uszach wyciem psa i człowieka, a w nozdrzach zakręciło smrodem fajek i alkoholu. Byłe realne i nierealne jednocześnie. Realne nasyceniem barw, natężeniem dźwięków i mocą zapachów. Nierealne brakiem odniesienia w czasie i przestrzeni. Mignęło i zeszło na dalszy plan, kiedy mój mózg opanowała jedna, jedyna myśl. Była natrętna i tłukła się po głowie jak rozwścieczona mucha między

oknem a zasłoniętą roletą: cokolwiek się stało, chcę do domu.

Lekarz przyszedł, kiedy próbowałem niezdarnie zwlec się z łóżka.

– Co pan robi, na litość boską? – powstrzymał mnie, a w jego głosie było bezbrzeżne zdumienie.

– Ja... Co się stało? – spytałem niewyraźnie.

Czułem, że mój język jest spuchnięty, czułem szczypiący, denerwujący ból, kiedy jego bokiem dotykałem zębów.

– Trafił pan do szpitala.

– Wiem. Widzę. Którego?

– Na Unii...

– Oddział jaki?

– Jest pan na neurologii...

– Co mi jest?

– Pozwoli mi pan coś w końcu powiedzieć?

Opadłem z powrotem na łóżko. Faktycznie, nie było sensu tak się szarpać. Spojrzałem na lekarza i poznałem go. Widywaliśmy się często, kiedy leżałem tu w zeszłym roku. Spotykaliśmy się też w poradni neurologicznej.

– Słucham – powiedziałem zrezygnowanym tonem.

– Witam ponownie. – Doktor lekko się uśmiechnął, udając, że uchyla kapelusza, chyba wyczytał z mojej twarzy, że go poznałem. – Szkoda tylko, że spotykamy się znów w takich okolicznościach. Przywieziono pana rano karetką z domu. Uderzył się pan najprawdopodobniej

w głowę i dostał ataku padaczki, sąsiad na szczęście zauważył, że coś jest nie tak. Kiedy pan spał, zrobiliśmy tomografię, pocisk nie zmienił położenia w porównaniu z badaniem sprzed roku, tak więc nowych uszkodzeń w mózgu nie ma. Ale musi pan na siebie uważać, panie Darku. Teoretycznie każdemu raz w życiu może przytrafić się atak padaczki, która nie wynika z żadnej choroby, i tak jest traktowany, jak niemający konsekwencji przypadek. Ale u pana... Sam pan wie i musi się pan z tym liczyć. Żeby to nie był początek czegoś gorszego. Tfu, tfu...

– Kiedy będę mógł stąd wyjść?

– Co panu się tak spieszy?

– Kiedy, panie doktorze?

– Cóż... Teoretycznie nic panu nie jest, ale... Szczerze mówiąc, uważam, że bezpieczniej byłoby, gdyby pan tu poleżał jeszcze ze dwa dni. Co najmniej ze dwa dni. Pośpiech jest wskazany przy łapaniu pcheł oraz w końcówce stosunku przerywanego.

– W takim razie wychodzę.

– Słucham?

– Wychodzę na własne żądanie.

– To nie jest rozsądne. – Popatrzył na mnie z dezaprobatą.

Ostatnio dużo ludzi to robiło: patrzyło na mnie takim wzrokiem, jak lekarz teraz. Jakbym robił coś bardzo niestosownego. Albo głupiego.

– Życie nie jest rozsądne. Mówił pan, że nic mi nie jest?

– Owszem. Ale chyba słuchał mnie pan wybiórczo. Mówiłem też inne rzeczy.

– Słyszałem, zwłaszcza tę o stosunku przerywanym. Ale przykro mi, podjąłem już decyzję.

– Znamy się trochę, więc nie będę wdawał się z panem w dyskusję. Po prostu wiem, że wdawanie się w dyskusję z panem nie ma sensu. I nie będę również mówił „do zobaczenia”. Lepiej nie zapeszać.

– „Żegnam” zabrzmiałoby jeszcze bardziej złowieszczo – zwróciłem uwagę, zwlekając się z łóżka, tym razem z sukcesem.

– Słusznie. Więc niech pan już idzie, skoro pan chce. Ale wypis będzie do odbioru dopiero jutro po trzynastej.

– Przeżyję. Gdzie moje ciuchy? – zapytałem, szykując się do przeniesienia ciężaru ciała z łóżka na trzęsące się nogi.

– Nie miał pan ciuchów. Przywieziono pana w samej bieliźnie. W slipach. Zdaje się, że już nie istnieją.

– Aha. – Przygryzłem wargę, uświadamiając sobie, że jestem w takiej sytuacji nie pierwszy raz. – Pożycz mi pan na chwilę telefon?

Lekarz wyciągnął komórkę z kieszeni fartucha i podał mi ją. Zadzwoiłem do sąsiadki, do Aśki, i poprosiłem, żeby po mnie przyjechała. Zgodziła się. Oddałem komórkę lekarzowi.

– Dzięki – mruknąłem.

– Nie ma sprawy. Dowód osobisty u pielęgniarek w dyżurce. Wypisać przy okazji receptę na ketonal?

– Poproszę, jeśli pan tak uprzejmy.

– Stałych klientów traktuję ze specjalnymi względami.

– Wdzięczność moja nie zna granic... – zripostowałem w skupieniu.

Udało się. Stałem na nogach i czułem, że zdołam iść o własnych siłach. Nie wiedziałem tylko, jak daleko ujdę, a sądząc po samopoczuciu, odległość ta musiała zawierać się w odcinku od łóżka do prowadzących na szpitalny korytarz drzwi sali.

– Może niezbyt grzecznie to zabrzmiało, ale mam nadzieję, że jednak więcej się nie zobaczymy – powiedziałem.

– Czego sobie życzymy, panie Darku – zgodził się lekarz. – Chyba że spotkamy się na pańskich osiemdziesiątych urodzinach.

– Może się pan czuć zaproszony. Na razie, panie doktorze.

– Na razie. Szczęścia życzę. I zdrowia. Dużo zdrowia. Niech pan się oszczędza, chociaż przez najbliższe kilka dni. Jak pan nie chce tego robić dla siebie, to niech pan chociaż zrobi to dla mnie, co?

Na Aśkę czekałem przed wyjściem, tak jak się umówiliśmy przez telefon. Wolałem mieć kogoś przy



sobie, kiedy będę szedł, a jeśli chodzi o Aśkę, mogłem liczyć na solidne oparcie. Była potężna i silna jak chłop.

– Wszystko w porządku? – zapytała, kiedy powoli szliśmy w kierunku bramy.

– Teraz już tak – sapnąłem, poprawiając kusą koszulę szpitalną, w której pacjentów przewożono zwykle na operacje.

Spod niedbale zawiązanej koszuli wystawał mój goły tyłek, świecąc pośladkami jak księżyc w pełni. Na bosych stopach miałem tylko flizelinowe ochraniacze na buty. Wyszedłbym i bez tej koszuli, i bez ochraniaczy, byle tylko opuścić to miejsce.

– Co ci się stało?

– Miałem podobno atak padaczki. Spadłem z łóżka i uderzyłem się w głowę. Ale niczego nie pamiętam, gdybyś chciała znać dalsze szczegóły.

– Dziękuję, postoję. – Roześmiała się głośno.

Miała donośny głos i taki sam śmiech.

Aśka zaparkowała swoje wysłużone punto przed bramą szpitala, koło lądowiska dla śmigłowców. Wsiedliśmy do auta, które zdążyło się już nagrzać, mimo że przyjechała nim niespełna dziesięć minut temu.

– Klima padła – wyjaśniła Aśka, kiedy opuszczałem boczną szybę.

To by było na tyle.

Jechaliśmy w milczeniu do Bartoszewa i dzięki tej ciszy mogłem w spokoju pomyśleć. Przypomniałem sobie

zimno noża na gardle, pytanie o pieniądze, wściekły warkot psa i krzyk człowieka. Nie mogłem uwierzyć, że ktoś napadł na mnie w moim własnym domu. W moim azylu, w moim zamku, w moim, kurwa, najbezpieczniejszym miejscu na ziemi. Czułem, jak rośnie we mnie wściekłość, niepowstrzymaną i gwałtowną falą zalewając trzeźwe myśli i zmywającą je w niebyt. Zamiast nich pojawiło się czyste jak łąza pragnienie odwetu i żądza mordu. W takich chwilach jak ta, w chwilach takiej wściekłości, jest się w stanie zabić. W takich chwilach jak tamta również. W takich chwilach jak tamta najczęściej przekracza się granice obrony koniecznej.

Kiedy ktoś zabija napastnika we własnym domu, w obronie życia własnego i życia rodziny, powszechnie sądzi się, że ów ktoś postąpił słusznie. Tak sądzi większość ludzi. Tak sądzi opinia publiczna. Ale sądy są często innego zdania. Przekroczenie granic obrony koniecznej w takich okolicznościach, jak na przykład te u mnie, jest zawsze dyskusyjne. Nikt nie wie, co by się stało, gdyby się napastnika nie zabiło; nie wie tego napadnięty, nie wie tego sąd, który wydaje wyrok na podstawie ustalonych przez prokuraturę okoliczności. A to przecież często walka o życie. Instynktowna, chaotyczna i bezmyślna. Ja nie miałem szansy przekroczyć tych granic, napastnik zapewne uciekł pogryziony przez Promo, ale teraz, siedząc wściekły

w nagrzanym samochodzie w drodze do domu, byłem pewien, że zrobiłbym to. Przekroczyłbym granicę.

I to też było straszne.

Uchyliłem szybę jeszcze odrobinę i słuchając, jak powietrze z hukiem wdziera się do środka samochodu, odetchnąłem głęboko. Nikt nie wiedział o paczkach euro w schowku w małej piwniczce pod podłogą, tego byłem pewien. Przeszło mi przez myśl, że to może Marta domyśliła się, w jaki sposób zniknął z jej domu plecak z forszą i narkotykami, i postanowiła wysłać kogoś do mnie, żeby albo go dla niej odzyskał, albo dał mi nauczkę. Tylko jak dowiedziała się, gdzie mieszkam?

Kiedy dojechaliśmy na miejsce, podziękowałem Aśce i zmęczony powlokłem się do siebie. Zamknąłem za sobą furtkę swojego ogrodu i zacząłem mozolnie wdrapywać się po schodkach do domu, kiedy usłyszałem czyjś cichy głos.

– Panie Darek!

Spojrzałem w bok. Głowa i dłonie Waldka wystawały zza obrośniętego winobluszczem płotu.

– Dzień dobry, panie Waldku – zamruczałem, przystając.

Byłem śmiertelnie zmęczony i dalej świeciłem gołymi pośladkami, wystającymi z rozcięcia z tyłu koszuli.

– Jeezu, panie Darek, aleś mnie pan nastraszył! – zawołał Waldek, ale nie za głośno. – Wyglądałeś pan, jakbyś nie żył! Trup, mówię panu, zimny trup! Siny,

skręcony jakiś... Gdybyś pan nie oddychał, tobym pacierz zaraz zaczął klepać.

No tak. Mogłem podejrzewać, że sąsiadem, który „zauważył, że coś jest nie tak”, był Waldek. Któż by inny?

– Dzięki, panie Waldku... Uratował mi pan życie.

– Nie ja, panie Darek, nie ja. Ja tylko wezwałem pogotowie.

– No, to też panu dziękuję. W takim razie kto?

Waldek pociągnął nosem, podtarł go rękawem i spuścił wzrok, a potem cofnął się o krok, niemal znikając za plątaniną łodyg i liści.

– Promo – powiedział, a mnie ścisnęło się serce.

– Co z nim? – zapytałem cicho.

Tknięty jakimś szóstym zmysłem, czułem, co Waldek zaraz powie. Nie pomyliłem się.

– Przykro mi, panie Darek. Raniutko, jak szedłem do lasu, zobaczyłem go na schodach pana domu, martwego. Był cały we krwi, jeszcze wypełznął jakoś, może chciał znaleźć jakieś ustronne miejsce, żeby... Nooo, wie pan... Zdechnąć, no... Gdybym go nie zobaczył na tych schodach, to nie wiem, co by z panem było. Pewnie i by się pan nawet przekręcił. Dlatego będę twierdził, że to on pana uratował, jak cholera, panie Darek. Wszedłem do środka i zobaczyłem pana na łóżku. Jak Boga kocham, byłem pewien, że trup... Wezwałem pogotowie i... – Wzruszył ramionami i zamilkł.

Co tu więcej opowiadać?

Usiadłem gołym tyłkiem na nagrzanym od słońca schodkach, na których zdechł Promo. Wierny do końca. Wierny tak, jak potrafi być tylko pies. Oddał swój dług wobec mnie; ja uratowałem go od śmierci w lesie, on mnie od noża. Przez myśl przemknął mi Leśniewski i jego opowieść o Lichocie. Teraz o wiele łatwiej było mi uzmysłowić sobie, co miał na myśli, mówiąc o swojej przyjaźni z „Lichym”. Też uratowali sobie wzajemnie życie. Przyjaźń to przyjaźń, nieważne, czy między ludźmi, czy człowiekiem a zwierzęciem. A ja tak traktowałem swojego psa. Jak przyjaciela. W tym samym momencie przestałem wstydzić się uczucia, które opanowało mnie w samochodzie Aśki. Kiedy było mi wstyd, że mógłbym przestać być trzeźwo myślącym człowiekiem, przestać być w ogóle człowiekiem i zabić kogoś z zemsty za napaść na mnie i mój dom.

– Panie Darek – rzucił cicho Waldek. – On tam leży w środku. Zanim przyjechała karetka, ochajtnąłem trochę pana chatę z krwi, zawinąłem go w koc i wyniosłem do łazienki. A potem lekarz powiedział, że to u pana wygląda na zwykłą padaczkę i może pan niedługo wyjdzie. Pomyślałem, że będzie pan go chciał pochować sam. Że poczekam trochę, najwyżej jakby co, zrobię to wieczorem... Trochę podśmierduje... Tak już jest, dzika jak przywiozę wieczorem z lasu i już nie zdążę go sprawić, to też rano czuć padliną. No i trochę bajzlu

narobiłem, jak dowodu osobistego szukałem, lekarz chciał... Nalegał. Przepraszam...

– Panie Waldku... Zostawi mnie pan samego?

Waldek stropił się lekko.

– Jasne, panie Darek, rozumiem. Aha, jakby co, dobra rada. Dół musi być co najmniej dwa metry głęboki. Inaczej wykopią go panu dziki i lisy. Psa wykopią, znaczy.

– Dzięki.

– Nie ma sprawy. Trzym się pan.

– Postaram się. Aha... – zatrzymałem go jeszcze. – Policji pan nie wezwał?

Waldek spojrzał na mnie z ukosa zza płotu i zacisnął usta.

– Wie pan... – Podrapał się zakłopotany po brwi. – Pomyślałem sobie, że z pewnych względów możesz pan sobie nie życzyć psiarni. Dobrze sobie pomyślałem?

– Czemu pan tak pomyślał?

– Nie wiem, co się tam wydarzyło, u pana w domu. To raz. Może pies dostał szału i pana napadł, a pan się bronił? Nie wiem, nie wnिकam, ale za takie coś, co się stało temu psu, to teraz jest do trzech lat odsiadki. Słyszałem, że czasem już nawet bez zawiasów. A taki szal to trudno udowodnić, co nie? Zwłaszcza gdy wszyscy naokoło będą twierdzić, że pies był do rany przyłoż. Tak po prawdzie to najpierw chciałem się od pana dowiedzieć, co tam się stało. – Spojrzał gdzieś w bok i wrócił do mnie

spojrzeniem, mrużąc powieki. – Pan też mnie z dziczkiem nieraz widział, co nie? I psiarni pan nie wołał.

Pokiwałem głową.

– To nie Promo mnie napadł, wie pan? To nas napadnięto. Tyle pamiętam...

– Kurwa, panie Darek – jęknął Waldek, zamykając oczy. – A ja wszystko posprzątałem, te ślady, krew, o ja pierdołę...

– Panie Waldku... – Urwałem, nie wiedząc, co powiedzieć.

Zastanawiałem się przez chwilę, co przyszło mi z niemałym trudem. W głowie wciąż mi szumiało, teraz nawet jeszcze bardziej.

– Panie Waldku, spokojnie. Tak się składa, że dobrze pan zrobił. Chyba najlepiej, jak można było – powiedziałem po chwili. – Nie będę wdawał się w szczegóły, bo sam nie wiem jeszcze do końca, o co chodzi, ale niech to na razie zostanie między nami. Mówię o tym napadzie. Tak będzie lepiej. – Tak będzie lepiej dla tych euro – dodałem w myślach.

– Jak pan chcesz.

– Ktoś z sąsiadów wie, co się stało?

Na twarzy Waldka zagościło niemal święte oburzenie.

– Panie Darek, pan przecież wiesz, że ja jestem porządna firma, nie? Dyskretna! I żaden ze mnie sensat!

– Zgadza się, wiem... To jak, wiedzą, co było grane?

– Coś im musiałem powiedzieć, ale wiedzą tylko tyle, ile nie dało się ukryć. Że karetka pana zabrała do szpitala, boś pan zemdłał. Wszystko. Pan mi powiesz, żebym wypaplał, to za godzinę wie całe Bartoszewo. Pan chcesz, żeby to była tajemnica, to ja milczę jak grób. To jak?

– Powiedziałem Aśce, kiedy po mnie przyjechała, że spadłem z łóżka i uderzyłem się w głowę, to mniej więcej pasuje do pana wersji i tego się trzymajmy. A o szczegółach i reszcie niech pan w takim razie milczy, panie Waldku. – Stęknąłem, dźwigając się na nogi. – Cicho sza. Okej?

– Jasne. – Obrzucił mnie uważnym spojrzeniem i zapytał niepewnie: – Pomóc panu... tego... z psem?

– Nie, dzięki. Dam sobie radę.

– Na pewno? Jakby co...

– Dam radę, panie Waldku. Dzięki. I jeszcze jedna rzecz, już naprawdę ostatnia. Niech pan ma oczy otwarte. A najlepiej niech pan je ma dookoła głowy.

– Jest się czego bać?

– Nie wiem – powiedziałem. – Ale lepiej zakładać, że tak. Trochę. I to też niech zostanie między nami, w porządku?

– Jasne.

Zostawiłem Waldka, który zniknął za płotem i zasłoną winobluszczu, i poszedłem do domu ubrać się w coś normalnego. Robiłem to mozolnie, włożenie na siebie



bokserek, podkoszulki i spodni zajęło mi dobrych kilka minut. Potem wyszedłem na zewnątrz, kierując się w stronę domku na narzędzia po szpadel. Nie zamierzałem się oszczędzać, bo nie miałem na to czasu. Najpierw musiałem jednak pochować Promo. Nie chciałem grzebać go w lesie. Po pierwsze, nie wolno tego robić, ale to akurat miałem gdzieś. Po drugie, nie chciałem, żeby jego ciałem zajęły się leśne drapieżniki. Rada Waldka była cenna, ale nie dla kogoś, kto absolutnie nie jest w stanie wykopać dołu o głębokości dwóch metrów. Nawet gdybym jakimś cudem to zrobił, nie zdołałbym z niego wyjść i chyba zostałbym w nim już na zawsze. Postanowiłem więc pochować psa w ogrodzie.

Wybrałem miejsce w jego rogu, zdjąłem szpadlem warstwę trawnika, wycinając w nim najpierw duży prostokąt, i wykopałem nie za głęboki dół, taki, na jaki było mnie stać. Potem poszedłem po psa, zauważając po drodze, że zamek w drzwiach wejściowych jest wyłamany. Przyjąłem ten fakt do wiadomości dość obojętnie, sprzyjał chyba temu stan, w jakim się znajdowałem. Promo leżał w łazience, tak jak zostawił go Waldek; zawinięty w koc, na którym zawsze spał. Sztywny, z poplamioną i zlepioną krwią sierścią, ze szklistymi ślepiami i wielkim jęzorem, którym tak lubił chlastać mnie po rękach. Nie znosiłem tego, ale ile bym dał, żeby poczuć znowu ten mokry, śliski pysk nawet na swojej twarzy...

Zacisnąłem zęby i spróbowałem go podnieść. Zobaczyłem czerwone płyty, które zaczęły latać mi przed oczami, i usłyszałem cichy głos Waldka:

– Panie Darek, to naprawdę nie ma sensu. Pozwól pan sobie pomóc, co?

Stał w drzwiach i patrzył na mnie smutnym wzrokiem. Pozwoliłem mu więc sobie pomóc. Wynieśliśmy ciało psa do ogrodu, włożyliśmy do przygotowanego dołu i stanęliśmy nad nim w ciszy. Mijały sekundy, a cisza trwała. Co się mówi nad grobem psa? Zadałem to pytanie Waldkowi, ale nie dostałem odpowiedzi. Kiedy spojrzałem w bok, zobaczyłem, że poszedł, zostawiając mnie samego.

Popłakałem sobie trochę, zasypując dół. Nikt mi, kurwa, nie powie, że dorosły facet nie może uronić kilku łez nad grobem przyjaciela. Potem udeptałem ziemię i położyłem płyty trawnika na swoje miejsce. Na koniec wtoczyłem tam kamień polny, który do tej pory był w skalniaku pod płotem. Ostatnia rzecz, jaka mi została do zrobienia, to zlikwidowanie klapki w płocie, przez którą Promo się przeciskał, gdy wybierał się do lasu. Zadrutowałem ją na stałe. Podejrzewałem, że dużo czasu upłynie, zanim zdecyduję się na następnego psa. I nie chciałem, żeby coś z zewnątrz przyszło i dobrało się do tego, którego straciłem.

Kiedy wszedłem do domu, byłem skonany jak po orce w polu. Znów łomotało mi w głowie.

Włączyłem „Trójkę”, jak to często robiłem, żeby nie być tak do końca sam i trafiłem na wiadomości. Myjąc w zlewie ręce płynem do mycia naczyń, słuchałem ich jednym uchem i wtedy nagle coś mnie tknęło:

*Dziś rano na Dworcu Głównym w Szczecinie doszło do tragicznego zdarzenia. Pod przejeżdżający pociąg wpadł mężczyzna, ponosząc śmierć na miejscu. W chwili obecnej nie są znane szczegóły, wygląda jednak na to, że nie był to wypadek, tylko próba samobójcza. Nieoficjalnie mówi się, że ofiarą jest czterdziestotrzyletni Paweł Sz., funkcjonariusz policji z Gdańska, jednak motywów jego postępowania i powodów targnięcia się na własne życie do tej pory nie ustalono. Najprawdopodobniej mężczyzna był pod wpływem alkoholu. Sprawę bada szczecińska prokuratura...*

„Powiedziała ci, gdzie on schował tę kasę?”. Tak brzmiało pytanie, które zadał napastnik, zanim zajął się nim Promo. Dźwięczało mi w uszach, jakby padło przed sekundą. Napastnik nie pytał o „jakieś” pieniądze ukryte w skarpecie; pieniądze, które niemal każdy ma schowane gdzieś w domu na czarną godzinę. Nie pytał również o pieniądze z plecaka Marty Kielan i nie przysłała go wcale Marta ani Bogutowicz. Żadne z nich go nie przysłało. Przyszedł sam. Przyszedł po pieniądze Maziarza...

Jezu Chryste...

Zobaczyłem, że piana przelewa się przez krawędź zlewu. Opłukałem ręce, strzepnąłem z nich wodę, zakręciłem kran i rzuciłem się do wyjścia. Zapomniałem o zmęczeniu i szumie w głowie. Pobiegłem do Waldka i załomotałem w jego drzwi. Otworzył mi niemal od razu.

– Co jest, panie Darek? – W jego oczach błysnęły przestraszonych.

– Nie, nic, spokojnie. Telefon pana potrzebuję na chwilę. Na kartę pan ma czy na abonament?

– Na kartę. Na cholere mi abonament?

– Dobrze.

Waldek dał mi swój telefon. Wybrałem numer na starej nokii, takiej prezydenckiej, jeszcze z klawiaturą. Przyłożyłem go do ucha i stojąc przed drzwiami Waldkowej altany, czekałem, aż rzeźenie sygnału zmieni się w ludzki głos.

– Pensjonat „Renatka”, słucham?

– Dzień dobry, byłem u państwa jakiś czas temu, pamięta pani? Z dużym psem, przestraszyła się go pani... Nazywał się Milano.

– Pamiętam. – Głos się zmienił.

Pani Teresa zorientowała się, o co chodzi. Martyna pamiętała o tym, żeby ją uprzedzić. Dobrze.

– Czy wszystko w porządku?

– T-t-tak... A czemu coś miało być nie w porządku?  
– zaniepokoiła się.

– Czy był u państwa w pensjonacie ostatnio jakiś niespodziewany gość?

– Owszem, ale był... bardzo miły. Był oczekiwany. Noo... Można powiedzieć, że stały klient. Wyjechał już zresztą.

– A był ktoś jeszcze oprócz niego?

– Nie. Nikt więcej nie przyjechał.

Uspokoilem się. Trochę. Więc Martyna zdecydowała się na kontakt ze swoim opiekunem... Nie wiem, czy to było rozsądne, zwłaszcza w świetle moich podejrzeń, ale to była jej decyzja. A niania Teresa stanęła na wysokości zadania. Konspiratorka pełną gębą.

– Rozumiem – powiedziałem.

– A czy coś się stało?

– Nie, nie... Tak tylko pytam, na wszelki wypadek, nic wyjątkowego. Niech pani nawet nie mówi, że dzwoniłem. Dziękuję i do widzenia!

– Do widzenia. – Rozłączyła się.

Oddałem telefon Waldkowi.

– Dobrze czy niedobrze? – zapytał, marszcząc brwi i chowając telefon do kieszeni na piersi sfatygowanej koszulki polo.

– Chyba dobrze. – Odetchnąłem. – Dzięki.

Wróciłem do domu, usiadłem do komputera i wszedłem na stronę gs24. Nie zawiodłem się; takie informacje pojawiają się w sieci od razu. Zwiększają oglądalność, dzięki czemu użytkownikom da się wcisnąć

jeszcze więcej reklam nawpierdalanych we wszystkie możliwe miejsca ekranu. Tekst newsa nie wnosił niczego nowego, niemal słowo w słowo podawał to, co usłyszałem w radiu. Ale był filmik z monitoringu; aż dziw brał, że w ciągu kilku godzin trafił do sieci. To wciąż było dla mnie niepojęte, ale jak na standardy informatyczne byłem dinozaurem nieogarniającym niczego więcej ponad przejrzanie wiadomości na portalach informacyjnych, zagranie w madżonga i przeniesienie pliku na pamięć USB. I trzeba było się z tym pogodzić.

Film był króciutki i niewyraźny. Widać na nim było zwięzający się w perspektywie peron dworcowy, tory po obu jego stronach i fragment wiaty przykrywającej jego płytę. Niemal w środku ekranu widać było ławkę, na której ktoś siedział. Maleńka wobec szerokiego planu ludzka postać była skulona, człowiek ten siedział ze zwieszoną głową, niemal w bezruchu. Wcisnąłem „play” i widok w zasadzie się nie zmienił, obraz wciąż był nieruchomy i dość ciemny, bo niemal cały dworzec skrywał się w cieniu głównego budynku. Choćby po tym było znać wczesną porę dnia: słońce wstające znad Odry nie zdążyło jeszcze wyjść ponad kalenicę dachu. Nagle w polu widzenia kamery pojawił się jakiś człowiek. To nie był pasażer. Mężczyzna miał miotłę i szufelkę z klapką na długim kiju. Szedł zygzakiem i zatrzymując się co jakiś czas, zbierał do szufelki to, co znalazł, a co zostawili dla niego gorzej wychowani pasażerowie. Kiedy

zamiatacz mijał człowieka na ławce, przystanął i odwrócił głowę w jego stronę. Po chwili ruszył dalej i zniknął z kadru. Nagle człowiek na ławce zerwał się na równe nogi. Wyglądał, jakby gwałtownie obudził się ze snu i w panice, kompletnie nie wiedząc, co robi, rzucił się przed siebie bez celu. Ale on miał cel. Film urwał się, kiedy mężczyzna zeskoczył na tory. Pojawił się temat następnej relacji i symbol ładowania pliku, który beznamytnie kręcił się w kółko niczym ścigający własny ogon wąż.

Funkcjonariusz policji Paweł Sz. Nie było na co czekać. Domyślałem się, gdzie ten człowiek był w nocy i chyba też trochę tego, dlaczego zdecydował się na taki krok.

Wsiadłem w samochód i pojechałem do Szczecina na dworzec. Zaparkowałem na placu Zawiszy i zszedłem schodami na Owocową, żeby dostać się tam nowym wejściem, przez świeżo dobudowaną część. Szukałem zamiatacza albo chociaż kogoś, kto miał na sobie strój firmy, która świadczyła tam usługi porządkowe. Tak się dziwnie składało, że firmą tą była PHU Malserwis, jedna z wielu w imperium Jarosława Leśniewskiego. Pamiętałem, że przeglądałem jej dane w KRS-ie. Przeznaczenie czy co?

Szwendałem się po peronach i hali kwadrans, ale jak na złość żaden z pracowników się nie pojawił. Czekałem cierpliwie. Chodząc wte i wewte po jednym z peronów,

zauważyłem na nowej kładce młodego chłopaka w koszulce z logo Malserwisu. Palił papierosa, rozglądając się na boki, oparty plecami o barierkę i pleksiglasowy ekran akustyczny. Pobiegiem na górę i zdybałem go, jak rzucał niedopałek na ulicę, tuż przy krawężniku. Zapewne to była granica jego rejonu, który sprzątał. Zły to ptak, co własne gniazdo kala, widać znał tę zasadę. Kiedy ruszył w moją stronę, zastąpiłem mu drogę.

– Chcę pogadać z kimś, kto widział na peronie tego gościa, który rzucił się pod pociąg – powiedziałem.

– To dobrze pan trafił. – Chłopak uśmiechnął się szeroko. – Słucham. Ale to będzie kosztować.

– Oczywiście. Za dobrą robotę należy się godziwa zapłata, a pewnie ten dworzec sprzątacie na „śmieciówkach”, co?

Obejrzał się w stronę ulicy, w miejsce, gdzie wylądował przed chwilą jego niedopałek.

– A żeby pan, kurwa, wiedział, żeby pan wiedział. I będzie jeszcze gorzej.

– Czyli rozumiem, że to ty jesteś tym gościem w czerwonej czapeczce, który jest na filmiku z monitoringu? Tym, który kilka minut wcześniej mijał tego samobójcę, zamiatając peron?

– Zgadza się, to ja. Rozmowa będzie kosztować stówę. Jak dla pana.



– Okej. Stówę mogę dać temu gościowi, który naprawdę był na tym peronie. Tobie dam dwie dychy, jak mnie do niego zaprowadzisz.

– Co?

– Zamiatacz na filmiku nie miał żadnej czapeczki. To.

– Kurwa, nie pamiętam, czy miałem...

– To nie byłeś ty. Gdybyś to był ty, nie byłoby cię teraz w pracy, bo od tamtej pory minęło ze dwanaście godzin. Pięć dych ci oferuję, moje ostatnie słowo. I załatwiamy to od ręki, po prostu dajesz mi na niego namiary. Prawdziwe namiary, bez ściemy, bo i tak cię znajdę i odbiorę, co moje. Chyba że jednak nie wiesz, kto to był?

– Wiem, kto to był – wycedził chłopak.

Zacisnął usta w wąską linię i wyciągnął z kieszeni telefon. Wybrał numer i zerkając na mnie, rzucił po chwili do kogoś po drugiej stronie:

– Słuchaj, można parę groszy zarobić... Nie, no ja w robocie jestem... Musisz z kimś pogadać. O tym gościu na peronie. Tak, o tym, co się... Facet daje stówę. Nie, nie jest z policji, przecież chce zapłacić. Dziennikarz? Nie wiem, no skąd mam... Jak to nie będziesz gadał? Proszę cię... Mnie da pięćdziesiąt, jak go z tobą skontaktuję.

Po chwili z zaskoczeniem odsunął telefon od ucha, spojrzał na niego, jakby nie wierzył w to, co się stało, i powiedział szybko:

– Jeszcze chwila.

Znów wybrał numer.

– Tato, błagam, no! – rzucił do telefonu. – Teraz chcesz taką okazję przepuścić? A jak zwolnią nas obu?

Umilkł i nic nie mówił, tylko słuchał przez chwilę, a potem rozłączył się, odetchnął z ulgą i spojrzał na mnie.

– Za piętnaście minut na skwerze między Czerwonym Ratuszem a pocztą główną, pod pomnikiem z kotwicą. – Wyciągnął rękę. – Pięć dych się należy.

– Ojciec ci przekaże – powiedziałem i wyminąłem go.

– Hej, cwaniaku goleniowski, mam do niego zadzwonić, żeby cię olał? Gównu się wtedy dowiesz!

Wyraźnie się zdenerwował. Odwróciłem się z uśmiechem i szeroko rozłożyłem ręce.

– Wtedy na sto procent nie dostaniesz nic. A ja zawsze dotrzymuję słowa. Zawsze, rozumiesz? Twój ojciec dostanie ode mnie sto pięćdziesiąt bez względu na to, co mi powie. Jasne? Ucz się cierpliwości i nie kłam więcej starszym. Na razie!

Burczał coś jeszcze, kiedy odchodziłem.

Zszedłem w dół Owocową, przeszedłem przez dworzec PKS i kilka minut później byłem już na placu Tobruckim, nad którym ze swego wzniesienia górował neogotycki budynek Nowego Ratusza, zwanego od barwy elewacji Czerwonym.

Stałem pod udającą monument kotwicą, ustawioną na skałach pozostałych jeszcze z przedwojennego pomnika Sediny dłuta profesora Manzla. Wczepiona rozpaczliwie w kamień była wyrazem braku pomysłu na

to miejsce, z którego tuż przed wojną, w jej trakcie i później zniknęło niemal wszystko: Manzelbrunnen, rynek, synagoga i mieszkający w tym mieście Niemcy. Sedina, symbol dawnej potęgi portowego miasta, skończyła marnie w piecu hutniczym, w którym razem z dzwonami ze szczecińskich kościołów przetopiono ją na amunicję do armat mających uratować chylącą się ku upadkowi Trzecią Rzeszę. Co jakiś czas pojawiały się sensacyjne wieści o jej „prawie” odnalezieniu. Najśmieszniejsze, a może właśnie najsmutniejsze było to, że biuściasta niewiasta w pełnym ożaglowaniu, na łodzi o dziobie zwieńczonym głową gryfa statecznie dryfująca ku dobrobytowi opartemu na tradycjach Hanzy, mimo że nie istniała od siedemdziesięciu lat, dzieliła mieszkańców Szczecina. Dzieliła ich na trzy kategorie. Na tych, którzy chcieli, by z powrotem stanęła na skałach: dumna, wyniosła i biuściasta. Na tych, którzy nie chcieli ani jej, ani niczego, co kojarzyło się z Niemcami; nie chcieli nawet tych, którzy chcieli, by Sedina wróciła. I na tych, którzy mieli to gdzieś.

Jak ja.

Człowiek, z którym miałem się spotkać, czekał już na mnie. Był mniej więcej sześćdziesięcioletnim mężczyzną, wysokim, żylastym, z potarganymi włosami o barwie popiołu. Siedział pochylony na ławce, na szeroko rozstawionych kolanach opierał łokcie i patrzył w ziemię, nie zwracając uwagi na otoczenie. Był mocno opalony,

jego skóra miała specyficzny odcień brązu, jaki występuje zwykle u ludzi pracujących fizycznie na świeżym powietrzu. W palcach lewej ręki trzymał papierosa bez filtra osadzonego w szklanej, poźółkłej od dymu fifice. Ubrany był dość niedbale, ale to mnie nie interesowało. Ważne, że miał na sobie ten sam kaftan co zamiatacz na filmie z monitoringu.

– Pan jest ojcem tego młokosa z dworca? – zapytałem, podchodząc do niego.

Odwrócił w moją stronę głowę, powoli i niespiesznie, i obrzucając mnie uważnym spojrzeniem, tak samo powoli i niespiesznie skinął nią.

– Wiszę mu pięć dych, odda mu pan?

Znów skinięcie głową.

– Widziałem pana na filmiku z dworcowego monitoringu w wiadomościach internetowych. Porozmawia pan ze mną?

Zaskoczył mnie. Nie pokiwał głową, tylko powiedział:

– Tak.

– Cieszę się. Rozumiem, że to będzie kosztowało...?

Znów mnie zaskoczył, bo nic nie powiedział, tylko pokiwał głową. Nieprzewidywalny typ.

– Ile?

– W stówie się pan zamknie. – Zaciągnął się papierosem, dym przepłynął przez szklaną rurkę jak biały płyn. – Nie jestem pazerny, tylko trochę

w potrzebie. Inaczej bym nic nie wziął. Ale synowa w ciąży i w ogóle...

– Zwolnienia w firmie?

– Re-or-ga-ni-za-cja – wyjaśnił, unosząc brwi.

Usiadłem obok niego na ławce. Zamiatacz nie posunął się, nie poruszył, siedział spokojnie. Minimum ruchów. Długo pożyje. Zauważyłem, że wspólną cechą długowiecznych zwierząt jest ich spokój i powolność. Żółw, słoń, wieloryb... Ten człowiek miał usposobienie żółwia; flegmatyczne do bólu.

– Widział pan tego samobójcę na peronie, prawda? Mijał pan go o metr, półtora. Zatrzymał się pan niedaleko na chwilę.

– Prawda. – Splunął drobiną tytoniu, którą widać zassał przez firkę. – Pan jesteś jakimś dziennikarzem?

– Nie, broń Boże. Jestem... Po prostu ciekawy. I jestem w stanie zapłacić wam nawet tę stówę, żeby swoją ciekawość zaspokoić. Czy taka odpowiedź pana zadowala?

– Może być. – Wytarł niedopałek o piasek, butem roztarł żar i schował firkę do jednej z wielu kieszeni zielonego kaftanika z logo firmy „Malserwis”. – Odpowiedź jak odpowiedź.

– Policja pana przesłuchiwała?

– Pewnie. Byłem przecież świadkiem, nie?

– I co im pan powiedział?

– To, co zaraz powiem panu. Tylko że od nich nie wzięłem za to kasy. – Puścił oko i to też zrobił powoli.

– Dobra, wróćmy do tego człowieka na peronie. Przyjrzał mu się pan wtedy, kiedy przystanął pan na chwilę i patrzył w jego stronę?

– Ano. Widziałem go. Nie wyglądał za dobrze.

– To znaczy?

– Był chyba pijany. Pociągał z „małpki”. Mamrotał coś do siebie. Był zakrwawiony i miał poszarpane ubranie, rękę miał owiniętą jakąś szmatą, też całą we krwi. I trzymał się za głowę. Spytałem, czy wszystko w porządku.

– Co odpowiedział?

– „Chuj, nic już, kurwa, nie jest w porządku”. Tak powiedział. I zaczął płakać.

– I co pan zrobił?

Wzruszył ramionami.

– Zapytałem jeszcze, czy potrzebuje pomocy. Nic nie mówił, tylko płakał, to odszedłem. Co będę się gapił, jak chłop płacze? Ja mam swoje problemy, on miał swoje, jak każdy. Tak sobie pomyślałem i zostawiłem go w cholere na tej ławce. Zresztą musiałem przecież pozamiatać peron, nie?

– I co było dalej?

– Dalej to pan widział na filmie...

– No właśnie nie widziałem. Nie zamieścili końcówki, jak wpada pod pociąg. Na filmie dobiega tylko do

krawędzi peronu.

Zamiatacz sapnął, wyraźnie poruszony.

– Usłyszałem ten pociąg. Jechał od strony mostu kolejowego. Kiedy mnie mijał, coś mnie tknęło i obejrzałem się akurat, jak ten człowiek zeskakiwał na tory. Przebiegł przez jeden, potknął się o szynę, myślałem, że upadnie i to go uratuje. Ale ustał i znów ruszył przed siebie. A potem stanął na „szóstce”, obrócił się twarzą do lokomotywy i rozłożył ręce. Nie położył się na tych torach, jak to zwykle robią samobójcy, tylko stał, jak... Jak strach na wróble. Miał otwarte usta, chyba krzyczał, ale wiesz pan, nie było go słychać. Tylko pisk hamulców, wycie sygnału... I hukło go. Odrzuciło go na tory, jeszcze w locie urwało mu rękę, całą. Widziałem, jak ta ręka się kręci, lecąc łukiem na sąsiedni tor. Odbiła się od szyny i spadła z nasypu. I on też leciał, przed lokomotywą. To chore, ale nie dałem rady nie patrzeć. Po prostu gapiłem się na to, wiedząc, że będę tego żałował, okropnie żałował. Nie byłem w stanie odwrócić wzroku, wie pan? A potem go najechało...

– Jeeezu – mruknąłem.

To nie mógł być miły widok.

– Wie pan, co to takiego brygada Zaka? – zapytał zamiatacz.

– Nie – odparłem.

– Służba w Zaka to dla Izraelczyka zaszczyt i zarazem koszmar. Nadają się do niej tylko nieliczni. To misja.

Judaizm nakazuje, by pochować ciało zmarłego. W całości, wszystko: włosy, skóra, każdą jego człowieczą cząstkę, którą dał mu Jahwe. Żydzi są bardzo przywiązani do tradycji. Przestrzegają swojego prawa. A co, jeśli jakiś Żyd zginął rozerwany przez arabską bombę? Jeśli zginęło ich kilkunastu? Trzeba skrzętnie odnaleźć każdy kawałek tkanki, zebrać każdą kroplę krwi, żeby dochować tej tradycji i uczynić zmarłemu akt miłosierdzia. I ci ludzie wypełniają religijny obowiązek wobec swoich bliźnich; wobec tych wszystkich nieszczęśników, którzy zginęli od arabskiej bomby, rakiety, albo nawet w katastrofie lotniczej czy kolejowej. Wyobraża pan to sobie? Ale oni są silni psychicznie, są silni wiarą. To obowiązek, który ktoś musi wypełnić. I oni to robią. Ale mówię panu, ci policjanci, którzy zbierali tego samobójcę z torów, nie zasłużyli na to. Ten pociąg nie stawał na Głównym, on tylko przejeżdżał torem pod murem oporowym, tym od strony Owocowej. Gnał. Było wcześniej rano. Wiesz pan, co się dzieje, kiedy kilkaset ton rozpędzonego żelastwa uderza w człowieka, a potem wlecze go ze sto metrów po torach? I oni szli z czarnymi workami i zbierali nieboraka, kawałek po kawałku. Zbierali go do tych worków. Jezuniu, widziałem to. To było chyba nawet gorsze niż to, jak go hukło. I nie zapomnę tego widoku do końca życia... – Spojrzał na mnie. – To wszystko.



– Skąd pan wie takie rzeczy? – zapytałem wstrząśnięty. – Jak ta o tej brygadzie...

– Zaka.

– Właśnie.

– Interesuję się światem.

Nie wiedzieć czemu przypomniał mi się Wojtuś Bilski i jego trzy szóstki: liczba bestii na mojej odznace i tablicy rejestracyjnej samochodu jego rodziców. Z jakiegoś nieznanego mi bliżej powodu niektórzy ludzie, niezależnie od wieku i wykształcenia, zwracają szczególną uwagę na rzeczy brzydkie i złe. A czasem to ktoś im zwraca na to uwagę.

– A nie może się pan interesować pięknymi rzeczami? – zapytałem. – Sztuką? Podróżami?

Zamiatacz spojrział na mnie ponuro.

– Im więcej się tym światem interesuję, tym mam gorsze o nim zdanie. O nim i o ludziach. Sztuka tego nie zmieni. Piękne widoki z zamorskich wysp też nie, nawet jeśli już ma się kasę, żeby tam pojechać. Ta cała sztuka, te piękne widoki, to wszystko jest jak sreberko, w które ktoś zawiązał kawałek gówna udającego cukierek i nabiera naiwniaków. A ja się nie dam na to nabrać. Za stary jestem i za dużo widziałem. Świat jest zły i ludzie są źli... A pan?

– Co ja?

– Po co pan się interesuje samobójcą?

Dobre pytanie.

– To dłuższa historia. Ale można powiedzieć, że bawię się w jubilera. Otóż kompletuję łańcuszek, wie pan? Ogniwko po ogniwku, jedno po drugim, maleńkie, czasem tak maleńkie, że nie sposób go dostrzec. I czasem ogniwko, które dostaję, nie kosztuje nic, a innym razem, tak jak teraz, muszę za nie zapłacić. Ale za każdym razem łańcuszek jest coraz dłuższy, aż wreszcie będę mógł go spiąć tym ostatnim, najważniejszym ogniwkiem. A człowiek, który rzucił się pod pociąg, jest jednym z ogniwek tego mojego łańcuszka.

– Czyli jednak dziennikarz?

– Nie, mówiłem już panu. Nie dziennikarz. Jubiler.

– Dobra, panie jubiler...

Wyciągnął rękę. Zauważyłem, że nie ma małego palca.

– Stówa, jak się umawialiśmy? – zapytałem.

Tradycyjnie pokiwał głową.

– Życzę, żeby to były dobrze wydane pieniądze, panie jubiler – rzucił.

Wyciągnąłem banknot z portfela i położyłem mu go na dłoni. Złożył stówę wpół, chuchnął na nią i schował do kieszeni innej niż ta, w której spoczywała fifka. Widać każda z nich miała swoje przeznaczenie.

– A ja wam życzę, żeby was ominęła ta reorganizacja. Pan odda te pięć dych synowi? – upewniłem się. – Inaczej sumienie mnie zeżre.

Łypnął na mnie wzrokiem pełnym rezygnacji.

– Oddam, oddam... Podzielimy się, bądź pan spokojny.

– Może pójdźcie do kina? Na jakiś piękny film o miłości, na którym nie ma zwłok ani zła, a ludzie są ładni i mądrzy?

– O miłości? – zapytał, otworzył szeroko oczy i zaczął się śmiać.

Zostawiłem go na tej ławce pod Sediną, której nie było, śmiejącego się do rozpuku, sam nie wiem z czego. Ze mnie? Z miłości?

Wracałem na plac Zawiszy po samochód i myślałem o rozwleczonych przez pociąg zwłokach człowieka, który chciał mnie zabić. I którego chciałem zabić ja. A przynajmniej byłbym w pewnym momencie w stanie to zrobić.

Funkcjonariusz Paweł Sz. był bez wątpienia jednym z ogniwek mojego łańcuszka. Ale, jak na razie, nie mogłem go do tego łańcuszka wpiąć w konkretne miejsce. Odłożyłem to ogniwko na jakiś czas na bok, miało tam leżeć, aż odkryję coś, kolejną rzecz, która ściślej powiąże Pawła Sz. z Martyną. I wtedy wepnę to ogniwko do łańcuszka, dokładnie tam, gdzie powinno być.

Była też jedna pozytywna rzecz, co stwierdziłem z pewnym zadowoleniem, wysiadając z samochodu pod swoim domem. Miałem już pewność, że Lichota nie działał sam. Nie dziwiło mnie to, bo od początku miałem w tej kwestii wątpliwości. Musiałem brać pod uwagę jego działanie z własnej inicjatywy, ale mimo wszystko te wątpliwości siedziały gdzieś z tyłu głowy. Lichota był

w te klocki niezły, ale był tylko psem. Tresowanym psem, który żeby działać, musiał dostać komendę od pana. Nieważne, czy tym panem był Leśniewski, czy ktoś z zewnątrz, kto „Lichego” wynajął tylko na jedno zlecenie.

Teraz już wiedziałem, że ktoś go do Martyny wysłał. I pozostało tego kogoś odnaleźć.

## V

– Uciekłam. Znowu uciekłam – powiedziała Martyna, kiedy otworzyłem drzwi, a gdy z zaskoczenia otworzyłem również usta, rozplakała się.

Minęły cztery dni, odkąd się rozstaliśmy, a teraz stała z twarzą mokrą od deszczu i łez, trzymając kurczowo za rękę kilkunastoletniego chłopca, który musiał być jej synem. Długie włosy Kosmy oblepiały jego twarz i okulary. Każde z nich miało walizkę; Kosma niedużą, w szkocką kratę, a Martyna czarną i ogromną, jakby spakowała do niej całe swoje życie. I tak zapewne było. Kolejna niespodziewana wizyta w ciągu dwóch dni, jedna bardziej zaskakująca od drugiej. Działo się. Naprawdę się działo...

– Co się stało? – Zaskoczony cofnąłem się do środka domu, żeby ich wpuścić. – Jezu, co się znowu stało?

– Czy Kosma może wziąć gorący prysznic? – zapytała Martyna, opanowując się.

– Jasne. Oczywiście! Dawaj, młody, wchodź, rozbieraj się i od razu pakuj do łazienki.

Pokazałem mu co i gdzie, dałem ręcznik i żel pod prysznic w saszetce, jakiś gratis z kolorowej gazety, który trzymałem na takie właśnie okazje: niespodziewane odwiedziny. Kiedy zamknął za sobą drzwi, przypadłem do Martyny.

– Zabili go. – Znowu się rozpląkała. – Zabili mojego opiekuna z programu. Wczoraj zadzwonili z Gdańska, że będą nas ewakuować najszybciej, jak to możliwe, bo Paweł nie żyje. Nie powiedzieli gdzie i dlaczego ani nic, tylko kazali się pakować i czekać. Więc ja i Kosma – łączyły jej ciurkiem po policzkach – uciekliśmy z „Renatki”. Mogłam pójść tylko w jedno miejsce, przepraszam.

– Bardzo dobrze zrobiłaś, Martyna – powiedziałem spokojnie. – Pod latarnią jest najciemniej. Nikomu nie przyjdzie do głowy, że mogłaś wrócić tam, skąd uciekłaś. Idź teraz na górę, przebierz się, weź prysznic, kiedy Kosma skończy, i porozmawiamy, dobrze?

– Jesteśmy skonani. Kosma pewnie pójdzie zaraz spać. – Rozejrzała się niepewnie dookoła i wytarła łzy. – Znajdziesz dla nas trochę miejsca? Ostatnio nie jesteśmy wybredni.

– Na górze jest mała sypialnia, tam będziecie mieszkać. Ja mam kanapę na dole. Zmieścimy się. Ostrzegam tylko lojalnie, moja kuchnia to nie dania Amore...

– Amaro...

– Możliwe, zresztą nieważne, bo moja kuchnia nie ma z nim nic wspólnego. Ale zawsze możemy zamawiać pizzę, nie? Dopóki nam się nie znudzi. Dobra, chodź na górę, zanim się przeziębisz, zaniosę ci walizkę i zrzucisz te mokre ciuchy.

Zaprowadziłem ją do swojej sypialni na poddaszu – ciasnej, ale przytulnej, z łóżkiem na tyle szerokim, że mogła na nim spokojnie spać razem z synem. Zostawiłem ją, żeby się przebrała, i zszedłem na dół. Kosma akurat wychodził z łazienki. Wokół bioder miał zawinięty ręcznik, który mu dałem, a na szyi na łańcuszku dyndał mały, prostokątny złoty medalik.

– Cześć – powiedziałem, uśmiechając się i wyciągnąłem do Kosmy rękę. – Wreszcie możemy się przywitać, co? Darek.

Był wyraźnie zawstydzony.

– Dobra, leć do mamy, jest na górze. Później pogadamy i zjemy coś. Pewnie jesteś skonany.

Pokiwał głową, wilgotne włosy i medalik na szyi zakołysały się razem z nią. Przemknął ostrożnie obok mnie i pobiegł na górę, plaskając o drewniane stopnie schodów bosymi stopami. Usiadłem na kanapie i patrząc w okno, na zalaną wielkimi kroplami deszczu szybę, czekałem, zasypiając na siedząco.

Ostatnimi czasy bywałem zmęczony i często spałem. Mocno. Mogliby mnie wynieść z domu i bym się nie obudził. Napad sprzed dwóch dni był tego doskonałym

świadcstwem; nie wiem, jak Szydłowski poradził sobie z zamkiem u moich drzwi, ale na pewno nie mógł zrobić tego całkiem bezgłośnie. To, że Promo go nie usłyszał, mnie nie dziwiło. Ale ja? Jakim cudem ja się nie obudziłem?

Jakby przecząc powyższemu, z drzemki wyrwało mnie ciche skrzypnięcie schodka. Otworzyłem jedno oko, odwróciłem głowę i zobaczyłem, jak Martyna schodzi na dół.

– Kosma śpi – oznajmiła cicho, podchodząc do kanapy.  
– Zasnął w trzydzieści sekund.

Zrobiłem jej miejsce, przesuwając się na bok. Też miała wilgotne włosy, były teraz ciemniejsze, widać wzięła prysznic, kiedy spałem.

– Dobra – powiedziałem, pocierając zaspane powieki.  
– To opowiadaj, co się stało.

Martyna usiadła koło mnie, obracając się przodem, podkuliła nogi, krzyżując je po turecku, i złapała się za kostki.

– Kiedy wyjechałeś ze Świeradowa... Przemyślałam sobie kilka rzeczy po tym naszym spotkaniu. Tak na zimno, bez emocji. Rozmowa z tobą bardzo mi pomogła, wiesz? W każdym razie już następnego dnia po twoim wyjeździe zadzwoniłam do mojego opiekuna z programu. To od lat był ten sam człowiek. Godny zaufania. Paweł Szydłowski. Pracuje w Gdańsku. Pracował... – Znów uroniła łzę; jej kropla wisiała przez chwilę na rzęsie,



a potem spłynęła po policzku i podbródku. Śledziłem ją w milczeniu wzrokiem, aż zawisła na podbródku, ale nie zdążyła oderwać się od niego i spaść: Martyna otarła ją wierzchem dłoni.

Nigdy nie myślałem, że psycholog też może płakać, choć wiedziałem, że płacz działa czasem oczyszczająco. Wiedziałem to po sobie. Patrzyłem teraz na popłakującą Martynę i po tym, co mi powiedziała, wiedziałem już również, w które miejsce mojego łańcuszka mam wpiąć odłożone na razie na bok ogniwo o nazwie Paweł Sz.

– Złamałaś swoją zasadę – zauważyłem. – Miałaś nie ufać nikomu. Nikomu.

– Darek... – Westchnęła. – Po twojej wizycie nabrałam pewności siebie, rozumiesz? Uspokoiliam się. Zaczęłam znów trzeźwo myśleć. Ja... Ja nie mogłam ich tak trzymać w niepewności. Ci ludzie poświęcają swoje życie prywatne, żeby chronić takich jak ja, jak Przemek. Na to idą ogromne pieniądze. No i Paweł był moim opiekunem. Komu miałam ufać, jak nie jemu? I teraz znowu... On... On u mnie był, w Świeradowie. Powiedziałam mu, gdzie jestem. Powiedziałam mu też, że byłeś u mnie. To źle?

– „Nie żyje”? – zapytałem. – Tak ci powiedzieli, że nie żyje?

– Dokładnie tak. A dzień czy dwa wcześniej przecież z nim rozmawiałam. To co się mogło stać? Ktoś go zabił! Co tu się dzieje, Darek?

– Promo zdechł – powiedziałem nagle.

– Przykro mi – odparła po chwili, nieco zaskoczona. – Faktycznie, nawet nie zwróciłam uwagi, że go nie ma. A jadąc do ciebie, bałam się, że będę ciągle smarkać od sierści.

– Nie chodził na górę. Nie lubił schodów. A dół zdążyłem posprzątać.

– Był już staruszkciem, co?

– Był. – Westchnąłem.

Postanowiłem na razie jej nie mówić, że staruszek uratował mi życie, ginąc przy tym od noża. I że jego zabójcą był jej opiekun z programu ochrony świadków, Paweł Szydłowski. I że Szydłowskiego nie zabito, tylko popełnił samobójstwo. Na razie nie chciałem też mówić, że wbrew temu, co Martyna twierdziła, policja jednak wiedziała o przekręcie jej męża. A przynajmniej wiedział o tym ktoś, kto w policji pracował.

– Będziemy musieli jednak poważnie porozmawiać o pieniądzach, Milena – powiedziałem cicho. – Przepraszam: Martyna.

– Chcesz pieniędzy? – Popatrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Nie, no co ty. O innych pieniądzach. O tych, o które wszystko się rozbija, które ukradł twój mąż. Ale spokojnie, nie teraz. Potem napijemy się kawy i pogadamy. Okej?

– Dobrze.

– Czym przyjechaliście?

– Autobusem do Jeleniej Góry, stamtąd pociągiem.  
A z dworca do ciebie taksówką.

– Pamiętałaś adres?

– Nie do końca. Pamiętałam, jak kupiłeś ten domek. Opowiadałeś mi o nim na sesji. Zamówiłam kurs do Bartoszewa, wysiedliśmy na skrzyżowaniu... Dlatego tak zmokliśmy. Doszliśmy do tej ścieżki, ale tu już się zgubiłam.

– Pytałaś kogoś o drogę?

– Jakaś pani, tu niedaleko, zaczepiła nas, czy nie widzieliśmy czarnego kota z połową ogona. Powiedziałam, że nie, i zapytałam o ciebie.

– Taka... Duża?

– Tak. Znasz?

– Sąsiadka. Pogadam z nią później. No dobra, widzę, że też zasypiasz na siedząco. Leć na górę, zdrzemnij się. Wieczorem pogadamy na serio.

Wbiła wzrok w swoje kolana i machinalnie zdjęła z łydki jakąś nitkę.

– Dzięki, Darek – powiedziała, nie patrząc na mnie. – Nawet nie wiesz, jaka ci jestem wdzięczna.

– I nawzajem. Potem pogadamy. Leć.

Wstała i poszła w kierunku schodów. Pomachała mi z nich i zniknęła na górze. Posiedziałem chwilę zamyślony, czekając, aż zaśnie, i byłem pewien, że nie zajmie jej to dużo czasu.

Szydłowski popełnił samobójstwo wczoraj rano. Martyna z Kosmą przyjechali dziś, mniej więcej dobie po tym, jak rzucił się pod pociąg. Nie miałem pojęcia, czy policja w jakikolwiek sposób powiązała Szydłowskiego ze mną. Realna szansa była znikoma, ale lepiej dmuchać na zimne. Przy założeniu, że jednak powiązali mnie z jego pobytem w Szczecinie, należało zadać sobie pytanie: jak długo zajmie im zorganizowanie obserwacji, a w zasadzie, czy ona już trwała w momencie, gdy Martyna z synem zjawili się w drzwiach mojej altany. Gdyby tak było, w moim domu roiłoby się już pewnie od „czarnych”, ale pewności mieć nie mogłem.

Cisza na górze świadczyła o tym, że Martyna już śpi. Wyszedłem do ogrodu, starając się jak najciszej zamknąć za sobą drzwi. Podeszedłem do płotu i zobaczyłem, że Waldek siedzi u siebie przed wędzarnią i drzemie na fotelu z zaciśniętą w dłoni butelką piwa „Bosman”. Waldek popierał produkty lokalne.

– Panie Waldku – zawołałem go teatralnym szeptem.

– Panie Waldku!

Drgnął, otworzył jedno oko i podciągnął się w fotelu.

– Co jest, panie Darek?

– Podejź pan na chwilę do mnie, dobra?

Wstał z fotela z wyraźnym trudem i podeszedł do płotu.

– Znowu jakiś napad? – zapytał z niepokojem w głosie.

– Nie, spokojnie. – Machnąłem ręką. – Ale pytanie mam, trochę w związku z tym. Pan ciągle siedzisz

w ogrodzie albo chodzisz do sąsiadów... Nie widział pan, żeby dziś się jacyś obcy kręcili?

Zastanowił się przez chwilę.

– Nie – odpowiedział zdecydowanie. – Nikogo nie widziałem.

– A wczoraj?

– Wczoraj też nie. Tak jak pan prosił: mam oczy szeroko otwarte.

– No dobra. Pan jesteś jak ochrona obiektu. Jak pan mówisz, że nikogo nie było, to nie było.

– A jaaak! – powiedział zadowolony i łypnął na mnie. – Wieczorem będzie wędzona z dzika. Refrektujesz pan? Pan dajesz alkohol, ja kiełbasę i robim bibę, co pan na to, panie Darek?

Prawie się oblizalem. Jak wspomniałem, Waldek popierał produkty lokalne, co obejmowało również florę i faunę okolicznych lasów. Był zapalonym grzybiarzem, zbierał jagody i organizował dziczyznę. Wolałem nie wiedzieć jak, widziałem go z nią kilka razy, ale nie wnikałem, skąd ją miał.

– Przykro mi, panie Waldku, nie dziś. Gości mam.

– A, to zapraszam z gośćmi! Tylko przynieś pan więcej wódy! O kiełbasę się pan nie martw, kiełbasy wystarczy. Musztarda też jest. – Skrzywił się, bo ja lubiłem musztardę, a on doprawianie nią swojej kiełbasy z dzika uważał za świętokradztwo.

– To kobieta i dziecko. – Uśmiechnąłem się.

– Ech... – Machnął ręką z rozczarowaną miną. – Sprawiasz mi pan okropny zawód, panie Darek. Okropny!

– Życie. – Wzruszyłem ramionami. – Tylko, panie Waldku...

– No? – Nadstawił ucha.

– Jakby kto pytał... Nikogo u mnie nie ma, dobra?

– Dobra, ja się tam nikomu do życia nie wpięprzam. Nic nie wiem, nic nie widziałem.

– Taak, wiem; porządna firma. I o to chodzi. – Puściłem do niego oko.

Waldek oczywiście żartował. Waldek widział wszystko i wiedział o wszystkim, co działo się na ROD Bartoszewo. Był jak żywy, ruchomy i równocześnie bardzo dyskretny system nieustającej inwigilacji. Cieszyłem się, że jest moim sąsiadem.

A potem poszedłem załatwić jeszcze jedną sprawę.

Punto Aśki stało pod płotem. Tak jak Waldka i moja, jej działka również leżała na skraju Ogrodów. Wszedłem do jej ogródka i zapukałem do drzwi domu. Otworzyła, a kiedy zobaczyła, że to ja, od razu powiedziała:

– Pytała o ciebie jakaś babeczka z dzieckiem i walizką. Powiedziałam jej, gdzie mieszkasz. Nie gniewasz się?

– Nie, ską... – Nie zdążyłem dokończyć.

– Wiesz, co sobie pomyślałam? – zapytała, mrużąc filuternie oko. – Że to dziewczyna z twojej mrocznej

przeszłości, że właśnie odnalazła cię matka twojego dziecka, o którym nie miałeś pojęcia. Trafiłam?

– Tak – rzuciłem ponuro, a kiedy zbladła, dodałem: – To jest dziewczyna z mojej mrocznej przeszłości, ale z dzieckiem nie mam nic wspólnego... Ulżyło ci?

Zamachnęła się na mnie, więc zasłoniłem głowę.

– A tak na poważnie... Prosiłbym cię o dyskrecję, Asia. Nie mów nikomu, że oni u mnie są, dobrze? Mogę cię o to prosić?

Spoważniała.

– Pewnie. – Wzruszyła ramionami. – Nie ma problemu.

Nie zapytała, o co chodzi. Ale znałem ją już jakiś czas i wiedziałem, że zrobi to, o co prosiłem. Będzie dyskretna.

Mimo to nieco się martwiłem. Tajemnica jest wtedy tajemnicą, kiedy wie o niej tylko jedna osoba. Kiedy wiedzą o niej dwie, to tak jakby wiedzieli wszyscy, to podobno kwestia czasu. I przypadku, jak szyba w szklarni dziadka Wojtka Bilskiego. O Martynie i Kosmie wiedział już Waldek i Aśka, siebie oczywiście nie liczyłem. I miałem gorącą nadzieję, że nie wie o nich nikt inny.

\* \* \*

Robiąc kolację, z niewiadomych przyczyn po raz kolejny przypomniałem sobie zeszłoroczne spotkanie z Leśniewskim i Lichotą pod „Kafe Tango”. Zapewne było

to naturalne, w końcu o obu tych ludziach myślałem niemal bez przerwy, usiłując powiązać Lichotę z Martyną, ale akurat to wspomnienie pojawiało się zbyt często. Ale tym razem związane z tą sytuacją wspomnienia sięgnęły nieco głębiej w przeszłość, przywołując osobę, dzięki której tamto spotkanie mogło dojść do skutku. Tą osobą był Piotrek Kucharski, wywiadowca z wydziału Wywiadu Kryminalnego KWP. Dał mi garść informacji o obu panach i udzielił kilku cennych rad, które być może nawet pozwoliły mi to spotkanie przeżyć.

Sprawdziłem kontakty w telefonie i okazało się, że wciąż mam do niego numer, który dała mi kiedyś jego szefowa, Ania Tomaszewska. Odłożyłem usmarowany masłem nóż i od razu zadzwoniłem do Piotrka. Nie odebrał, ale oddzwonił kilkanaście sekund później, kiedy nakładałem na bułkę misterną piramidę z żółtego sera, wędliny i świeżych warzyw.

– Cześć, Piotrek, dzięki za oddzwonienie. Suder z tej strony.

– Inspektor?

– Ten sam.

– Co się stało?

– Chciałem pogadać. Niezobowiązująco, niekoniecznie przez telefon, najlepiej w otoczeniu przyrody. Co ty na to?

– Jutro mam wolne. Rano jadę na rower. Jaki kierunek?



Jak zwykle rozmowa z Kucharskim sprawiała mi przyjemność z powodu jego konkretnego podejścia do rzeczy.

– Bartoszewo.

– Bardzo dobrze.

– „U Pomidora”, taki sklepik na skrzyżowaniu.

– Znam.

– Będę tam czekał.

– Dziesiąta?

– Pasuje.

– To do jutra.

– Do jutra.

Odłożyłem telefon na blat.

– Z kim rozmawiałeś? – usłyszałem za sobą głos Martynty.

– Z kolegą, takim tajniakiem, który pomógł mi raz w mojej sprawie. Chyba ci nawet kiedyś o nim mówiłem.

– Po co?

Jej głos był nieco zbyt ostry, co w połączeniu ze zmarszczonymi brwiami nadawało mu wrażenie lekkiej natarczywości. A może niepokoju? Udałem, że tego nie zauważyłem. Rozumiałem ją doskonale.

– Mam nadzieję, że Piotrek opowie mi coś jeszcze o Lichocie – odparłem normalnym tonem. – Wiem, że to wciąż macanie na ślepo, ale czasem jak się grzebie w czymś po omacku, to w końcu na coś się trafia. Lepsze to niż nicnierobienie, prawda? – Zerknąłem na nią.

– Prawda – przytaknęła bez entuzjazmu.

– Gdzie Kosma?

– Na górze. Ogląda coś na tablecie.

– Głupie pytanie. – Odchrząknąłem. – Gdzie mógłby być... Chcecie kolację?

– Pewnie!

Wróciłem do układania warzyw na kanapkach.

– Kosma chyba się mnie trochę wstydzi, co? – zapytałem.

Wciąż pamiętałem jego przyjaciela z klasy, Wojtka Bilskiego, absolutne przeciwieństwo Kosmy. A jak wiadomo, przeciwieństwa się przyciągają. I pewnie dlatego dobrze się dogadywali.

– Rozrusza się, spokojnie – powiedziała Martyna. – Pamiętaj, co ostatnio przeszedł. To raz. A dwa... W domu byliśmy tylko we dwoje, od zawsze, odkąd pamięta. Przebywanie pod jednym dachem z dorosłym mężczyzną jest dla niego nowością i faktycznie może być krępujące. Weź to pod uwagę i zachowuj się naturalnie. Tylko tym go kupisz.

– W porządku. Macie jakieś preferencje, jeśli chodzi o jedzenie? Kosma lubi warzywa?

– Nie jest wybredny, zje wszystko oprócz krewetek.

– A ty?

– Ja też. Też nie jestem wybredna, ale lubię krewetki.

– No to wołaj go na kolację.

– Jasne. – Zerknęła na blat. – A powiesz mi, po co robiłeś jedzenie na trzy dni?

– Myślisz?

Jak dla mnie na blacie leżała po prostu kolacja dla trzech osób, a nie na trzy dni.

– Ja nie myślę, ja jestem tego pewna. Będziemy jeść te kanapki jeszcze pojutrze, zobaczysz.

Kosma zszedł do nas sam. Zaszedł nas od tyłu i wyjrzał zza mamy, a kiedy zobaczył to, co przygotowałem, oczy mu się zaświeciły. Zanieśliśmy jedzenie na stół i zaczęliśmy jeść. Chłopak pochłaniał kanapki jedna po drugiej, jakby nie jadł od tygodnia. Popatrzyliśmy na siebie z Martyną.

– Nie żebym ci żałował, ale jedz powoli, chłopaku, bo skrętu kiszek dostaniesz – powiedziałem po chwili.

Zwolnił, ale wzrok, jakim na mnie spojrzał, przypominał wzrok dzikiego zwierzątka przyłapanego na grzebaniu w śmietniku. Martyna spojrzała na mnie znacząco, a ja od tej chwili postanowiłem się nie wtrącać i zacząć traktować Kosmę jak dorosłego.

\* \* \*

Następnego dnia rano wstałem tuż po ósmej. Na górze było cicho, więc zachowywałem się tak samo, żeby ich nie obudzić. Poszedłem potruchtac po lesie, bo wreszcie postanowiłem zająć się swoją kondycją. Wróciłem spocony i z lekkim skurczem w łydce, wypilem pół litra wody

i wziąłem prysznic. Martyna z Kosmą wciąż spali, a może nie, tylko nie chcieli jeszcze schodzić na dół i woleli pobyć sami ze sobą. Za kwadrans dziesiąta napisałem im kartkę, że wychodzę do sklepu, położyłem ją na blacie w kuchni, koło ekspresu, i wyszedłem.

Niecałe dziesięć minut później byłem już na miejscu, w samym centrum naszej wiochy. Kupiłem u „Pomidora” ogórki, które kisił w jakimś zajzajerze własnego patentu; można się było nimi ogolić, tak były ostre od przypraw. Pogryzając je i oblizując z oleistej cieczy spierzchnięte i palące usta, stałem przed sklepem i czekałem na Piotrka. Przyjechał punktualnie. Lubię punktualnych ludzi. Są dzięki tej swojej punktualności w pewien sposób przewidywalni, a ja nie lubię niespodzianek. Miałem ich za dużo w ostatnich latach.

Przyjechał od strony Żółtwi, zahamował z fasonem przed furtką, zszedł z roweru i oparł go ostrożnie o murek. Wyszedłem do niego. Zdjął kask i okulary, kask powiesił na kierownicy, a okulary włożył do niego. Podstawiłem mu pod nos torebkę z ogórkami, ale pokręcił głową.

- Dzięki, że wpadłeś – powiedziałem.
- Nie ma sprawy, inspektor.
- To już nieaktualne – zauważyłem.
- Nie szkodzi. Przyzwyczailem się.
- Szybko się przyzwyczajasz.

– No. – Pogłaskał ramę roweru, ścierając z niej smugę kurzu. – Co tam?

– Pamiętasz naszą rozmowę w zeszłym roku?

– Tę o Leśniewskim? – Poprawił rękawiczki bez palców, głośno odrywając rzepy na nadgarstkach.

– Tak. O Leśniewskim i o Lichocie – uściśliłem.

– Pamiętam. Chcesz wrócić do tematu?

– Otóż to. Tym razem ze szczególnym wskazaniem na Lichotę.

– Wiesz, Lichota był trochę przy okazji. Obserwacji podlegał Leśniewski...

– Ale powiedziałaś mi wtedy sporo również o „Lichym”, pamiętasz?

– Zgadza się, zresztą Lichota mieszkał u „Malechy”. A po co ci to teraz?

– Znów zagościli w moim życiu, że tak powiem.

– Lichota też? Przecież zabiła go ta psycholożka?

– Wieści szybko się rozchodzą, jak widzę.

– Szybciej niż myśl. – Pokiwał głową. – Więc jak, Lichota też zagościł w twoim życiu, zanim rozstał się ze swoim?

– No nie, Lichota nie. Tylko „Malecha”. Ale ma to sporo wspólnego z „Lichym”. Dlatego chciałem cię jeszcze o niego popytać. Mogę?

Piotrek popatrzył na las i założył ręce na piersi.

– O „Lichego”? Pewnie. Pytaj.

– Leśniewski jest jeszcze w kręgu waszych zainteresowań?

– W zasadzie nie. Nie wiem, co się dzieje dalej w jego sprawie. Myśmy zrobili co trzeba, wyniki przekazano wyżej i na tym kończy się moja rola.

– Kiedy z nim skończyłeś?

– Jeszcze w zeszłym roku, bodajże we wrześniu.

– Czy wiesz o tym, że Lichota czasem dostawał wychodne i załatwiał różne sprawy dla innych ludzi? W mieście i poza nim?

– Słyszałem. Był dość popularny w pewnych kręgach ze względu na swoje doświadczenie bojowe.

– Coś takiego zdarzyło się podczas waszej obserwacji?

– Raz zniknął na kilka dni. To znaczy raz to zarejestrowaliśmy. Wiesz, celem był Leśniewski...

– Wiem, wiem... Więc Lichota zniknął, mówisz. Znaczący wyjechał?

– Tak, wyjechał.

– Wiesz dokąd?

– Na Śląsk.

– Na Śląsk? Ale rozumiem, że to w ramach „wychodnego”?

– A, o to pytasz. Tego to nie wiem. Wiem tylko, że spędził cztery czy pięć dni w Rybniku. To trochę zabawna historia. – Uśmiechnął się.

– Słucham, też się chętnie pośmieję.

– Nie powiedziałem, że historia jest śmieszna, tylko zabawna.

– Nie szkodzi, i tak chętnie posłucham.

– Lichota się zakochał...

– Słucham? Co zrobił?

– Zakochał się.

– Kurwa...

– Co? Tak trudno w to uwierzyć?

– Owszem. Mniej więcej tak samo jak w przypadku krokodyla albo ulicznej latarni.

Piotrek się roześmiał.

– Każda potwora znajdzie swojego amatora. Tacy ludzie też mają uczucia.

Nagle poraziło mnie pewne wspomnienie i otoczył półmrok. Ten sam rozjaśniany odległymi latarniami ulicznymi półmrok, który panował w mercedesie Leśniewskiego ponad rok temu, kiedy siedzący w nim Lichota opowiadał mi o Bogutowiczu i o tym, jakie to dziwne, że chłopak zakochał się w jakiejś dziewczynie. Dziewczynie, która była moją córką. Lichota wypowiadał się o nim dokładnie w ten sam sposób, w jaki ja mówiłem teraz o nim. To było jak koszmarne *déjà vu*. I ponura konstatacja: źli ludzie nie potrafią kochać. A może to nie ma nic do rzeczy?

– W przypadku Lichoty naprawdę trudno mi to sobie wyobrazić – powiedziałem, otrząsając się z tego panującego we wnętrzu mercedesa półmroku i wracając

do zalanego słońcem Bartoszewa. – I nie chodzi mi o kobietę, która się w nim zakochała, tylko o niego. Po prostu trudno mi uwierzyć, że „Lichy” mógł kogokolwiek kochać...

– Rozumiem, że widok Lichoty wbijającego maślany wzrok w wybranekę swego serca, wsysającego z nią wspólną nitkę makaronu i podsuwającego jej nosem truskawkę jest dla ciebie trudny do wyobrażenia?

– A dla ciebie nie?

Pokręcił głową.

– Już nie. Ja to widziałem na własne oczy.

– Chcesz mi powiedzieć...

– Nie, no nie podsuwał jej nosem truskawki... Jedli lody, tu, w Szczecinie. Przyjechała raz do niego. Karmili się wtedy nawzajem tymi lodami i gapili się na siebie tak, że nie było wątpliwości, że coś ich łączy. Nie miziali się bosymi stopami pod stołem, ale wiesz... To się da czasem poznać po oczach.

– Kto to jest?

– No właśnie, to jest ta zabawna część. Ta pani to obecnie boss jednej ze śląskich grup przestępczych. Dużych grup.

– Jaja sobie ze mnie robisz.

– Nie. Absolutnie nie. To Bożena Zubrzycka, żona „Rapida”, Wieśka Zubrzyckiego. Kobieta samotna. I fatalna.

– Samotna? Fatalna?



– Mężczyźni, którzy byli jej bliscy albo którym bliska była ona, marnie kończyli. Jej brat trafił do więzienia. Mąż też siedzi w więzieniu. Syn jest wyjątkiem; nie siedzi w więzieniu, tylko w Stanach, gdzie robi karierę naukową. Zerwał kontakty z rodziną i słusznie, na dobre mu to wyszło. No i Lichota...

– Fakt, Lichota wyszedł na tym najgorzej – przyznałem.

– Ano – powiedział Kucharski. – Wracając do Zubrzyckiej. To „Rapid” był bossem, ale dostał piętnaście lat mamra i interesy przejęła żona. Kobita ma posłuch w grupie, wszyscy jeszcze boją się Wieśka, zresztą idzie jej całkiem nieźle, bo Wiesiek pomaga jej zza krat, jak tylko może. Kobiety mafii są czasem bezwzględniejsze od swoich mężów, wiedziałeś o tym, inspektor? Tyle że Zubrzycka siłą rzeczy jest samotna. Podobno poznali się z Lichotą, kiedy jeszcze byli młodzi. On odbywał służbę wojskową gdzieś na Śląsku, spędzał przepustki u niej, ale częściej ona przychodziła do niego pod bramę jednostki, bo Lichota był dość krnąbrny i rzadko te przepustki dostawał. Ale jakoś potem to się rozlało pewnie przez to, że Lichota uciekł na zachód.

– A czemu się teraz zlazło? I jak?

– Nie wiem, czemu się zlazło. A jak? Pewnie przez Facebooka. – Roześmiał się z własnego dowcipu, ale miałem wrażenie, że to niekoniecznie był dowcip.

– Myślisz, że ta Zubrzycka wynajęła Lichotę do jakiejś roboty w Szczecinie? – zapytałem go.

– Nie mam pojęcia. Ale wątpię. Z tego, co wiem, zasięg działania grupy „Rapida” obejmuje wyłącznie Górny Śląsk, w zasadzie któreś z miast aglomeracji katowickiej.

– To może na odwrót; zaprosiła go do siebie, żeby wykonał dla niej jakąś małą robótkę.

– Jako cyngiel?

Leśniewski wspominał, że ich wspólny układ wykluczał mokrą robotę. Ale wszystko było możliwe. Jak dla mnie, wymaganie od Lichoty dotrzymania takiej obietnicy było równie sensowne jak wymaganie od skorpiona wstrzemięźliwości w wymachiwaniu kolcem jadowym.

– Nie wiem, czy jako cyngiel – mruknąłem.

– Mogło być, jak mówisz. A może, jak powiadają, stara miłość nie rdzewieje i dalej czują do siebie miętę. Zastanawiam się tylko, co stałoby się z Lichotą, gdyby Wiesiek się dowiedział. W końcu ktoś by mu o tym uprzejmie doniósł. Być może ta psycholożka uchroniła Lichotę przed długą i bolesną męką. Głowa w imadle, zrywanie paznokci, obcinanie palców i tak dalej.

– Pieprzyć go. – Machnąłem ręką i westchnąłem zrezygnowany. – W sumie to nieistotne, cały ten Śląsk jest nieistotny. Tak naprawdę szukam czegoś, co powiąże Lichotę z Trójmiastem. Z pewną grubą sprawą sprzed ponad dziesięciu lat.

– Mówisz o procesie trójmiejskiej mafii finansowej? O tych parunastu cwaniakach w białych kołnierzykach, których zakapował jakiś księgowy?

Spojrzałem na Piotrka płonącym wzrokiem.

– Skąd ci przyszła do głowy akurat TA sprawa?

– Jak to skąd? Wspominałem, że brat Zubrzyckiej był w więzieniu? Został skazany właśnie w tym procesie.

– Co!?

– No tak. Co w tym dziwnego? Takie rzeczy się zdarzają, inspektor. Sam wiesz najlepiej.

– Ale... Skąd on się tam wziął? W Trójmieście?

– W tych przekrętach brali udział ludzie z całej Polski, ale rdzeń grupy był w Gdańsku, więc tamtejsza prokuratura prowadziła postępowanie i tam odbył się proces. Oczywiście skazano wyłącznie tych, którzy nieostrożnie pozostawili podpisy na niewłaściwych papierkach. Płotki. Tyle że to były ogromne sumy, więc wyroki też nie należały do najniższych. Brat Zubrzyckiej okazał się jednym z tych nieostrożnych.

– Jak się nazywa?

– Wojnicz. Ryszard Wojnicz.

– Piotrek, skąd ty to wszystko, do cholery, wiesz?

Spojrzał na mnie ze zdumieniem.

– Siedzę w tym. I gadam z innymi chłopakami. Po prostu.

– A ten Wojnicz? Też siedzi? Czy wyszedł? – zapytałem gorączkowo, zanim jeszcze uświadomiłem

sobie, że mimo swej szerokiej wiedzy o sprawie akurat tego Piotrek nie może wiedzieć.

Mylilem się.

– Nie siedzi. Leży. Na cmentarzu. Powiesił się w celi rok po skazaniu. O ile pamiętam, kiblował w Malborku.

– Popełnił samobójstwo?

– Tak mówią. Wiem, że niektórzy podejrzewają, że w polskich więzieniach grasuje „seryjny samobójca”, ale w tym wypadku podobno zrobił to sobie naprawdę sam. Żadnych zaginionych kadrów z monitoringu, żadnych podejrzanych wizyt; zresztą facet siedział w normalnej, kilkusobowej celi z innymi skazanymi za przestępstwa finansowe, długi i alimenty. Prawdopodobnie miał jednak depresję, którą zgłaszał i w którą i tak nikt nie wierzył. Do momentu, gdy znaleźli go pewnego ranka wiszącego na ramie własnej pryczy. Wyleczył się z depresji definitywnie, potwierdzając tym samym, że jednak ją miał.

– Chyba że prawdziwy powód był inny. Na przykład dostał wiadomość od swoich byłych mocodawców, którzy nie chcieli ryzykować, że za jego przyczyną wypłyną jakieś dodatkowe sprawy. Że będzie za dużo gadał kolegom z celi albo nawet próbował ułożyć się z prokuraturą. A ta wiadomość była krótka i treściwa: „Wybieraj, ty albo rodzina”...

– Możliwe. Wszystko jest możliwe. Choć pamiętaj, kim był. Szwagrem jednego z najpotężniejszych ludzi na

Śląsku. Grożenie jemu to grożenie „Rapidowi”. Nie sądzę, żeby ktoś normalny, kto orientuje się, co w tym światku buczy, dawał tego rodzaju ultimatum akurat Wojniczowi. To byłoby dość ryzykowne dla kogoś takiego, co nie?

– Kto wie, może byli szefowie Wojnicza są znacznie potężniejsi od „Rapida” i takie ultimatum to żadne wielkie halo? Wolą nawet narazić się na wojnę z lokalną mafią niż na stratę grubych, naprawdę grubych pieniędzy?

– Tak, to niewykluczone.

– I właśnie ten fakt, że naprawdę nic nie jest wykluczone, bardzo mnie martwi. Martwi i wkurwia.

– Ale masz już jakieś powiązanie – przypomniał mi Piotrek.

– Ten Wojnicz?

– No.

– Ślepy tor. Sam powiedziałeś, że zawisł na pryczy.

– A Zubrzycka?

Popatrzyłem na niego. Piotrek nie wiedział, co zrobiłem po tym, jak rozmawiałem z nim poprzednim razem. Ale nie mogłem zrobić czegoś podobnego ponownie. Leśniewski to Leśniewski, a Zubrzycka to Zubrzycka. Nie pojedę przecież na Śląsk, nie wywęszę, gdzie bywa, i nie wsiądę do jej samochodu, tak jak zrobiłem to z Leśniewskim. Za wysokie progi na Sudera nogi. Trzeba mieć świadomość własnych ograniczeń. Jeśli

już nie dla zdrowia, to przynajmniej dla higieny psychicznej.

Podziękowałem Piotrkowi krótko, a on tym razem przed niczym ani przed nikim mnie nie ostrzegął, tylko skinął głową, włożył okulary i kask i już go nie było. Zniknął za zakrętem lasu, buksując kołami na grząskim piasku leśnej ścieżki biegnącej koło Jeziora Bartoszewskiego, małego, pełnego glonów zbiornika wodnego, w którym podobno pół wieku temu ryby i raki łapano na kilogramy.

Wracając do domu, zadzwoniłem do Leśniewskiego. W końcu miałem się nie krępować, a skoro tak, to nie widziałem przeciwwskazań, żeby tego nie robić. Wolałem zadzwonić do niego od razu, na gorąco, póki zasłyszane od Piotrka informacje były świeże.

Leśniewski odebrał dopiero po pięciu sygnałach.

– Dzień dobry, panie Jarku, Suder z tej strony. Ma pan chwilę?

– Dosłownie chwilę. – Był trochę spięty, jakby się gdzieś spieszył albo jakbym przerwał mu jakąś absorbującą czynność. – Co się stało?

– Jedno szybkie pytanie. Czy Lichota miał kobietę?

– Miał je, kiedy tylko chciał. Był dość jurny, jeśli już o tym mówimy.

– Nie, ja mówię o czymś innym. Ja mówię o miłości.

– O czym?

– Czy był w związku uczuciowym z jakąś kobietą?

Chwila ciszy się przedłużała.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Szczerze mówiąc, nie bardzo mogę sobie to nawet wyobrazić.

Gdybym nie rozmawiał z Leśniewskim przez telefon, podałbym mu teraz rękę, witając go w klubie.

– Nie wspominał panu, że się zakochał albo coś takiego?

– Nie – odparł zdecydowanie. – Nie, na pewno nie. A skąd coś takiego przyszło panu w ogóle do głowy?

Milczałem. Wierzyć mi się nie chciało, że Leśniewski nie wiedział nic o Zubrzyckiej.

– Jest pan ze mną teraz szczerzy? – zapytałem głupio, jakbym naprawdę liczył, że szczerze odpowie.

– Oczywiście – odparł, wyraźnie zdumiony.

I, cholera jasna, uwierzyłem mu. Sam byłem tym faktem zadziwiony, ale tak było; po prostu mu wierzyłem. W jego głosie słyszałem absolutną szczerłość, a dodatkowo coś w rodzaju niedowierzania, że ktoś w ogóle mógłby chcieć ją negocjować.

– Znajdzie pan czas na jeszcze jedno pytanie?

– Pfff... – Chwilę ciszy wykorzystał pewnie na zerknięcie na zegarek. – Dobra, niech pan pyta.

– Czy Lichota jeździł na Śląsk w celu... Wie pan, tego, o czym rozmawialiśmy wcześniej u pana w firmie?

– Owszem – odpowiedział ostrożnie. – Był w tym celu na Śląsku. Nawet kilka razy.

– W tym roku?

– Tak, w tym.

– Wie pan, po co konkretnie?

– Pan wybaczy, ale wymaga pan ode mnie za dużo. Pewnych granic nie może pan przekroczyć. Ja panu na to nie pozwolę, nawet pomimo sympatii, którą pana darzę. Moja dotychczasowa odpowiedź powinna panu wystarczyć. Przykro mi.

– W porządku. Dzięki i za to. Słyszał pan o Bożenie Zubrzyckiej? – wypaliłem nagle.

Milczenie po drugiej stronie było wymowne.

– Niech pan uważa, panie Darku. – Ton głosu Leśniewskiego się obniżył. – Ja pamiętam, że na wiele pana stać, że nie cofnie się pan przed zrobieniem pewnych niezbyt mądrych i raczej niebezpiecznych rzeczy. Ale ostrzegam pana dla pańskiego dobra: niech pan się nie posuwa za daleko. Zwłaszcza z tamtymi ludźmi, o nich teraz mówię. Oni są naprawdę niebezpieczni. Tylko tyle panu powiem i to również powinno panu wystarczyć.

Pamiętałem, że to samo mówił mi kiedyś o Leśniewskim Piotrek Kucharski. O Leśniewskim i Lichocie. O innych niebezpiecznych ludziach z długimi rękami mówiła z kolei Martyna. Jak się okazuje, żyję w naprawdę niebezpiecznych czasach otoczony takimiz ludźmi.

– Cóż. – Westchnąłem głęboko i głośno. – Mimo wszystko dziękuję, że poświęcił mi pan swój cenny czas.



– Tak, właśnie, przepraszam, ale naprawdę muszę już kończyć. I nie ma sprawy, panie Darku. Aha, a propos, jak pana sprawa? – W jego głosie zabrzmiały weselsze nutki. – Posunął się pan do przodu?

– Przykro mi. – Szpila za szpilę. – Ale nie mogę odpowiedzieć na to pytanie. Nie chcę, żeby pan pomyślał, że się mszczę, ale ja również nie mogę pozwolić panu przekroczyć pewnych granic.

– *Touche*. – Roześmiał się, a ja poczułem do niego jeszcze większą sympatię.

Za to i za fakt, że nie traktował naszych relacji jak biznesowego układu. Udzielał mi informacji o Lichocie w ograniczonym zakresie, ale rozumiałem to, w końcu chronił własne interesy. Szanowałem go za to, że nie żądał niczego w zamian. Może naprawdę ta deklaracja sympatii do mnie nie była pustosłowiem? Może faktycznie z jakichś niezrozumiałych dla mnie powodów uważał mnie za bratnią duszę?

– No dobra, uchylę panu rąbka tajemnicy: właśnie próbowałem posunąć swoją sprawę do przodu... – powiedziałem już miłszym tonem – ...ale niech pan sobie wyobrazi, że napotkałem pewną granicę, której nie pozwolono mi przekroczyć.

Znów się roześmiał.

– Mam nadzieję, że mimo wszystko znajdzie pan sposób, żeby ją jakoś obejść.

– Spróbuję.

– Życzę powodzenia. Niech pan śmiało dzwoni, ale ostrzegam; nie zawsze będę mógł odebrać. Najwyżej oddzwonię.

– Jasne. Dzięki jeszcze raz i do usłyszenia.

Rozłączyłem się i spostrzegłem, że jestem prawie przy swoim domu.

Reszta dnia upłynęła leniwie. Na zewnątrz było gorąco, Kosma i ja chodziliśmy bez koszulek. Chłopak w milczeniu pomagał mi w pracach ogrodowych. Ukryci za dwumetrowym żywopłotem kosiliśmy trawnik, bejcowaliśmy ściany domku na narzędzia i kopaliśmy doły pod słupy, na których chciałem zawiesić hamak. Kosma był chudy i kościsty, jak zwykle chłopcy w jego wieku, ale starał się dotrzymać mi kroku, jak równy równemu. Kiedy Martyna zniknęła na dłużej w domu, żeby przygotować obiad, powiedziałem Kosmie, żeby odłożył łopatę i poszedł ze mną. Usiedliśmy w cieniu na bujanej kanapie, pierwszym meblu, jaki kupiłem po wprowadzeniu się tutaj.

– W porządku? – zapytałem.

– W porządku, proszę pana – mruknął, patrząc na swoje czarne od ziemi kolana.

Wskazałem na wiszący mu na szyi medalik, którego chyba nigdy nie zdejmował.

– Co to? Medalik ze świętym?

– Nie ma tam żadnego świętego. To od mojego taty, zostawił mi, kiedy umarł. Jest ze złota.

– Nie boisz się, że go zgubisz?

– Trochę się boję, dlatego łańcuszek jest już ze stali.

No, i wie pan, uważam na niego.

– Musisz mówić do mnie „proszę pana”?

– Tak wypada.

– Dlaczego?

– Mama tak mówiła... Po prostu nie mówi się do dorosłych po imieniu. Tego wymaga szacunek.

– W porządku, nie będę dyskutował z twoją mamą, w końcu to twoja mama. I ta twoja mama jest w porządku, wiesz?

– Wiem. Mówiła, że pan też jest porządny. Dlatego do pana przyjechaliśmy.

– Super. Bardzo się z tego cieszę. Czy to znaczy, że mnie szanujesz?

– Pewnie.

– I dlatego mówisz do mnie „proszę pana”?

– Też. No i dlatego, że jest pan dorosły.

Zacząłem się pocić. Plan podejścia Kosmy okazywał się bardzo trudny w realizacji.

– Znasz kogoś, do kogo nie masz szacunku?

– Do pana Siwaka. Mieszka w naszej klatce.

– Młody jest czy stary?

– Stary. Wygląda, jakby miał dwieście lat.

– A jak do niego mówisz?

– W ogóle nie mówię. Najwyżej „dzień dobry”, i to tylko dlatego, że mama kazała.

– A jakbyś musiał do niego zagadać, to jakbyś to zrobił? Jakbyś zaczął?

– Pfff... Chyba „proszę pana”?

– Właśnie. Więc czy szacunek do kogoś ma cokolwiek wspólnego z tym, że mówisz do niego „proszę pana”?

– Ale on jest dorosły...

– Kosma – sapnąłem. – Poproszę cię ostatni raz, a potem po prostu przyjmę do wiadomości twoją decyzję: mów mi po imieniu. Jeśli jest to dla ciebie za trudne, nie wiem; wstydzisz się, krępujesz, to oświadczam, że nie ma czego się krępować ani wstydzić, ale zrobisz, jak uważasz. Będziesz ciągle powtarzał „tak, proszę pana”, „nie, proszę pana”, albo będziesz mi mówił Darek. Masz już dwanaście lat, chłopie. Powiem ci jeszcze, że Wojtek Bilski nie miał z tym problemu.

– Jesteście z Wojtkiem po imieniu?

– Oczywiście. – Zerknąłem na niego, był wyraźnie wstrząśnięty. – Ale mówię ci: zrobisz, jak chcesz.

Odgoniłem krążącą wokół nas osę i spojrzałem na słońce, bezlitośnie palące świat ostrymi promieniami.

– Koniec tego nieróbstwa – stęknąłem. – Chodź skończymy ryc te doły, wsadzimy słupy i zalejemy je betonem.

– Dobra... Darek.

– Mądra decyzja. Wiesz, jak się robi beton?

– Nie!

– To zaraz się dowiesz...

\* \* \*

Był wieczór. Skończyliśmy oglądać jakiś głupawy film na Polsacie, Kosma spał na górze w moim łóżku, a ja i Martyna siedzieliśmy na kanapie, udając, że wszystko jest w porządku, że oto siedzimy sobie razem jak w kinie, rozmawiając i ciesząc się swoim towarzystwem, a za oknem jest las, noc i księżyc, ale nie ma ludzi, którzy chcą nam zrobić krzywdę. Nie ma i nigdy nie było.

Miło było tak poudawać.

Siedzieliśmy naprzeciwko siebie wciśnięci w kąty między podłokietnikami a oparciem, na przeciwległych końcach kanapy. Siedzieliśmy tak, żeby dobrze się nawzajem widzieć. Zmieniający się na ekranie telewizora obraz oświetlał Martynę migotliwie, światło padało na nią z różnym natężeniem, tak że jej twarz zmieniała się co chwila odrobinę, nieustannie i za każdym razem w inny sposób. Dźwięk był przyciszony niemal do zera. Na ustach Martyny błąkał się nikły uśmiech, jakby dobrze wiedziała, co się zaraz stanie, choć przecież niczego nie planowaliśmy. No może trochę, przynajmniej ja. Tak naprawdę nie miałem pojęcia, co planuje ona, a w czasie całej naszej wcześniejszej rozmowy toczonej podczas oglądania filmu nie słała mi absolutnie żadnych niewerbalnych sygnałów, które mogłyby mi dać z kolei jakąkolwiek nadzieję na coś więcej niż przyjacielski buziak w policzek na dobranoc. Tak, dać właśnie

nadzieję, a nie podstawę. Pragnąłem jej. Nie chciałem sobie ulżyć, nie chciałem jej zdobyć, chciałem tylko poczuć jej bliskość w sposób dosłowny, cielesny. Czułem w brzuchu motyle. Ale pozwoliłem toczyć się temu swoim własnym rytmem, nie chciałem niczego przyśpieszać, nawet licząc się z tym, że Martyna zaraz wstanie i pójdzie na górę, żeby położyć się obok Kosmy i zasnąć. Że wbrew moim nadziejom ona niczego nie planuje, a w głowie i w ściśniętym stresem brzuchu ma wyłącznie obawę o życie swoje i syna. A ja wyobrażam sobie za dużo i za dużo myślę, w dodatku nie tym, co trzeba.

Martyna nagle wstała i serce mi zamarło, jak przy serii rzutów karnych w ćwierćfinale mistrzostw Europy, kiedy do piłki podchodził Ronaldo, a Fabiański patrzył na niego obojętnie, jakby w jego stronę szedł kolega z sąsiedniego podwórka, z którym haratał w gałę w każde wolne popołudnie po lekcjach. Będzie czy nie będzie?

– To nie jest mądre – powiedziała szeptem, znów siadając, tym razem tuż obok mnie, tak blisko, że dotknęliśmy się kolanami.

Poczułem, jak pomiędzy nami przeskakuje niewidzialna iskra. Oczy Martyny błyszczały. Naprawdę błyszczały, jak w tanim romansidle i nie miałem pojęcia, czym to było spowodowane. Wzruszeniem? Pożądaniem? Zabawne, że nigdy wcześniej takie rzeczy mnie nie zastanawiały. Przypomniałem sobie dyrektor Walas, jej spojrzenie, którym obrzuciła mnie na pożegnanie,

i stwierdziłem, że dziś czas powrócić do gry, w którą nie grałem szmat czasu; gry we dwoje.

– Mówiąc, że to niemądre, masz na myśli naszą relację pacjent–terapeuta? – zapytałem, patrząc, jak w jej tęczęwkach odbijają się obrazy telewizyjnej reklamy.

Nie odpowiedziała.

– Przecież skończyliśmy terapię? – zauważyłem.

– Wiem. Ale i tak uważam, że to niemądre.

Westchnąłem i spojrzałem w sufit.

– Zgadzasz się, to nie jest mądre – przytaknąłem, czując, jak zasycha mi w gardle. – W ogóle nie jest mądre...

Martyna się roześmiała.

– Wobec tego może po prostu powiemy sobie dobranoc i...

– I co?

– I pójdziemy spać.

– Nie chce mi się jeszcze spać.

– A co, jeśli Kosma obudzi się i zejdzie na dół? I zobaczy...

– Zobaczy, jak mówimy sobie dobranoc? – zapytałem zdziwionym tonem.

To też nie było ani mądre, ani zabawne, ale musiałem dać sobie trochę czasu, żeby oswoić się z myślą, że TO zaraz jednak się stanie. Jeśli niczego nie spieprzę.

Martyna znowu się roześmiała, cicho i naturalnie.

– Chyba cię polubił, wiesz?

– To dobrze.

– Tak, to dobrze. A jeśli chodzi o mówienie „dobranoc”, o mówienie czegokolwiek... Niczego sobie nie będziemy mówić, dobrze?

– Dobrze. Chociaż może lepiej by było, gdybym ci jednak coś powiedział, a w zasadzie cię ostrzegł: nie byłem z kobietą od półtora roku. Albo i więcej. Od czasu, wiesz...

– Wiem.

– Mogłem co nieco zapomnieć. Co prawda, to jak z jazdą na rowerze, ale w końcu własna ręka nie wymaga tyle uwagi i starań, ile prawdziwa kobieta.

– Nie przejmuj się. Nie byłem z nikim od ładnych kilku lat. Tylko raz, można powiedzieć, że przypadkiem. Jeden, jedyny raz, odkąd Przemek... – Urwała.

– Wygrałaś – powiedziałem i zaraz dodałem zdumiony: – Boże, to jak sobie radziłaś?

Głupie pytanie, zważywszy na to, co odkryłem w pawlaczu w jej łazience, zanim w bieliźniarce wyszperałem kwitek z basenu.

– Chcesz mi powiedzieć, że znalazłeś rachunek z OstseeTherme, a nie natknąłeś się na... niego?

– Mówisz o przyjacielu każdej kobiety?

– Nie znam przyjaciół innych kobiet. Mówię o swoim przyjacielu...

– Znalazłem go – przyznałem. – Był różowy i strasznie wykrzywiony. Ale to jeszcze nie oznacza, że wiem, jak



kobieta sobie radzi z jego pomocą. Mogę się tylko domyślać...

Czułem, że robi mi się ciasno w kroczu. Aż bałem się spojrzeć w dół albo że zrobi to Martyna. A potem zobaczy, jak tam spuchłem i wtedy się zacznie. Choć najprawdopodobniej wszystko jednak zmierzało w dobrym kierunku. Za czasów mojej młodości takie rozmowy kończyły się szybko i tylko w jeden sposób.

– Mam ci pokazać, jak TO się robi? – zapytała filuternie.

Przełknąłem ślinę.

– Twój przyjaciel został w Szczecinie.

– Nie będziemy go potrzebować. Nie tym razem.

– W takim razie nie mogę się doczekać, aż mi... TO pokażesz.

– To może kiedy indziej. Najpierw zrób mi to ty, dobrze?

Pochyliła się w moją stronę i zbliżyła usta do moich ust. Poczułem na policzkach jej lekko przyspieszony oddech, a na czole łaskotanie grzywki. Siedziałem oparty ręką o siedzisko kanapy, z wypchanymi spodenkami i nie popędzałem jej, tylko czekałem na rozwój wypadków. Zawahała się, więc uznałem, że jednak mam już dość czekania. Wpiłem się w jej usta, a Martyna zrobiła to samo z moimi. Poczułem, jak wypełnia je jej język. Objęliśmy się mocno i całowaliśmy jak nastolatki, które robią to po raz pierwszy; prawie tak samo gorąco

i nieporadnie. Nasze języki wirowały, a zęby stukały, kiedy dawał o sobie znać brak wprawy. Gdy oderwaliśmy się wreszcie od siebie, żeby zaczerpnąć tchu, trochę ochłonęliśmy. Chyba oboje byliśmy zdziwieni gwałtownością tego, co się przed chwilą stało. No, ale jak nie robiło się tego tyle czasu, to czego można się spodziewać? Drewnianego pocałunku jak ze starego amerykańskiego filmu naznaczonego piętnem kodeksu Hayesa?

Martyna zdecydowanie przejęła inicjatywę. Położyła mnie na kanapie i podciągnęła mi koszulkę, odsłaniając mój owłosiony tors. Uniosłem barki, a potem ręce i głowę, żeby mogła ją ze mnie zdjąć. Potem zajęła się guzikami dzinsów. Byłem już gotowy, kiedy ona bez pośpiechu zdjęła koszulkę i stanik i patrząc mi w oczy, wzięła moje ręce w swoje i położyła na swoich piersiach. Były spore i kształtne, przyjemnie ciążyły w dłoniach. Telewizor wciąż był włączony, skóra naszych ciał przybierała różne barwy i różne ich odcienie. Zrzuciłem Martynę z siebie i teraz ja położyłem ją na kanapie. Zdjąłem jej spodnie z jakiejś miękkiej, rozciągliwej tkaniny, a potem majtki. Zębami. Śmiała się, kiedy to robiłem, zasłaniając usta wierzchem dłoni. Wyprężyła brzuch, kiedy zsuwałem figi z pośladków i zobaczyłem jej zgrabny pępek i wystające po bokach łagodnie krzywizny kości bioder. Potem rozchyliłem jej uda swoją nogą i łagodnie wpasowałem się pomiędzy nie, a kiedy odchyliła głowę do tyłu,

pocałowałem jej podbródek i szyję, nie zdejmując dłoni z jej piersi. Wbiłem łokcie w kanapę, opierając się na nich, żeby nie przygnieść Martyny swoim ciężarem. Kiedy w nią wszedłem, jęknęła cicho. Była gorąca i bardzo wilgotna. Zacząłem się w niej poruszać, delikatnie i spokojnie, nie chciałem się spieszyć, chciałem ją smakować, jak pyszny owoc, który ma się tylko jeden i jeśli chce się jego smak zapamiętać na dłużej, trzeba jeść go powoli, delektując się każdym kęsem.

– Mocniej – wyjęczała cicho, a ja porzuciłem głupawe rozważania o owocach.

Porzuciłem też myśli, które opanowały przez chwilę mój umysł. Wspomnienia kobiet, ważnych kobiet, których już nie było: Joli i Marty Kielan. Skojarzenia nieuchronne, wzbudzające chwilowe poczucie winy. Porzuciłem je także, rozpuszczając w gorącej lawie rozkoszy, kiedy ostrymi pchnięciami kontrowałem ruchy bioder Martyny; Martyny, która wciąż jeszcze była dla mnie Mileną. Zatraciłem się w niej. Kiedy Martyna zamknęła oczy i otworzyła usta do krzyku, poczułem, że zaraz eksploduję. Nie było krzyku, zniknął w przedramieniu, które Martyna przytknęła do ust i w którym zatopiła zęby. Tuż przed tym zobaczyłem, jak zerka w kierunku schodów. Była czujna, mimo nadchodzącego spełnienia, które przecież wyłącza wszystko: zdrowy rozsądek, ostrożność, zagłuszy każdy instynkt; każdy, z wyjątkiem matczynego. Skończyłem na

jej brzuchu, płaskim i silnym, falującym od szybkiego oddechu i spazmów orgazmu. Przytuliła mnie do siebie i objęła nogami, krzyżując je w kostkach nad moimi pośladkami, jakby nie chciała dopuścić, żebym gdzieś zniknął. Nasze oddechy powoli się uspokajały, nasze ciała, stężące z wysiłku, rozluźniały się i coraz ciaśniej i ściślej przylegały do siebie, wilgotna skóra do wilgotnej skóry. Chciało mi się śmiać i płakać równocześnie. Byłem szczęśliwy i pełen tego cholernego poczucia winy, spełniony i niespełniony, trochę zagubiony i zdziwiony, że to jednak się stało. To nie był wybryk. To był dojrzały, emocjonujący seks, doznanie, jakiego próżno oczekiwać po szybkim numerku z nieznaną na jakimś przyjęciu czy wizycie w agencji towarzyskiej, co też mi się kiedyś zdarzyło.

Kiedy nasze oddechy już się wyrównały, przerwałem ciszę, wracając do tematu, którego unikaliśmy przez cały dzień ze względu na Kosmę. W końcu kiedyś trzeba było o tym porozmawiać.

– Musimy wrócić do tematu tych pieniędzy, Martyna.

Westchnęła. Też musiała być świadoma, że prędzej czy później do tego wrócimy.

– Mówiłam ci, że nic o nich nie wiem.

– Ale oni są przekonani, że jest inaczej... Pani Teresa mówiła ci, że dzwoniłem?

– Mówiła. Podobno twierdziłeś, że nic się nie stało, że dzwonicz tylko tak...

– Szydłowski był jednym z nich.

Martyna zamknęła oczy.

– Jezu – wyszeptała.

– Pytał cię o forszę?

– Nie, nie było o tym mowy! Przecież mówiłam ci, że policja nie ma pojęcia o tym, co zrobił Przemek. Nikt nie wierzył w to, co mówili na mieście, Przemek też dementował te... plotki nieplotki. Ja też już nie wiem, w co wierzyć, a w co nie! Nigdy nie widziałam na oczy żadnych pieniędzy, rozumiesz? Nigdy! A Szydłowskiemu powiedziałam tylko o tobie, że jakby co, można ci ufać.

– I to, gdzie mieszkam też, prawda?

– Tak. Chciał, żebym mu powiedziała; stwierdził, że to niezgodne z procedurą, ale to nawet dobrze, że ktoś taki jak ty jest w odwodzie. Był u ciebie? Zanim go...?

– Był. Był u mnie w domu, zanim popełnił samobójstwo.

– Jak to samobójstwo? Nie został zabity? Powiedzieli...

– Powiedzieli, że nie żyje. Tak mówiłaś.

– Racja. – Potarła czoło. – Dodałam sobie resztę...

– Rzucił się pod pociąg, są nawet filmiki z monitoringu. Zrobił to sam.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Podejrzewam, że nie miał już wyjścia.

– Jakiego wyjścia?

– Odkrył się przede mną. Włamał się w nocy do mojego domu, przyłożył mi do szyi nóż i zapytał, czy powiedziałaś mi, gdzie są pieniądze.

– Przecież... Boże, przecież mogłeś zginąć!

– Chyba właśnie myślał, że tak się stało. Dostałem napadu padaczki po tym, jak uderzył mnie w głowę, kiedy skoczył na niego Promo. Taki atak może wyglądać jak agonia, a może właśnie tak wyglądał...? I pewnie dlatego rzucił się pod pociąg. Był spalony. Był jedyną osobą, która wiedziała o mnie. – Spojrzałem na Martynę. – Nikomu innemu nie mówiłaś, że u ciebie byłem i wiem, co jest grane, tak?

– Tak.

– No właśnie. A skoro był jedyny, to gdyby wieść o moim zabójstwie dotarła do ciebie, od razu zorientowałabyś się, że to on, i zawiadomiła kogo trzeba. Nie uwierzyłabyś w jakiś głupi zbieg okoliczności, prawda?

– Prawda...

– Wrócić do Świeradowa, żeby cię zabić, też nie mógł, bo to nic by mu nie dało. Nietrudno byłoby dojść, że to on, skoro nikt inny z programu ochrony świadków nie wiedział, gdzie jesteś. Skoro zadzwonili do ciebie po jego śmierci, to znaczy, że Szydłowski dał komuś z programu ten numer. Numer Teresy. A wiedzieli, skąd mają cię ewakuować?

– Nie, musiałam im powiedzieć.

– Czyli miejsce twojego pobytu znał tylko on i zachował tę informację wyłącznie dla siebie. Wyżej podał tylko numer kontaktowy do ciebie. Być może takie są procedury, a być może w ten sposób się zabezpieczył...

– Przecież mogli mnie namierzyć po telefonie.

– To nie takie proste i szybkie, jak ci się wydaje. – Pokręciłem głową. – Skąd wiedziałaś, że dzwoni ktoś od nich?

– Znał hasło. Mamy takie hasło, które zna tylko kilka osób: ja, opiekun i komendant wojewódzki. To znaczy komendant ma je zapieczętowane w sejfie, poznaje je tylko wtedy, kiedy trzeba wyznaczyć innego opiekuna... Mniej więcej tak to wygląda.

– Okej. Ale zdajesz sobie teraz sprawę, że Szydłowski mógł cię sprzedać komuś nieodpowiedniemu? Włączając w to także i hasło?

– Czyli dobrze zrobiłam, że uciekłam?

– Doskonale. I teraz sama widzisz, że skoro jedynie Szydłowski wiedział, gdzie jesteś, dojście do tego, że to on, byłoby tylko kwestią czasu. No i wtedy musiałby też zabić panią Teresę i... i Kosmę...

– Jezu... Tylko dlaczego mnie nie zapytał o te pieniądze?

– Nie mógł. Przecież sama powiedziałaś, że policja nie ma o nich pojęcia. Zadając takie pytanie, wysypałby się przed tobą. Nawet żart na ten temat byłby niebezpieczny, bo mógłby wzbudzić jakieś podejrzenia. Więc kiedy

dowiedział się od ciebie o mnie, z jakiegoś powodu stwierdził, że muszę znać szczegóły. I zaryzykował. Pewnie myślał, że skoro zaufałaś mi tak bardzo, żeby się ujawnić, dotyczyło to również pozostałych kwestii. Również pieniędzy...

– Nie ujawniłam ci się. Sam mnie znalazłeś, przypominam.

– Opowiedziałaś mu ze szczegółami o tym, jak cię odnalazłem?

– Nooo, tak.

– Odnalazłem cię, to prawda, ale ty się trochę ujawniłaś z własnej woli. Bo nie uciekłaś, tylko poszłaś porozmawiać ze mną do mojego pensjonatu, prawda? Czyli mi zaufałaś. A on to odczytał jednoznacznie, jako nieograniczone zaufanie. Uznał, że otworzyłaś się przede mną całkowicie, czemu mogła sprzyjać twoja nie najlepsza sytuacja, stres i obawa o siebie i dziecko. Wiesz, jak przebiega dobre przesłuchanie? – Pokręciła głową. – Optymalne? Najtrudniej zacząć. Przesłuchujący musi być miły i współczujący, żeby sprowokować podejrzanego do tego, żeby zaczął coś mówić. Wysypał się nieostrożnym słowem, nielogicznym kłamstwem... Bo jak zacznie, to dalej idzie łatwo. Wylewa z siebie winę, z ulgą i tak szybko, że czasem nie nadąża ze słowami. Tak bardzo chce się otworzyć. Ze stresu, z ulgi właśnie, z ulgi, że to koniec... Jest świadomy nieuchronności kary, więc żeby ją zmniejszyć, chce być uczciwy, choć przez tę chwilę.



I mówi. Oczywiście dotyczy to tylko pewnej grupy o określonych cechach charakteru, a nie na przykład Lichoty, ale wiesz, o co chodzi? Dopiero potem przychodzi opamiętanie i wściekłość na samego siebie, że dało się podejść. To dlatego przed sądami podejrzani często odwołują swoje zeznania, twierdząc, że zostały wymuszone groźbami i biciem. Nie zostały, Martyna. Są samą prawdą i złożyli je z własnej woli. Szydłowski, znając te realia, pewnie w ten sposób kombinował...

– Nie pytał mnie o pieniądze, mówiłam ci.

– Bo drugi raz to nie działa, rozumiesz? A on rozmawiał z tobą po mnie, był drugi. Przed nim już byś się tak nie otworzyła jak przede mną, ryzyko było za duże. Tak czy siak miałem zginąć, ale po tym, jak oddałbym mu te wyimaginowane pieniądze. Zniknąłby sobie z nimi i miałby w dupie, że ktoś wpadł na to, że to on mnie zabił. Z tobą nie mógł tak zrobić ze względu na Kosmę i panią Teresę, to byłaby przesada, ale ze mną? Zanim ktoś by mnie znalazł, minęłyby ze trzy dni. Miałby czas na to swoje zniknięcie. Ale mu nie wyszło... Był pewien, że nie żyję: miał trupa, a nie miał kasy. Nie miał też innego wyjścia, więc skończył ze sobą. Z relacji człowieka, który widział jego śmierć, wynika, że był ostro zaburzony. Najprawdopodobniej pijany, ale i zdesperowany. Nie jestem psychologiem jak ty, ale czasem nie trzeba nim być, żeby zorientować się, co dzieje się z człowiekiem. I tak właśnie odczytałbym jego

zachowanie. Jakby już na niczym mu nie zależało. Nawet na własnym życiu.

– Dlaczego to zrobił? Co go do tego popchnęło?

– Mówisz o samobójstwie?

– Nie, o tym, co stało się przedtem. Tu, w twoim domu. Co konkretnie?

– Nie wiem. – Wzruszyłem ramionami. – Może współpracował z kimś z mafii?

– Możliwe... Tak, to też możliwe... Dlaczego ktoś się tak uparł, Darek? Czy tak trudno uwierzyć, że ja tych pieniędzy nie mam? I może nigdy ich nie było? Nie wiem już, rozumiesz? Nie wiem... Może Przemek z jakiegoś powodu mnie okłamał? Może chciał się wytłumaczyć jakoś z pracy dla gangsterów, usprawiedliwić przede mną?

Nie było teraz sensu roztrząsać tej kwestii. Trzeba się było skupić na konkretach.

– Ktoś jest bardzo uparty, w dodatku zależy mu na czasie – powiedziałem. – Potrzebuje tych pieniędzy. Ale dlaczego teraz? Dlaczego akurat teraz? Tego właśnie nie mogę zrozumieć. Być może nastąpiło jakieś wydarzenie, które ujawniło całą sprawę. Wirtualne pieniądze... – Spojrzałem na Martynę, jej pierś zachęcająco wysunęła się zza skraju koca. – Odpowiedź na pytanie: „dlaczego teraz?” wiele by nam wyjaśniła, tak myślę. Kolejne pytanie, na które chciałbym znać odpowiedź, brzmi: od kogo Szydłowski w ogóle się o nich dowiedział?

– Może nie mówmy już o tym, co? Przynajmniej przez jakiś czas?

Zobaczyła, że koc zsunął się z jej piersi. Popatrzyła na mnie spod oka, a na jej ustach znów błąkał się ten tajemniczy uśmiezek, który tyle obiecywał. To był naprawdę dobry moment na zmianę tematu.

– Boże, ale mi było dobrze. – Westchnąłem.

Nie objąłem jej ani nie przytuliłem, wolałem, żeby zrobiła to pierwsza. Nie chciałem się narzucać, a może pragnąłem sprawdzić, czy licząc na odrobinę bliskości z jej strony, czasami się nie przeliczę...

– A już chciałam o to zapytać. – Roześmiała się cicho.

– Naprawdę było ci dobrze?

– Nie. Udawałem. Orgazm oczywiście też.

– Nie udawałeś. Zaufaj mi, jestem psychologiem.

Uniosłem się na łokciu i spojrzałem jej w twarz.

– Ktoś cię kiedyś oszukał?

– Co masz na myśli?

– Czy pomyliłaś się kiedyś w ocenie człowieka?

Boleśnie?

– Może trochę co do Przemka? Nie myślałam po prostu, że stać go na coś takiego. Tak naprawdę do dziś nie wiem, co z tego, o czym mówił, jest prawdą, a co nie. Jak te pieniądze... No i ten człowiek u mnie w gabinecie. To też mogę uznać za swego rodzaju pomyłkę, porażkę, sama nie wiem. – Wzdrygnęła się i zadrżał jej głos.

Przeczesała mi dłonią włosy i pocałowała mnie w czubek nosa. Miałem, czego chciałem.

– Narobiłam ci bałaganu w życiu, co? – ni to stwierdziła, ni to zapytała.

– Nie przejmuj się. Trochę już brakowało mi adrenaliny. Chyba wracam do normy. Może nadszedł czas na małe zmiany? No i niektóre elementy tego bałaganu są wyjątkowo apetyczne. – Dotknąłem jej ciepłej piersi, objąłem ją palcami, czując, jak brodawka łaskocze wewnątrz mojej dłoni.

Jęknęła podniecająco, wyprężyła się lekko i przygryzła dolną wargę. Miałem ochotę rzucić się na nią, jak wyposzczony rekrut na swoją dziewczynę na pierwszej przepustce. Opanowałem się jakoś. Miałem czas.

– Jesteś gotowy na zmiany? – To już nie było stwierdzenie.

Zastanowiłem się przez chwilę i nad pytaniem, i nad odpowiedzią.

– Sam nie wiem. Nie lubię zmian, Martyna. Przyzwyczajam się do rzeczy i to bardziej, niż niektóre z nich są tego warte. Widok nowej dziewczyny łamiącej nożyczki w ciągle tej samej telewizyjnej reklamie Schwarzkopfa sprawia, że z moim sercem dzieje się to samo, co z tymi nożyczkami. Tak samo działa na mnie nowa szata graficzna gazety, którą często czytuję. To znak, że coś się zmieniło. Że znów upłynęło trochę czasu.

Może dlatego czuję ten smutek na widok kolejnej dziewczyny z nożyczkami, bo to oznacza, że jestem starszy. Nowa jednostka czasu. Jeden schwarzkopf, nieistotne ile sekund, minut, godzin, dni czy miesięcy trwa. Coś przemija. I ja też. Ta dziewczyna, która łamie nożyczki, też przemija, to dlatego pojawia się nowa, a tamta poprzednia... Przemija jej uroda, jej piękne, gęste i mocne włosy siwieją, matowieją, wysuszają się i starzeją, jak cała ona. I jak ja. – Spojrzałem na nią. – Nie mówię teraz, że czuję się staro, ale mimo wszystko mam już pięćdziesiąt lat, Martyna. A ty trzydzieści... Pięć? Sześć?

- Zabrzmiało to, jakbyś...
- Jakbym siedział u ciebie w gabinecie?
- Jakbyś coś planował.
- W związku z czym?
- Nie wiem. W związku ze mną?
- Tak to odbierasz?

Zmarszczyła brwi, jakbym powiedział to zbyt napastliwym tonem. Może powiedziałem?

– Nie wiem. Mieliśmy sobie niczego nie mówić, prawda?

– Prawda. Ale niczego ci przecież nie powiedziałem. Niczego konkretnego. Po prostu cieszymy się sobą, tak? Cieszymy się chwilą w miłym towarzystwie. Swoim. W takich chwilach ludzie mówią sobie rzeczy, jakich nie mówi się koledze z pracy czy znajomemu w tramwaju.

Bliskość, nawet chwilowa, rozwiązuje języki, nie sądzisz? I to nie na zasadzie próby odwdzięczenia się za przyjemność. To swoboda, luz, na który możesz sobie pozwolić, przynajmniej przez chwilę. Tę chwilę. Przecież nie będę ci opowiadał, jak chodziłem z Promo do lasu i wkurwiałem się na sukinsynów, którzy zostawiają w nim tony śmieci. To raczej czas na głębsze rozważania niż trywialne pogaduchy o niczym. Czy nie? – Zerknąłem na nią szybko.

– Masz rację. – Westchnęła.

– A może boisz się, że jednak złożę zaraz jakieś deklaracje? Poważne i nieodwracalne?

Pogłaskała mnie po owłosionym przedramieniu, a potem poprawiała skołtunione włoski, gładząc je opuszkami palców, by znów przylegały do skóry zaczesane w idealnym porządku.

– Po prostu nie wiem, co o tym wszystkim sądzić, Darek. Jesteś jedyną osobą, której mogę ufać. To, do czego przed chwilą doszło między nami, jest niewątpliwie oznaką tego zaufania, a może raczej konsekwencją. Może to właśnie to, o czym mówiłeś przed chwilą: jestem podejrzaną o określonych cechach charakteru, jestem trochę miękka, a ty jesteś dobrym przesłuchującym. Ale jest mi teraz dobrze, ciepło i bezpiecznie. Nie czułam się tak od lat. Chcę to jeszcze trochę poczuć. Nie mówmy o tym wszystkim za dużo, dobrze? Po prostu pozwól, żeby

było mi przyjemnie, ciepło i bezpiecznie. Pozwolisz? – Podniosła głowę i spojrzała na mnie.

– Będzie mi bardzo miło – odparłem poważnie.

– Przyjdą do ciebie sprawdzić, czy mnie tutaj nie ma, prawda? – zapytała smutno.

– Mówisz o policji?

– Tak.

– Być może. – Wzruszyłem ramionami z miną chojraka. – Ale bez nakazu ich nie wpuszczę. Nie martw się na zapas, dobrze?

– A jak będą mieli nakaz?

– Mam pod podłogą fajną skrytkę. Poprzedni właściciel trzymał tam aparaturę do bimbru, chlubił się, że nigdy nie została odkryta. Zmieścicie się.

– Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie.

– Ja też. Jej wieko jest w miarę szczelne, ale jak się ją otworzy, to śmierdzi tak, że oczy mętnieją.

Roześmiała się.

– A jeśli chodzi o twoje obawy co do moich deklaracji... – powiedziałem, zmieniając temat. – Teoretycznie znasz doskonale moje podejście do relacji z kobietami. Znasz te relacje, jakie miałem w przeszłości, opowiadałem ci o nich ze szczegółami. Nie byłem święty. Ale to już przeszłość. Czuję, że to się zmieniło, rozumiesz?

– Darek...

– Co?

– Nie musisz mi się z niczego tłumaczyć.

– A tłumaczę się?

– Owszem.

– Wcale nie.

– Tak. I znów zaczyna to brzmieć jak jakieś deklaracje.

– Nieprawda – upierałem się.

– Zaufaj mi, jestem psychologiem.

– Powtarzasz się.

– Wiem. I wcale nie czuję się wykorzystana, nie musisz się tym martwić.

– Wykorzystana? – Uniosłem się na łokciu, patrząc na nią ze zdumieniem. – O czym ty...?

– Wy, faceci, macie tylko jedno w głowie. A zwłaszcza pan, panie Suder...

– Ja?

– Oto dowód. – Poczułem, jak jej ręka obejmuje moją męskość, a mózg wysła natychmiastową odpowiedź na bodziec. – Twardy dowód. Nie wygląda na pięćdziesiąt lat.

– To manipulacja – wyjęczałem. – Bezwstydna manipulacja. Na to nie pójdzie żaden sąd.

– Owszem, ale mam gdzieś sąd. Bardzo podoba mi się manipulowanie twoim dowodem – szepnęła mi prosto do ucha, poruszając ręką. – Aha, i jeszcze jedno...

– No?

– Niczego nie zapomniałeś, kłamczuchu.



Usiadła na mnie, wsuwając go głęboko w swoje gorące wnętrze. Przełknąłem ślinę i pomyślałem sobie, że przełykanie śliny z powodu nagłej suszy w gardle to coś, co robię dziś wyjątkowo często. A potem przestałem myśleć.

Było jeszcze lepiej niż za pierwszym razem. Kiedy skończyliśmy, radość mąciło mi tylko jedno pytanie, tłukące się po głowie.

Czy Szydłowski, zanim rzucił się pod pociąg, dał mój adres komuś jeszcze?

\* \* \*

Kiedy się obudziłem, Martyny nie było na kanapie. Zasnęliśmy razem, ledwo się na niej mieszcząc, ale obudziłem się sam. Była dziewiąta. Wstałem cicho, wyszedłem do ogrodu i zadzwoniłem do Mołczuna.

– Jacek, czy na pogrzebie Lichoty był ktoś od nas? Z policji? – spytałem.

W przypadku nagłych i nie do końca wyjaśnionych zgonów, w których nieboszczykowi ktoś pomógł, częstą praktyką organów śledczych była dyskretna obserwacja pogrzebów.

– Pewnie tak, a co?

– A mógłbym zobaczyć zdjęcia?

– Nie wiem. Ale nie sędzę. Nie można ujawniać materiałów ze śledztwa osobom postronnym.

– Nawet mnie?

– Nawet tobie. A może raczej przede wszystkim tobie.

– A nie robiłeś czasem tego wcześniej?

– Robiłem kiedyś wiele rzeczy, co nie oznacza, że robienie ich było dobre.

– A jak podzieliłeś się wcześniej ze mną jakimiś materiałami czy wiadomościami ze śledztwa, to nie było tak, że tylko na tym zyskaliście?

– Możliwe. Pytanie: ile zyskaliśmy, ile straciliśmy?

– Co masz na myśli, Jacek?

– Zaginiony plecak z pieniędzmi i kokainą, który podobno był w domu matki Marty Kielan? – odpowiedział pytaniem.

– Plecak. Mityczny plecak. Jacek, błagam cię. I Kielan, i Bogutowicz przyznaliby się do bycia wielbłądem, byle tylko dostać kilka lat mniej.

– Wiem. Ale plecaka faktycznie nie znaleziono.

– Bo nie było żadnego plecaka! Ile jeszcze będziemy wałkować ten temat?

Owszem, temat plecaka wyniesionego przeze mnie z domu Marty Kielan w ramach prywatnego zadośćuczynienia powracał kilka razy: dwa, może trzy, ale jak na razie czułem się bezpiecznie.

– No, dobra, zostawmy go... – Jacek westchnął. – Po co ci te zdjęcia z pogrzebu?

– Po to, co zwykle. Muszę coś sprawdzić.

– I jak zwykle nie możesz mi powiedzieć, co to takiego?

– Nie chcę robić z siebie idioty, jakby co. Chyba to rozumiesz?

– A ja mam kilka miesięcy do emerytury – stwierdził i dodał po chwili namysłu: – Chyba to rozumiesz?

– A dałoby radę ustalić, kto siedział w malborskim więzieniu w jednej celi z niejakim Ryszardem Wojniczem?

– To już chyba prędeż.

– Żartujesz?

– Nie. Bo to nie wymaga zaglądania do materiałów śledztwa, do których zresztą nie mam dostępu, jakbyś się nie zorientował.

– Na początku miałeś dostęp – zauważyłem. – Do wszystkiego; nawet znałeś skład treści żołądkowej Lichoty.

– Ale już nie mam. Przypominam ci, że śledztwo prowadzi koszalińska prokuratura. – Zamilkł na chwilę, a potem zapytał: – Kto to jest ten Wojnicz?

– Nieboszczyk. Brat pewnej kobiety, żony bossa śląskiej mafii, niejakiej Zubrzyckiej. Na razie nie mogę ci powiedzieć niczego więcej, ale proszę cię o kredyt zaufania.

– Będzie wysoko oprocentowany, Darek.

– Opłaci się nam obu, zobaczysz. Tylko mi to sprawdź. Ryszard Wojnicz. Zakład karny Malbork.

– Postaram się. Coś jeszcze?

– To wszystko. Pozdrów Irkę. Jak z nią?

- Tak samo. Tak samo źle.
- Przykro mi.
- Mnie też – mruknął. – Na razie, Darek.
- Cześć. I dzięki.

Wszedłem do domu. Martyna z Kosmą rządźli w kuchni, szykując śniadanie; nie wiem, kiedy zdążyli to wszystko zrobić, skoro gdy wychodziłem, jeszcze spali. Jedząc jajecznicę, wyciągnąłem rękę w kierunku medalika Kosmy i zapytałem:

- Co masz tam napisane?

Kosma przełknął kawałek pomidora, zdjął wisiołek z szyi i podał mi go przez stół.

– Nie pamiętam dokładnie, bo to po łacinie. Kawałek wiersza jakiegoś rzymskiego poety. Coś o skale i strażnikach. Kiedyś z Wojtkiem sprawdzaliśmy, ale to było dość dawno temu.

Przybliżyłem złotą płytkę do oczu i z trudem odczytałem drobnuteńkie litery. Nie wiem, czy były ryte ręcznie, czy laserem, ale jeśli ręcznie, to grawer musiał mieć lupę w oczach i niesamowicie zręczne palce.

– *Aurum per medios ire satellites et perrumpere amat saxa patentius ictu fulmineo* – wydukałem i spojrzałem na Kosmę. – Co robimy, gdy czegoś nie wiemy?

– Szukamy w Internecie! – krzyknął z entuzjazmem i rzucił się do kuchni po mój telefon.

Podał mi go i zrobiliśmy to samo co wcześniej w ogrodzie, betonując słupy pod hamak, kiedy zamiast

betonu wyszła nam szara, wodnista breja. Poszukaliśmy rozwiązania problemu. W tym wypadku potrzebowaliśmy tłumaczenia.

– „Złoto lubi kroczyć pośrodku straży i pruć skały mocniej niż uderzenie pioruna” – przeczytałem. – Horacy, księga trzecia, oda szesnasta.

– To dobrze pamiętałem? – zapytał Kosma.

– W przeważającej części – zgodziłem się. – Ale czy ktoś mi powie, o co tu chodzi? Znałem tylko „Stawiłem sobie pomnik, trwalszy niż ze spiży” i to jeszcze jakoś pojąłem, ale chodzące złoto prujące skały? – Mrugnąłem do Kosmy.

Roześmiał się. Oddałem mu medalik, który skwapliwie założył na szyję. Dokończyliśmy śniadanie, potem Kosma poszedł na dwór, a ja, ładując brudne naczynia do zmywarki, zagadnąłem Martynę:

– Martyna, czy twój mąż kiedykolwiek wspomniał coś o złocie?

– Co masz na myśli?

– Sam nie wiem, strzelam teraz. Akcje jakichś kopalni złota w Chile, w Chinach, nie wiem... Czy zabytkowe numizmaty: carskie świnki, krugerrandy, złote dwudziestodolarówki... Albo z nowszych: chińskie pandy czy nasze bieliki... Nic z tych rzeczy?

– Wspominał kiedyś, że lokuje w złocie pieniądze niektórych klientów, ale uważał, że to błąd, bo jego cena spadnie. I spadła. Wolał platynę.

– Nie widziałaś u niego nigdy jakichś złotych monet?

– W portfelu?

– Nie, no gdzieś w domu.

– Nie. Absolutnie.

– Bizuteria?

– Nasze obrączki i ten medalik Kosmy. Ja z kolei wolę srebro. Skąd taki temat?

– Widzisz, wciąż kombinuję, o co może chodzić z tą kasą, którą twój mąż...

– ...Ukradł.

– Niech ci będzie. Mówił, że zabezpieczył wam życie, tak? Czyli chodziło o środki finansowe. Ostrzegał, że trzeba trochę poczekać z ich ujawnieniem, aż sprawa przycichnie. Czyli to nie mogły być pieniądze, przynajmniej nie złotówki, bo nie wiadomo, co przez kilka czy kilkanaście lat może się stać ze złotówką. Może nawet przestać istnieć, jeśli wejdzie euro. Więc co, może właśnie euro? Franki szwajcarskie, funty, dolary? Gdzie by to schował? W skrytce w banku? To zostawiłby jakieś namiary na tę skrytkę. Akcje, obligacje? Jeszcze gorzej, nie da się przewidzieć, jak potoczą się losy danej firmy. Zbyt duże ryzyko, tak myślę. Ale...

– Wiesz co? – powiedziała nagle, marszcząc brwi. – Kilka dni przed wizytą tego Lichoty u mnie w gabinecie...  
– Usłyszałem, jak mimo beztroskiego tonu jej gardło zaciska się na chwilę i kilka następnych słów niemal w nim grzęźnie – ...dostałam z Gdańska takie pismo.

Było kierowane do KWP, do zastępcy komendanta wojewódzkiego. Ale chodziło o mnie...

– Co to znaczy?

– Przemek, zanim umarł, zostawił adwokatowi jakieś dyspozycje. Testament, oczywiście, kwestie pogrzebu i tak dalej. Ten adwokat nazywa się Gryner, ma kancelarię w Gdańsku, Przemek znał go od lat, facet bronił go zresztą w procesie.

– Gryner? Skądś znam to nazwisko. Musiałem je gdzieś już słyszeć.

– Pewnie w mediach. To taki trójmiejski odpowiednik Sochańskiego albo Łyczywka. Jest znany lokalnie. Często wypowiadał się do kamer i w prasie. Niektórzy chyba to lubią. Mam na myśli brylowanie w mediach.

– No dobra, co z tym pismem?

– Poczekaj.

Wstała i pobiegła na górę. Wróciła po chwili, niosąc niebieską teczkę, zapinaną na gumkę. Spojrzałem na nią zdziwiony.

– Moje życie. – Uśmiechnęła się. – Pierwsze, co chwyciłam, kiedy uciekałam ze Szczecina. Rzecz jasna po Kosmie. Części z tych papierów w ogóle nie powinnam mieć przy sobie, ale nie mogłam się powstrzymać. Gdyby ci z programu wiedzieli, miałabym za swoje. Ale to pismo przyszło normalnie, pocztą, z komendy, przechodząc przez program. Masz.

Strzeliła gumką, otworzyła teczkę, wyciągnęła z niej złożoną na czworo kartkę papieru i podała mi. Rozłożyłem ją i zacząłem czytać na głos.

– *Pomorska Izba Adwokacka w Gdańsku, dziekan Jan Ciosek... Zastępca komendanta wojewódzkiego... Szanowny Panie Komendancie... Zgodnie z regulaminem działalności samorządu zawodowego adwokatów, bla, bla... Członkowie komisji stałej do spraw... bla, bla... W związku ze śmiercią członka Pomorskiej Izby Adwokackiej w Gdańsku, pana Ernesta Grynera... Jezu...*

– Poczułem, że cały drętwieję, a krew odpływa mi z głowy, jakby moje ciało zostało poddane ogromnemu przeciążeniu. – Teraz mi to pokazujesz?

– Darek, spokojnie, on już wtedy miał ponad sześćdziesiąt lat. Pewnie umarł ze starości... Co w tym dziwnego?

– Jeszcze nie wiem – mruknąłem, odłożyłem pismo na stół i wziąłem z blatu swoją komórkę.

W sieci znalazłem stronę kancelarii Grynera i puknąłem w numer telefonu widoczny w zakładce „Kontakt”. Kiedy zobaczyłem na wyświetlaczu, że nawiązuje się połączenie, przyłożyłem telefon do ucha. Martyna patrzyła na mnie w milczeniu. W telefonie usłyszałem kobiecy głos.

– *Kancelaria adwokacka Ernesta Grynera, słucham?*

– *Dzień dobry, chciałem porozmawiać z mecenasem.*

– *To niemożliwe, proszę pana.*



– Rozumiem. O której mogę zadzwonić?

– *Nie rozumie pan. Pan Gryner nie żyje.*

– Och, tak mi przykro. Co się stało?

– *Zmarł w zeszłym miesiącu. Niestety, jedyne, w czym mogę panu pomóc, to podać adres strony internetowej izby adwokackiej, gdzie znajdzie pan informacje dotyczące innych kancelarii na terenie.*

– Dziękuję, nie trzeba – powiedziałem szybko. – Nie trzeba...

Rozłączyłem się i znów wszedłem w Internet, tym razem w wyszukiwarce do nazwiska Gryner dopisując frazę „nie żyje”.

Pierwszy wynik, z portalu se.pl, krzyczał wielkimi literami: ZNANY TRÓJMIEJSKI PRAWNIK NIE ŻYJE, BESTIALSKO POBITY PRZEZ ZWYRODNIALCÓW W BIAŁO-ZIELONYCH SZALIKACH!!! Znów mogłem podziwiać kunszt redaktorów brukowców: przerażający tytuł, który w jednej części nakreśla temat, a w pozostałej stanowi nic niemówiący bełkot, mający zaciekać potencjalnego czytelnika. Kłaniał się czajnik-morderca. Czułem się zmanipulowany, tylko nie wiedziałem przez kogo. Przez panią z kancelarii Grynera, która oznajmiła mi, że adwokat zmarł, czy przez redaktorów „Super Expressu” wrzeszczących, że został pobity na śmierć. Po przeczytaniu artykułu okazało się, że prawda jak zwykle leży pośrodku.

Wyglądało na to, że Ernest Gryner zginął w wyniku splotu nieszczęśliwych dla siebie okoliczności, ponieważ znalazł się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze. Co prawda w jakim innym miejscu i o jakiej innej porze mógłby się wtedy znajdować, jeśli nie w swojej kancelarii? Tak naprawdę to ludzi w biało-zielonych szalikach nie powinno tam być. Ale byli. Siedzieli na klatce schodowej, pili piwko i zachowywali się niezbyt grzecznie. Gryner zwrócił im uwagę, zapewniając sobie chwilę później ich wizytę w swojej kancelarii. Kiedy z nim skończyli, zabrali to wszystko, co wydało im się cenne, i uciekli, zostawiając mecenasa na podłodze. Reanimacja nic nie dała. Dzięki wszechobecnym kamerom udało się namierzyć napastników, był nawet jeden kadr prezentujący trzy niewyraźne postacie wybiegające z bramy kamienicy. Zamieszczone pod artykułem zdjęcia ich twarzy z oczami zasłoniętymi czarnymi paskami nie pozostawiały wątpliwości, z kim Gryner miał do czynienia, i szaliki Lechii Gdańsk nie miały tu nic do rzeczy. Bezmózgie zwierzęta obleczone w ludzkie kształty i ubrania trafiały się pod każdą szerokością geograficzną. Trafiły się i Grynerowi.

Nieco uspokojony odłożyłem telefon, z powrotem wziąłem do ręki pismo Martyny i przeleciałem wzrokiem już przeczytany wcześniej tekst.

*...W związku ze śmiercią członka Pomorskiej Izby Adwokackiej w Gdańsku, adwokata Ernesta Grynera, w obecności prokuratora Prokuratury Rejonowej Gdańsk-Śródmieście oraz... bla, bla, bla... odbyła się komisyjna inwentaryzacja dokumentów w kancelarii, bla, bla... Następujące dokumenty złożone... bla, bla... Akt notarialny, repertorium A... Testament Przemysława Maziarza... O, słuchaj tego: Zalakowana koperta opatrzona pieczęciami „do pakietów” oraz klauzulą ŚCIŚLE TAJNE, a także pismo przewodnie kierowane do Pana Komendanta, w którym wskazano, że Komenda Wojewódzka Policji w Gdańsku jest organem właściwym w sprawach związanych z tą częścią testamentu. Niniejszym informuję, że w związku z zaistniałą sytuacją wyżej wymienione dokumenty zostały złożone w kancelarii adwokackiej Anny Rychlickiej jako osoby wskazanej przez ORA do przejęcia obowiązków po zmarłym koledze Erneście Grynerze. Z poważaniem...*

– Wiesz, co to może być za koperta? – zapytałam Martyny. – Ma nadaną klauzulę niejawności, i to najwyższą, więc nawet jeśli twój mąż złożył ją u adwokata, to musiał to zrobić raczej w porozumieniu z policją lub prokuraturą. Samemu się jej nie nadaje, zresztą jest też pismo do komendanta. To musiało mieć coś wspólnego z programem ochrony świadków. Informacjom nadaje się taką klauzulę w sytuacjach, gdy

ich ujawnienie może zagrozić życiu świadków koronnych i ich najbliższych. Tak stanowi ustawa o ochronie informacji niejawnych. Więc to musi być to.

– Gryner już po śmierci Przemka wspomniał o niej... Znaczy, mówił, że jest jakaś część testamentu tylko dla Mateusza... Kosmy. Ale była mowa, że dostanie ją dopiero, gdy będzie dorosły.

– Przemek wiedział, że umrze wcześniej, niż zakończy się procedura zmiany waszej tożsamości – powiedziałem. – Nie mógł wskazać was, również Gryner nie mógł wiedzieć wszystkiego jako osoba postronna, więc dlatego wszystko miało w przyszłości przechodzić przez program, przez komendę. A Gryner był jedynie strażnikiem, a nie wykonawcą tej części testamentu, rozumiesz? Może w tej zalakowanej kopercie jest numer konta albo namiary na skrytkę w jakimś banku? A może jednak wyjaśnienie zagadki tekstu z medalika Kosmy? Gdybyście się wcześniej nie domyślili?

– Wszystko jedno. Nie sprawdzimy tego, dopóki Kosma nie będzie pełnoletni.

– To już tylko sześć lat.

– To nieważne, Darek. Nie ma znaczenia. Kosma nie weźmie tych pieniędzy. Wiesz dlaczego, prawda?

– Wiem, ale radziłbym ci jeszcze dobrze nad tym się zastanowić. Sporo wycierpieliście. Należy wam się jakieś, nazwijmy to, odszkodowanie.

– Jeśli to był żart, Darek, to przykro mi, ale nie był zabawny. Ja już się zastanowiłam. Nawet jeśli te pieniądze się jakimś cudem znajdą, Kosma ich nie dostanie. Postanowione. To przez nie mamy teraz kłopoty. To przez nie giną ludzie. Jeśli się znajdą, będzie jeszcze gorzej. Więc może lepiej niech się nie znajdują.

Uwagę, że to nie był żart, zachowałem dla siebie. Zamiast tego wyjaśniłem:

– Jeśli te pieniądze, czy cokolwiek to jest, jakimś cudem się znajdą, oficjalnie przejdą na rzecz Skarbu Państwa. Będzie o tym głośno. I wtedy nie będzie już sensu ich szukania. Również dla nich, rozumiesz? Dadzą ci spokój. I choćby dlatego warto trochę pogłówkować, żeby dowiedzieć się, gdzie są.

Zamyśliła się nad tym, co powiedziałem.

To była prawda. Jedynym sposobem na zamknięcie tematu było odnalezienie tego czegoś, co ukrył Maziarz, i ogłoszenie tego wszem wobec. Cokolwiek by to było, choć ja już chyba podejrzewałem, co to może być. Nie zdążyłem powiedzieć tego Martynie, bo przerwała mi, kiedy przypomniła sobie o piśmie informującym o śmierci Grynera. To musiało być złoto, tylko nie wiedziałem w jakiej postaci.

– Przemek był naprawdę fajnym facetem, wiesz? – powiedziała cicho.

Stała przy oknie, oparta o parapet i patrzyła na las.

– Sam zorganizował swój pogrzeb, tak jak ludzie organizują sobie ślub, rozumiesz? – Odwróciła się w moją stronę. – Ludzie w takiej sytuacji myślą o sobie, myślą o śmierci, skupiają się niemal wyłącznie na swoim cierpieniu i strachu. I to jest normalne. Z nim było inaczej. Jaką musiał mieć silną psychikę! I jeszcze ja, wiecznie płacząca, z maleńkim dzieckiem... Pomyślał o wszystkim: o testamencie, o formalnościach, zamówił trumnę, nagrobek... Ma piękny nagrobek, który widziałam tylko raz. On uwielbiał góry, wiesz? Nawet sopocki cmentarz, na którym leży, jest usytuowany na zboczu góry, tak się złożyło, wyobraź sobie. Przemek złąził Tatry wzdłuż i wszerz, zabrał mnie nawet tam kilka razy, kiedy już byliśmy parą, ale ja nie przepadam za górami. Kazał przebudować nieco grobowiec swojej rodziny. Miała go wieńczyć bryła surowego, nieobrobionego granitu, a na niej miał stać krzyż. Jak na Giewoncie. I tak to zrobili. Jest naprawdę śliczny i taki... niebanalny. Mam nadzieję, że ktoś o niego dba...

– Masz jakieś papiery z tamtego okresu? Faktury za usługi pogrzebowe i takie rzeczy?

– Nie. – Pokręciła lekko głową, jakby zdziwiona, że przerywam jej wspomnienia jakimś trywialnym pytaniem o nic nieznaczące papierki. – W tej teczce mam tylko naprawdę niezbędne dokumenty. Również te, których nie powinnam mieć, tylko że nie mogłam się z nimi rozstać.

– Pojadę tam – rzuciłem nagle.

– Słucham?

– Pojadę na grób twojego męża. Do Sopotu.

– Po co?

– Zadbać o niego. I przy okazji coś sprawdzić.

– Chyba nie myślisz...?

– Owszem, myślę. Wszystko pasuje, jak ulał. Ukrył złoto w trumnie, Martyna, w swoim grobie. Wiem, że technicznie to raczej niemożliwe, ale zbudowanie piramid egipskich przy ówczesnym stanie zaawansowania techniki też nie było możliwe. A stoją.

– Skąd wzięłoby to złoto? Przecież był chory!

– Wspominałaś, że przyznał, że skubał te pieniądze przez dwa lata, zanim go nakryli. Kupował złoto przez ten czas, po prostu.

– Jak: po prostu? Złota nie kupuje się jak ziemniaków czy sera! Nie chodzi się po nie do Lidla czy Biedry!

– Twój mąż był doradcą podatkowym i księgowym, tak? Nie martw się, już on dobrze wiedział, jak kupuje się złoto. I gdzie.

– To bez sensu. Opierasz swoją koncepcję na bardzo wątych poszlakach. Bardzo wątych. To brzmi jak historia... Nie, to brzmi jak totalna bzdura! Złoto w grobie... – Prychnęła.

– Wiem. Zobacz, sama zwróciłaś uwagę, jak silny musiał być psychicznie, żeby zrobić coś takiego: przygotować własny pogrzeb. Bo nie robił tego dla siebie, Martyna. Robił to dla was. Dla Kosmy. Więc właśnie

dlatego, mimo że brzmi to wszystko idiotycznie, pojedę to sprawdzić. To tylko trzysta pięćdziesiąt kilometrów w jedną stronę. Jeśli wyjadę wcześniej rano, to zdążę obrócić w jeden dzień.

– Też chcę pojechać – powiedziała nagle Martyna, nie patrząc na mnie.

– Wykluczone. Przykro mi. To zbędne ryzyko.

– To był mój mąż, do cholery! Nie byłam na jego grobie, odkąd umarł!

Podszedłem do Martyny, złapałem ją za rękę i zmusiłem, żeby spojrzała mi w oczy.

– To tylko kawałek kamienia stojący nad jego ciałem, którego i tak już nie ma. On jest tylko tu. – Dotknąłem jej skroni. – Rozumiesz? Wyłącznie tu i właśnie tu go pielęgnuj, a nie tam. Pielęgnuj wspomnienia o nim, a nie kawałek jakiegoś cholernego kamienia!

– Skąd możesz wiedzieć... – Podniosła głos i zorientowała się nagle, że owszem, mogę wiedzieć, jak to jest. Bardzo dobrze mogę o tym wiedzieć.

Rozpłakała się. Przytuliłem ją i czekałem, aż się uspokoi.

– Przepraszam – wyszeptała, kiedy skończyła płakać.

– Nie szkodzi. Ja też cię przepraszam, ale musiałem. Nie możesz tam pojechać. Nie teraz. I wiesz o tym, prawda? I nie chodzi tylko o ciebie. Chodzi też o tego małego podglądacza, który czai się pod drzwiami...



Kosma wszedł ze spuszczoną głową. Martyna roześmiała się przez łzy i wyciągnęła do niego rękę. Kiedy do niej biegł, wycierała łzy z policzków.

– To nie ja! – Podniosłem rękę, kiedy Kosma obrzucił mnie srogim spojrzeniem. – Kobiety czasem płaczą, chłopaku, i przyzwyczajaj się do tego. Niekiedy bez powodu, innym razem z powodu, którego my, faceci, nie potrafimy zrozumieć. Zdarza się, że płaczą bez wyraźnej przyczyny. I to jest rzecz, która w życiu cię nie ominie! Więcej dobrych rad – jutro.

Mrugnąłem do niego. Przytulił się do mamy i patrzył na mnie ponad jej ramieniem. Tulili się do siebie, a ja im zazdrościłem jak cholera...

## VI

Sopocki cmentarz komunalny jest piękny. Nie wiem, czy piękniejszy od szczecińskiego, ale jest równie niepowtarzalny, jak ten nasz. Położony przy ulicy Malczewskiego, w dolinie zwanej przed wojną Marienhal, rozpościerał się na zboczach Cmentarnej Góry, pokrywając ją tysiącami nagrobków, porozrzucanych chaotycznie pomiędzy porastającymi wzgórze drzewami. Cisza, spokój i szum drzew. Jeśli faktycznie życie pozagrobowe albo duchy istnieją, to Maziarz miał niezłą miejscówkę.

Martyna pamiętała, że zakład pogrzebowy, w którym jej mąż załatwiał sprawy związane z własnym pogrzebem, znajdował się niedaleko cmentarza. To jeszcze nie rozwiązywało problemu, bo takie firmy zwykle zlokalizowane są właśnie w okolicach cmentarzy, czasem w liczbie wręcz niespotykanej, jak w Szczecinie. Na szczęście akt zgonu jej męża włożony był w firmową, skórzaną okładkę, na której złotymi literami wytłoczono napis „EDEN Zakład Pogrzebowy”, a pod nim podany był adres: ulica Księżycowa w Sopocie.

To był właśnie jeden z tych dokumentów, których Martyna nie powinna mieć, bo wiązał ją z przeszłością, a z tą musiała zerwać dla własnego bezpieczeństwa. Ale miała, dzięki czemu bez wątpienia ułatwiła mi zadanie.

Ulica Księżycowa była małą, boczną uliczką odchodzącą od Malczewskiego. Kiedy stanąłem przed drzwiami „Edenu”, wcale nie poczułem się jak w raj. Wręcz przeciwnie. A kiedy wszedłem do środka, to wrażenie tylko się spotęgowało. W ponemieckim, ceglany, chyba poprzemysłowym budynku zgromadzono tyle atrybutów śmierci, że mimo panującego na zewnątrz upału robiło mi się zimno. W przedogródku widocznym przez duże okno wystawiono nagrobki bez nazwisk, które miały chyba być dźwignią handlu, a wyglądały jak mały, prywatny przydomowy cmentarzyk. We wnętrzu budynku wydzielono fragment przestrzeni na biuro. Na półkach pod ścianą stały urny i jedna trumna, a wystrój wnętrza „biura” miał najprawdopodobniej koić emocje powagą śmierci tchnącą z kamiennych detali, złocień i udających marmury tynków weneckich, zacieranych niezbyt wprawną ręką. Kontrast z ascetycznym i pozbawionym szczegółów otoczeniem hali był wyraźny i zgrzytliwy. Wzdrygnąłem się i podszedłem do kontuaru, za którym siedziała młoda, pulchna tleniona blondynka obłożona stertą papierzysk.

– Dzień dobry, chciałbym porozmawiać z osobą, która pracuje w tym zakładzie przynajmniej od jedenastu,

dwunastu lat.

– Chwila, bo się pomylę... trzysta dwadzieścia... Dobrze. – Przyłożyła palec w jakimś wyjątkowo istotnym miejscu leżącej przed nią zadrukowanej kartki papieru. – To będzie szef – odpowiedziała, nie patrząc na mnie.

– Mogę z nim porozmawiać? – zapytałem uprzejmie.

– Nie ma go. Ale jest Zdzisiu Fijas, kamieniarz, on tu robi od początku. Może być? – zapytała i teraz spojrzała na mnie; miała lekkiego zeza w jednym oku i niezwykle zielononiebieskie tęczęwki.

– Jasne. Może go pani poprosić?

Spodziewałem się, że wstanie i pójdzie po niego, ale ona odchyliła się do tyłu, prezentując sporych rozmiarów biust ukryty za kusą bluzeczką w biało-niebieskie pasy, kompletnie nielicującą z powagą miejsca, a właściwie funkcji, którą pełniło to pomieszczenie.

– Zdzisieek! – wrzasnęła, wciąż trzymając palec w tym samym istotnym miejscu na kartce. – Ktoś do ciebie!

– Śniadanie je w swojej kanciapie! – Ryk dotarł do nas gdzieś z końca hali razem z zapachem kleju do drewna.

Blondynka przyjęła poprzednią pozycję i pokazała mi drzwi, którymi przed chwilą wszedłem.

– Wyjdzie pan na zewnątrz, skręci za rogiem w lewo, tam będzie takie podwóreczko i mały budynek. On tam sobie kuje nagrobki, jak akurat nie klei trumien. Tam go pan znajdzie.

– Dziękuję. – Odchodząc, zatrzymałem się jeszcze. – Kleicie sami trumny? Opłaca się wam?

– To jest zakład o szerokim profilu działalności, proszę pana. Chowamy zmarłych i jesteśmy z klientem, znaczy z rodziną, przez cały czas; pomagamy załatwiać formalności i tak dalej. Ale sami też robimy akcesoria – trajkotała, a ja zacząłem żałować, że w ogóle o to spytałem. – Nasze wyroby są konkurencyjne i nie ustępują jakością innym...

– Chińskim też?

– Oczywiście!

– Uhm... To dziękuję bardzo... W lewo, mówi pani?

– Tak, w lewo za rogiem.

Na zewnątrz obszedłem główny budynek i znalazłem się na małym placyku otoczonym ceglany murem. Na jego środku stał niewielki HDS z czerwonym żurawikiem schowanym za białą kabiną. Do jednego boków placyku przylegał mały budynek, również z czerwonej cegły, jak wszystkie w okolicy. W środku, przy stoliku, z czerwonym kubkiem w dłoni siedział starszy człowiek w brudnych od błyszczącego pyłu ogrodniczkach. Patrząc pustym wzrokiem w okno, siorbał coś z kubka.

Kiedy wszedłem, odstawił go na blat i spojrzał na mnie. Jego oczy błysnęły życiem, ale tylko na chwilę.

– Pan Fijas? – zapytałem.

– Owszem. O co chodzi?

– Podobno pracuje pan tu od dawna?

– Zgadza się. No i...?

– Chciałem zapytać, czy pamięta pan może pogrzeb kogoś o nazwisku Maziarz. Przemysław Maziarz. To było w maju dwa tysiące piątego roku.

Oczy znów błysnęły i zgasły, jakby budziły się do życia na chwilę, oceniały rzeczywistość dookoła i uznawszy, że nie ma w niej nic wartościowego, zasypiały ponownie i pozostawały takie matowe i bez życia do momentu, aż nadejdzie czas na kolejny błysk i kolejną ocenę.

– Kim pan jest? – zapytał Fijas głosem, w którym było niewiele więcej życia niż w oczach.

– Reprezentuję rodzinę tego człowieka.

Fijas milczał. W końcu nabrał nosem powietrza w płuca i powiedział grobowym tonem:

– W dwa tysiące piątym, mówi pan? To nie pamiętam. Pan wie, co ja wtedy robiłem? To były początki firmy i ja, proszę pana, robiłem tu wszystko. Kułem nagrobki, zamiatałem liście na placu, latałem do ZUS-u, zbijałem trumny i wkładałem nieboszczyków do grobów. Tak, proszę pana, nawet uczestniczyłem w pochówkach. Ściągałem łachy upieprzone pyłem i klejem, wkładałem garniturek, zakopywałem klienta, zdejmowałem garniturek, wciągałem łachy i kułem dalej... Robiłem tu wszystko. A pan chce, żebym ja pamiętał jeden pogrzeb... Panie... – Machnął ręką i wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów i podłużne pudełeczko zapalek do zniczy.

Rzucając przeciągłe spojrzenie na HDS-a, widocznego przez okno, osłonił płomień ręką i przypalił niedbale papierosa. Gasząc zamasyście zapałkę, wciąż patrzył na samochód, ale kiedy się zaciągał, na jeden króciuteński moment jego wzrok spoczął na mojej twarzy. Zauważyłem to, mimo że śledziłem wzrokiem jego rękę, tę z zapałką. To jego zerknięcie trwało zbyt krótko, jak na przypadkowe i obojętne prześlizgnięcie się niewinnym spojrzeniem po czymkolwiek. Za szybko uciekł oczami i za mocno machał tą zapałką. Jego spojrzenie nie było ani niewinne, ani przypadkowe. Było lepkie, jak język żaby wyciągający się po apetyczną muchę, poczułem je na swojej twarzy niemal fizycznie, prawie jak dotknięcie wilgotnym od potu palcem.

– No dobra. – Odchrząknąłem. – Tak tylko pytałem, miałem nadzieję, że pan pamięta... To nie zabieram więcej czasu. Dzięki. Do widzenia.

Wyszedłem, nie oglądając się, i wróciłem do biura „Edenu”. Blondynka teraz wisiała na telefonie. Poczekalem chwilę, aż skończy, i zagadnąłem ją:

– Przepraszam, czy byłaby pani w stanie powiedzieć mi coś o pewnym pogrzebie z dwa tysiące piątego roku? Był organizowany przez państwa zakład.

– A co chciałby pan wiedzieć?

– No, generalnie, jak to było...

– Jeśli pogrzeb był załatwiany u nas, to znajdę papiery bez problemu, pytanie tylko, czego się pan

spodziewa. Listy gości? Nazwiska księdza?

Na szczęście wciąż nie zadała pytania: „po co to panu?”. Zapomniałem zabrać ze sobą odznaki.

– Chciałbym poznać okoliczności pogrzebu... Odbył się osiemnastego maja...

– Szukamy po nazwisku, nie po dacie. – Wstała z fotela obrotowego i podeszła do regału zasłoniętego roletą. Podniosła ją i zobaczyłem dziesiątki segregatorów.

– Maziarz. Przemysław Maziarz.

– M... M... – mruzczała, aż wreszcie trafiła na właściwy segregator.

Zdjęła go z półki, położyła na biurku i usiadła.

– Ponad dziesięć lat temu... To będzie przy końcu. – Przewracała foliowe koszulki. – O, jest.

Wyjęła zszyte arkusze papieru i zaczęła je przeglądać.

– Kopia aktu zgonu z Urzędu Stanu Cywilnego, kwity z Zakładu Ubezpieczeń Społecznych, nasza karta informacyjna, kopia umowy–zlecenia... Oczywiście nie mogę panu pokazać tych dokumentów. O jakie okoliczności ewentualnie chciałby pan spytać?

– O trumnę.

– O trumnę?

– Tak. O trumnę.

Dziewczyna jeszcze raz zerknęła do papierów.

– Wie pan co... O, dziwne...

– Tak? – poczułem przypływ adrenaliny.



Cholera, to było fajne uczucie. Nie zawsze, nie podczas nocnej wizyty Szydłowskiego, ale w takich chwilach, kiedy łapałem jakiś trop.

– Trumna nie była od nas. I to właśnie jest dziwne, przecież my załatwiamy kompleksowo wszystko, nawet trumny wykonujemy na miejscu... Ta była zamówiona gdzie indziej. Może nie mieliśmy takiej, jakiej klient sobie życzył?

– Klient zwykle nie żyje. To rodzina wybiera trumnę i tak dalej – zauważyłem.

– Owszem. Tylko że pogrzeb był faktycznie w maju, a umowa została podpisana w styczniu. Trumna też przyjechała wcześniej. – Spojrzała na jakiś świstek. – W marcu. Leżała w magazynie, nawet jest uwaga o opłacie za magazynowanie własnego towaru klienta.

– Skąd przyjechała?

– Nie mam pojęcia. Na potwierdzeniu brak adresu nadania. To nawet nie jest standardowe potwierdzenie firmy kurierskiej, tylko jakaś notatka o przyjęciu jej bez uszkodzeń. Pewnie transport był własny, nie wiem.

– A kto podpisał umowę?

– A tego nie mogę panu powiedzieć.

– A jak ja pani powiem, a pani tylko skinie głową? Albo nią pokręci?

– Nie.

– Przemysław Maziarz?

– Nie powiem. Niech pan...

– Ernest Gryner?

– ...nie nacis... – Urwała nagle, trochę zaskoczona.

– Super. Dziękuję pani bardzo.

Zrobiła zagniewaną minę, ale zielone oczy śmiały się jej spod zmarszczonych brwi.

– To chciał pan wiedzieć?

– Tak, to mi w zupełności wystarczy! Dziękuję serdecznie jeszcze raz. A jak już jest pani taka cudowna i miła, to zapytam jeszcze: ma tam pani może zamiary na grób? Kwatera, rząd i tak dalej...?

– Niestety nie. Ale niech pan to sobie sprawdzi w Grobonecie – zaproponowała.

– W czym, przepraszam?

– W Internecie jest taka wyszukiwarka grobów. Nazywa się Grobonet. Poważnie.

– Sprawdzę sobie, dziękuję – mruknąłem, pożegnałem się i wyszedłem.

Kiedy kilka minut później podjechałem pod bramę cmentarza, wyciągnąłem z kieszeni telefon i w mobilnej aplikacji o złowieszczej nazwie wpisałem dane Maziarza. Grobonet, musiałem to przyznać, zrobiony był z głową; po wpisaniu danych wyświetlało się nawet zdjęcie grobu. Dzięki temu bez problemu trafiłem na miejsce.

Stałem więc przed grobowcem męża Martynty i wpatrywałem się w płytę czarnego, matowego od upływu czasu granitu. Wszystko się zgadzało. „Złoto lubi kroczyć pośrodku straży i pruć skały mocniej niż

uderzenie pioruna”. Była skała: sterczała dumnie zza grobowca; szorstka, porośła mchem, który w wilgotnym cieniu drzew miał się nadzwyczaj dobrze. Na skale krzyż, niemal identyczny jak ten na Giewoncie. Krzyże są bardzo niebezpieczne. Jeden, na Golgocie z pomocą Piłata, faryzeuszy i tłumu gorliwców, zabił Syna Bożego; kolejny kilka lat temu pod szczecińską katedrą zabił bezdomnego, a ten na Giewoncie zabił już w sumie kilkadziesiąt osób, czasem nawet po kilkanaście jednocześnie, ściągając z chmur śmiertelnie niebezpieczne pioruny.

Była skała. Był krzyż, który przywołuje pioruny. A skoro była skała i był piorun, musiało być i złoto. Tam, w trumnie, zamówionej Bóg wie gdzie, zapewne odpowiednio spreparowanej, z podwójnym dnem albo podwójnymi ściankami. Nie wiem dlaczego, ale byłem tego pewien jak cholera.

Dopiero w tej chwili zorientowałem się, że nie kupiłem żadnych zniczy ani kwiatów. Dla mnie to było nieistotne, a wpływ na to miał mój osobisty pogląd o pielęgnowaniu pamięci o bliskich w głowie, a nie pod stertą ziemi i kamieni. Doszedłem do takiego wniosku po długich rozmyślaniach, których żyjący pełnią życia ludzie nigdy podejmują, bo i po co? Ale dla Martyny to mogło mieć znaczenie i powinienem to uszanować. Rozejrzałem się dookoła i kilka rzędów dalej zobaczyłem górę z kwiatów usypaną na świeżym nagrobku. Pożyczyłem z niego znicz

i bukiet białych kalii, a potem położyłem je na płycie grobu Maziarza i zrobiłem komórką zdjęcie. Dla Martyny. Chociaż tyle. Odniosłem kwiaty i znicz na miejsce i poszedłem sobie.

Jadąc zatłoczoną „szóstką” w kierunku Szczecina, zastanawiałem się nad sensem wyprawy do Trójmiasta. Dziewięć godzin w samochodzie, dwie i pół stowy na paliwo i cały dzień w plecy, żeby odbyć jedną, w sumie niewiele wnoszącą do sprawy rozmowę i zobaczyć coś, co jak się okazało, mogłem zobaczyć na zdjęciu w Internecie, nie ruszając się z domu. Ale nie żałowałem. Nie było aż tak źle. Co innego wiedzieć o czymś, a co innego zobaczyć to na własne oczy. To po pierwsze. A po drugie; bez tego nie poskładałbym do kupy tych wszystkich klocków. Niby Martyna wspomniała, jak jej mąż organizował swój pogrzeb z pomocą Grynera, ale to, czego dowiedziałem się od lekko zezowatej blondynki, stawiało wszystko w nieco innym świetle. W o wiele lepszym świetle...

Do domu wróciłem jeszcze przed zmrokiem. Martynie pokazałem zdjęcie z cmentarza. Popłakała sobie trochę, a kiedy szła już do sypialni na pięterku, powiedziałem tylko:

– Ono tam jest, wiesz?

Uśmiechnęła się smutno i zniknęła na górze. Ten wieczór spędziłem w samotności, oglądając telewizję i błędząc myślami. W środku nocy obudził mnie szelest. Otworzyłem oczy, ale zanim serce zdążyło mi stanąć ze

strachu, zobaczyłem Martynę. Siedziała na skraju kanapy i patrzyła na mnie. A później wślizgnęła się pod koc, przywarła do mnie i leżeliśmy tak kilkanaście minut w ciszy, przerywanej tylko naszymi oddechami. A jeszcze potem kochaliśmy się mocno i gwałtownie. Po wszystkim znów leżeliśmy w ciszy, aż wreszcie Martyna powiedziała:

– Ujawniam się. Podjęłam decyzję.

Mruknąłem coś w odpowiedzi i pocałowałem ją w czoło. Zasnęliśmy niemal od razu po tym.

\* \* \*

Jacek zadzwonił następnego dnia.

– Mam informacje, o które prosiłeś.

– Zdjęcia z pogrzebu czy te o Wojniczu?

– Te o Wojniczu.

– Jestem pod wrażeniem twojej operatywności.

A zdjęcia?

– Zdjęć nie będzie, koniec tematu. Powiesz mi, o co chodzi z tym Wojniczem?

– Odkryłem, że mógł mieć coś wspólnego z Mileną. To stara sprawa, sprzed dziesięciu lat i ma związek z tym, że Milena jest objęta programem ochrony świadków.

– Jak zwykle mnie zadziwiasz...

– Wiem. Dawaj to, co masz o Wojniczu – zachęciłem go.

– ZK Malbork to nieduże więzienie. Wojnicz siedział tam rok, zanim popełnił samobójstwo, wiedziałeś o tym?

– Tak.

– Aha. W każdym razie tych osób, które w ciągu tego roku kiblowały z nim w jednej celi, parę się zebrało, wiesz? A konkretnie siedem.

– Któraś z nich już wyszła?

– Masz na myśli, że ten, kto to nadał, zrobił to od razu po wyjściu?

– Właśnie.

– Przecież po prostu mógł nadać gryps zza krat.

– Teoretycznie tak, ale czemu zrobiliby to dopiero teraz, po tylu latach? Moim zdaniem zwolnienie tego kogoś może się mniej więcej pokrywać z rozpoczęciem tej całej afery, czyli z początkiem czerwca. Gość skończył odsiadkę i zabrał się do roboty.

– I wynajął do tego Lichotę? Za co? Za pieniądze zarobione na klejeniu mebli albo składaniu z origami?

Więźniowie, w ramach aktywizacji i żeby nie przychodziły im do głowy jakieś głupie pomysły, zajmują się właśnie takimi rzeczami. W Stanach tłoczą tablice rejestracyjne, a u nas składają z papieru bałwanki, choinki i zajączki wielkanocne. Albo montują biurka i szafy.

– Bogatych też wsadzają – mruknąłem. – Nie wiem, może się znali wcześniej?

Jacek milczał przez chwilę, słyszałem szelest kartek.

– No dobra... W grudniu zeszłego roku, dokładnie osiemnastego, zwolniono warunkowo jednego ze

współosadzonych. To data najbliższa czerwca, wcześniej jeden wyszedł trzy lata temu, a drugi cztery. Pozostali dalej garują, ale już w warunkach recydywy, w innych więzieniach. Ten, który wyszedł w grudniu, siedział z Wojniczem w jednej celi od września dwa tysiące piątego do lutego dwa tysiące sześć. Wojnicz powiesił się w kwietniu.

– Jak się nazywa?

– Robert Widuch.

Nazwisko nic mi nie mówiło.

– Co zrobił?

– Zabił matkę z dzieckiem na pasach. Samochodem. Był po alkoholu i narkotykach. Miał wtedy dziewiętnaście lat. Dostał dwanaście, odsiedział jedenaście. Czyli nie zawodowy gangster. Teoria o znajomości z Lichotą robi się nieco naciągana.

– Skąd jest? Masz tam w tych papierkach takie informacje?

– Z Gdańska, ale dziś nie dojdiesz, gdzie kto mieszka... W momencie zatrzymania zameldowany przy ulicy Waldorffa siedem „a”.

– Znowu Trójmiasto... Kurwa, szkoda, że nie zadzwoniłeś wcześniej – sarknąłem.

– Kiedy wcześniej?

– Na przykład wczoraj...

– Wczoraj jeszcze nie miałem tych informacji, Darek.

– Oj, wiem, no. Tak tylko... Nieważne. Mogę podjechać, obejrzyć te papiery?

– Nie możesz.

– Rozumiem. Wyślesz mi skany?

– Wiesz...

– Wiem. No, ale Jacek, zmiłuj się, przecież nikomu ich nie pokażę! Chcę spojrzeć, może rzuci mi się w oczy jakiś wspólny mianownik. Chcemy pomóc Martynie czy nie?

– Jakiej Martynie?

– Milenie, oczywiście... – poprawiłem się.

Coś jak kamyk z Jeleniej Góry. Na szczęście Jacek nie drażył.

– Dam to zaraz sekretarce do zeskanowania – powiedział. – Wyśle ci to mailem, gdy tylko skończy.

– Będę wdzięczny. Dam znać, jak coś odkryję.

– Mam wrażenie, że już coś odkryłeś. Mylę się?

Zastanowiłem się przez chwilę nad odpowiedzią. Skoro Martyna podjęła już decyzję, żeby odkryć karty i zawiadomić ludzi z programu, że się odnalazła, to trzeba było to w końcu jakoś zrobić. Uznałem wobec tego, że teraz jest dobry moment, by zacząć powoli te karty odkrywać.

– Nie mylisz się, Jacek – odpowiedziałem spokojnie.

– Jezu, jak ja cię znam... – mruknął.

– Masz kontakt z kimś z Zarządu Ochrony Świadka Koronnego? Z kimś z samej góry?



– Tak. Prawie z samej góry. Z koordynatorem wojewódzkim z...

– Z Gdańska – dokończyłem.

– Tak. Z Gdańska. Skąd wiesz?

– Milena Korcz jest w Szczecinie.

– Co!?

– Jest w Szczecinie.

– Gdzie?

– Nie mogę ci powiedzieć, ona sobie tego na razie nie życzy.

– Znalazłeś ją?

– To teraz nieistotne, Jacek. Chce się ujawnić, ale boi się, że znów ktoś spróbuje zrobić jej krzywdę. Ktoś z programu, na przykład...

– To niemożliwe...

– Owszem, możliwe. Nie wiesz tego, ale to już raz się stało, zresztą to nie jest rozmowa na telefon. Ściągnij tego człowieka do mnie do domu, jak najprędzej. Dasz radę to załatwić?

– Myślę, że nawet na jutro.

– Proszę bardzo, może być na jutro. W sumie im szybciej, tym lepiej.

Jacek pożegnał się szybko, a ja wyszedłem do ogrodu. Martyna opalała się na leżaku, a Kosma siedział w dmuchanym basenie, czytając *Harry'ego Pottera*. Usiadłem koło Martyny, na trawie, po turecku.

– To już – powiedziałem.

– Co już?

– Ujawniłem cię przed chwilą. Prawdopodobnie jutro odwiedzi nas człowiek z programu.

– Tu?

– Tak, tu, u mnie.

– Będziemy musieli gdzieś zniknąć...

– Będziecie w tym czasie na górze.

– Nie w bimbrowni?

– Nie. – Roześmiałem się. – Na górze. To wystarczy. Nie będą mieli prawa tam wejść.

– A jak przyjdą z nakazem?

– Hmm... Masz rację, może tak być. Ale załatwia to Jacek. Prosiłem go o dyskrecję, więc nie powinniśmy się martwić. I chyba musimy mu zaufać.

– Mieliśmy nikomu nie ufać, pamiętasz?

– W końcu komuś trzeba. – Westchnąłem.

– To, co wczoraj mówiłeś o tym złocie... To prawda?

Grzebałem małym patyczkiem między źdźbłami trawy. Żółkły od słońca i suszy.

– Tak sędzę – mruknąłem. – Na pewno będziemy to wiedzieć dopiero wtedy, kiedy dojdzie do ekshumacji... Przykro mi. Tego chyba nie da się uniknąć – dodałem, gdy zobaczyłem wyraz jej twarzy.

Kosma siedział w basenie i świata nie widział poza stronami *Harry'ego Pottera*, więc kontynuowaliśmy temat.

– Rozmawialiśmy o tym, Martyna – przekonywałem ją. – To trzeba zrobić.

– Wiesz co... Kiedy dochodziłeś do tego, że Przemek mógł ukryć pieniądze czy złoto w swoim grobowcu... Miałeś taki wyraz twarzy...

– Jaki? – Zjeżyłem się.

– Jak chłopiec, którego ojciec zabiera do lasu z wykrywaczem metali. Wiesz, co mam na myśli?

– Wiem – powiedziałem cicho. – Ale mylisz się. Być może lekko się podekscytowałem, ale nie samym złotem, Martyna, tylko tym, że mogłem odkryć, gdzie ono jest. Wyłącznie tym. Jeśli sądzisz, że mogłbym chcieć je zdobyć tylko dlatego, żeby, kurwa, nie wiem... zabrać je wam i stać się bogaty albo coś, to się grubo mylisz.

– A mógłbyś? – zapytała.

Położyłem się na trawie, przez chwilę gapiłem się w niebo, a potem zamknąłem oczy. Świeżo skoszone ostre źdźbła gryzły mnie w spoconą skórę pleców i ramion.

– Nie muszę tego robić – powiedziałem, nie otwierając oczu. – Jestem bogaty. Mam wszystko, czego potrzebuję, przynajmniej pod względem materialnym. Dom, samochód, meble i telewizor. Jeśli mam ochotę na obiad w dobrej restauracji albo zaszaleć z jakimś fajnym ciuchem, to też nie ma problemu, choć taka ochota nachodzi mnie niezmiernie rzadko. Ale stać mnie na to, żeby ją mieć i w dodatku zaspokoić.

– To fajnie, nie?

– Owszem, ale ja nie do końca o tym... Jest jedna, jedyna rzecz, o której ci nie powiedziałem podczas naszych spotkań.

– Tak? – W jej głosie pobrzmiwało wyczuwalne napięcie.

– Tylko jedna.

– Taak?

– Ja... Ja jeszcze nikomu o tym nie mówiłem. I ty też chyba nie powinnaś tego rozgłaszać, kiedy ci już powiem. W porządku? Traktujmy to jak informację uzyskaną podczas sesji terapeutycznej, a więc podlegającą tajemnicy.

– Taaak, Darek?

Otworzyłem oczy i przez chwilę bez słowa wpatrywałem się w wielki błękit nad sobą. Był piękny i nieskończony, cieszył oczy i duszę. Koił.

– Te pieniądze i narkotyki, które chcieli przejąć Marta i Bogutowicz... Te, które podobno spłonęły po wybuchu w tym magazynie w porcie... Oni twierdzą, że zanim wysadzili ten magazyn w powietrze, zabrali je. I prochy, i forsy. Ale nie znaleziono ich. Ani prochów, ani forsy.

– No i?

– Nie znaleziono ich, bo je zabrałem.

– Słucham!?

– Wyniosłem je w plecaku z domu matki Marty, kiedy wystawiałem ich policji. Nikt się nie zorientował. To był trochę impuls. Chwyciłem ten cholerny plecak, który stał

pod ścianą, i pojechałem z nim do domu. Nawet nie miałem wtedy pewności, że ta forsa w nim jest, po prostu widziałem, jak Marta zerknęła w jego stronę, kiedy rozmawialiśmy o pieniądzach. A potem, jak się okazało, że one tam są... Potem głupio było oddawać. Z pomocą osiedlowych lumpów wpłaciłem kilka tysięcy euro na konto Marty, żeby trochę skomplikować jej sytuację i ewentualnie odsunąć od siebie podejrzenia. Kilkanaście tysięcy wymieniłem chyba we wszystkich szczecińskich kantorach na złotówki i rozdałem biednym. A resztę zostawiłem na czarną godzinę...

Martyna wstała z leżaka i nie mówiąc więcej ani słowa, poszła do domu. Westchnąłem i spojrzałem na Kosmę. Mały, zatopiony w lekturze skubaniec, nie wyściubiając nosa z książki, pomachał mi, a potem pokazał palcem mój dom.

– Jesteś zbyt dojrzały jak na swoje dwanaście lat, chłopaku – powiedziałem obrażonym tonem, wstałem, otrzepałem się z trawy i poszedłem za jego matką.

Martyna była w łazience. Stała przed lustrem, ale nie patrzyła w nie, tylko w dno umywalki.

– Jesteś złodziejem – oznajmiła, kiedy usłyszała, że stoję w drzwiach. – Pieprzonym złodziejem. Jak on, rozumiesz? Tak jak on! Też był cholernym złodziejem! – Jej głos drżał z emocji.

To chyba nie był dobry pomysł, żeby mówić jej o plecaku akurat teraz, ale czasu nie cofnę, poza tym

chciałem rozwiać wszystkie wątpliwości co do motywów mojego postępowania. Naprawdę wszystkie. I tyle.

– Wiem, Martyna. Ale nikt nie jest doskonały. Nawet pan Suder. Zwłaszcza pan Suder. Ale staram się. Staram się ci pomóc.

Odwróciła się do mnie.

– Po co powiedziałeś mi o tym plecaku akurat teraz? – zapytała.

– A po co ty powiedziałaś, co sądzisz o mojej minie, kiedy wpadłem na to, gdzie jest złoto? Akurat teraz?

– Bo się bałam.

– Czego się bałaś?

– Że ty naprawdę możesz chcieć je... Wiesz...

– Z tego samego powodu wspomniałem ci o plecaku. Właściwie z dwóch powodów. Pierwszy już znasz; po prostu chciałem, żebyś wiedziała, że nie muszę robić takich rzeczy, o jaki mnie podejrzewasz. A drugi powód... Po prostu nagle się przestraszyłem, że faktycznie mogę jednak tego chcieć. Przez jedną krótką chwilę przestraszyłem się samego siebie. Trwała ułamek sekundy, ale zdążyłem się przestraszyć, rozumiesz? Przestraszyć siebie samego. To takie uczucie... Kiedy pierwszy raz dostałem do ręki kałacha, moi koledzy stali sto metrów dalej przy kulochwycie i przyczepiali papierowe tarcze, a ja poczułem, że mam straszliwą moc, że mogę im momentalnie odebrać życie albo je darować, wszystko zależy od mojej dobrej woli. Oczywiście to nigdy

by się nie wydarzyło, nie pociągnąłbym za spust, jestem normalny, ale... Ale poczułem, że mógłbym, i to było straszne. Pamiętam tamtą chwilę do dziś lepiej niż swój pierwszy raz z kobietą. I to nie tak, że tylko winni się tłumaczą, Martyna. Jestem teraz wobec ciebie po prostu stuprocentowo uczciwy, dlatego ci o tym mówię. Ale to przez ciebie poczułem tę obawę przed samym sobą, bo zaszczepiłaś ją we mnie swoimi słowami. Mógłbym się o to na ciebie obrazić. To była nieprzyjemna insynuacja...

– A chcesz to zrobić?

– Nie. Już ci powiedziałem. Chcę wybawić cię z opresji. Jesteś warta więcej niż to całe pieprzone złoto w jego grobie, niż ten pieprzony plecak z prawie dwustoma tysiącami euro...

– Jeezu – przerwała mi, patrząc na mnie niemal z podziwem w oczach. – Dwieście tysięcy???

– Przesadziłem – bąknąłem. – Sto siedemdziesiąt pięć. Minus wrobienie Marty, napiwki dla pijaczków za wycieczki do banku i darowizny. Zostało jakieś sto dwadzieścia.

– Co zrobiłeś z kokainą? – zapytała podejrzliwie.

– No przecież nie sprzedałem ani nie zużyłem na własne potrzeby...

– Więc co?

– Spuściłem w toalecie. Nie wiem, co ci ludzie, którzy wysiadują na nabrzeżach Odry i moczą w tym syfie wędkę, robią potem ze złowionymi rybami. Jedzą je sami

czy dają kotom? W każdym razie musieli nieźle przyćpać. I ludzie, i koty, że nie wspomnę o szczurach w kanałach.  
– Spojrzałem na Martynę. – Wybaczysz mi?

Nagle opadły jej ramiona.

– Dlaczego mężczyźni nie mogą być normalni, Darek? Dlaczego zawsze muszą mieć jakąś rysę, skazę, nie wiem, no... Niby fajny facet, a nagle mu odwała i robi coś, co całkowicie zmienia nastawienie do niego...

– Czyje nastawienie?

– Kobiet!

– Twoje nastawienie wobec mnie też się zmieniło?

– A jak myślisz?

– Diametralnie?

– Nie, nie diametralnie – powiedziała już mniej zmęczonym tonem. – Poznałam cię trochę podczas naszych spotkań i byłam świadoma, że czasem możesz zachować się... niekonwencjonalnie.

– To miał być komplement?

– Nie, to skaza, o której mówiłam. Drobną, ale zawsze. Faceci bez takiej skazy po prostu nie istnieją.

– A ten niby fajny facet to też ja?

– Mówiłam ogólnie.

– To zabrzmiało asekuracyjnie, ale w porządku, przyjmuję do wiadomości. Więc wybaczyłaś mi czy nie?

– Złodziej – powiedziała, patrząc mi w oczy i przylegając do mnie biodrami. – Mam na ciebie ochotę, złodzieju. Teraz.



– Obawiam się, że musimy z tym jednak poczekać do wieczoru. Mam nieodparte wrażenie, że twój syn przejawia wybitne zdolności inwigilacyjne i chyba wie o wiele więcej, niż nam się wydaje.

– O czym wie?

– O wszystkim. O tym, co się dzieje teraz w waszym życiu...

– Tłumaczyłam mu to. A przynajmniej się starałam.

– O nas.

– O nas? Darek, przecież rozmawialiśmy o tym...

– Wiem, źle się wyraziłem. O tym, co robimy, kiedy śpi. Kiedy myślimy, że śpi.

– Proszę cię... – Zaczęła się czerwienić.

– Tego mu nie tłumaczyłaś? – zapytałem. – Nie popełniaj mojego błędu. Naprawdę bardzo bolało, kiedy okazało się, że moja córka nie jest już dzieckiem, tylko kobietą.

– Darek, on ma dwanaście lat!

– O pewnych sprawach już chyba wie?

– Trochę tak.

– Nieważne, to twój syn i to ty jesteś psychologiem. W każdym razie, wracając do tematu: musimy to odłożyć.

– Nie myśl, że ci się upiecze, Suder.

– Nawet przez myśl mi to nie przeszło...

Wystawiła palec i dźgnęła mnie nim w pierś.

– Wieczorem. Ty i ja.

\* \* \*

Mołczun zadzwonił następnego dnia z samego rana.

– Szykuj się. Za godzinę będziemy u ciebie – poinformował mnie sucho.

Martyna tym razem została na kanapie. Spaliśmy tak ściśnięci przez całą noc, budziłem się co kilkanaście minut, ale nie żałowałem. Obudziłem ją teraz delikatnie i powiedziałem:

– Budź Kosmę. Niedługo przyjadą.

Poszliśmy na górę. Kosma pomarudził trochę, że nie dajemy mu spać, ale w końcu wstał.

– Posiedzicie u sąsiada. – Popatrzyłem na nich uważnie. – Nie będziemy jednak ryzykować. Nie mówię nawet, że mogliby wejść na górę, mówię o tym, że któreś z was mogłoby nagle kichnąć albo wrzasnąć, bo zobaczyło pająka. Ubierajcie się i chodźcie.

Kwadrans później przeprowadziłem ich do Waldka, z którym uzgodniłem to poprzedniego dnia. Nie było problemu. Zakazałem mu częstowania Martyny nalewkami i powiedziałem, że odbiorę ich za godzinę, dwie. Wróciłem do siebie i czekałem na gości.

Przyjechali niedługo potem. Usłyszałem samochód zatrzymujący się za żywoplotem. Furtkę zostawiłem otwartą, żeby weszli od razu. Było ich tylko dwóch; Jacek i jakiś brodaty brunet w zielonej koszulce polo. Zapukali i weszli od razu. Wstałem z kanapy i podszedłem do nich.

– Pan Dariusz Suder, pan inspektor Mariusz Ziętarski z KWP Gdańsk – przedstawił nas sobie Jacek.

Podąłem przybyszowi rękę, uścisnął ją mocno i po męsku. Ziętarski miał na oko tyle lat co ja, ciemne włosy, czarną brodę, z której wystawało tylko kilkanaście nitek siwizny i także krzaczaste brwi, spod których patrzyły na mnie z ciekawością głęboko osadzone oczy, też niemal czarne. Wyglądał trochę jak Serpico, tylko po wyjściu od fryzjera. Nie był wysoki, miał raczej drobną budowę ciała oraz zwracający uwagę wydatny, lekko garbaty nos.

– Gdzie masz psa? – zapytał Jacek.

– Nie mam już psa. Zdechł.

Nie chciałem wtajemniczać Jacka w to, co stało się tamtej nocy. Im mniej wie, tym lepiej. Im mniej ludzi wie, tym lepiej.

– Proszę. – Wskazałem gościom kanapę. – Siadajcie. Kawy, herbaty?

Obaj odmówili i usiedli niemal równocześnie. Ja przyniosłem sobie z kuchni krzesło i zająłem miejsce naprzeciwko nich. Ziętarski rozglądał się po wnętrzu z lekkim uśmiechem błakającym się na wyzierających spod zarostu ustach. Potem obaj wbili we mnie wzrok. Ziętarski potarł swoje uda w geście lekkiego niezdecydowania i zapytał:

– Zanim zaczniemy; poda mi pan hasło?

Miał przyjemny głos i lekko zmiękczał głoski.

– Hasło? – zapytałem.

– Tak, hasło kontaktowe. Zabezpieczenie, stare, dobre zabezpieczenie, jak za czasów konspiracji. Rozumiem, że pan je zna? Że pani Maziarz je panu przekazała?

– Oczywiście – odparłem. – Ale wie pan, ja też nie mam pewności, czy pan mówi prawdę i w ogóle jest tym, za kogo się podaje. Był już taki jeden, co to podawał się za funkcjonariusza policji, ba!, on nawet nim był, i co? – Westchnąłem. – Tak, mówię o Szydłowskim. Przecież nie powiem tego hasła na głos. Ale mogę je napisać.

Jacek wyglądał, jakby kompletnie nic nie rozumiał, i tak właśnie było. Ziętarski spojrzał na mnie z ukosa i miał minę podobną jak Jacek, choć miałem nadzieję, że przynajmniej on rozumie więcej niż Mołczun. Wziąłem ze stolika program telewizyjny, oderwałem róg strony i patrząc Ziętarskiemu w oczy, napisałem na świstku słowo KOKOS. Potem schyliłem się i podałem mu paperek do ręki. Ziętarski przeczytał, a kiedy to robił, ja uważnie przyglądałem się jego twarzy. Nagle podniósł głowę, a w oczach miał niezdecydowanie.

– To nie...

– Owszem, to nie jest to hasło. To jest PRAWIE to hasło, zgadza się?

Pokręcił głową ze zdumieniem.

– Też musiałem pana sprawdzić, choć i tak wciąż nie mam stuprocentowej pewności. Ale teraz mogę je powiedzieć. Hasło brzmi KOKO, prawda? KOKO bez S na

końcu, pozwolę sobie sparafrazować klasyka. Od słów Kosma Ko-rcz.

Ziętarski głośno wypuścił powietrze.

– Widzę, że dobrze się pan bawi – rzucił cierpko. – To możemy teraz wreszcie przejść do rzeczy?

– Oczywiście.

– Pana komendanta Mołczuna muszę niestety poprosić, żeby nas opuścił i poczekał w samochodzie.

Jacek wstał bez słowa i cienia jakiegokolwiek grymasu na twarzy: zdziwienia czy zdenerwowania. Skinął mi głową i wyszedł na zewnątrz. Formalności stało się zadość, choć obaj z Jackiem wiedzieliśmy, że potem sobie szczerze porozmawiamy.

– W takim razie słucham pana – powiedział Ziętarski, kiedy Jacek zniknął za drzwiami.

– No więc, dobrze. Martyna Maziarz jest w Szczecinie, ale nie mogę ujawnić, gdzie konkretnie. Ona sobie tego na razie nie życzy.

– Nie jest u pana?

– Oczywiście, że jest. Siedzi na górze, razem z synkiem, grają sobie w coś. – Uśmiechnąłem się, a kiedy Ziętarski szeroko otworzył oczy, dodałem: – No niech pan pomyśli, czy ja wyglądam na takiego idiotę, żeby trzymać u siebie osoby objęte programem ochrony świadków poszukiwane zarówno przez policję, jak i przez jakąś pieprzoną mafię?

– Nie wygląda pan – przyznał, rozluźniając się. – Z drugiej strony, gdzie indziej mogłaby być niż tu, u pana, prawda?

– Wspomniałem, że jest w Szczecinie, prawda? Jesteśmy w Bartoszewie, a nie w Szczecinie – przypomniałem mu.

Spojrzał na mnie przenikliwie i kpiąco jednocześnie. Nie podobało mi się to, zacząłem się obawiać, że zaraz zechce zajrzeć na górę, gdzie zostały rzeczy Martyny i Kosmy, których nie przyszło mi do głowy ukryć. Nie da się pomyśleć o wszystkim, choć o niektórych rzeczach naprawdę by się przydało. Ale Ziętarski nie zechciał iść na górę.

A nawet gdyby zechciał, to i tak bym mu na to nie pozwolił.

– Dlaczego uciekła ze Świeradowa? – zapytał.

– Spanikowała i trudno jej się dziwić. Po tym, jak dowiedziała się o śmierci swojego opiekuna, uznała, że nie jest bezpiecznie, opuściła kryjówkę, później skontaktowała się ze mną, a ja znalazłem jej kolejną kryjówkę. To tak odpowiadając na pańską sugestię, że jednak jest tutaj – jechałem po bandzie. – Przyjeżdżając do Szczecina, nie wiedziała, że Paweł Szydłowski nie miał do końca czystych intencji, odwiedzając ją w Świeradowie. Ja jej to uświadomiłem, bo Szydłowski odwiedził również mnie, dzień później, w środku nocy. Po pewnym czasie Martyna zdecydowała, że mam was

powiadomić, co się z nią dzieje. Że nic jej nie jest. Więc niniejszym to robię. Dalsze dyspozycje wyda, kiedy uzna, że sytuacja się unormowała. Cokolwiek to oznacza... A ja będę pośrednikiem w kontaktach między wami: nią i komendą w Gdańsku. Przepisy umożliwiają ustanowienie pełnomocnika dla osoby chronionej programem. Mówią co prawda o policjancie, ale ja jako były policjant też powinienem się nadać. Co pan na to?

Ziętarski przygryzł kawałek brody, wsadzając go sobie językiem między zęby.

– Co z tym Szydłowskim? – zapytał, pomijając moją sugestię dotyczącą pełnomocnictwa. – Skąd pan o nim wie?

– Martyna mi zdradziła, że był jej opiekunem. Ale to było już po tym, jak mnie odwiedził. – Opowiedziałem Ziętarskiemu o wizycie jego podwładnego i o moich domysłach co do intencji, z jakimi przyszedł do mnie, a potem na dworzec.

Wysłuchał mnie uważnie. Kiedy skończyłem, pomilczał jeszcze chwilę, jakby zastanawiał się nad czymś. Dałem mu więc jeszcze więcej informacji, nad którymi mógł się zastanawiać.

– Istnieją podejrzenia, dosyć poważne, że mąż Martyny ukrył nieznaną bliżej sumę zdefraudowaną swoim mocodawcom. Podobno ten wątek nie był w ogóle brany pod uwagę podczas postępowania toczącego się przeciw Maziarzowi w początkowej fazie, zanim został

koronnym. Tak twierdzi Martyna. Ale wiem skądinąd, że „na mieście” chodziły plotki o jakichś ogromnych sumach, które sobie uszczknął i gdzieś ukrył. Po analizie pewnych wątków doszedłem do wniosku, że to niekoniecznie musiały być pieniądze... to, co ukrył. Mamy podstawy sądzić, że to raczej złoto, na które je wymienił, zanim został aresztowany w związku z nielegalną działalnością spółki, w której pracował. I to właśnie było powodem napaści na panią Maziarz w jej gabinecie. To była próba wydobycia z niej informacji, co i gdzie zostało ukryte. A Szydłowski był w to wplątany, co potwierdziła jego nocna wizyta u mnie w domu.

– Zdaje pan sobie sprawę, jak ciężkie oskarżenia pan rzuca?

– A pan zdaje sobie sprawę, że to może być prawda? Że to JEST prawda?

– Jak pan do tego wszystkiego doszedł? – zapytał.

Powiedziałem mu. Kiedy skończyłem, poprosił o wodę, więc przyniosłem mu ją z kuchni w szklance. Napił się, przytknął wierzch dłoni do ust, żeby je wysuszyć, i zaczął ostrożnie:

– Komisarz Szydłowski od jakiegoś czasu sprawiał wrażenie osoby uwikłanej w jakieś dziwne układy – powiedział powoli, odstawiając szklanekę na stół. – Nie było zastrzeżeń do jego pracy, chodziło raczej o życie prywatne. Pan wie, że taka ocena nie jest obiektywna w przypadku funkcjonariuszy pracujących w takich



warunkach, jak na przykład w POŚ czy przykrywkowcy. Napięcie psychiczne, brak możliwości planowania własnego życia i tak dalej. Pani Maziarz powinna wiedzieć coś na ten temat. Jako policyjny psycholog, oczywiście, to mam na myśli. Ale jednak coś niedobrego działo się w tym jego życiu. Sądzymy, że ten tragiczny krok komisarza Szydłowskiego był konsekwencją tego napięcia, z którym sobie nie poradził.

– Tragiczny krok był konsekwencją jego uwikłania w jakiś bandycki układ, panie inspektorze – odparłem twardo. – Spójrzmy prawdzie w oczy.

– Nie ma pan na to dowodów.

– Wystarczy mi to, co widziałem. To, co przeżyłem.

– Przecież sam pan powiedział, że nawet nie zdążył zobaczyć napastnika?

To prawda. Nie zdążyłem, tu miał rację.

– Musi pan dotknąć rozpalonego do czerwoności pieca, żeby się przekonać, że jest gorący? – zapytałem. – Połączyłem fakty, które dało się połączyć w tak prosty i oczywisty sposób, że nie pozostawiało to żadnych wątpliwości. Żadnych. Logiczny ciąg przyczynowo-skutkowy.

– A może wyłącznie korelacja? Może tych wydarzeń nic nie łączy, a to, że zbiegły się w czasie, jest tylko kwestią przypadku?

– Żadna tam korelacja. Po co Szydłowski miałby przyjechać do Szczecina, żeby rzucić się pod pociąg

akurat tu?

– Nie wiem. On też już nam nie powie.

– Właśnie... Czy jest już raport z sekcji jego zwłok?

– Nic mi o tym nie wiadomo. A jaki to ma związek?

– Słyszałem, że niewiele z niego zostało, ale radziłbym zwrócić uwagę na nietypowe rany, niepasujące do obrażeń powstałych w wypadkach komunikacyjnych.

– Na przykład? Co pan sugeruje?

– Ugryzienia zwierzęcia. Konkretnie psa. Dużego psa. Zwłaszcza na dłoniach i przedramionach.

– Inspektor Mołczun pytał... – Ziętarski odwrócił głowę w kierunku drzwi. – Powiedział mu pan, że pana pies zdechł?

– Zgadza się, jednak nie ze starości, ale od noża. – Zamilkłem na chwilę, kiedy przypomniałem sobie, jak go chowałem; nie przypuszczałem, że aż tak przywiążę się do Promo. – W porządku, odłóżmy to na razie na bok i wróćmy do tego złota. Na kilka dni przed napadem pani Maziarz dostała z komendy wojewódzkiej w Gdańsku pismo, przekazane do KWP przez tamtejszą okręgową radę adwokacką. Informowało o śmierci niejakiego Ernesta Grynera, adwokata, z którym współpracował jej zmarły mąż.

– Tak, to pismo przechodziło nawet przez moje ręce. Pan Gryner był pełnomocnikiem pana Maziarza w czasie tego całego... zamieszania.

– Jest w nim mowa o kopercie, którą podobno syn Maziarzy będzie mógł dostać dopiero jako dorosły.

– Owszem. Wiem o tej kopercie i wiem również o tym zastrzeżeniu.

Nagle coś mi się przypomniało.

– Tak na marginesie. – Zmarszczyłem brwi. – Ta nagła śmierć Grynera nie wzbudziła pańskich podejrzeń po tym, jak Martyna została napadnięta we własnym gabinecie i zniknęła na kilka tygodni?

– Akurat w tej sprawie nie ma nic podejrzanego. To głośna sprawa w Gdańsku. Gryner wchodził do pracy i na klatce schodowej budynku, w którym miał kancelarię, spotkał „kibiców” Lechii. Zwrócił im uwagę, bo pili piwo, pewnie palili, nie wiem... Nie spodobało im się, że jakiś dziadek się przypieprza. Poszli i pobili go w jego własnej kancelarii. Umarł na serce, zanim przyjechało pogotowie. Tamte gnojki zarzekają się, że tak nie było, że owszem, chlali na klatce, ale jak już skończyli i schodzili na dół, to zobaczyli uchylone drzwi kancelarii, więc weszli do środka i zobaczyli go zakrwawionego i martwego na podłodze. To zaczęli obrabiać lokal z fantów. Co innego mieli mówić? Jak sąd to łyknie, to dostaną ładnych kilka lat mniej, więc jest o co walczyć. Pewnie niedługo zacznie się ich proces. – Ziętarski wzruszył ramionami.

– Dobrze, to też na razie zostawmy. Co z tą kopertą? To może być coś ważnego dla Martyny i jej syna.

– Powiem panu, co z tą kopertą. – Westchnął. – Prezydium rady okręgowej izby adwokackiej wskazało spośród swego grona osobę mającą przejąć obowiązki, które wziął wcześniej na siebie pan Gryner, również jako wykonawca testamentu Maziarza. W kancelarii tej adwokat, z tego co pamiętam, to była kobieta, złożona została również ta koperta jako część testamentu. I te zastrzeżenia wciąż obowiązują. Syn pani Maziarz dostanie ją dopiero po ukończeniu nauki lub osiemnastego roku życia, w zależności od tego, co nastąpi szybciej. Akurat ta sprawa jest poza nami. Całkowicie.

– Ale tam może być rozwiązanie zagadki, do cholery! Klucz do złota.

– Pewnych rzeczy nie przeskoczymy. Procedura prawna, która mogłaby te zapisy wzruszyć, jest zapewne długa i skomplikowana i nikt nie będzie tracił na nią czasu, bo nie jest konieczna.

– Pan dalej nie rozumie. Nie chodzi o złoto. Nie chodzi o to, co się z nim stanie. Pochodzi przecież z przestępstwa, więc i tak najprawdopodobniej ulegnie przypadkowi. Chodzi o to, żeby przestała istnieć przyczyna, dla której ktoś próbował zabić Martynę. Bo nie sądzę, żeby policja prędko wpadła na to, kto za tym stoi. To zróbcie chociaż tak, żeby ten ktoś nie miał już powodu za tym stać, rozumie pan już?

– To prawda, niewiele mamy – przyznał bez żenady Ziętarski.

– No więc właśnie. A kiedy ten „skarb” się odnajdzie, będzie o tym głośno. I sprawa się zakończy. Przynajmniej tyle zyskamy.

– Jak pan to w takim razie widzi?

– Niech pana załatwi ekshumację Maziarza.

– Słucham?

– Trzeba sprawdzić jego grób. To tam najprawdopodobniej ukrył to złoto. W swojej trumnie.

Opowiedziałem mu o medaliku Kosmy, o tym, co widziałem na cmentarzu w Sopocie i o czym dowiedziałem się od dziewczyny z „Edenu”.

– Wie pan, że może się mylić? Że to, co pan powiedział, brzmi jak... Sam nie wiem, jak to brzmi. Jak jakieś pieprzone science fiction!

– Wiem, że mogę się mylić. Doskonale. Nie jest pan pierwszą osobą, która zwraca mi na to uwagę...

– A kto jest, przepraszam, tą pierwszą? – Ziętarski zmarszczył brwi.

– Martyna ma równie sceptyczne podejście do tej kwestii.

Spojrzał na mnie jakoś smutno.

– Nie wiem, czy kontaktowanie się z nią jest dobrym pomysłem. Wystarczy, że jest w mieście, w którym nie powinno jej być.

– O to niech pan się nie martwi. Wiemy, co robimy.

– Jest pan tego absolutnie pewien? Nie ma pan pojęcia o zasadach ukrywania osób objętych...

– Panie inspektorze – przerwałem mu. – Dajmy spokój. Gdyby program był idealny, nie mielibyśmy teraz tego całego pasztetu, tak? I nikomu nie daję teraz prztyczka; tak po prostu jest. Pozostaje tylko zmniejszyć straty. To właśnie robimy. I jak widać, na razie nieźle sobie z Martyną radzimy.

– W porządku. Tylko przypominam; po pierwsze pewność siebie często gubi, a po drugie, ona wciąż podlega programowi. A to ją do czegoś zobowiązuje. A konkretnie do współpracy z nami.

– Jasne. A wracając do tego nieszczęsnego złota: nic innego nie macie, jak zresztą sam pan zauważył, więc nie widzę powodu, dla którego nie mielibyście chociaż spróbować iść akurat tą drogą. Niech pan załatwi ekshumację. Niech pan to zrobi dla niej. Dla niej i dla małego. – Ledwo opanowałem się, żeby nie machnąć ręką w kierunku schodów. – Załatwi pan to w prokuraturze? Tylko nie wiem w której, bo już się pogubiłem. W koszalińskiej, w gdańskiej, w sopockiej?

– Może w tym szaleństwie faktycznie tkwi metoda – powiedział Ziętarski, jakby mnie nie słysząc. – Sprawa otarła się o komendę główną, więc sznurki można pociągać dość mocno. Dam panu znać. Swoją drogą, pan Przemysław nie postąpił zbyt fair wobec nas... Jeśli to prawda z tą defraudacją.

– Nie tylko wobec was, ale nie będę komentował spraw, które mnie nie dotyczą. – Zerknąłem na niego. –

Naprawdę nie wiedzieliście?

Wstał z kanapy i otarł z czoła pot.

– Ja nic nie wiem. Poznałem Maziarza już po decyzji o uznaniu go za koronnego. I to jest moja działka. Ochrona. – Przeczesał palcami włosy, odlepiając kilka od spoconego czoła i podrapał się w zarośniętą szyję. – Odezwę się, kiedy załatwię pozwolenie na ekshumację. Jeśli to w ogóle będzie możliwe, a musimy się liczyć z tym, że jednak nie będzie. Mam nadzieję, że to jasne?

– Oczywiście. Niech pan robi, co może.

– Tak właśnie zamierzam. Będziemy w kontakcie.

Wyciągnął rękę i pożegnaliśmy się w milczeniu. Odprowadziłem go do furtki. Jacek, widząc nas na schodach, wstał z huśtawki ogrodowej i podszedł do nas. Z nim też się pożegnałem i obaj bez słowa wyszli na ścieżkę, na której stało służbowe audi z kierowcą. Kiedy pojechali, odczekałem jeszcze kwadrans, a potem poszedłem do Waldka po Martynę i Kosmę. Martyna podejrzanie pachniała nalewką cytrynową produkcji Waldka, ale nic nie powiedziałem, bo szła prosto i nie plątał się jej język. Czyli nie przesadziła, o co w przypadku Waldkowego zdradliwego cytryńca nie było trudno. Opowiedziałem jej, jak przebiegła rozmowa, i pojechałem do miasta na zakupy. Kosma chciał zabrać się ze mną, ale musiałem wybić mu to z głowy.

– Już niedługo, chłopaku. – Poklepałem go po plecach.

– Już niedługo. Wytrzymaj jeszcze kilka dni.

Wieczorem, kiedy Martyna z Kosmą oglądali jakiś film, usiadłem przy biurku w sypialni i przejrzałem pobieżnie skany akt osadzonych razem z Wojniczem, które przesłał mi w końcu Jacek, a właściwie jego sekretarka. Wysłała je ze swojej prywatnej poczty mailowej. Jacek musiał jej bardzo ufać, ona zresztą jemu też, skoro zrobili coś takiego...

Nic nie rzuciło mi się w oczy. Nic, a raczej nikt z wyjątkiem Roberta Widucha. Wyszedł kilka miesięcy przed napadem na Martynę. Siedział z gościem, którego pomógł wsadzić mąż Martyny. I był z Gdańska, skąd pochodziła Martyna. Przypadek? Dużo tych przypadków, dlatego chciałem to sprawdzić. Musiałem to sprawdzić.

A wieczorem dostałem telefon od Ziętarskiego. Pokazałem na migi Martynie i Kosmie grającym w „statki”, że mają być cicho, i odebrałem.

– Wygląda na to, że załatwimy tę ekshumację – powiedział, a w jego głosie wciąż było zaskoczenie. – I to dość szybko.

– Gratuluję.

– Wstępnie umawiamy się na za trzy dni, w czwartek. Jutro jeszcze potwierdzę. Trzeba zorganizować ekipę; patologa i kogoś z zarządu cmentarza. Oby to złoto tam było.

– Oby – zgodziłem się, modląc się w duchu, żeby to była prawda. – Cóż, bądźmy dobrej myśli. Miejmy nadzieję, że wszystko się tam w końcu wyjaśni.



Ziętarski mruknął coś w odpowiedzi i rozłączył się.

\* \* \*

Dzień po tamtej rozmowie Ziętarski znów zadzwonił, potwierdzając czwartkowy termin ekshumacji Maziarza. Pojechałem do Gdańska w środę rano, bo chciałem jeszcze coś załatwić. Chciałem sprawdzić, czy chłopak, który dziesięć lat temu siedział w jednej celi z Ryszardem Wojniczem, bratem najgroźniejszej kobiety na Śląsku, a może nawet i w Polsce, mógł mieć coś wspólnego z napadem na Martynę. Ona sama i Kosma zostali oczywiście u mnie w domu, a Waldek obiecał być czujnym. Czujnym jak zwykle.

Do Trójmiasta dojechałem bez przygód, choć droga nie była przyjemna. Padał lekki, ale dokuczliwy deszczyk, powietrze było przesycone wilgocią, przez co krajobraz za szybami samochodu wydawał się płaski i dwuwymiarowy. Mijane pola rozpływały się w szarej nicości, a majaczące w niej drzewa na miedzach wyglądały jak wycięte z albumu i postawione na ziemi na podobieństwo gigantycznych roll-upów. Na szczęście pogoda zmieniła się niemal całkowicie, kiedy dojeżdżałem do Gdańska.

Dom rodziców Widucha znajdował się na osiedlu Matemblewo w gdańskim Brętowie, konkretnie na ulicy Jerzego Waldorffa. Odnalazłem właściwy adres i kiedy zajechałem na miejsce, jeszcze przez chwilę siedziałem

w samochodzie, przyglądając się typowo polskiej mieszance architektury dworkowej i industrialnej wziętej wprost z katalogu firmy projektowej trzepiącej setki mutacji „domów w różach”, „domów w azaliach” i tym podobnych. Dom Widucha do takich właśnie należał. Boniowania naroży pasowały do chromowanych barierek tarasu na garażu jak lody do wódki, świadcząc o tym, że albo klient ma zawsze rację, albo że każdy zawód, w tym architekta, wymaga czasem nie tyle pójścia na ustępstwa, ile po prostu skurwienia się.

Poprzedniego wieczoru przeprowadziłem w Internecie krótkie śledztwo po to, żeby wiedzieć, z kim będę rozmawiał. Marek Widuch był lokalnym biznesmenem działającym w szerokim sektorze budowlanym, ale nie tylko. Wydawało mi się przez moment, że Widuch jest takim gdańskim Leśniewskim, ale im więcej informacji o nim znajdowałem, tym bardziej zdawałem sobie sprawę, że „Malecha” nie dorasta Widuchowi do pięt, no, może do kolan. Jego firma deweloperska EkoBud była jedną z większych w Trójmieście, a nawet na Pomorzu, miał również składy budowlane, zakład utylizacji odpadów uciążliwych dla środowiska, a przez jakiś czas prowadził nawet salon samochodowy dobrej marki, który w dodatku sam wybudował, a później, po kilku latach, sprzedał, zapewne z zyskiem. Znalazłem również o Widuchu pewną zaskakującą rzecz: na jednym z lokalnych portali informacyjnych, w artykule sprzed

kilku lat wspomniano o aferze z wykupem gruntów od Lasów Państwowych. Sprawa dotyczyła działek na gdańskim Matemblewie, czyli tam gdzie Widuch miał dom, przejętych piętnaście lat temu w nie do końca jasny sposób przez spółkę „Westend”, od której później odkupił je EkoBud. I obie te spółki wspomniano w kontekście gdańskiej „mafii finansowej” i procesu sprzed jedenastu lat. Obie obsługiwała ta sama firma doradcza. Kancelaria doradczo-podatkowo-inwestycyjna „Omnium rerum”. Ale w sumie nie było się czemu dziwić. Wyglądało na to, że mało która trójmiejska spółka nie mogła się pochwalić współpracą z „Omnium rerum”, lub może inaczej – wiele firm musiało się tej współpracy wstydzić. I firma Marka Widucha do nich się zaliczała. Może nawet wszystkie jego firmy?

Wysiadłem z samochodu i rozejrzałem się dookoła. Cała okolica wyglądała trochę jak plac budowy. Na części działek stały całkowicie wykończone domy otoczone pieczołowicie urządzonymi ogrodami, a część przypominała piaszczyste łąchy albo pastwiska lub zaniedbane łąki, czekające tylko, aż ruszą na nich roboty budowlane. Ale podobało mi się tu, wokół lekko pagórkowatego terenu było mnóstwo zieleni wdzierającej się do tej enklawy z otaczającego ją parku krajobrazowego.

Otworzyłem furtkę. Była już lekko uchylona, więc nie wciskałem przycisku domofonu, nad którym błyszczało

czujne oko kamery, tylko pchnąłem ją i wszedłem na teren posesji. Zieleń od strony ulicy była starannie utrzymana, nie było tu ani chaosu wynikającego z chęci uzyskania szybkich efektów, ani pustych połączeń towarzyszących zwykle początkom ogrodów. Dom musiał tu stać już kilka ładnych lat. Na podjeździe przed garażem z lekko uchylonymi segmentowymi drzwiami stała hybrydowa toyota i jeep compass.

Kiedy wybrukowaną granitową kostką ścieżką poszedłem w kierunku domu, zdążyłem jeszcze zobaczyć jakąś kobietę znikającą za kępą dorodnych żywotników. Nie zawołałem jej, tylko dalej szedłem przed siebie, w stronę drzwi wejściowych ukrytych w zagłębieniu podcienia. Kiedy tam dotarłem, mocno zapukałem w drzwi. Oczekałem chwilę i znów w nie zastukałem, a kiedy wciąż nic się nie działo, odwróciłem się, żeby sprawdzić, czy kobieta nie pojawiła się z powrotem przed domem. Ale ogród był pusty. Nagle usłyszałem szcęk zamka. Drzwi otworzyły się i stanął w nich niski mężczyzna o mocno opalonej twarzy i ostrzyżonych tuż przy skórze odrastających włosach, w których migąły srebrne kresczki. Był barczysty, potężne ramiona i mięśnie karku opinała koszulka polo z postawionym kołnierzykiem i logo Armaniego. Włosy na przedramionach, brwiach i rzęsach miały barwę piasku. Obrzucił mnie spojrzeniem szarych oczu, jakbym był domokrądcą, i pomasaował sobie przez chwilę kark.

– Tak? – powiedział.

– Dzień dobry, nazywam się Dariusz Suder. Szukam Roberta Widucha.

Marek Widuch, bo to on otworzył mi drzwi, patrzył na mnie przez długą chwilę, nic nie mówiąc. Potem cofnął się lekko do środka, co odczytałem jako zaproszenie. Jego ruch był jednak tak niezdecydowany, niepotwierdzony żadnym słowem, że zawahałem się, zanim zrobiłem krok w jego kierunku. W końcu mruknął:

– Proszę.

Odwrócił się i poszedł w głąb domu, więc zrobiłem to samo, zamknąwszy za sobą drzwi. Zanim się za mną zatrzasnęły, w szparze zdążyłem jeszcze zobaczyć postać kobiety spoglądającej za mną nieruchomym wzrokiem. To ją widziałem przed chwilą. Była przystojną blondynką mniej więcej w moim wieku, miała ładną figurę, ale gdyby to była noc, a nie środek dnia, pewnie poczułbym teraz dreszcze, patrząc w te oczy.

– Właśnie zamierzałem jechać do pracy – powiedział Widuch, kiedy obaj znaleźliśmy się w obszernym salonie, który podobnie jak u mnie w altanie stanowił jedną przestrzeń z kuchnią.

To było oczywiście jedyne podobieństwo, które w dodatku nie dotyczyło wielkości tych pomieszczeń. Tu różnica była z kolei kolosalna.

Ton głosu Widucha świadczył o pewnym rozdrażnieniu. Widocznie zjawiłem się nie w porę.

Dziwiło mnie to trochę, bo chyba jako właściciel miejsca swojej pracy nie należał do ludzi, którzy muszą się w nim znajdować punktualnie. No, chyba że miał umówione spotkanie, ale i tak skłamałbym, twierdząc, że mnie to w jakikolwiek sposób poruszyło.

– Nie zajmę panu dużo czasu – powiedziałem. – W zasadzie chciałem porozmawiać z pańskim synem.

– To może być trudne. – Widuch wciąż nie patrzył mi w oczy.

Po prostu rzucał słowami gdzieś przed siebie, zawsze tam gdzie akurat miał skierowany wzrok, wiedząc, że skoro jesteśmy sami, to ich odbiorcą mogę być wyłącznie ja. Ale to nie było grzeczne. Widuchowi pod tym względem daleko było do Leśniewskiego.

– Dlaczego trudne? – zapytałem, rozglądając się po ścianach, na których wisiało pełno piłkarskich pamiątek, i po regałach z pucharami o przeróżnych kształtach.

W centralnym miejscu ściany z kominkiem, oprawiona w przeszkloną ramkę wisiała biało-zielona koszulka z numerem „8” i nazwiskiem Widuch. Czytałem gdzieś, że był w młodości piłkarzem, co mogło nieco dziwić, zważywszy na jego posturę właściwą raczej bokserom czy atletom niż piłkarzom. Może po przejściu na piłkarską emeryturę po prostu zamienił dyscypliny?

Zobaczył, na co patrzę, ale nic nie powiedział. Nie zaczął chwalić się, jak Leśniewski, tylko zgarbił się i spojrzął na mnie, lecz zrobił to w taki sposób, jakbym

był intruzem. Nie wiedziałem, o co chodzi. Po cholere w ogóle zaprosił mnie do środka?

– Syn nie utrzymuje z nami kontaktu – powiedział w końcu, a słowa z trudem przechodziły mu przez gardło.

– Dlaczego?

– Nie pańska sprawa.

Znowu te niewytłumaczalne pretensje w głosie.

– Możliwe – zgodziłem się dla świętego spokoju, ale nie zamierzałem kapitulować ani robić z siebie potulnego baranka. – Ale wpuścił mnie pan, wiedząc, że chcę o nim porozmawiać. Więc o co chodzi, czemu nie chce mi pan teraz tego powiedzieć? Po co mnie pan w takim razie zaprosił do domu? Pochwalić się nim?

Widuch zacisnął usta i patrzył w okno.

– Wiem tylko, że Robert pracuje w malborskim szpitalu i w hospicjum imienia jakiegoś świętego – wyjaśnił już spokojniej. – Nie mam pojęcia, gdzie mieszka. Tyle mogę panu powiedzieć.

– Coś się stało, tam... W więzieniu?

Widuch spojrzał na mnie, a w oczach miał kpinę pomieszaną z pogardą. Lewy kącik ust powędrował do góry w grymasie lekceważenia.

– Pan pyta, czy coś się stało w więzieniu? Więzienie się stało, proszę pana. Zmienił się. Odpierdoliło mu, bo jak inaczej nazwać fakt, że własne dziecko po wyjściu z więzienia nie chce wrócić do domu, nie chce widzieć na oczy własnych rodziców? Zabrali mi syna.

– Nie był bez winy – zauważyłem, uzmysławiając sobie poniewczasie, że kiedyś ten mój brak taktu przyprawi mnie o ostry ból nosa albo wizytę u protetyka.

Z takimi tekstami, choćby nawet i w stu procentach prawdziwymi, czasem trzeba uważać i mowa ciała Widucha wyraźnie o tym świadczyła. Zobaczyłem, jak prostuje się lekko i zaciska pięści.

– To był wypadek, proszę pana. Wypadki się zdarzają. Panu nigdy się nie zdarzył?

Przekrzywił głowę, krótkim gwałtownym ruchem jak kogut, który dojrzał na podwórku rywala, zerkając znacząco na moją bliznę. Nie powiedziałem mu, że zabicie kogoś samochodem po pijaku i po prochach to nie jest wypadek, tylko głupota, za którą płacą wszystkie postaci dramatu: i ofiary, i sprawca. Trzeba umieć odróżnić wypadek od głupoty albo niedbalstwa. Czołowe zderzenie podczas wyprzedzania na trzeciego z prędkością stu osiemdziesięciu na godzinę to też nie jest wypadek. Wypadek to drzewo, które łamie się pod naporem wiatru i spada na przejeżdżający samochód, zabijając kierowcę. Nie powiedziałem tego, bo po pierwsze moje słowa zabrzmiałyby paternalistycznie, po drugie Widuch był wystarczająco zdenerwowany, a po trzecie, musiałem skupić się na swoim celu: odnalezieniu jego syna. Dyskusja z gospodarzem niczemu nie służyła; on miał swoje racje, a ja swoje i to było nieistotne, że nie potrafił



spojrzeć na to z właściwej perspektywy. Mało kto by potrafił na jego miejscu.

W końcu też kiedyś byłem ojcem.

– Bardzo tu ładnie – zauważyłem, żeby trochę ocieplić klimat.

Co prawda już wychodziłem, ale raczej nie lubię zostawiać po sobie przykrego wrażenia.

Widuch jakby odrobinę poweselał.

– Bawiłem się tu jako dzieciak w ludzi pierwotnych, wie pan? Polowaliśmy z kolegami na dziki, mieliśmy dzidy z kijów i skóry ze starych, nadjedzonych przez mole futer naszych mam i ciotek. Co jakiś czas przepędzali nas żołnierze, niebieskie berety z Siódmej Dywizji Desantowej, którzy nieraz ćwiczyli w okolicy. Z tym miejscem wiąże się mnóstwo moich wspomnień. No i to rzeczywiście piękna okolica. Dlatego tu zamieszkałem. Dziki dalej tu są. Do dziś. I to więcej niż w tamtych czasach – rozgadał się.

– Nawet mnie pan nie zapytał, po co chcę się z nim widzieć – przerwałem mu.

– To nie moja sprawa – powiedział, jak gdyby to była najbardziej naturalna rzecz na świecie.

– A gdybym na przykład miał zamiar zrobić mu krzywdę?

Zerknął na mnie, mrużąc oczy leniwym grymasem wybudzonego ze snu kota wygrzewającego się na pełnym słońcu.

– To nie robiłby pan tego w taki sposób, nie przychodziłby pan tu. I nie radzę robić mu krzywdy. Krzywda, jaka spotka kogoś, kto skrzywdzi Roberta, będzie niewspółmierna. Bolesna, drastyczna i ostateczna. Mówię tak na wszelki wypadek, jakbyśmy się nie rozumieli.

– Ależ rozumiemy się – odparłem. – Nie zamierzam krzywdzić pana syna. Po prostu muszę z nim porozmawiać o kimś, kto być może... No właśnie: skrzywdził bliską mi osobę. To wszystko.

– W porządku. Wie pan już, gdzie go szukać, w niczym więcej panu nie pomogę. Ale mam do pana prośbę...

– Tak?

– Gdy pan go spotka... Niech pan mu zada jedno pytanie. Ode mnie.

– Jakie pytanie?

– Kiedy przestanie się wygłupiać?

– Tylko tyle?

– Tak. Tylko tyle. Zrozumie.

Ja też zrozumiałem. Zrozumiałem, dlaczego Widuch mnie wpuścił i czemu w ogóle ze mną rozmawiał. Niegrzecznie, ale rozmawiał.

– I odpowie na to pytanie?

– Nie wiem. Mam nadzieję, że tak. Wtedy pan tu przyjedzie jeszcze raz i przekaże mi odpowiedź, jasne?

– A jeśli nie odpowie?

Spojrzał w bok, pokiwał kilka razy głową, otworzył usta i czubkiem języka dotknął górnych jedynek, jakby sprawdzał, czy się czasem nie ruszają.

– Jeśli nie odpowie... – wrócił spojrzeniem do mnie – ...to nie chcę tu pana więcej widzieć. Rozumiemy się?

– Oczywiście. Nie ma problemu.

I faktycznie nie było. Szczerze mówiąc, nie zamierzałem tu wracać nawet z odpowiedzią, ale to pytanie chciałem zadać młodemu Widuchowi, choćby z czystej ciekawości. Co takiego się stało, że chłopak po wieloletniej odsiadce nie chciał wrócić w rodzinne pielesze, by opływać w dostatki i spijać ptasie mleko, podawane prosto do ust przez tatusia.

Odwróciłem się i ruszyłem w kierunku wyjścia. Widuch nie odprowadził mnie do drzwi, wyszedłem sam. Oglądając się na dom, zobaczyłem gospodarza przez okno. Patrzył na mnie, trzymając w ręku szklankę z wodą, nie ruszał się, na jego twarzy nie było żadnego grymasu, po prostu stał jak słup oparty biodrami o blat kuchenny.

Kiedy zamykałem za sobą furtkę, usłyszałem kobiecy głos.

– Niech pan mu powie, że tęsknimy, słyszy pan? Niech pan mu to powie! Błagam!

Obejrzałem się. Matka chłopaka, który zabił samochodem dwoje ludzi, stała zgarbiona z rękami pobrudzonymi ziemią, w jednej trzymała ogrodowe pazurki, którymi spulchniało się ziemię, żeby wyciągnąć

z niej chwasty. Widziałem jej postać między prętami kutego przęśla ogrodzenia. Stała w ogrodzie pięknej willi, pośród zadbanych roślin, na starannie przystrzyżonym trawniku i widząc jej twarz, miałem pewność, że oddałaby to wszystko: ogród, dom, samochody i męża za jedyne dziecko, które nie chciało jej więcej widzieć.

Do Malborka miałem jakieś siedemdziesiąt kilometrów, powinienem zdążyć obrócić w obie strony jeszcze przed wieczorem. Gratulowałem sobie decyzji o wyjeździe do Trójmiasta dzień wcześniej, to mi oszczędziło sporo nerwów; gdybym musiał załatwić wszystko w jeden dzień, musiałbym się ostro spinać.

Nie tracąc czasu, sprawdziłem adres malborskiego hospicjum w telefonie, potem nastawiłem nawigację i wyruszyłem w drogę, nie oglądając się więcej na dom Widuchów.

\* \* \*

Hospicjum świętego Krzysztofa w Malborku znajdowało się na ulicy Nowowiejskiego; w tym samym budynku mieściła się również komenda powiatowa policji. Był rozłożysty i brzydki, acz pojemny, skoro mieścił obie te instytucje. Wszedłem do środka podjazdem dla niepełnosprawnych i znalazłem się w ciasnym holu. W jednym z jego uchyłków, za kontuarem siedziała kobieta w białym fartuchu narzuconym na koszulkę z kolorowym napisem „What are you staring at?”. Idąc ku

niej, odruchowo zmarszczyłem nos. W powietrzu czuć było zapach środków czystości wymieszany z wonią moczu. Jak w szpitalu, tylko że ze szpitala przeważnie się wychodziło, żeby żyć dalej. Życ krótko, żyć długo, ale żyć.

Stąd już się nie wychodziło.

– Przepraszam, szukam Roberta Widucha – zagadnąłem pielęgniarkę.

Oderwała się od monitora i spojrzała w bok, na wiszący na ścianie zegar. Był kwadrans przed piętnastą.

– Zaraz powinien przyjść. – Wskazała mi rząd krzesełek pod przeciwległą ścianą. – Niech pan usiądzie sobie i poczeka.

Tak zrobiłem. Usiadłem na niewygodnym krzesełku przykręconym do stalowej ramy. Było miękkie, ale nie w tym komfortowym znaczeniu. Przykręcone do ramy trzema małymi śrubkami wyginało się na wszystkie strony, kiedy tylko odchylałem się od pionu.

Widuch przyszedł kilka minut później. Był ubrany w szare dresowe spodnie, luźny T-shirt, a na ramieniu miał sportową torbę. Wszedł szybkim krokiem, przechylony w lewą stronę, żeby zrównoważyć ciężar torby, machnął kobiecie za kontuarem i minął mnie, zanim zdążyłem zareagować.

– Robert! – zawołała za nim pielęgniarka, a kiedy się obejrzał, pokazała mu mnie.

Wstałem i podszedłem do niego.

– Znajdziesz dla mnie kilka minut? – zapytałem cicho.

– A o co chodzi?

– Chciałbym zadać ci kilka pytań o pewnego człowieka, z którym... – ściszyłem głos – ...siedziałeś w jednej celi.

Odchylił lekko głowę do tyłu.

– A kim pan jest, jeśli można wiedzieć?

– Nazywam się Suder, jestem... To długa historia.

– Ja mam czas. Niedużo, ale mam. Właśnie te kilka minut, o które mnie pan przed chwilą prosił.

– To może nie traćmy ich na zawiłe historie, tylko przejdźmy od razu do rzeczy?

– Właśnie to chcę zrobić; przejść do rzeczy. To, kim pan jest i po co chce pan to wiedzieć, jest ważną rzeczą. Rzekłbym kluczową pod kątem rozważań dotyczących naszej dalszej rozmowy.

Podejrzewałem, że tak to się skończy. To nie miało być kilka pytań o to, co robił trzy dni temu wieczorem; pytań, na które można odpowiedzieć byle komu. To miały być pytania o przeszłość, na które rzadko kiedy miało się ochotę odpowiedzieć nawet sobie. A skoro liczyłem na szczerść, to też musiałem być szczery. Tylko jak tu, kurwa, być szczerym wobec kogoś, kto mógł być w to wszystko zamieszany? Oto rozterki prywatnego detektywa od siedmiu boleści.

– Możemy gdzieś zniknąć? – zapytałem, rozglądając się. – W jakieś mniej odsłonięte miejsce?

– Nie zamierzam nigdzie z panem zniknąć. Możemy podejść tam, do końca korytarza. Przytulniej, ale wciąż bezpiecznie. – Spojrzał na mnie, sam nie wiem jakim wzrokiem: kpiącym, podejrzliwym?

– Może być. – Westchnąłem.

– Po drodze może mi pan wreszcie powiedzieć, kim pan jest i po co to pytanie.

Powiedziałem mu, oczywiście bez zbędnych szczegółów. Jeśli był w to zamieszany, informacje, kim jestem i co tu robię, niczego by w zasadzie nie zmieniły. W każdym razie niewiele. Jeśli nie był, to tym bardziej. Tak mi się przynajmniej wydawało.

Kiedy stanęliśmy na końcu korytarza, koło drzwi z napisem „pomieszczenie socjalne”, przyjrzałem mu się lepiej. Był podobny do ojca, niemal jak jego kopia, miał tylko mniej zmarszczek i więcej włosów, choć cienie pod oczami wyglądały, jakby już nigdy nie miały zniknąć. I w jego włosach też było widać takie same srebrne pasemka, jak u ojca. Mimo że miał dopiero trzydzieści lat.

– Zanim zaczniemy... – powiedziałem. – Twoja matka, a w zasadzie twoi rodzice prosili, żebym...

– Nie przepuszczą żadnej okazji, widzę – przerwał mi, zsuwając pasek torby z ramienia i stawiając ją na podłodze. – Kiedy ktoś o mnie pyta, przysyłają go do mnie; do szpitala albo do hospicjum. Dlatego nie zapytałem, skąd pan wiedział, gdzie mnie znaleźć. Nie mają pojęcia, gdzie mieszkam, bo nie mówię im tego.

Kiedy raz mnie wyśledzili, po prostu zmieniłem lokal, zapowiadając im, że będę to robił za każdym razem, kiedy znów podejmą taką próbę. Kierując kogoś do mnie, nie robią tego dlatego, żeby pomóc temu komuś się ze mną spotkać. Oni traktują tego kogoś jak posłańca. Pana też tak potraktowali.

Domyśliłem się tego sam po tym, co usłyszałem od jego ojca. Ale nie powiedziałem młodemu Widuchowi, jak wyglądała jego matka, kiedy odjeżdżałem spod domu rodziców. Nie moja sprawa, jest dorosły.

– Wie pan, co zrobiłem, kiedy miałem dziewiętnaście lat? – zapytał.

Pokiwałem leniwie głową.

– Zapłaciłem za to – rzekł cicho. – Częściowo. Te jedenaście lat w więzieniu to była pierwsza rata. Spłacam kolejne raty ze świadomością, że nie spłacę ich do końca życia. Ale robię to, bo to mnie jakoś trzyma przy życiu. Po pracy w szpitalu udzielam się tutaj. Robię to od czterech lat, na wolontariacie, także w trakcie odbywania kary. Zrobili taki program resocjalizacyjny, więc się zgłosiłem. Napatrzyłem się tu na takie rzeczy, że każdy by zmiękł. Niejeden nie dałby rady. Ja też kiedyś bym nie dał. Ale to była dla mnie terapia i kara jednocześnie. I wciąż jest.

Zamilkł nagle. Przez chwilę jego usta wyglądały, jakby z nimi walczył, chcąc, żeby się otworzyły. Zaciśnęły się, powstrzymując go przed wylaniem z nich potoku



słów. Potrzebnych bardziej jemu niż mnie. Milczałem, czekając na wynik tej wewnętrznej walki.

– Mąż tej kobiety, ojciec tego dziecka, których zabiłem... – Widuch przełamał się w końcu, a ja mu nie przerywałem, kiedy padły wreszcie te słowa. – On pracuje tam gdzie ja, w tym samym szpitalu, wie pan? Wcześniej nie miałem o tym pojęcia. Jest lekarzem, pracuje na innym oddziale, w innym budynku, ale czasem mijamy się na terenie szpitala. Słyszałem, że ma już nową żonę, w końcu od tamtych wydarzeń minął szmat czasu, ale ja wciąż boję się spojrzeć mu w oczy. On wie, kim jestem, wie, że też tam pracuję, od pół roku. I widzieliśmy się w tym czasie już kilkanaście razy. A nigdy nic mi nie powiedział. Nic. I to chyba jest najgorsze. Ta cisza. Wolałbym, żeby na mnie nawrzeszczał, dał mi w twarz, tak porządnie... Nie miałbym mu tego za złe. Ale on tylko milczy.

Zrobiłem współczującą minę. Na nic więcej ponad tę minę nie było mnie stać. Z drugiej strony, co mogłem mu powiedzieć. Że go żałuję? Że mi przykro? Widuch westchnął, trącając stopą swoją torbę.

– Bronił mnie najlepszy trójmiejski adwokat, gwiazda palestry, tak na niego mówili: gwiazda. Ernest Gryner.

– Gryner?

– Tak, Gryner. A co? – Spojrzał na mnie.

Pomyślałem sobie, że Ernest Gryner jest wszędzie, gdzie się tylko obróć. W Trójmieście był chyba

popularniejszy od Jezusa albo przynajmniej od Johna Lennona.

– Nie, nic – mruknąłem. – Słyszałem o nim, chociaż nie jestem z Gdańska. Faktycznie był taki dobry?

– Wie pan... – cień uśmiechu pojawił się na chwilę na twarzy chłopaka – ...ze mną się nie popisał, dostałem maksymalny wyrok, no, ale trzeba uczciwie przyznać, że nie pomagałem mu swoją postawą przed sądem. Mój ojciec też twierdził, że Gryner jest najlepszy. Że jest cudotwórcą. Podejmował się najtrudniejszych wyzwań, bronił przeważnie znanych bandziorów, znanych bogaczy oraz znanych bandziorów bogaczy, no i często odnosił sukcesy. Nie mówimy o uniewinnieniach i takich numerach jak z Grishama, ale potrafił być diabło skuteczny.

– Grishama? Czytujesz kryminały? – zdziwiłem się.

Łypnął na mnie lekko zbity z tropu.

– Czytałbym nawet instrukcję montażu huśtawki ogrodowej, gdyby była w więziennej bibliotece.

– Skąd wiesz, że jej tam nie było?

– Bo przeczytałem wszystko, co mieli, niektóre pozycje nawet dwa razy. Biblioteka narodowa to to nie jest, a ja miałem dużo czasu...

– Okej, rozumiem – mruknąłem, ucinając temat i żałując, że w ogóle go zacząłem. – To co z tym Grynerem?

– Co z Grynerem? – powtórzył w zamyśleniu. – Gryner był na tyle przyzwoity, by nie twierdzić, że mnie z tego wyciągnie bez strat i bezboleśnie, że dostanę zawiasy i wrócę do domu. Tak nie było, zresztą nie mogło być: nie po tym, co zrobiłem na tym przejściu dla pieszych. Gryner spodziewał się kary bezwzględnego więzienia, ale liczył na to, że po pięciu latach wyjdę. A ja popsułem mu plany, i to nie tylko ze swojej winy. Wie pan, moi rodzice nie są złymi ludźmi. Ale bogactwo ich rozpuściło. Myślą, że mogą więcej tylko dlatego, że stać ich na więcej. A to nie tak. Nie mam im do końca za złe tego, że chcieli dla mnie jak najlepiej. Chcieli dobrze dla swojego jedyne go dziecka, chyba trudno ich za to winić. Gdzieś mieli tamtą kobietę i jej dziecko, nie obchodziło ich, że cierpi jej rodzina: mąż, ojciec dziecka. A może obchodziło?

– Nie spytałeś ich o to? – Zadałem to pytanie trochę wbrew sobie, przecież to nie moja sprawa.

Tylko te oczy jego matki...

– Nie. Oni dalej nie rozumieją, co mi zrobili. Nawet jeśli żal im było tamtej kobiety, to jednak robili potem złe rzeczy i to musiało być strasznie rozdzierające uczucie. Chcieli dobrze, ale robili to źle. Przekupywanie świadków, zastraszanie ich... Tak, powiedzieli mi o tym. I wmawiali mi, że tak będzie dla mnie lepiej, że to dla mojego dobra. Byłem młody i głupi, ale byłem sukinsynem. Małym, przerażonym sukinsynem, który

zrobił coś, co się nie mieści w głowie, i musiał ponieść tego konsekwencje. I uwierzył ludziom, którym ufał i których kochał, że też jest ponad prawem, że to był wypadek i że winna była ta kobieta z dzieckiem, która weszła na pasy w nieodpowiednim momencie. Że to żadna różnica, czy jechałem z przepisową prędkością, czy sto dwadzieścia, że to nie ja sprawiłem, że została z nich kupa flaków rozwłóczonych po ulicy i mała martwa laleczka z rozbitą główką, leżąca przy krawężniku dwadzieścia metrów dalej. Dwadzieścia metrów, tyle przeleciało to dziecko według policji. Kiedy człowiek sobie coś powtarza wystarczająco często, w końcu zaczyna w to wierzyć, wie pan? Ja uwierzyłem. Przestałem się bać, może nie całkiem, ale o wiele mniej. Byłem arogancki przed sądem, nie chciałem wyrazić skruchy. Twierdziłem, że to inne samochody rozwlekły jej ciało po ulicy, bo nikt się nie zatrzymał. Plotłem to i podobne bzdury. Gryner próbował mnie przywołać do porządku, ale się nie dałem. Ojciec miał mu potem za złe, że dostałem te dwanaście lat, o które wnioskował prokurator, zamiast spodziewanych pięciu, ale nie był świadomy, że to nie wina Grynera, tylko jego własna. Że to on sprawił, że na rozprawie gadałem głupoty, nawet wyśmiewałem się z tej kobiety... Że byłem pijany? Mało razy widziałem, jak mój stary wsiada za kółko po pijaku? I nic mu się nie stało. Nawet jak go łapali, za okładkę dowodu rejestracyjnego miał zawsze wetknięte pięć stówek. Przecież na to jest

społeczne przyzwolenie! Wie pan, że rocznie policja łapie sto trzydzieści tysięcy ludzi na podwójnym gazie? Sto trzydzieści tysięcy! Ponad trzystu sześćdziesięciu pijaków dziennie. Wyobraża pan to sobie? A ilu nie łapią?

Obok nas przeszedł chudy, zgarbiony mężczyzna w pasiastej szpitalnej piżamie i znoszonych brązowych kapciach. Wyszedł z pokoju na korytarz i skręcił w prawo, w kierunku dyżurki. Widuch uśmiechnął się do niego i machnął mu od niechcenia ręką. Pacjent odwzajemnił jego gest. Patrzyliśmy za nim, jak człapie z trudem przed siebie, z wypiętym siedzeniem, szeroko rozstawiając kolana i szurając kapciami po linoleum.

– To pan Heniu – powiedział cicho Widuch. – Robił fantastyczne modele żaglowców, mówię panu, co za precyzja! Pokazywał mi zdjęcia; ogólne, zbliżenia detali, niesamowite! Ma cały album w szafce przy łóżku. I ma raka prącia. Tak, widzę pana minę. Też kiedyś nie wiedziałbym, czy się śmiać, czy nie. Wie pan, pacjenci hospicjum to w większości prości ludzie. I samotni. Nie słyszeli o profilaktyce, higienie i tak dalej. Te ich nowotwory są w większości przechodzone. Były wyleczalne na wczesnym etapie, jako małe guzy. A oni czekali nie wiadomo na co. Wstydzili się. Udawali, że to nie problem. Mieli nadzieję, że samo przejdzie, że to drobnostka. A potem było już za późno. Przerzuty. Rak kutasa, wyobraża pan to sobie? Umrzeć na raka wyhodowanego na własnym członku! Tu naprawdę nie

wiadomo, czy się śmiać, czy płakać. Ludzie nie zdają sobie sprawy, że takie historie, takie dramaty dzieją się obok nich, w sąsiednim mieszkaniu, bloku, na podwórku... Ja też nie wiedziałem. Żyłem w bezpiecznym kokonie stworzonym przez bogatych i nadopiekuńczych rodziców, którzy dawali mi wszystko, czego chciałem. Uwierzyć nie mogę, jaki byłem... – Zastanowił się. – Nie, nie naiwny. Nieświadomy. Nieświadomy tego wszystkiego. – Zatoczył ręką wokół siebie, spojrzał na mnie i zachichotał. – Jak święty Franciszek z Asyżu, co? Też olał wszystko i wszystkich i zajął się ludźmi i zwierzakami. Nie, nie nawróciłem się, dalej nie wierzę w Boga. Gdyby Bóg istniał i był taki, jak piszą w Biblii, już dawno odwróciłby się od nas, pofrunął sobie na drugi koniec wszechświata i ulepiłby nowe, lepsze ludziki, którym nie musiałby już rzucać na pożarcie własnego Syna. Ale za to wierzę, że ludzie mogą się jednak zmienić. Że to potrafią. Nie wszyscy, oczywiście, ale niektórzy. Wierzę w to, naprawdę. Tylko trzeba tego chcieć. A okoliczności potrafią pomóc w tej zmianie, tak jak pomogły mnie.

– Nie wrócisz do domu?

– Nie. Boję się.

– Czego?

– Reszta mojego życia ma upłynąć na czynieniu zadość tej krzywdzie, którą wyrządziłem jako gówniarz. Tak postanowiłem sobie w więzieniu i to robię od kilku lat.

Konsekwentnie realizuję swój plan na dalsze życie: realizuję go tu i w szpitalu. A boję się tego, że kiedy wrócę do domu, rodzice będą robić wszystko, żeby mnie od tego odwieść. Ja wiem, że oni będą to robić. Będą chcieli, żebym żył jak dawniej: korzystał z życia, z ich pieniędzy, żebym sobie odbił te lata spędzone w kiciu. Nie zamierzam tak żyć. Już nie. Nie potrafię już cieszyć się życiem. I prawdę mówiąc, nie chcę...

– Jesteś bardzo dojrzały jak na trzydziestolatka, wiesz?

– W więzieniu czas płynie inaczej, słyszał pan o tym?

– Owszem.

– No, właśnie. Jeden rok to jak kilka lat. Czuję się staro. Czuję się, jakbym większą część życia miał już za sobą. O wiele większą część. Tam, w środku siebie, czuję się jak starzec, mimo że wyglądam młodo. I nic tego nie zmieni. Przesiedziałem w pierdłu jedną trzecią swojego dotychczasowego życia. Jak jakiś kryminalista. To już się stało, nic tego nie zmieni, ale chciałbym, żeby te trzydzieści procent zmieniło się w dziesięć. Chciałbym, umierając jako sędziwy starzec, móc spojrzeć w lustro i powiedzieć, że odpokutowałem... tamto.

Pomyślałem, że nie ma sprawiedliwości na tej ziemi. Ani żadnej logiki czy sensu w tym, jak toczą się losy ludzi. Żeby zmądrzeć, ten człowiek musiał narobić mnóstwo zła i krzywdy, narobić ich przypadkiem i z głupoty. Cena, jaką zapłacił za tę mądrość, była

koszmarnie wysoka. Czy ta mądrość była tego warta? I czy w ogóle można mieć na to jakikolwiek wpływ? Cóż, szkoda faceta. I szkoda tamtej kobiety i dziecka.

– Dobra, to teraz powiem ci konkretnie, po co przyszedłem. Na samym początku swojej odsiadki byłeś w jednej celi z niejakim Ryszardem Wojniczem, pamiętasz?

Widuch spojrział gdzieś w bok, marszcząc brwi.

– Wojnicz... Tak. Ale wie pan, słabo go pamiętam. Nazwisko kojarzę, ale twarz... Nawet nie przypominam sobie jego twarzy. To był początek, mówi pan?

– Tak.

– No właśnie... Wtedy mną zaczęło trząść. Bunt, że taki wysoki wyrok, że nie zasłużyłem na taki los... Normalka. Raczej unikałem ludzi, a jeśli ktoś mnie zaczepiał, to reagowałem dość nerwowo. Zacząłem się stawiać, ale szybko mnie sprowadzili do parteru. Takie rzeczy jak porządny wpierdol też dają do myślenia. Pamiętam tylko, że ten Wojnicz był trochę zahukany. Miał pretensje do losu, do życia, że go wszyscy zostawili, że on był najmniej winny. Chwalił się, że ma mocne plecy w półświatku, ale jakoś nic z tego nie wynikało, w końcu siedział dokładnie tak samo jak reszta z nas. Pamiętam też, że ciągle coś pisał i potem słał gdzieś te pisma: skargi na klawiszy, na dyrekcję, na lekarza... „Pisarz” na niego wołali. Nie przepadaliśmy za nim, choć pomógł paru chłopakom naskrobać jakieś skargi. W sumie łebski był.



- Tylko pisał czy również opowiadał?
- Co pan ma na myśli?
- Nie opowiadał niczego interesującego?
- O czym?

Teraz znów musiałem być ostrożny. Nie mogłem mu niczego podpowiedzieć, a równocześnie musiałem zachować czujność, żeby wyłapać wszelkie sygnały świadczące o tym, że Wojnicz podzielił się z nim historią skarbu Maziarza – w mimice, w gestach, w spojrzeniu. Nie wiedziałem, czy Wojnicz w ogóle wiedział o tych pieniądzach; jedyną rzeczą, jaka pozwalała snuć tego rodzaju przypuszczenie, było to, że obaj – on i Maziarz – byli zamieszani w proceder prania brudnych pieniędzy tej samej grupy przestępczej. A potem to zajście u Martyny w gabinecie niepokojąco zbiegało się w czasie z wyjściem Widucha z więzienia kilka miesięcy wcześniej. To mógł być zarówno strzał w dziesiątkę, jak i kompletny niewypał. Co prawda, nawet jeśli Wojnicz wiedział o złocie, niekoniecznie musiał dzielić się tą informacją z kumplami z celi i z tym też musiałem się liczyć. O ile w ogóle Wojnicz miał tam kumpli, a z opowieści Widucha wynikało, że chyba jednak nie. No i jednak Widuch nie zachowywał się tak, jakby miał z tym wszystkim coś wspólnego, a przynajmniej nie widziałem po nim tego, tak jak na przykład po Fijasie.

Ale próbować trzeba.

- Nie mówił, za co siedzi?

– Mówił. Każdy o tym mówi. Niemal na okrągło. To mit, że wszyscy więźniowie twierdzą, że siedzą za niewinność. Dla niektórych to nawet powód do dumy. Wojnicz siedział za machloje z kasą. Szczerze mówiąc, gównu mnie to interesowało. Miałem swoje własne problemy, nie? I tak go w końcu zabrali... Zaraz, zaraz, to nie on się potem powiesił?

– Zgadza się – potwierdziłem.

– Jo! Teraz sobie przypominam! Przesadził... – Pokręcił głową.

– Co masz na myśli?

– On chyba nie chciał się wieszać, wie pan? Chciał wyjść do szpitala, gdziekolwiek, byle nie gnąć w celi. To podobno miała być taka subtelna forma samookaleczenia, bez krwi i flaków. Wie pan, co potrafią zrobić sobie więźniowie, żeby choć na trochę zniknąć z tych swoich czterech pieprzonych ścian? Nawet nie chodzi o to, że ze szpitala łatwiej nawiać. Chodzi po prostu o chwilę oddechu.

Wiedziałem, o czym mówi. Jak dla mnie na liście hitów najwyżej było wkładanie w przełyk naostrzonego kabłąka od wiadra i skok z taboretu. Szpic przebijał przewód pokarmowy i wychodził przez powłoki brzuszne jak wielki haczyk na ryby, a klient trafiał do szpitala, licząc na to, że nie dostanie zakażenia. Miał szczęście, jeśli nie przebił sobie przy tym jakiegoś dużego naczynia

krwionośnego. Słyszałem o jeszcze gorszych rzeczach, ale nie miałem pojęcia, czy to prawda.

– Wojnicz wariował w pierdlu. Chciał się poddusić, żeby go chociaż przenieśli do psychiatryka. Tylko że zrobił to w nocy, kiedy wszyscy spali. Coś sknocił, pętla się za mocno zacisnęła, a jego charkot nikogo nie obudził. A może obudził, ale ten ktoś miał to akurat w dupie? Któż to może wiedzieć? Ci kolesie z jego celi raczej nie byli rozmowni, jeśli chodzi o ten temat.

– Czyli wiesz, że siedział za przekręty finansowe?

– Wiem. I to nie za jakieś wyłudzenie kredytu na pół bańki, tylko wielomilionowe oszustwa.

– Zgadza się. A nie miał do kogoś za to żalu?

– Mówiłem panu, że miał. Do wszystkich. Do losu. Tylko do siebie nie miał...

– Pamiętam, co mówiłeś, ale mam na myśli, czy może do kogoś konkretnie. Czy powtarzał jakieś nazwisko?

Popatrzyłem mu uważnie w twarz, szukając w niej tego czegoś, co by go zdradziło. Chwili zawahania, niepewności, jakiegoś nietypowego grymasu; czegokolwiek, co świadczyłoby o tym, że on wie. Wie, po co tu jestem, i wie, że go o coś podejrzewam. Szukałem gestu kłamcy. Ale nic takiego się nie pojawiło: żaden grymas ani żaden gest. Na twarzy Widucha malowała się obojętność i spokój. Więc albo nie wiedział, albo zasługiwał na Oscara za najlepszą drugoplanową rolę

męską w filmie pod tytułem „Niewiarygodne przygody Darka Sudera”.

– Nie pamiętam, żeby winił kogoś szczególnie. Mówił coś o swoich szefach, że go wrobili, o jakimś skurwielu, który ich wszystkich zakapował, i o swoim szwagrze mówił. Że on ich wszystkich za to zajebie. Pamiętam, że strasznie bluzgał. Wykształcony człowiek, z pozycją, a jak gębę otworzył, to rynsztok. Czy myślał, że to mu pomoże? Że dzięki temu będzie więcej znaczył? – Widuch wzruszył ramionami. – Malbork to nie Sztum, przed kim chciał chojraczyć? Przed alimenciarzami? Przede mną? – Spojrzał na mnie. – Naprawdę nikt go nie lubił. Chyba byliśmy w bardzo podobnej sytuacji. Bogaty dom zamieniony na ponurą celę ze słabymi perspektywami na przyszłość. Tylko że ja sam byłem sobie winien. A on? Pewnie trochę też, ale chyba ktoś mu pomógł, a przynajmniej tak wynikało z tego, co mówił...

– Mocno był zapiekły w tych groźbach?

– Czy ja wiem? Włączał mu się co jakiś czas agresor i zaczynał bluzgać. Ale nie codziennie. Jak było potem, nie wiem, bo mnie przenieśli. Trochę rozrabiałem.

– Rozumiem...

– Nie rozumie pan, i nie musi...

– Tak się tylko mówi. Mam ci dać naganę albo pochwałę?

– Niby racja – mruknął i spojrzał gdzieś ponad moim ramieniem; dobiegł mnie odgłos szurania kapci, pewnie

Heniu wracał do swojego pokoiku. – Chce pan wiedzieć, co zrobiłem?

– A to istotne dla mojej sprawy?

Wzrok mu trochę stwardniał, jakbym go uraził pytaniem, tym i poprzednim, więc dodałem:

– Z tego, co powiedziałaś, wynika, że jesteś świadomy swojej winy. Bardzo świadomy, nie znam innego takiego przypadku. Robisz wszystko, żeby ją zmazać, nawet za cenę własnego komfortu. Jesteś naprawdę twardy, dla mnie to jest właśnie twardość charakteru. Ale przyszedłem tu nie po to, żeby cię żałować czy chwalić. Przyszedłem po to, żeby załatwić swoją sprawę, korzystając z twojej pomocy. Przykro mi...

– W porządku. – Machnął ręką. – Więc powiem panu, co zrobiłem. Pobiłem go.

– Wojnicza?

– Tak.

– Zaraz, zaraz... Mówiłeś, że słabo go pamiętasz. Nie żebym pobił w życiu wielu ludzi, ale takie rzeczy się raczej pamięta. Mylę się? Za co go pobiłeś?

Czyżbym miał zaraz usłyszeć jakąś rewelację?

– Ojciec przekupił strażnika i przemycił dla mnie w paczce buteleczkę whisky. Pomijam aspekt wychowawczy: własny ojciec przemycający synowi do więzienia alkohol. W dodatku synowi skazanemu za spowodowanie czyjejś śmierci po pijaku. – Roześmiał się gorzko. – W każdym razie wypilem ją od razu. Nie upiłem

się, oczywiście, ale to wystarczyło, żeby agresor z kolei włączył się mnie. A Wojnicza akurat znów naszło i zaczął wyrzygiwać te swoje żale. No i nie wytrzymałem. – Uśmiechnął się smutno i wzruszył ramionami. – Dlatego mnie stamtąd zabrali...

Czyli bez rewelacji.

Widuch spojrział na zegarek, schylił się i podniósł z podłogi torbę.

– Muszę kończyć. Nie wiem, czy panu pomogłem, czy nie, ale na więcej nie mam czasu. Ochoty, szczerze mówiąc, też nie. Rozmowy o dawnych czasach mnie przygnębiają.

– Okej.

Zarzucając torbę na ramię, podniósł rękę i z uśmiechem powiedział:

– Tylko niech pan nie mówi, że rozumiem.

– Nie powiem – obiecałem i wyciągnąłem do niego rękę. – Dzięki za pomoc.

Uścisnęliśmy sobie dłonie, a potem rozeszliśmy się każdy w swoją stronę. Wyszedłem przed budynek i odetchnąłem głęboko gorącym powietrzem, które śmierdziało rozgrzanym betonem, asfaltem i spalinami, ale nie środkami czystości, moczem i śmiercią.

Niestety, rozmowa z Widuchem niewiele wniosła do sprawy. Najwyraźniej chłopak nie miał z tym nic wspólnego, a jego styczność z Wojniczem dziesięć lat temu była jednak czystym przypadkiem, z którego nic nie

wynikało. Innymi słowy: niewypał. I nie przekazałem mu w końcu słów jego matki ani ojca. To naprawdę nie była moja sprawa, zresztą on nawet nie chciał ich słyszeć. To był jego wybór, a ja go również zaakceptowałem.

Wróciłem do Gdańska, zameldowałem się w hotelu i mimo że było dopiero około siedemnastej, poszedłem spać. Miałem znaczny deficyt snu, bo spałem tak aż do rana.

\* \* \*

Następnego dnia obudziłem się wypoczęty. Dawno się tak nie wyspałem, choć nie lubiłem spać w obcych miejscach. Byłem trochę jak rozkapryszone dziecko: przeszkadzało mi światło z ulicy, hałas samochodów i wszystkie obce dźwięki, których nie słyszałem w domu, ale tym razem niczego nie słyszałem ani nie widziałem. Po prostu spałem.

Ogarnąłem się, zszedłem do bufetu na śniadanie, przeczytałem gazety, a potem spakowałem się, zapłaciłem rachunek i pojechałem do centrum, do komendy wojewódzkiej. Zaparkowałem na jej tyłach i zadzwoniłem do Ziętarskiego, że czekam na dole. Było po jedenastej, ekshumacja miała zacząć się w południe. Zszedł do mnie, przywitaliśmy się bez słowa, potem wsiedliśmy do samochodu i pojechaliśmy do Sopotu na cmentarz, gdzie wszystko miało już być przygotowane. Po drodze wymienialiśmy zdawkowe uwagi o pogodzie, tożsamości

miejskiej Gdańska, jej braku w przypadku Szczecina i z czego to wynika. Trzy kwadranse później dotarliśmy na miejsce, nie dochodząc w kwestii tożsamości Szczecina do żadnych wniosków.

Maleńki skrawek cmentarza w najbliższym otoczeniu grobowca rodzinnego Maziarzów wygrodzono taśmami z napisem POLICJA, wijącymi się pomiędzy pniami drzew jak niebiesko-biały wąż. Nad grobem stało nas teraz w ciszy kilku: ja, Ziętarski, lekarz z gdańskiej sądówki, miejscowy prokurator o nazwisku Miszczak, dwóch policjantów i technik, jakiś kierownik z Biura Zarządu Cmentarza i czterech jego pracowników, czekających na sygnał. Obok nich leżał zwój grubych lin, szpadel, łomy i wyciskarki załadowane pojemnikami z silikonem, a obok sąsiednich grobowców rozstawiono płócienne ekrany, osłaniające nas przed wzrokiem ciekawskich.

Drugi raz w ciągu kilku dni stałem przed grobowcem Maziarza. Bywałem tu częściej niż wdowa po nim. Wszyscy wpatrywaliśmy się w nagrobek, szykując się psychicznie do tego, co zaraz miało nastąpić. Szpiczasta bryła surowego kamienia strzelała w górę wieńczącym ją metalowym krzyżem, budząc naturalne skojarzenia ze szczytem Giewontu nie tylko u mnie. Na szczęście stała za grobowcem, a nie na nim, więc nie było potrzeby jej demontowania. Kierownik chrząknął, zerknął na zegarek i zapytał sucho:



– To co, zaczynamy?

Patolog skinął głową. Nie wiem, czemu akurat on, ale na pewno był w takiej sytuacji o wiele częściej niż ktokolwiek z nas, nawet prokurator, może więc w naturalny sposób przejął dowodzenie. Miszczak po prostu stał i gapił się na krzyż, jakby doznał objawienia. Nie polubiłem typu. Nie chodziło o to, że jest prokuratorem, bo znałem kilku fajnych i sympatycznych przedstawicieli tego gatunku. Chodziło o jego dość odpychające zachowanie i wygląd. Nie powinno się oceniać człowieka po wyglądzie, ale niech ktoś znajdzie mi kogokolwiek, kto tego nigdy nie zrobił.

Miszczak miał dziwną kwadratową twarz, której wszystkie charakterystyczne elementy: oczy, brwi, nos i usta skupione były w jej centralnej części, zdecydowanie zbyt blisko siebie, zostawiając z kolei zbyt dużo pustego miejsca po bokach. Wyglądały jak Pangea, matka wszystkich kontynentów, które właśnie się od siebie oddzieliły i dopiero rozpoczęły mozolną wędrówkę po globie jego twarzy. Włosy w kolorze ciemny blond Miszczak miał modnie zaczesane do góry i do tyłu. Trzymały się dzięki żelowi i razem z wyniosłym wyrazem twarzy nadawały mu wygląd perfekcyjnego kandydata na członka organizacji Lebensborn.

– No, to dawajcie – polecił kierownik swoim ludziom, a Miszczak łaskawie skinął głową w geście przyzwolenia,

jakby właśnie się obudził i wiedział tylko, że musi jakoś zareagować, żeby nikt się nie zorientował, że spał.

Czterech mężczyzn przystąpiło do zdejmowania granitowej płyty. Użyli łomów do wykruszenia zaprawy uszczelniającej grobowiec, a po kilku minutach pracy rozstawili się w jego narożnikach i chwycili za krawędzie płyty.

– Na trzy... – Napięli się, twarze im poczerwieniały i rozległ się hurgot przesuwanego kamienia.

Z trudem odłożyli płytę na przygotowane wcześniej drewniane bale umieszczone obok grobowca. Poczuliśmy smród stęchlizny i założyliśmy na twarze maseczki. Niewiele pomogły, jeśli chodzi o smród, na szczęście już po chwili lekki wietrzyk rozwiął go wśród drzew. Technik rozstawił lampę, skierował ją do wnętrza grobowca i włączył generator. Rozległ się warkot i czarną, prostokątną dziurę zalało białe światło. Policjant ubrany w kombinezon delikatnie zsunął się do środka. Czekaliśmy. Warkot generatora stawał się nie do zniesienia. Ale kiedy technik poprawił maskę i zdjął wieko spróchniałej trumny, wszyscy zapomnieli o generatorze.

– Chryste Panie – jęknął technik. – Facet obudził się grobie!

Zajrzeliśmy do wnętrza grobowca, światło lampy rzucało czarne cienie na jego kąty, okrywając mrokiem resztki sąsiednich trumien, w których brodził policjant.

Zmumifikowane zwłoki Maziarza leżały plecami do góry, a jego prawa ręka, zgięta w łokciu, założona była za głowę. Policjanci obok mnie nagle pobledli.

– Niemożliwe. – Lekarz też był zdenerwowany. Kto z nas zresztą nie był?

– Przecież to grobowiec, a nie grób, nawet gdyby się obudził, toby otworzył trumnę i wyszedł z niej. Ktoś by go w końcu usłyszał spod tej płyty... – zauważył Miszczak.

– Nie wyszedłby z trumny – szepnął jeden z policjantów, biały na twarzy. – To mity. Po takim czasie w śpiączce oni są za słabi, żeby to zrobić. Nie są w stanie nawet unieść wieka, a co dopiero wyjść.

– On umarł na nowotwór – powiedziałem ponuro. – Nie mógł się obudzić, bo był śmiertelnie chory, a zgon stwierdzono w szpitalu, było też okazanie zwłok żonie tuż przed pogrzebem i wtedy też ewidentnie nie żył. Był martwy, rozumiecie panowie? Więc powtarzam: nie mógł się obudzić w grobie.

– Tak? To jakie ma pan wytłumaczenie tego tu...? – zapytał z powątpiewaniem kierownik.

– Wytłumaczenie? – zapytałem, wzruszając ramionami. – Wytłumaczenie jest niedaleko. Jakieś kilkaset metrów stąd.

Spojrzałem na Ziętarskiego i prokuratora.

– Przejdźmy się, co? I zabierzemy ze sobą jednego z panów. – Wskazałem na bladego jak płótno policjanta.

\* \* \*

– W...

– Tak, rozumiem już; w swojej kanciapie. – Skinąłem głową blondynce za kontuarem i wyszedłem, zanim pozostali zdążyli wejść za mną do środka zakładu pogrzebowego „Eden”.

Poprowadziłem ich za budynek, na mały plac, na którym nie było już HDS-a z czerwonym żurawikiem. Wszedłem do kanciapie, zostawiając za sobą szeroko otwarte drzwi.

– Dzień dobry, panie Fijas – powiedziałem.

Fijas siedział przy stole i pił herbatę z tego samego kubka, jaki trzymał w ręku, kiedy widziałem go ostatnio. Wszystko: okoliczności, jego pozycja przy stole, ogrodniczki i ten czerwony kubek, były takie same jak kilka dni temu. Nawet wzrok miał ten sam. Jakbym w ogóle stamtąd nie wychodził...

Fijas mnie poznał, ale dopiero kiedy zobaczył resztę, dolna warga obwisła mu w wyrazie kompletnego zaskoczenia.

– Szef jest? – rzuciłem.

– Po co panu szef? – zapytał, truchlejąc.

– Właściwie to po nic, bo chcemy porozmawiać bez świadków. Na razie bez świadków – zaznaczyłem.

Ziętarski, prokurator i policjant stali nad Fijasem, przyglądając mu się i nie wiedząc, o co chodzi. Nie

dbałem o to, bo robili to, co trzeba: samym swoim widokiem sprawiali, że Fijas miękł.

– To jest pan inspektor Ziętarski z komendy wojewódzkiej Gdańsk, ten obok to pan Miszczak z prokuratury rejonowej, policjanta rozpoznał pan pewnie po tym napisie na kieszeni, a mnie pan już zna i pamięta, prawda?

– Ja nie bardzo rozumiem...

– Kiedy pan to zrobił? – zapytałem go.

– Co zrobiłem? Nie wiem, o czym pan mówi. – Jego palce o czarnych paznokciach skubały ucho kubka, ślizgając się po glazurze.

– Wie pan, o czym mówię. Włamanie do grobowca Maziarza. Bezczeszczenie zwłok. To poważne zarzuty, a może będą jeszcze poważniejsze. Więc kiedy?

Fijas milczał.

– To było już dość dawno temu, prawda? – zapytałem go.

– Skąd pan wie, że dawno? – zapytał zrezygnowanym głosem.

– Gdyby zrobił pan to niedawno, to ciało rozsypałoby się panu w rękach, a mumia jest w całości. Zwłoki były jeszcze świeże, kiedy je pan przewracał. I trzeba było ułożyć je z powrotem, tak jak były. Niedbalstwo zawsze się w którymś momencie mści. Więc jak to było?

Kamieniarz odsunął kubek i oparł się o krawędź stołu. Nie patrząc ani na mnie, ani na pozostałych, tylko

w okno, zaczął mówić. Sam byłem zdziwiony, że tak szybko to poszło. Byłem pewien, że Fijas będzie kluczył o wiele dłużej, a tymczasem poddał się od razu, przytłoczony widokiem naszej czwórki i perspektywą odpowiedzialności karnej, ale najwyraźniej nie moralnym ciężarem swej winy. Zapewne nie rozpatrywał swego postępu pod tym kątem, może uważał, że trup to trup, że człowiek przestaje być człowiekiem w momencie śmierci, a to, co po nim zostaje, to jak pudełko po papierosach albo puszka po piwie. Kończy się zawartość i zostaje opakowanie. Śmieć, który gnije w ziemi, tak jak wszystko zgnije kiedyś w ziemi: my, on, ten zakład i wszystko na świecie. Obcowanie ze śmiercią zobojętnia człowieka na nią, czy to na wojnie, czy to na cmentarzu i nic w tym dziwnego, to po prostu forma obrony umysłu przed czymś strasznym i nieznanym, w dodatku niemożliwym do ogarnięcia.

Z ust Fijasa popłynął jednostajny, monotony potok słów.

– Powiedziałem panu, kiedy tu pan był ostatnio, że wtedy robiłem wszystko: kułem nagrobki, kopałem groby i nosiłem trumny. I powiedziałem panu, że nie pamiętam tamtego pogrzebu. Ale... Ja wtedy niosłem tego Maziarza. Co tu ukrywać, skoro wszystko wiecie... To był dziwny pogrzeb. Była tylko jego żona, matka i dwóch facetów. Stali z boku, sztywni, w ciemnych okularach...

Żadnych znajomych, żadnych dalszych krewnych, kolegów z pracy, nikogo, tylko oni.

– Czemu pan to w ogóle zrobił?

– Bo nie jestem głupi.

– Nie bardzo rozumiem?

– „Księgowy mafii”, tak o nim pisali, co nie? Znaczą kasiasty.

– Skąd pan wie, że to o nim pisali? I co to ma wspólnego jedno z drugim?

– Przemysław M. M jak Maziarz, to raz. Dwa, ta ekipa mięśniaków na pogrzebie. Trzy: ten jego prawnik, co tu raz był. Rozglądał się, jakby wybierał hotel dla arabskiego szejka, a nie zakład pogrzebowy dla klienta. Coś kombinował, znaczą. Cztery: słyszałem, jak mówił szefowi, że jego klient umiera na raka. Moja ciotka miała raka; jak zmarła, ważyła trzydzieści kilo mniej niż na początku choroby. I on też tak wyglądał, bo widziałem go, zanim zabiłem wieko. Był chudy jak szczapa, szkielet obciągnięty skórą. A kiedy go niosłem do grobu, od razu wyczułem, że trumna jest za ciężka jak na takiego nieboszczyka, jakim był ten chłopak. Pewnie, że była z prawdziwego drewna, a nie jakiejś dykty, ale mimo wszystko... Jak się nosi trumny, to takie różnice w ciężarze się czuje, pan mi wierzy. No i pięć: właśnie ta trumna, co przyszła z zewnątrz. To jak wożenie drewna do lasu. Mało u nas trumien na zakładzie? Złe jakieś? Pożeniłem sobie te fakty i mi wyszło, że w tej trumnie coś

musi być. Forsa albo kosztowności. Po co zabierać forszę do grobu? Albo biżuterię? Przyda mu się tam, w zaświatach? Płacił nią będzie za coś świętemu Piotrowi? Więc poczekałem kilka dni, a potem... Zrozumcie mnie ludzie, to naprawdę było podejrzane! Może mafia chciała potraktować jego trumnę jako skrytkę? Mało to było podobnych historii? Przemyt narkotyków w ciałach amerykańskich żołnierzy, którzy zginęli w Wietnamie, na przykład... Trup jest do tego dobry, bo trup nie mówi, no nie? To wszystko wyglądało tak dziwnie, że musiałem to sprawdzić! – Oblizał usta, przełknął ślinę, ale nie ruszył herbaty, jakby bał się, że każdy jego ruch spowoduje naszą nerwową reakcję.

Przemyt narkotyków w zwłokach... Fijas bez problemu dogadałby się z zamiataczem, tym od brygady Zaka.

– I co, znalazł pan? – zapytałem.

Pokręcił w milczeniu głową. My też milczeliśmy. Mischak zastanawiał się zapewne, jak teraz zjeść tę zabę. Fijas chwycił kubek rozpaczliwym ruchem, jakby chciał się go przytrzymać.

– Tam nie było żadnych pieniędzy! – odpowiedział ponuro. – Trumna była pusta, możecie mi uwierzyć albo nie, ale była pusta! W środku było tylko ciało. Próbowałem ją jeszcze rozbić, bo myślałem, że może jest w niej jakiś schowek, ale to nic nie dało. Niczego w niej nie było. Ja... A zresztą. – Machnął nagle ręką. – Róbcie



ze mną, co chcecie; wierzcie mi, nie wierzcie, mam to w dupie.

– Czasem trudno w coś uwierzyć, panie Fijas – powiedział prokurator. – Zwłaszcza w coś takiego.

– Owszem, wiem o tym – odparł Fijas już normalniejszym tonem. – Tylko czy gdybym tam coś znalazł, siedziałbym teraz w tym parszywym zakładzie i wykuwał te pieprzone literki? Wie pan, ile ich wykułem przez te wszystkie lata? Trzydzieści cztery te same litery w różnych kombinacjach. Bardzo interesująca praca. To jak pilnowanie trawy, żeby rosła, tylko że bolą ręce i oczy! Pomyśl pan, czy ja bym tu dłużej siedział, do chuja ciężkiego!? – Nagle niemal krzyczał, głos przeszedł w dyszkant, w którym pobrzmiwały nuty rozpacz, jakby długo skrywany żal do losu, szefa i siebie znalazł drogę ujścia i katalizator w postaci naszej czwórki, która zjawiała się tak niespodziewanie.

– Chyba powinien pan zmienić pracę – powiedziałem spokojnie. – Ma pan objawy wypalenia zawodowego.

Uspokoił się, oklapł na krzesło i znów zaczął skubać czerwony kubek, wbijając w niego wzrok. Chyba nie usłyszał, co powiedziałem, może mu to wisiało, a może w ogóle nie rozumiał, o co mi chodziło. Podniósł tylko głowę, popatrzył uważnie po naszych twarzach, jakby tego jego wybuchu przed chwilą w ogóle nie było, i zapytał bez żadnej emocji w głosie:

– A więc miałem rację, skoro otworzyliście grobowiec. Po prostu źle wtedy sprawdziłem tę trumnę, tak? Znaleźliście forszę?

Miszczak zacisnął usta w wąską linię.

– Nie pana interes – rzucił w stronę Fijasa, a potem obrócił się na pięcie i machnął na nas. – Idziemy.

Wyszliśmy przed zakład. Ostatni, młody policjant, zamknął drzwi ostrożnie i delikatnie, jak ojciec wychodzący z pokoju dopiero co uśpionego dziecka. Był chyba wciąż oszołomiony przebiegiem rozmowy. Obejrzałem się i przez szybę po raz ostatni zerknąłem na Fijasa, który jakby nigdy nic siedział spokojnie na swoim krześle i siorbał z czerwonego kubka to, co w nim miał.

Ruszyliśmy przed siebie, przez podwórze, w stronę ulicy.

– I tak nie ma sensu tego ciągnąć. – Niewyraźne słowa przeciskały się między zaciśniętymi zębami Miszczaka. – To było dawno temu, oprócz jego słów nie mam nic...

Szedł zamaszystym krokiem, ściskając w palcach mankiety marynarki, od gwałtownych ruchów jego i powietrza jej poły latały na boki jak płaszcz Batmana.

– Nie musi się pan nam tłumaczyć, panie prokuratorze – rzucił w jego stronę Ziętarski.

– Nie tłumaczę się, tylko nie wiem, co ja tu w ogóle robię. To jest chore. Wydaję zgodę na wykopanie trupa w celu odkrycia skarbu, bo chyba do tego się to wszystko

sprowadziło, prawda? Nie wiem, czyj to był pomysł z tym ukrytym złotem, ale jak przed chwilą widzieliśmy na przykładzie tego smutnego pana, nie był to przypadek odosobniony. Co trzeba mieć pod czaszką, żeby na coś takiego wpaść? Pan, panie inspektorze, też się dał nabrać na te urojenia? – zapytał Ziętarskiego, marszcząc swoją dziwną twarz tak, że kontynenty nosa, oczu i ust zbliżyły się do siebie maksymalnie i niebezpiecznie, grożąc geologiczno-fizjonomicznym armagedonem. – Dał się pan nabrać na nasz trójmiejski pociąg z Wałbrzycha? To się, kurwa, przenosi drogą kropelkową czy jak?

Ziętarski milczał, ja tym bardziej. Mischczak postanowił nas dobić.

– Wiem, gdzie jest to złoto. A raczej: gdzie go nie ma. W Parku Artusa. – Wybuchnął szyderczym śmiechem.

Nie wiedziałem, o co chodzi.

– To biurowiec w Gdańsku, gdzie swoją siedzibę miało Amber Gold – wyjaśnił mi cicho Ziętarski.

Teraz zrozumiałem dowcip i gdyby nie to, że bił we mnie osobiście, roześmiałbym się i poklepał prokuratora Mischczaka po plecach, wyrażając w ten familiarny, acz ogólnie przyjęty sposób swe uznanie dla udanego żartu. A tak miałem tylko ochotę poklepać go wyłącznie po jego nordyckiej twarzy i uszkodzić któryś z kontynentów, najlepiej nos.

– Na razie, panowie. – Mischczak wytarł kąciki ust ze śliny, rozejrzał się po ulicy i przebiegł przez nią do

swojego samochodu.

– Wracaj na cmentarz, zbierajcie graty i kończcie – powiedział Ziętarski do policjanta i zrobiliśmy to samo co Miszczak.

Bez słowa wsiedliśmy do skody i zapięliśmy pasy. Ziętarski uruchomił wóz, nawrócił na wąskiej jezdni i ruszył w stronę Gdańska.

– Ludzie pracujący w branży funeralnej mają specyficzne podejście do rzeczywistości – rzucił nagle, przerywając krępującą ciszę. – Tak mi się wydaje. Kto inny niż grabarz czy kamieniarz wpadłby na taki pomysł jak ten Fijas? Żeby połączyć luźne fakty w taki sposób?

– Na przykład księgowy.

– Przecież Maziarz na to jednak nie wpadł, bo w trumnie niczego nie było?

– No to były gliniarz... – rzuciłem zniechęcony. – W końcu to ja zacząłem, prawda?

Rozumiałem, że Ziętarski próbuje mnie pocieszyć, ale wolałem, żeby dał już sobie spokój. Intencje może miał dobre, ale efekt był odwrotny. Spojrzał na mnie i uśmiechnął się blado.

– Cóż, ma pan bogatą wyobraźnię. Choć przyznaję, to wszystko brzmiało całkiem logicznie; ta skała, piorun i tak dalej. A Maziarz? Zakpił z nas. Ze swojej żony w zasadzie. Wmówił jej, że ukrył pieniądze, a tymczasem... Po co to zrobił? Mało miał kłopotów? Może chciał poczuć się ważniejszy w jej oczach? A może po

prostu nie zdążył ich wyjąć z tych firm, w których je polokował?

Nie chciało mi się odpowiadać na te pytania. Czułem się trochę zrobiony na szaro, wziąłem to do siebie, jakby Maziarz pogrywał ze mną osobiście. Czułem złość do człowieka, którego nie znałem i który nie żył już ponad dziesięć lat. Niezbyt to było mądre, ale tak właśnie to czułem. Przede wszystkim było mi żal Marty. I małego Kosmy, chłopca z dziwnym medalikiem na szyi.

Wracaliśmy w milczeniu do komendy. Ziętarski prowadził z zaciętą miną, a ja żułem wargę w poczuciu porażki, zastanawiając się, że może jednak gdzieś tkwił błąd. Tylko gdzie? W końcu w tak skomplikowanej konstrukcji o błąd nietrudno.

– A może wcale nie była taka skomplikowana...? – pomyślałem na głos.

– Słucham? – zapytał Ziętarski.

– Nie, nic, do własnych myśli mówię...

– Uhm... – Wrócił wzrokiem na drogę.

– Żeby to obesrało – powiedziałem nagle. –

Wracamy...

– Co pan mówi? – zapytał zaskoczony Ziętarski.

– Wracamy na cmentarz!

– Po co?

Roześmiałem się.

– Bo to złoto tam jest!

– Gdzie? W trumnie?

– Nie, nie w trumnie! Trumna to przynęta. Wabik na hieny cmentarne. Na Fijasa, na przykład. Nie ma innej opcji, to złoto musi tam być. Musi!

– To gdzie indziej mógł je schować?

– Przecież to logiczne. Musiał to zrobić dużo wcześniej niż zamówienie trumny. Był świadomy, że pod koniec nie będzie miał już siły ani możliwości. I zrobił to!

– Więc gdzie je ukrył? – zapytał niecierpliwie Ziętarski. – W tym kamieniu udającym Giewont? Jeezu... – Klepnął się w kolano. – To ten krzyż jest ze złota, tylko pokryty farbą...

Spojrzałem na niego.

– Złoto jest zbyt miękkie, a zwykły człowiek nie jest w stanie w warunkach domowych czy garażowych wykonać twardego stopu i odlać z niego jakiejś formy. Zwłaszcza tak dużej, jak ten krzyż. Zresztą ryzyko, że zajmą się nim w końcu złomiarze, było zbyt duże.

– To już nie wiem...

– Ukrył je pod trumną! A właściwie pod trumnami swoich krewnych.

– Co!?! – Ziętarski wybałuszył oczy, a potem błysnęło w nich zrozumienie.

Zgasło po chwili, a w jego miejsce pojawiło się zwątpienie.

– Jak zdjął tę płytę? Sam? Przed chwilą czterech ludzi ledwo dało radę. No i musiały to zrobić w nocy, a światło przyciąga ochronę. Miał gogle noktowizyjne?

– Dobry pan jest. – Spojrzałem na niego z uznaniem. – I kto tu ma bogatą wyobraźnię? Ale niekoniecznie w nocy. Można to zrobić w dzień i tak jest nawet wygodniej i prościej. Wystarczy rozbić nad grobowcem namiot, taki jak mają wodociągowcy czy ludzie od telekomunikacji, położyć przed nim worek cementu i udawać, że trwa remont. Albo nawet i bez namiotu. Kto w to będzie wnikał, że jakiś facet remontuje stary, zabytkowy grobowiec?

– A zgoda zarządcy?

– Kto wie, może nawet ją miał? Przecież nie będziemy teraz tego sprawdzać, bo i po co?

– A płyta nagrobna?

– Podnośniki. – Podniecałem się swoją koncepcją coraz bardziej. – Pokrywa grobowca jest z kamienia, ale pod spodem jest żeliwna płyta, to jeszcze przedwojenna robota. Nie złamałaby się, nawet gdyby podeprzeć ją tylko z jednej strony. Technicznie cała operacja jest do wykonania przez jednego człowieka w pół dnia.

– Skąd pan wie o tej żeliwnej płycie?

– Widział pan te cztery zardzewiałe łby śrub na rogach pokrywy? To nimi kamień przytwierdzony jest do żelaza. Są ześrubowane ze sobą, wzajemnie się usztywniając.

– Widziałem te śruby, ale nie drążyłem dalej...

– A ja tak. Nic w tym dziwnego. Czasem zwracam uwagę na różne szczegóły, zupełnie nie wiedząc, dlaczego

akurat na nie. Każdy tak ma: raz coś zauważy, a innym razem nie. Tak jak pan czerwonego światła przed chwilą... To co, przekonałem pana? Próbujemy ostatni raz?

– Kurrwa... – Ziętarski zmełł w ustach przekleństwo.

Akurat wjeżdżaliśmy z Oliwy na Strzyżę. Wyciągnął telefon, rozejrzał się na boki i zawrócił nagłym skrętem na następnym skrzyżowaniu, które mijaliśmy. Połączył się z kimś i głośno zawołał do telefonu:

– Daj znać dyżurnemu, żeby kontaktował się z chłopakami, którzy są na sopockim cmentarzu. Mają nie zwijać sprzętu i czekać tam na nas, zrozumiałeś? Czekać mają na miejscu! Zaraz będziemy!

Niecałe dwadzieścia minut później wróciliśmy pod bramę sopockiego cmentarza. Szliśmy pod górę w tempie godnym uczestników biegu „Rzeźnik”. Ziętarskiego pchała chyba do przodu gorączka złota, a ja sapałem jak lokomotywa, której kończy się zapas węgla. Ale nie ukrywajmy, mam w końcu na karku pięćdziesiątkę. Co prawda w Świeradowie obiecywałem sobie, że coś zrobię ze swoją kondycją, ale z wyjątkiem kilku króciuteńkich przebieżek po lesie jakoś nie było czasu. Zdecydowanie za dużo się działo.

Kiedy doszliśmy na miejsce, sprzęt był znów ustawiony: ekrany, lampa, generator; brakowało tylko taśm ostrzegawczych, które pewnie zdjęli na początku. Najgorsze, że pokrywa grobowca była już zasunięta.



– Lekarza nie ma – powiedział policjant, ten sam, który towarzyszył nam podczas wizyty u Fijasa.

– Tak, zauważyłem. – Ziętarski machnął ręką. – Pieprzyć lekarza.

– Ekipa z zarządu też już poszła. Ich akurat bym nie pieprzył.

Tak, to faktycznie był problem. Ktoś w końcu musiał odsunąć płytę. Ziętarski rozejrzał się i policzył nas wzrokiem.

– Jest nas czterech, pana nie liczę. – Wskazał na mnie. – To chyba wystarczy, nie?

Parę minut później kamienna pokrywa grobowca leżała ukosem, oparta o jego krawędź, z której zwisały nitki świeżego silikonu. Faktycznie miała od spodu tę żeliwną płytę, o której wspominałem Ziętarskiemu, i była ciężka jak cholera. Tak sędzę; wywnioskowałem to wyłącznie z jęków i przekleństw. To miło, że ktoś, czyli Ziętarski, pomyślał o kalece. Po chwili policjanci rozstawili lampę i w cmentarną ciszę znów wdarł się natarczywy warkot generatora.

Technik włożył kombinezon i maskę i ponownie wsunął się do grobowca. Ze środka dobiegł nas odgłos szurania i stłumiony stuk, widać przygotowywał sobie pole pracy, usuwając resztki trumien. Wołałem nie wiedzieć, co jeszcze usuwa.

– I co? – nie wytrzymałem w końcu.

– Jeszcze nic, ale tu pod nogami mam coś w rodzaju podłogi. Chyba z desek, ale to jakieś przegniłe...

Chwilę później rozległ się jego tryumfalny okrzyk:

– Jest coś!

Zajrzeliśmy do środka i w świetle lampy zobaczyliśmy, jak przypominającym szpachelkę narzędziem zbiera ziemię z posprzątanego z resztek trumien kąta grobowca. Obok niego leżała mała sterta połamanych, spróchniałych desek, bielejących w półcieniu świeżymi krawędziami złamań. Potem technik wziął coś z posadzki, wstał, wyciągnął rękę i podał mi to, co w niej trzymał. Wyglądało jak karta kredytowa: płaski, plastikowy prostokąt tej wielkości, z małym, również prostokątnym wybrzuszeniem. Przetarłem znalezisko palcem, kwaśna ziemia zdążyła wezreć się w zielonkawy plastik, który był przez to jak usiany małenkimi kraterami, chropowaty i matowy. Guma rękawiczki zadarła się o jedną z bruzd. Zobaczyłem napis *The Perth Mint Australia* i stylizowanego łabędzia. Wybrzuszenie kryło żółtą płytkę przypominającą kostkę domina albo powitalną czekoladkę dobrej marki, jakie leżą przy łóżku w lepszych hotelach. Był na niej ten sam łabędź, ale napis był już inny. 99,99% PURE GOLD 1 OUNCE.

– Co to jest? – zapytał jeden z policjantów.

– To jest to, czego szukaliśmy. Sztabka złota.

– To jest sztabka złota?! To coś?

– Naoglądałeś się za dużo filmów. Tak, to jest sztabka złota o wadze jednej uncji trojańskiej. Ten plastik to chyba coś w rodzaju zabezpieczenia. – Obejrzałem sztabkę od tyłu i przeczytałem kolejne napisy. – Zgadza się, to certyfikat autentyczności. Ma nawet numer seryjny.

– Tu jest tego w cholere! – dobiegł nas z grobowca krzyk technika.

Uzucie, jakie wywołuje ciężar i widok złota w dłoni, jest niezapomniane. Nagłe uświadomienie sobie, że w maleńkim kawałku żółtego metalu tkwi ekwiwalent sporego pliku banknotów, jest zaskoczeniem. W jednej chwili człowieka ogarnia wizja własnego bogactwa i potęgi; na małą skalę, ale wystarczającą, by dało mu to wyobrażenie, jakie to uczucie, kiedy ma się tego mnóstwo. Przedsmak. A potem nadchodzi świadomość, że to nie jego i czar pryska jak fatamorgana.

Oddałem złoto Ziętarskiemu. Obejrzał sztabkę i podrzucił ją w dłoni. Byłem pewien, że czuje to samo co ja przed momentem.

– Też pan chciał odnaleźć skarb jako mały chłopak? – zapytał mnie z rozbawieniem w głosie.

– A czy niebo jest niebieskie? – odpowiedziałem pytaniem.

Drugi policjant rozwinął brezent, który przywiózł technik. Rozłożył go na ziemi i razem z kolegą zaczęli układać na nim sztabki, podawane z grobowca przez

technika. Sterta rosła z minuty na minutę, a my patrzyliśmy na nią jak zahipnotyzowani.

– Dacie mi jedną? – zapytałem nagle.

Ziętarski spojrzał na mnie jak na wariata.

– Żartuje pan sobie? To trzeba komisyjnie zinwentaryzować, policzyć, zabezpieczyć... Zresztą i tak to będzie przypadek na rzecz skarbu państwa. W sumie to złoto pochodzi z przestępstwa.

– To trzeba jeszcze udowodnić.

– Tym zajmą się już odpowiednie organy. – Spojrzał na mnie ponuro. – Po co to panu?

– Chciałem komuś dać. Jedną małą sztabkę.

– Nie ma mowy – powiedział trochę zbyt głośno i odwrócił się ode mnie.

Patrzyłem, jak podchodzi do policjanta, układającego sztabki niemal z nabożną czcią. Wyglądał jak mały chłopak składający swój pierwszy zestaw klocków Lego z najnowszej serii, której nie miał jeszcze żaden z jego kolegów.

– Czteryśta dwadzieścia siedem – powiedział sierżant, zerkając na Ziętarskiego.

– A to jeszcze nie koniec – z grobowca znów dobiegł nas zduszony głos.

Ziętarski kucnął przy stosie płaskich cegiełek z plastiku i złota, dotknął jego szczytu palcem i ze zdumieniem pokręcił głową. Potem wstał i zajrzał do wnętrza grobowca. Jeszcze chwilę później wyciągnął

z kieszeni telefon, zadzwonił do prokuratora i poradził mu życzliwie, żeby jednak przyjechał na cmentarz.

Skończyło się na dziewięciuset dwunastu sztabkach. Wszedłem w Internet w telefonie i sprawdziłem szybko kilka rzeczy. Dziesięć lat temu to złoto kosztowało Maziarza około półtora miliona. Już ta suma robiła wrażenie, w końcu ludzie zabijali się za dużo mniejsze pieniądze. Osłupiałem, kiedy sprawdziłem obecny kurs.

– Ile? – zapytał rzeczowo Ziętarski, widząc moją minę.

– Wtedy czy teraz? – zapytałem.

– I to, i to. – Uśmiechnął się lekko.

– Wtedy półtora miliona. A teraz... Teraz ponad cztery. Cztery dwieście...

Zagwizdał cicho.

– Moja babcia zawsze powtarzała, że najlepszą lokatą kapitału jest bank ziemski... – Pokręcił głową.

– Możliwe – przyznałem. – Są tylko dwa problemy. Po pierwsze: żeby nikt przypadkiem nie dowiedział się, gdzie ten bank jest.

– Racja. A po drugie?

Spojrzałem na Ziętarskiego lekko rozbawiony.

– Żeby na starość tego nie zapomnieć...

Schowałem telefon i w tym samym momencie zobaczyłem prokuratora. Biegł pomiędzy grobami, krawat latał mu wokół głowy. Kiedy dobiegł do nas, czerwony na twarzy i spocony, spojrzał tylko na piramidę sztabek, potem na nas i wydukał, szepcząc:

– Ja pierdolę...

– Widzi pan? – Teraz Ziętarski był bezlitosny. – Mógł pan spełnić marzenie z dzieciństwa i razem z nami odnaleźć skarb. A tak... – Wzruszył ramionami.

– No. – Prokurator Miszczak przeczesał drżącymi z emocji i zmęczenia palcami gęste włosy. – Do końca życia sobie tego nie wybaczę. Do końca życia... Jak on to tu przewiózł? Przecież to musi ważyć w cholere?...

W myślach dokonałem kilku szybkich obliczeń.

– Jakieś trzydzieści kilo – powiedziałem, wzruszając ramionami. – Jakby się uparł, to i za jednym razem. Ja bym zadał inne pytanie: jak i gdzie on to kupił?

Miszczak popatrzył jeszcze raz na stosik i dodał cierpko:

– Ciekawe, jak im tam idzie w Wałbrzychu z tym pociągiem?

Ziętarski spojrzał na mnie, więc wzrokiem dałem mu do zrozumienia, że chcę już iść.

Zostawiliśmy Miszczaka i resztę ekipy na miejscu i w milczeniu poszliśmy na dół, w kierunku wyjścia z cmentarza. Zrobiło się chłodniej. Przy bramie Ziętarski podał mi na pożegnanie rękę. Pomyślałem, że to trochę za wcześnie, skoro miał mnie jeszcze podwieźć do komendy, gdzie zostawiłem swój samochód, ale ją uścisnąłem. Zrobiłem to i poczułem, że coś w niej jest. Włożył mi to coś w dłoń i powiedział:

– Niech pan ją pozdrowi ode mnie. Widzieliśmy się kiedyś, na początku tej całej afery.

Spojrzałem na ciężący mi w rękę przedmiot. To była sztabka złota z grobu Maziarza. Czułem na skórze chropowatą powierzchnię plastikowej osłonki.

– Wciąż pan sądzi, że ona jest u mnie, co? – zapytałem.

– Już taki ze mnie podejrzliwy sukinsyn. Nic na to nie poradzę.

– Dzięki – powiedziałem cicho. – Dzięki, że pan we mnie wierzył.

– Miałem wątpliwości. Poważne. Ale było coś, co kazało mi jednak panu zaufać. Wbrew sobie, ale mimo wszystko.

– Co? – zdziwiłem się.

– Pamięta pan naszą rozmowę o Szydłowskim? U pana w domu?

– Pamiętam.

– Patolog znalazł te rany, o których pan mówił. Na skórze rąk i głowy Szydłowskiego, a właściwie na tym, co z nich zostało, były ślady zębów sporego zwierzęcia.

Pokiwałem głową. Dla mnie nie była to żadna rewelacja.

Wsiedliśmy do samochodu i w milczeniu wróciliśmy do Gdańska. Kiedy przyjechaliśmy pod komendę, przesiadłem się do swojego samochodu. Obiecaliśmy sobie z Ziętarskim pozostawać w kontakcie, a ja jeszcze raz

podziękowałem za sztabkę, nie uświadamiając mu, że był w błędzie, kiedy wspominał o Martynie. To nie jej chciałem dać złoto. Chciałem dać je komuś innemu. Chciałem dać je komuś, kto pragnął go tak bardzo, że nie wahał się mordować. Najchętniej dałbym je tak, jak robili to Indianie schwytanym konkwistadorom; w postaci płynnej, prosto do gardła. Nie wiedziałem jeszcze, kto to jest, ale byłem pewien, że go dopadnę i że to tylko kwestia czasu. W każdym razie determinacji mi nie brakowało.

\* \* \*

Żeby później nie wyrzucać sobie, że czegoś zaniedbałem, pojechałem jeszcze do kancelarii Grynera. Nie zamierzałem wchodzić do środka, chciałem się po prostu rozejrzeć na miejscu. Zdarzało się, że w takich momentach miewałem przebłyski, może nie geniuszu, ale jakiejś weny, która pomagała mi spojrzeć nagle na pewne rzeczy z dystansu czy z innej perspektywy. Jak na nadodrzańskej działce Bogutowiczów w zeszłym roku, na przykład...

Kancelaria adwokacka Ernesta Grynera znajdowała się na obrzeżach gdańskiego Starego Miasta, niedaleko Hali Targowej, w budynku na rogu Kowalskiej i Targu Drzewnego. Kiedy przyjechałem na miejsce, stanąłem pod budynkiem i spojrzałem na jego elewację upstrzoną przedziwnymi w formie detalami nawiązującymi do



północnoreniesansowej zabudowy Gdańska. Między dwiema prostymi jak pręty zbrojeniowe kolumnkami flankującymi narożnik budynku i jednym z okien na pierwszym piętrze zobaczyłem reklamę kancelarii. Na płycie z blachy nierdzewnej widniał prosty napis: Ernest Gryner – adwokat. Żadnego numeru telefonu, konkretnego adresu – nic. Przeszedłem kilkadziesiąt kroków wzdłuż elewacji i wróciłem na róg. Wyglądało na to, że budynek pełni funkcję biurową, zastanowiło mnie więc, jakim cudem kibole weszli do środka i zabili adwokata w jego kancelarii, wypiwszy uprzednio alkohol na klatce schodowej, i nikt wcześniej nie reagował, dzwoniąc po prostu na policję. Przestałem się dziwić, kiedy przypomniałem sobie znane mi przypadki znieczulicy społecznej.

Nie wszedłem do środka. Za to rozejrzałem się jeszcze dookoła i zwróciłem uwagę na brązowy kiosk, który mijalem wcześniej. Kioskarze mają często dużo czasu i choćby z nudów obserwują wszystko, co dzieje się wokół ich szklanej budki, w której tkwią dziesięć godzin, marznąc na kość albo gotując się na twardo w zależności od pory roku. Podeszedłem do niego i zajrzałem przez witrynkę do wewnątrz.

Pani w środku mogła mieć około siedemdziesiątki: trwała na głowie przydawała jej dobrodusznego, babcinego wyglądu, a zbyt idealne i czyste uzębienie

błyszczało w ustach jak perły, niczym żywa reklama płynu do czyszczenia protez.

– Dzień dobry – zagadnąłem. – Gorąco dziś?

– Ano, gorąco... – przytaknęła bez entuzjazmu.

Może miała zły dzień, może takie usposobienie, ale musiałem zrobić coś, żeby ją rozruszać.

– Papierosy mają być? – zapytała.

– Nie, dzieć... A wie pani co, właściwie to poproszę.

– Jakie?

– A jakie pani ma?

Spojrzała na mnie zza okularów takim wzrokiem, jakim obrzuca się debili.

– Davidoffy – powiedziałem szybko. – Niech będą davidoffy.

– Siedemnaście dziewięćdziesiąt – mruknęła.

Otworzyłem portfel i zacząłem przetrząsać go w poszukiwaniu drobnych. Miałem dużo drobnych, a dużo drobnych to mnóstwo czasu na dużo pytań. A dużo pytań to dużo odpowiedzi.

– Tu przyjmował ten adwokat, co go niedawno zabili, prawda? – zapytałem od niechcienia, wskazując podbródkiem nieokreślony kierunek gdzieś przed sobą.

– Tak – lekko się ożywiła. – Na pierwszym piętrze miał kancelarię. Gazety czasem u mnie kupował. Pan stąd?

– Nie.

– A skąd?

– Eee... Ze Szczecina.

– Czyli też znad morza?

Cholera, nie wiedziałem, co powiedzieć. Uznałem w końcu, że każda odpowiedź będzie zła i lepiej pozostawić tę kwestię niedopowiedzianą.

– A była pani tego dnia w pracy?

– Kiedy to się stało? Byłam. Siedziałam tu, jak go tam bili na śmierć i nic nie wiedziałam. Nikt nie wiedział. Biały dzień. Patrz pan, jak to czasem świat się dziwnie kręci. Chodzą ludzie, jeżdżą auta, ludzie kupują gazety i papierosy, a za ścianą, dziesięć metrów od tego wszystkiego, mordują człowieka. Szok! Nawet nie widziałam wtedy tych szalikowców.

– Zgadzam się. Nie do pomyślenia. A pomijając szalikowców, niczego innego i dziwnego wtedy pani nie zauważyła? Coś nietypowego tu się nie wydarzyło?

– No, mówię panu, że nic... – Uśmiechnęła się chytrze, kiedy miałem już uzbierane dziesięć czterdzieści. – Prawie nic.

– O! – Serce zabiło mi nieco szybciej. – To niech mnie pani zastrzeli!

– A co pan taki ciekawy? – Zadała to pytanie nie napastliwie, tylko z rozbawieniem.

– Znałem go trochę. Widzieliśmy się kilka razy zawodowo. Szkoda człowieka.

– Ano szkoda – zgodziła się.

– To co dziwnego pani zauważyła? – Poczęstowałem ją uśmiechem i miałem nadzieję, że nie jest tylko niekontrolowanym skrzywieniem mięśni twarzy.

Ostatnimi czasy nie miałem zbyt wielu okazji, żeby się uśmiechać, i musiałem liczyć się z tym, że wyszedłem z wprawy.

– Widzi pan ten parking? – Starsza pani wskazała na szybę po swojej prawej stronie.

Odchyliłem się do tyłu i zerknąłem w lewo. Wzdłuż chodnika betonową kostką wybrukowano ukośnie do niego miejsca postojowe.

– Widzę. Pusto raczej.

– Bo już późno. Tam jest jedno miejsce dla inwalidów, widzi pan?

– Tak. – Znak wskazywał na to wyraźnie.

– Tam zawsze staje taki Tadeusz, co mieszka na Kowalskiej, jest lekko garbaty i ma jedną nogę krótszą. Dużo krótszą i strasznie przez to utyka, aż żal patrzeć, jak się chłopina męczy. On ma tę winietkę inwalidzką i może tam stawać, bo na Kowalskiej taki tłok, że nigdy nie ma miejsca. A tego dnia...

– No...?

– Tego dnia to miejsce ktoś mu zajął. Tadeusz nawet mi się poskarżył, że dobry kwadrans szukał miejsca gdzie indziej, a jak znalazł, to sto metrów dalej i musiał tu kuśtykać.

– Kto tam stanął?

– A tego to nie wiem, ale Tadeusz mówił, że stanął nielegalnie, bo nie miał za szybą tej winietki z wózkiem inwalidzkim. Chciał nawet dzwonić na policję, żeby go odholowali, ale koniec końców dał sobie spokój, żeby się nie denerwować. Z ciśnieniem też ma coś nie tak, to bardzo schorowany człowiek, proszę pana. To był jakiś szary samochód. Nie wiem jaki. Ale wiem, skąd przyjechał.

– Skąd pani wie akurat to? – zdziwiłem się.

Autentycznie się zdziwiłem, bo powiedziała to z takim przekonaniem, jakby kierowca, który śmiał zająć miejsce kalekiemu Tadeuszowi, podszedł do niej, do kiosku i uprzejmie wyjawiał, z jakiego miejsca na Ziemi go tu przywiało.

– Widziałam tablicę rejestracyjną. Nooo... Kawalek. Ale to wystarczyło, żeby wiedzieć, skąd przyjechał.

– Skąd?

– Z Zabrze, proszę pana. Z Zabrze.

W głowie zapaliło mi się światełko. Z Zabrze. Aglomeracja śląska; do Rybnika pewnie rzut kamieniem. Czy to mogło mieć związek z kochanką Lichoty?

– Zaraz, zaraz. Skąd pani...

– Byłam w Zabrze w klinice profesora Religi, proszę pana. Stentowanie aorty miałam robione. Nie przez niego, ale w klinice, w której kiedyś pracował, zanim jeszcze w ministry poszedł. I jak jechałam taksówką z dworca do tej kliniki, to widziałam najwięcej tablic

zaczynających się na SZ. Spytałam nawet o to taksówkarza, tak z ciekawości i żeby nie myśleć o tym zabiegu, bo bałam się jak cholera. Lepiej gadać o dupie Maryni, niż myśleć, że coś się może nie udać, prawda? I on mi potwierdził. Województwo śląskie, miasto Zabrze. – Pokiwała głową, bardzo z siebie zadowolona.

Też byłem z niej zadowolony. Nikły trop, maleńkie ogniwo, ale zawsze coś. Choć oczywiście to, że w chwili śmierci Grynera pod budynkiem, w którym ginął z rąk bandytów, stał samochód na zabrzańskich numerach, mogło nie mieć z tym nic wspólnego. Mógł nawet nie przyjechać z Zabrze, tylko być leasingowany od firmy mającej siedzibę w mieście profesora Religi.

– Długo tu stał?

– Długo, nie długo, ale ten facet z komputerowego mówił, że policja ustaliła, że ten adwokat zginął w południe. A to auto przyjechało gdzieś tak za kwadrans dwunasta, a pół godziny później już go nie było. Zastanawiająca zbieżność faktów, prawda?

– Owszem. Ale wie pani co... – Zmarszczyłem brwi. – Nie chciałbym, żeby pani pomyślała, że pani nie wierzę, ale z wnętrza kiosku to chyba nie widać tablicy rejestracyjnej samochodu, który stoi na tym miejscu dla niepełnosprawnych.

– To auto Tadeusza – stwierdziła.

– Możliwe, ale rejestracji nie widać z pani miejsca – upierałem się.

Faktycznie, kioskarka musiałaby się wychylić pewnie do połowy, żeby zobaczyć tył auta.

Uśmiechnęła się z wyższością.

– Bo pan źle patrzy. Pan spojrzysz na przód.

– Wie pani...

– Na witrynę pan spojrzysz.

Rzeczywiście; w kilku parach przeszklonych drzwi wejścia do drugiej części budynku, wciśniętych między witryny banku i sklepu komputerowego, widać było kawałek przodu skody Tadeusza razem z fragmentem tablicy rejestracyjnej. Po prostu odbijały się w szkłe. Resztę odbicia zasłaniał już samochód, ale i tak był za daleko, żebym mógł zobaczyć, co jest na rejestracji.

– Zobaczyła pani stąd litery? – zdumiałem się.

– Tak, proszę pana. SZ. Numeru nie było widać, teraz tak samo go na aucie Tadeusza nie widać, ale litery widziałam jak byk. Jestem dalekowidzem. Co w tym dziwnego, taki wiek.

– A może coś jeszcze było na tym samochodzie i pani to zobaczyła?

– To znaczy co?

– Coś charakterystycznego. Napis, znak jakiejś firmy...

Pokręciła głową.

– Przykro mi, nawet marki nie znałam. Był osobowy, szary, z bagażnikiem.

– Na dachu?

– Nie, mam na myśli, że nie kombi.  
– Czyli sedan. Albo coupe...  
– Możliwe. Nie znam tych marek.  
– Nie szkodzi. Ten szary kolor był raczej ciemny czy jasny? Grafitowy, popielaty...?

– Mężczyzna, który rozróżnia odcienie szarości, no coś podobnego. – Roześmiała się.

Zrewanżowałem jej się zabójczym uśmiechem.

– No to jaki?

– Jasny. Właśnie taki popielaty. Aleś pan ciekawy, no...

Pochyliłem się i niemal wsadziłem głowę do kiosku.

– Zrewanżuję się pani – szepnąłem poufale. – Jestem prywatnym detektywem i badam tę sprawę.

Popatrzyła na mnie ze zdumieniem, a potem roześmiała się w głos, pokazując mi dwadzieścia osiem sztucznych pereł w kształcie zębów, język z białawym nalotem i wewnątrz gardła.

– Aleś pan teraz walnął – chichotała. – Prywatny detektyw...

Ostatnio rozbawiałem całkiem sporo ludzi i to w niezamierzony sposób. Mrugnąłem jeszcze do kioskarki, wyjąłem głowę zza szybki, położyłem odliczoną kwotę na akrylową tackę z reklamą LM-ów i zabrałem swoje davidoffy.

– Mówiła pani o tym policji? – zapytałem na odchodnym, wskazując za siebie na skodę należącą do



Tadeusza, który miał jedną nogę krótszą.

– Komu?

– Nie przesłuchiwała pani policja?

– Mnie? A dlaczego? – zdziwiła się.

– A nie wiem – rzuciłem, nagle znudzony. – Tak jakoś pomyślałem, że... No, nieważne. Dziękuję pani serdecznie. Do widzenia.

Ostatnim spojrzeniem obrzuciłem budynek, w którym zginął Gryner, a kiedy odszedłem wystarczająco daleko od kiosku, wyciągnąłem z kieszeni paczkę dopiero co kupionych za ciężkie pieniądze papierosów i położyłem ją na mijanym właśnie śmietniku. Licho nie śpi.

Nałogi też nie.

Robiło się późno. Byłem zmęczony dzisiejszym dniem; przede wszystkim tym bieganiem po cmentarzu, uznałem więc, że tę noc również spędzę w hotelu. Zadzwoiłem do tego, w którym spałem minionej nocy, żeby sprawdzić, czy znajdę miejsce na dzisiejszą. Znalazłem. Pojechałem więc tam, kupując po drodze kilka rzeczy: białą bułkę, mozzarellę, butelkę czerwonego wina, grenlandzkie krewetki w zalewie i łososa wędzonego na ciepło. Kolację zjadłem w łóżku, oparty o wysoko podsuniętą poduszkę, oglądając w telewizji Kossakowskiego. Byłem zmęczony i wciąż myślałem o dziwnym trójkącie. Szczecin, Trójmiasto, Górny Śląsk.

Zdążyłem zadzwonić jeszcze do Waldka; na miejscu wszystko było w porządku, więc poprosiłem go tylko, żeby

dał znać Martynie, że wrócę dopiero jutro. Zasnąłem sam nie wiem kiedy; na siedząco, przy włączonym telewizorze i z pustą szklanką po winie w dłoni, żałując, że nie ma przy mnie Martyny.

Do dobrego człowiek się szybko przyzwyczaja.

## VII

Wracając z Gdańska następnego dnia, pomyślałem, że czas naprawdę przycisnąć Leśniewskiego. Z jakiegoś powodu krył Lichotę nawet po jego śmierci. Opcje były dwie: Lichota miał jednak przed nim jakieś tajemnice związane ze Śląskiem albo Leśniewski dobrze wiedział, kto wynajął go ostatnim razem. Wiedział to i bał się o tym mówić z oczywistych względów. Z obawy o siebie i rodzinę, a może nawet w odwrotnej kolejności – o rodzinę i siebie. To pewnie dlatego uraczył mnie tą przypowieścią o ludziach z pociągu, swojej córce i nerce Przemysława Salety. Może to miał być jakiś sygnał dla mnie, żebym tę sprawę zostawił? Żebym nie mieszał do niej jego? Tekst o nagrywaniu również był nieco zastanawiający, też sygnał? „Nie mogę mówić, bo jestem podsłuchiwany”? No i ta Zubrzycka, przed którą mnie ostrzegał. Zastanawiałem się, czy znów nie nadać go Januszowi Pałce, żeby wyciągnął z niego albo to jedno nazwisko, albo chociaż nazwiska ludzi, którym Lichota w ramach „wychodnego” wyświadczał przysługi. A kiedy już będziemy je mieć, coś się znajdzie, jakieś powiązanie,

które do tej pory nam umykało. Skoro dwudniowy pobyt w izbie zatrzymań tak źle wpłynął na Leśniewskiego, to za drugim razem zrobi wszystko, żeby wyjść na wolność jak najszybciej. Co prawda nie będzie zadowolony, kiedy dowie się, że zdradziłem prokuraturze treść rozmowy o Lichocie i o żonie „Rapida”, ale jeśli chodziło o dobro Marty, nie miałem skrupułów. Żadnych.

Janusz Pałka miał zdecydowanie inny pogląd na sprawę Leśniewskiego. Po drodze zatrzymałem się w Koszalinie i wpadłem do niego do prokuratury; znowu byłem wyspany, wypoczęty i pewny siebie.

– Chcesz, żebym go znów zatrzymał? – zapytał Janusz, wytrzeszczając oczy.

– Tak.

– A jaki miałby być cel tego zatrzymania?

– Przyciśnięcie go.

– Darek... Robiłeś w tym bajzlu ćwierć wieku i dobrze wiesz, jak to działa, a raczej, jak to nie działa. Więc tym bardziej dziwię się, że słyszę coś takiego od ciebie. Naprawdę sądzisz, że ktoś w tym budynku da się przekonać do twojej koncepcji?

– Nie jestem łasy na sukcesy. Oddam ci tę koncepcję. Niech będzie twoja, co ty na to? W końcu w tym budynku to ty jesteś od koncepcji.

– Nie jestem w nastroju do żartów. Jest już po dwunastej, nie zrobiłem dziś tego, co zakładałem zrobić, mam masę zaległości i dentystę... – Zerknął na zegarek,

druga ręka uzbrojona w długopis drgała jak w konwulsjach; jego końcówka zataczała w powietrzu półokręgi tak szybko, że aż rozmazywał się w oczach.

– Uważam, że Leśniewskiemu trzeba przykręcić śrubę – powiedziałem z naciskiem i zrelacjonowałem w skrócie, czego dowiedziałem się od Piotrka Kucharskiego. – Niech ci się wypowiada, z kim współpracował Lichota, ze wskazaniem na tę Zubrzycką. Chociaż tyle. To nasza ostatnia szansa, żeby się czegoś chwycić. Na pewno wie coś, czego mi nie powiedział. Może jemu też coś grozi? Jemu i jego rodzinie? Ma na jej punkcie hopla, przynajmniej tak twierdzi, ale mam powody, żeby akurat w tej kwestii mu wierzyć. To będzie koszmarny wybór: areszt albo obawa o rodzinę, jednak to jest nasza szansa. Pęknie. W końcu pęknie.

Pałka patrzył w okno, faktycznie wyglądał na znużonego. Wciąż ścisnął w dłoni długopis, którym teraz dla odmiany wystukiwał na blacie jakiś rytm.

– Pamiętasz, jakiś czas temu u was, w Szczecinie, zatrzymano kilku znanych przedsiębiorców pod zarzutem korumpowania urzędników skarbowki i sanepidu? Poczęstowali ich obiadem w swojej restauracji, zaprosili na mecz... Ktoś dostał rabat na zegarek w salonie jubilerskim. Głośna sprawa.

Oczywiście, że pamiętałem. Ojciec i syn, właściciele sieci gastronomicznej, oraz jubiler i przedsiębiorca pogrzebowy wraz z kilkoma urzędnikami zostali

zatrzymani w niedzielę, w świetle fleszy. Niejeden spektakl teatralny nie miał tak znakomitej oprawy. Wyszli niedługo potem, już bez szumu, sprawa przycichła, procesem urzędników nie interesował się już pies z kulawą nogą. Do dziś ani ja, ani żaden z ponad czterystu tysięcy moich współplemieńców nie wiedział, o co chodziło.

– Błąd, tak bym to delikatnie określił. – Janusz uśmiechnął się lekko. – Nie będę oceniał, czy urzędnik powinien przyjąć poczęstunek w restauracji, którą ma kontrolować, i tak dalej. Ani tego, czy w świetle przepisów prawa należy traktować to jako łapówkę, czy z kolei nazywanie czegoś takiego łapówką należy traktować jako przesadę. To teraz nieistotne. Nie wdając się w szczegóły, zatrzymanie ich w taki sposób i na takim etapie zbierania dowodów przeciwko nim było... nieprzemyślane. Pośpieszne i nieprzemyślane. Z Leśniewskim było tak samo. Nie wiesz tego, bo jak ostatnio rozmawialiśmy przez telefon, to nie miałem nastroju na pogaduchy, ale teraz ci powiem, jak to wyglądało. Leśniewskiego przekazano nam rano. Przyjechał do Koszalina, przywitał się z ekipą w komendzie miejskiej i wylądował u mnie. Sąd rejonowy jest w tym samym budynku, więc po tym, jak już przesłuchałem Leśniewskiego, zszedłem na parter, złożyłem w sekretariacie wniosek o tymczasowy areszt i trzy godziny później byliśmy już na posiedzeniu. Sąd

pozwolił sobie łaskawie nie zgodzić się z moim wnioskiem, czemu, szczerze mówiąc, nawet się za bardzo nie dziwiłem, bo uzasadnienie wniosku było dość kulawe, choć robiłem, co mogłem. A później, zgodnie z sugestią przełożonego, napisałem zażalenie do sądu okręgowego. I co? I wyobraź sobie, okręgowy podzielił opinię rejonowego, utrzymując postanowienie w mocy. No, coś takiego! – Uniósł brwi i pochylił się w moją stronę, patrząc mi kpiąco w oczy. – Czego ty chcesz się chwytąć, Darek? Nie ma nic, co mogłoby zmienić opinię sądu o udziale Leśniewskiego w tej sprawie. Nic. Nie pojawił się żaden nowy świadek, żaden dowód, który wstrząsnąłby jej posadami. Tylko twoja koncepcja... Co robi ktoś, kto jest winny, kiedy sąd rejonowy go jakimś cudem wypuszcza, a prokurator składa zażalenie i istnieje ryzyko, że organ odwoławczy uzna je za zasadne i jednak zastosuje wobec niego areszt tymczasowy?

– Chyba znika... – bąknąłem, domyślając się już, do czego zmierza Pałka.

– Właśnie. Czy Leśniewski zniknął? Nie, czekał grzecznie na orzeczenie, chociaż nie miał pewności, że okręgowy utrzyma w mocy postanowienie rejonowego. I gdybym znów spróbował go zapudłować, zapewne wzięto by to pod uwagę. W gabinecie tej psycholożki to był wypadek. Próba zabójstwa zakończona zastrzeleniem się napastnika. W świetle ostatnich ustaleń mieszanie do tego Leśniewskiego będzie kręceniem bata na własną

skórę. Prowadzę śledztwo w sprawie śmierci Lichoty, rozumiesz? Sprawa tej Korcz, czy jak jej tam, jest poboczna. Mówię o wątku jej tożsamości związanej z programem ochrony świadków.

– Przecież te dwie rzeczy mają ze sobą ewidentny związek! Ktoś wysłał Lichotę do tego gabinetu! I Leśniewski może wiedzieć, kto to był!

– Lichota i Korcz, owszem, mają ze sobą związek. Ale Leśniewski już nie, rozumiesz? W każdym razie nie ewidentny! Koniec rozmowy na ten temat. Jak ci tak zależy, weź go spij i pociągnij za język, może się wygada. To będzie o wiele prostsze i na pewno bardziej efektywne niż to, co proponujesz. Twoja koncepcja jest niewykonalna.

– Wiem, że „Malecha” był rozpracowywany w zeszłym roku w związku ze swoimi mętnymi interesami. Przez wywiad skarbowy, ale we współdziałaniu z policją. Mam te informacje nieoficjalnie, ale mam, z pewnego źródła. Lichota też był wtedy w kręgu zainteresowania organów. Można sprawdzić wyniki tamtych obserwacji i kontakty Lichoty, bo coś musieli stwierdzić. Włącz te materiały do śledztwa. Może jakieś nitki prowadzące do Trójmiasta? I ta historia z Zubrzycką. Prokuratura w Katowicach słynie z mafijnych spraw. Może skontaktuj się z nimi? Nie chce mi się wierzyć, że najlepszy przyjaciel Lichoty, czyli Leśniewski, nie wiedział nic o jego sprawach sercowych.



– Darek, czy ty słyszysz, co ja mówię? Śledztwo w sprawie śmierci Lichoty właśnie się kończy. A ty wymagasz ode mnie, żebym znowu się wygłupił, popełniając ten sam błąd?

– Winisz mnie za to, że zasugerowałem ci wtedy związek Lichoty z Leśniewskim?

– Nie. – Janusz odłożył długopis na biurko obok jakiejś teczki z aktami. – Winię siebie i kogoś jeszcze, ale nie ciebie, za nieco pochopne działanie. Wziąłem wtedy pod uwagę to, co powiedziałaś, ale to nie ty kazałaś mi go zgarnąć. Tak jak przed chwilą wspomniałem, to był błąd. Nie pierwszy, nie ostatni, ale za to spory. Trochę trzeba się było potem gimnastykować. Nieważne: nikt już tego błędu nie powtórzy, bo takie błędy kosztują i nie mówię tylko o pieniądzach. To się w wymierny sposób przekłada na karierę, wiedziałaś o tym? – Pałka patrzył mi kpiąco w oczy.

– Jacht na Mazurach i tak dalej? – Ton mojego głosu był jak wyraz jego oczu.

– Nie mówię o sobie. – Pokazał palcem w górę, na sufit. – Tam też odczuli skutki tego błędu.

– O ile kojarzę, na górze jest już strych.

– To była przenośnia.

– Wiem. Taki żart. Żeby rozładować atmosferę.

– Uhm. Ale teraz już rozumiesz, o czym mówię? Czy mam jednak walić otwartym tekstem?

Oblizalem usta. Nie mialem nic do dodania w tej kwestii.

– A Szydłowski? – zapytałem, chwytając się ostatniej deski ratunku.

– Ten gliniarz samobójca? Co on znowu ma tu do rzeczy?

Spojrzałem na swoje buty. Właśnie okazało się, że ukrywając to, co zrobił mi Szydłowski, popełniłem taktyczny błąd. Tak dalekich konsekwencji tego błędu nie mogłem przewidzieć. Nie mogłem też winić Waldka za to, że posprzątał wtedy z podłogi krew, którą upuścił Szydłowskiemu Promo. Sprzątnął dowód jego obecności w moim domu. Stało się. Po prostu zbieg niekorzystnych okoliczności. Zdarza się. Kurwa, zdarza się... Nawet ślady zwierzęcych kłów na jego ciele niewiele tak naprawdę mi pomagały. Przecież nie wykopię psa, żeby oddać go do celów porównawczych i dopasować jego zębiska do ran na szczątkach Szydłowskiego, które i tak pewnie już pochowano albo nawet skremowano.

Jechałem do domu, mając nadzieję, że niedługo w mediach pojawią się informacje o odkryciu złota w grobie Maziarza i Martyna będzie mogła chociaż trochę odetchnąć. Jednak kiedy uświadomiłem sobie jeszcze jedną rzecz, aż zrobiło mi się zimno. A co, jeśli jednak napad na Martynę i złoto w grobie jej męża nie miały ze sobą nic wspólnego?

\* \* \*

– Martyna, nie mówi ci nic nazwisko Zubrzycka? Bożena Zubrzycka? – zapytałem jej, kiedy Kosma poszedł wreszcie spać.

Myślałem o tym całe popołudnie i wieczór, ale nic nie wymyśliłem.

– Nie, a powinno? – odpowiedziała pytaniem.

– Czy ja wiem...

– A kto to taki?

– Hmm... Boss.

– Boss?

– Mafijny. Mafijna... Bossa?

– Ty sobie żartujesz ze mnie?

– Ani myślę. Nie słyszałaś o kobietach mafii?

– No, słyszałam, ale...

– To jest właśnie taki przypadek. Nie wnikając w szczegóły: tak sobie pomyślałem, czy ta pani nie winiła czasem twojego męża za śmierć swojego brata?

– Proszę???

– Spokojnie. Jej brat, Ryszard Wojnicz, został skazany w tym procesie, w którym świadkiem był Przemek. A potem popełnił w celi samobójstwo. Podobno popełnił je przypadkowo, ale efekt jest ten sam. Trup. A jeśli tym trupem jest członek czyjejs rodziny, to ten ktoś ma prawo się wkurzyć...

– Jak można popełnić samobójstwo przypadkowo?

– Takie, wiesz, wołanie o pomoc.

– Ach, o to ci chodzi.

– Dokładnie. Bo może w tym wszystkim wcale nie szło o pieniądze, czy tam złoto, tylko o zwykłą zemstę. A może niezwykłą, sam nie wiem. Tylko jaki jest sens mścić się po dziesięciu latach, i to nie na sprawcy krzywdy, tylko na wdowie po nim?

– Nie za dalekie te związki? Poza tym ten Lichota pytał mnie wtedy, w gabinecie, o złoto. Mówiłam ci przecież.

– Opowiedziałaś mi to dokładnie? Słowo w słowo? Niczego nie pominęłaś, o niczym nie zapomniałaś?

– Oczywiście, że nie. Nie padło tam za dużo tych słów... – parsknęła.

– Więc faktycznie zadawał pytanie: „Gdzie?”. Wyłącznie to jedno słowo?

– No, tak. Powtarzał je jak zacięta płyta.

– To co mógł mieć na myśli?

– Złoto. Pieniądze. No, to, co ukrył Przemek. Wtedy jeszcze nikt nie wiedział, co to jest.

– A masz pewność, że o tym właśnie mówił?

– Pewności nigdy nie będziemy mieć.

– Otóż to. Może pytał o coś zupełnie innego? Może nie miał pojęcia o żadnym skarbie Maziarza?

– O co innego mógł pytać?

– Nie wiem.

Opowiedziałem jej za to o Zubrzyckiej, jej związku z Lichotą i o samochodzie z zabrzańską tablicą

rejestracyjną pod kancelarią Grynera. Martyna długo milczała, a potem spojrzała na mnie i wzruszyła ramionami.

– Co mogę powiedzieć, Darek? – zapytała bezradnie. – Nie znam żadnej Zubrzyckiej ani nie słyszałam o niej. A teraz rozumiem jeszcze mniej. Więc pytam cię: co mogę powiedzieć?

Wyglądała na nieszczęśliwą i załamana. Zerknąłem na zegar wiszący w kuchni; było po dwudziestej trzeciej, oboje byliśmy zmęczeni.

– Nic nie mów, tylko idź spać. Podrażę jeszcze temat. Pogadam z Jackiem i z Ziętarskim.

Martyna ziewnęła, pomachała mi i poszła na górę, nie widząc mojego tęsknego spojrzenia, którym obrzuciłem jej uda, biodra i biust. Była chyba naprawdę zmęczona, skoro nie zrobiła tego samego ze mną. Cóż, może to i dobrze? Nie byłem młodzikiem, musiałem się oszczędzać; seks podobno służy zdrowiu, ale w moim wieku uprawianie go codziennie po prawie dwuletniej przerwie mogło być lekką przesadą. Nakryłem się więc kocem, zgasilem światło i leżałem otoczony mrokiem, gapiąc się po kątach domu, w miarę jak pojawiały się, gdy wzrok zaczął przyzwyczajać się do ciemności. Rozpamiętywałem swoją wizytę w Gdańsku i myślałem o Grynerze. Ci kibole „Lechii” nie dawali mi spokoju.

Budynek, w którym Gryner miał kancelarię, to nie był blok na osiedlu: anonimowy, wspólny, a więc niczyj, gdzie

przeważnie nikt nie zwraca uwagi na to, co dzieje się za cienką ścianą sąsiedniego mieszkania czy klatki schodowej, bo woli pilnować swojego nosa. Obszar Starego Miasta to też nie blokowisko, po którym ganiają się łyse, wytatuowane i napakowane osiłki z bejsbolami, a po zaniedbanych placach zabaw niosą się głuche dźwięki basów wydobywające się zza szyb golfów, audi i beemek.

Tyle teorii. A życie? A życie swoje. Życie jest życiem. Gryner miał...

Kiedy stojący na parapecie kaktus zamajaczył mi ciemnym kształtem na tle granatowego okna, przerwałem snuty w myślach wątek, zrzuciłem z siebie koc i usiadłem. Przypomniał mi się dom Marka Widucha i jego ściana chwały, w przeciwieństwie do ściany Leśniewskiego będąca realnym dowodem jego rzeczywistych osiągnięć i umiejętności. Biało-zielona koszulka z ósemką i jego nazwiskiem. I te puchary. Regularny kształt kaktusa sterczącego w doniczce przypominał w ciemności właśnie puchar. Wziąłem ze stołu swoją komórkę i napisałem do Ziętarskiego esemesa:

*Śpi pan?*

Kilkanaście sekund później dostałem odpowiedź.

*Nie. Co się urodziło?*

*Musimy pogadać* – odpisałem mu.

*Jutro jestem w Szczecinie. Wpadnę po południu, jeśli to coś pilnego.*

*To coś pilnego. Zapraszam.*

To nie było na tyle pilne, żebym musiał do niego dzwonić w tej chwili, ale im szybciej, tym lepiej. Jutrzejsze popołudnie mi pasowało.

*Będę. Do jutra* – odpisał po chwili.

Odłożyłem telefon na stolik.

Razem z kaktusem pojawiła się nagle nowa koncepcja, w której główną rolę grał Widuch. Ale nie Robert, tylko jego ojciec Marek. Nagle pojawiła się nić łącząca go z Grynerem, a skoro z Grynerem, to być może z Maziarzem.

Zasnąłem niebawem, czując jakiś spokój, jakbym właśnie rozwiązał zagadkę. Nie było tak do końca, ale przypuszczałem, że jestem dużo bliżej jej rozwiązania niż kiedykolwiek wcześniej.

\* \* \*

Ziętarski przyjechał około trzeciej. Martyna z Kosmą już od południa siedzieli u Waldka i poważnie obawiałem się o jej stan. Zasmakowały jej nalewki mojego sąsiada i nie była wyjątkiem. Gdyby Waldek uruchomił manufakturę, byłby znany, wielbiony i bogaty. Oczywiście w ślad za tymi rzeczami idzie zwykle spadek jakości, więc chyba lepiej, że jego hobby było tajemnicą

wyłącznie Ogrodów. Lepiej dla nas, nie dla Waldka, ale zawsze...

Kiedy Ziętarski zasiadł na kanapie w salonie, dałem mu wody i zapytałem:

– Wie pan coś o Widuchu? Cokolwiek?

Ziętarski spojrzał na mnie zdziwiony.

– Trochę wiem. Jest dość znaną w Gdańsku osobą. Znaną w pewnych kręgach, oczywiście, a nie publiczną. To miałem na myśli – doprecyzował.

– To niech mi pan o nim opowie – zaproponowałem.

– Widuch pochodzi ze starej gdańskiej rodziny. Podobno jego pradziad przybył do Wolnego Miasta Gdańska, ale tego pierwszego, pod francuskim protektoratem, z Niderlandów. Był ponoć potomkiem znanego niderlandzkiego malarza przełomu średniowiecza i renesansu, Rogiera van der Weydena. To było mniej więcej na początku dziewiętnastego wieku. Nie wiem, dlaczego nazwisko spolszczono, bo w tym okresie Gdańsk był już pruski, chyba że to stało się dopiero po drugiej wojnie. No, nieistotne. Ojciec Widucha był kimś ważnym w Wojewódzkiej Radzie Narodowej, ale syna kariera partyjna nie interesowała. Nauka też nie, za to sport, owszem. W młodości grał w Lechii Gdańsk. Nie był wybitny, nie miał jakichś spektakularnych sukcesów w lidze, robił swoją robotę, i już. To widać łebski facet, nie przepieprzał kasy na imprezy i fury: kiedy oszedł ze sportu, miał trochę odłożonych pieniędzy i zajął się



biznesem. Tak kiedyś mówił w jakimś wywiadzie w gazecie, pamiętam to. Założył EkoBud i docenił urok Matemblewa. Sprowadził tam nasze miejscowe szczyhy i namówił na inwestycje w działki budowlane, sam też tam zainwestował. Niektórych, tych ze świecznika, wprowadził na minę, bo potem okazało się, że teren wykupiono od Lasów Państwowych w jakiś dziwny sposób. Kilka lat temu nawet komuś postawiono za to zarzuty. Ale nie pamiętam, żeby w tym kontekście pojawiło się nazwisko Widucha.

– Ale była mowa o EkoBudzie.

– Nie bezpośrednio. On, to znaczy EkoBud, kupował, zdaje się, te tereny z drugiej ręki.

– Faktycznie. No dobrze. Grał w Lechii, mówi pan...  
Działa dalej w klubie?

– W jakim sensie?

– Chodzi na mecze, sponsoruje szkółkę trampkarzy, ma karnet w sektorze VIP-ów, chla z władzami klubu?

– Nie mam pojęcia, nie bardzo interesuję się piłką.  
A co to ma do rzeczy?

– Z kibicami dobrze żyje? Słyszałem, że ultrasi są dla klubów bardzo ważni. Wiele im się wybacza i tak dalej. Kluby nie zatraskują przed nimi drzwi, tylko ich sobie „wychowują”. Co będę panu opowiadał...

– Wiem, o czym mowa. Ale nie mam pojęcia, czy sponsoruje, chla i czy dobrze żyje z kibicami. Powie mi pan wreszcie, o co chodzi?

– Pamięta pan, w jakich okolicznościach zginął Gryner?

– Pobili go. Nie, no... Chyba pan żartuje? – Pochylił się do przodu, opierając się łokciami o kolana, i popatrzył na mnie dziwnie.

– Nie. Wcale nie żartuję. Odrąbują sobie maczetami ręce, handlują prochami, zabijają kibiców innych drużyn. Swoiście pojęty honor klubu. Wielu z nich to po prostu bandyci, którzy lubią piłkę nożną. A czasem w dupie mają piłkę, tylko rajcuje ich ta kibolska otoczka: odpalanie rac, ustawki, zadymy na trybunach, bójki z policją... Tak trudno panu uwierzyć w to, że paru z nich dało się wynająć do mokrej roboty? Bo mnie nie.

Ziętarski patrzył teraz w podłogę.

– Gryner nie zginął przypadkiem, panie inspektorze – powiedziałem dobitnie. – Tu chodziło o zemstę. Skarb Maziarza, mimo że faktycznie istniał i go odkryliśmy, nie miał tu nic do rzeczy. Jeszcze niedawno myślałem, że to zemsta żony śląskiego mafiosa, „Rapida”. Zemsta Zubrzyckiej na Martynie za śmierć brata, do której w jej mniemaniu doprowadził pośrednio Maziarz poprzez swoje zeznania jako świadek koronny. Zubrzycka złapała jakoś kontakt z Szydłowskim, choć nie wiem jak, i wyciągnęła z niego informacje, jakie ją interesowały. Podejrzewam, że to był interes; po prostu mu za te informacje zapłaciła. A potem wynajęła Lichotę, którego znała z dawnych czasów, żeby załatwił sprawę. Jak wiemy, nie poszło mu,

bo co prawda „Lichy” odnalazł Martynę, ale skończył marnie z kulą w czaszce. Potem, a w zasadzie przedtem, ta dziwna śmierć Grynera. Ernest Gryner był ogniwem łączącym Maziarza i Zubrzycką, mówię o samochodzie na zabrzańskich numerach pod jego kancelarią w dniu jego śmierci. Ale to mógł być inny łańcuszek, który zbyt szybko połączyłem z tym drugim. Bo ogniwo o nazwie Gryner łączyło się również z ogniwem zwanym Marek Widuch. To przecież Gryner bronił jego syna, tak? I Widuch miał mu za złe, że nie wybronił go przed tak długą odsiadką. Jeszcze bardziej za złe miał mu to, że syn przestał utrzymywać kontakty z własnym ojcem. To bolało. Jako ojca i jako kogoś, komu rzadko kto umie się sprzeciwić. Tacy ludzie jak Widuch są przyzwyczajeni do tego, że inni są posłuszni ich woli. Nie tolerują sprzeciwu. Każda taka próba podjęta wobec ludzi jego pokroju tkwi w nich potem jak zadra. Nie da się łatwo wyciągnąć i boli całymi latami, aż w końcu oni chcą, muszą coś z tym zrobić, bo ten ból jest coraz większy. Pamiętam, co powiedział, kiedy była mowa o krzywdzeniu jego syna. Powiedział, że karą za krzywdę wyrządzoną Robertowi będzie śmierć.

– Przyznał to tak wprost?

– Nie wprost. Ale jak zinterpretować słowa, że kara będzie drastyczna i ostateczna? Jak dla mnie, brzmią jednoznacznie i nie pozostawiają raczej żadnych wątpliwości. A dla pana?

Ziętarski się skrzywił.

– No dobra, Widuch Widuchem... A pani Maziarz? Jak w takim razie to, o czym pan przed chwilą mówił, ma się do tego, co wydarzyło się w jej gabinecie?

– Właśnie tego do końca nie wiem – przyznałem po chwili namysłu. – Wszyscy oni są ze sobą jakoś wzajemnie powiązani, mimo że przeważnie nawet się nie znali. Martyna, Gryner, Lichota, Zubrzycka i Widuch.

– Ale wciąż nie rozumiem, co łączy panią Maziarz i Marka Widucha?

– Martynę i Widucha łączy osoba jej zmarłego męża. Kancelaria, w której pracował Maziarz, obsługiwała również EkoBud; spółkę, którą Widuch współtworzył i która też, jak widać na przykładzie Matemblewa, nie jest taka znowu kryształowo czysta. To mogą być jakieś zaszłości; a może zemsta na Grynerze to jedno, a skarb Maziarza to drugie i ten skarb jednak też się liczył? Może EkoBud, nawet mimo realnych sukcesów na rynku deweloperskim, jest przykrywką dla brudnych interesów mafii, tej samej, przeciw której zeznawał Maziarz? Fakt, że EkoBud i te spółki „mafii finansowej” obsługiwała ta sama firma doradczo-księgową, może mieć tu kluczowe znaczenie. Ale nie wiem tego, teraz zgaduję. – Spojrzałem znacząco na Ziętarskiego i zmrużyłem oczy. – Za to być może Widuch wie...

Po jego minie widziałem, że chyba znów wsadziłem kogoś do paki. A sądząc po stopniu skomplikowania

sprawy, raczej nie skończy się to na czterdziestu ośmiu godzinach, jak w przypadku Leśniewskiego, tylko co najmniej trzema miesiącami, jeśli nie aresztem wydobywczym.

– Naprawdę, jestem w zasadzie przekonany, że to Widuch zlecił pobicie, a może nawet morderstwo Grynera.

– A teraz my mamy się martwić, jak to udowodnić? – zapytał z przekąsem Ziętarski.

– A kto, ja? – Wzruszyłem ramionami. – Ja tylko doradzam. Nie mam możliwości wszczynania żadnych procedur, ja tylko wyciągam wnioski i dzielę się nimi z policją i prokuraturą. Jestem wzorowym obywatelem. Prawda?

– Z Leśniewskim też był pan pewien?

– Nie. Leśniewski i jego powiązanie ze sprawą poprzez Lichotę to był pomysł na szybko, który został podchwycony przez prokuraturę. Pomysł ten w dodatku wyklął się podczas luźnej dyskusji z moim dobrym kolegą. Mówię o Jacku Mołczunie. Za to akurat proszę mnie nie winić, w porządku?

– W porządku.

– I żeby było jasne: nie jestem detektywem, dochodzeniowcem, nie mam żadnego doświadczenia zawodowego w tym kierunku. Byłem zwykłym policyjnym urzędnikiem. Nie mam dostępu do materiałów postępowań ani tych prowadzonych przez policję, ani

przez prokuraturę. Czasem wykorzystuję znajomości ze starych czasów, to prawda, ale zwykle polegam na sobie i radzę sobie sam. Staram się kojarzyć fakty, kombinuję i tworzę hipotezy, często zgola... nienormalne. Jak złoto w grobowcu Maziarza. Ale te hipotezy niekiedy okazują się trafne. Jak złoto w grobowcu Maziarza. I teraz też nie jestem do końca pewien tego, co powiedziałem o Widuchu. To kolejna hipoteza. Pewne fakty łączą się ze sobą w zaskakująco logiczny sposób, ale to wciąż tylko hipoteza. I proszę o tym nie zapominać, panie inspektorze. To tylko trop. Daję go wam.

– Piękna przemowa, wyczerpująca temat. – Ziętarski cicho zaklaskał. – Przyjmuję ten pański dupochron do wiadomości. Jeszcze coś?

– Na razie wszystko. – Uśmiechnąłem się. – Jakby co, dam znać.

Odprowadziłem go do samochodu, popatrzyłem, jak wykręca na ciasnej ścieżce, potem tradycyjnie odczekałem kwadrans i dopiero kiedy upłynął, poszedłem do Waldka po Martynę i Kosmę.

Tym razem Waldek wziął na poważnie moją prośbę o nieczęstowanie Martyny swoimi wynalazkami. Dostała nalewkę, ale nie w kieliszku, tylko w butelce, w prezencie. Dereniówkę. Kiedy usiedliśmy do stołu, a Kosma pobiegł na górę w coś grać, zapytała:

– I jak?

– Nie wiem jeszcze. Myślę, że zaczną tego Widucha sprawdzać. Nie powiem, że Ziętarski wyglądał na przekonanego, ale wciąż pewnie ma w pamięci to złoto w grobowcu. Nie wyczerpałem chyba jeszcze kredytu zaufania. Więc czekamy dalej.

– Nie możemy tak ciągle siedzieć ci na głowie – zaprotestowała.

– Ależ możecie, jak najbardziej. Nawet się już przyzwyczaiłem.

– Darek...

– Tak?

– Trochę niepokoją mnie te słowa.

– W jakim sensie?

– Wiesz...

– Nie wiem.

Popatrzyła na mnie oskarżycielsko.

– Wiesz!

– No dobrze, wiem. Ale to zabawne patrzeć, jak się męczysz. – Roześmiałem się.

– Przestań – mruknęła z niechęcią, ale i z lekkim uśmiechem, którego nie potrafiła zamaskować.

– I to psycholog... Chodzi ci o naszą relację, prawda?

– Prawda.

– Nie wiesz, czego się po mnie spodziewać, tak? Boisz się, że ta sytuacja wymknie się nam w jakiś sposób spod kontroli. A właściwie to mnie się wymknie?

– Nie tylko tobie, Darek. Mnie również.

– Boisz się, że się we mnie zakochasz? O to chodzi? – zapytałem wprost, chociaż lekko zaschło mi w ustach jak nastolatкови, który w rozmowie z dziewczyną zbacza na nieznane sobie terytorium. – Jeśli to się do tej pory nie zdarzyło, to chyba nie masz się czego bać, co?

– Nie wierzę w miłość od pierwszego wejrzenia. Co nie oznacza, że w ogóle w nią nie wierzę.

– Jak można nie wierzyć w miłość od pierwszego wejrzenia? Nigdy ci się to nie zdarzyło?

– To nie miłość, to biochemia. Stymulacja pewnych obszarów mózgu przez odpowiednie hormony działające jak narkotyki. Substancje psychoaktywne. A narkotyk, jak to narkotyk: uzależnia. I musisz go brać coraz więcej, żeby utrzymać efekt. A organizm nie wytwarza go w nieskończoność, Darek. Po pierwsze nie ma go tyle, żeby zaspokoić ten głód, a po drugie to przyzwyczajenie powoduje, że nie produkuje go już nawet w takiej ilości, by utrzymać stan euforii. A przecież potrzeba go coraz więcej, tak? Dlatego to mija. Miłość od pierwszego wejrzenia gaśnie. Wypala się. I jest zjazd... Zostaje przyzwyczajenie do tej drugiej osoby albo szacunek. Albo nic.

– A miłość?

– Czasem też, ale już nie ta pierwsza, fascynująca, podszyta pożądaniem, tajemnicą i wiecznym niezaspokojeniem. Zostaje miłość dojrzała, pełna wzajemnego zaufania i szacunku.



– Wciąż kochasz swojego męża?

– A czy ty wciąż kochasz swoją żonę?

– Minęło trochę czasu. Trudno nazwać miłością uczucie do osoby, która nie żyje, prawda?

– Prawda. Więc masz odpowiedź na swoje pytanie o mojego męża.

– To miło, że odczuwamy to tak samo.

– Tęsknię za nim czasami, tak jak ty tęsknisz za swoją żoną. Ja mam chociaż Kosmę, który mi go przypomina, który w ogóle przypomina go fizycznie, a ty...

– A ja nie mam nikogo. – Spojrzałem na nią. – Ale ja przeżyłem ze swoją żoną ćwierć wieku, przynajmniej tyle czasu pokazał kalendarz, a ty ze swoim mężem tylko kilka lat... Martyna, co właściwie próbujemy sobie powiedzieć?

– Co? Na przykład to, że dobrze nam, kiedy spędzamy razem czas. I nie mówię tylko o... kanapie na dole.

– Zgadza się, dobrze nam. I też nie mówię tylko o kanapie na dole.

– Znamy się już trochę, dużo rozmawialiśmy, również tutaj, u ciebie, a nie tylko u mnie.

– Tak, teraz mogę powiedzieć, że znam cię trochę lepiej. Już nie jesteś niewiadomą. Jesteś fajną dziewczyną, której skomplikowało się życie.

– Byłam w życiu tylko z jednym facetem, wiesz? Nie mam doświadczenia, nie mam porównania.

– No, wiesz, dobre małżeństwo polega przeważnie na byciu z jednym partnerem przez całe życie, nie tak? Więc po co ci doświadczenie? Czy dwadzieścia związków z dwudziestoma facetami w ciągu całego życia można nazwać doświadczeniem? To nie ma nic do rzeczy. Po prostu jesteś z kimś albo nie. Kochasz albo nie kochasz. Tolerujesz albo nie.

– Muszę się ukrywać, Darek. Ja i Kosma. I nie zapominaj o tym. To jest teraz najważniejsze, nasze bezpieczeństwo. To jest nasz priorytet i wszystkie inne sprawy musimy odłożyć na razie na bok. Nawet kwestię osobistego szczęścia, rozumiesz?

– Dobrze. – Wstałem. – Wrócimy jeszcze do tej rozmowy w bardziej sprzyjających okolicznościach, co ty na to?

– Jasne. – Odgarnęła grzywkę. – Myślę, że powinniśmy kontynuować temat. A to, co mówiłam na początku, że niepokoją mnie twoje słowa... Sama nie wiem, co to miało znaczyć. Wciąż jestem trochę rozedrgana, nie poukładałam sobie jeszcze wszystkiego i ciągle się trochę boję.

– Wszystko będzie dobrze. – Przytuliłem ją. – Zobaczysz, wszystko wróci do normy.

– Tylko co jest normą, Darek? – Stała na palcach i oparła podbródek o moje ramię, łaskocząc mnie włosami w ucho. – Co w moim życiu jest normą?

– Wszystko będzie dobrze – powtórzyłem jak katarynka i pocałowałem ją w szyję.

Odsunęła się i popatrzyła mi w oczy, nie zdejmując rąk z moich ramion. Patrząc w swoje oczy, widzieliśmy w nich to samo: że być może właśnie wzajemnie się oszukujemy. Ale za tym przypuszczeniem kryło się coś więcej: nadzieja na powrót do normalności. Wątpiła nadzieja, ale nadzieja. Małe marzenie ludzi, którzy mieli już dosyć. I to również było widać w oczach Martyny. A ja zrobiłem wszystko, żeby zobaczyła tę nadzieję w moich.

\* \* \*

W nocy obudziło nas wołanie Kosmy. Przyśniło mu się coś złego, więc Martyna ubrała się i pobiegła na górę. Zostałem na dole i nie mogłem już zasnąć. Zamiast liczyć barany albo gapić się w telewizor, znów zacząłem myśleć o wszystkim, co wydarzyło się w ciągu ostatnich tygodni. Skakałem z wydarzenia na wydarzenie, usiłując powiązać je ze sobą w jakiś inny sposób. Bezsprzecznie miały ze sobą coś wspólnego; niemal wszystkie, to nie podlegało dyskusji. Tylko że może wiązałem je ze sobą w zły sposób? Może powinienem spróbować zrobić to jeszcze inaczej?

Kombinowałem więc, gapiąc się w okno, na kaktus-puchar, udekorowany aureolą pełni księżyca, wystającego zza rośliny niemal idealnie w osi jej głównego pnia. Kombinowałem, śledząc tok wydarzeń od początku do

końca: raz, drugi i trzeci. Do bólu. Aż wreszcie znalazłem coś, co mi nie pasowało.

Wróciłem myślami do Gdańska, pod brązową budkę, do rozmowy ze starszą panią z perłami w ustach i spróbowałem sobie wyobrazić tamto miejsce. Ulicę, kiosk, budynek, w którym mieściła się kancelaria... I samochody. Rząd samochodów i skodę Tadeusza, który miał jedną nogę krótszą. Nie potrafiłem do końca zwizualizować sobie jednej rzeczy, pewnego szczegółu, i to chyba dość istotnego, więc wziąłem arkusz papieru, czarnym markerem napisałem na nim litery SZ i poszedłem do łazienki. Stałem w drzwiach i zacząłem wycofywać się z niej do wnętrza altany, patrząc na malejące w lustrze odbicie trzymanej przed sobą kartki. Zmrużyłem oczy i litery SZ w odbiciu zaczęły przypominać ZS. Wziąłem marker i napisałem te litery obok takimi samymi wielkimi wołami, ale w odwrotnej kolejności. Potem powtórzyłem operację z lustrem i mrużeniem oczu, i poczułem się jak bohater kreskówki, który zgubił się w lesie i szukając drogi do domu, zatacza nieświadomie ogromne koło, by trafić jeszcze raz w to miejsce, z którego zaczął. Patrząc teraz w lustro, dałbym głowę, że w odbiciu widzę SZ. Jak pani z kiosku. I tak było. Ale to było odbicie i to je widziała kioskarka. Kioskarka, która miała siedemdziesiąt lat, a na nosie okulary. Naprawdę na kartce napisane było ZS. Na

rejestracji również. Popielaty samochód „marki sedan” nie przyjechał z Zabrza.

Przyjechał ze Szczecina.

Ćwierć wieku temu zaistniał pewien fenomen socjologiczny, który przejawiał się w umieszczanych często w zaskakujących miejscach w kraju i na świecie napisach: „Tu byłem. Józef Tkaczuk”. Woźny z warszawskiej podstawówki najprawdopodobniej nigdy w tych miejscach nie był, ale dzięki tym napisom stał się kultową postacią włączoną do kanonu miejskich legend. Przypomni mi się teraz, kiedy nagle uświadomiłem sobie podobny schemat napadu na Martynę i Grynera. To przypominało podpis „tu byłem”. Tylko tym razem nie był to Tkaczuk, a Jerzy Lichota. Jerzy Lichota ze Szczecina.

I tak właśnie, wchodząc do łazienki z kartką papieru z narysowanymi literami ZS, znalazłem się w miejscu, w którym byłem na początku. Tylko ile można iść tymi samymi ścieżkami, które nie prowadzą do domu? A takimi ścieżkami byli Leśniewski i Janusz Pałka. Na samą myśl o tym, że mógłbym po raz kolejny męczyć Leśniewskiego o Lichotę, a Pałkę o Leśniewskiego, robiło mi się żal i siebie, i ich.

Lichota miał tamtego dnia szczęście. Gdyby nie kibice Lechii, ktoś, kto przeglądał zapisy z okolicznych kamer monitoringu, zwróciłby uwagę na samochód z obcą rejestracją, który stał koło kancelarii Grynera w krytycznym czasie. Elementarna podejrzliwość

nakazywałyby to sprawdzić. A tak, ów ktoś poszedł po linii najmniejszego oporu. Zdawałem sobie sprawę, że kibole Lechii Gdańsk nie mają najlepszej renomy, jak zresztą wszyscy kibole, ale poprzestanie tylko na nich było ewidentnym błędem śledczych. Być może szalikowcy mówili prawdę, twierdząc, że znaleźli martwego Grynera w jego kancelarii i tylko skorzystali z okazji, rabując z niej cenne sprzęty. Być może faktycznie byli niewinni jego śmierci, którą spowodował Lichota, a która została zapisana na ich konto.

Nawiasem mówiąc, z dwojga złego wolałbym mieć do czynienia raczej z nimi niż z Lichotą. I ciekawe, gdzie Widuch spędzał dzisiejszą noc?

Kiedy gasiłem światło w łazience, kolejne zapaliło się w mojej głowie. Aż przystanąłem z wrażenia, kiedy przypomniałem sobie poszukiwanie złota w grobowcu Maziarza; te wszystkie kombinacje i tę całą pseudodetektywistyczną ekwilibrystykę umysłową. A przecież wtedy rozwiązanie okazało się wręcz trywialne...

Kiedy Martyna przyjechała do mnie z Kosmą, musiała zapytać o drogę Aśki. Wspomniała, że podczas jednej z sesji mówiłem jej o małej altanie w Bartoszewie, którą kupiłem, ale nie wspomniałem przecież, gdzie dokładnie ona jest, dlatego musiała kogoś o to spytać. A kiedy ja z kolei zapytałem ją, czy powiedziała Szydłowskiemu, gdzie mieszkam – potwierdziła. A przecież mogła mu

powiedzieć tylko to, co sama wiedziała! „Mała altana w bartoszewskich ogrodach” to za mało informacji, żeby na ich podstawie mnie znaleźć. Takich altan są tam setki. To nie od Martyny Szydłowski dowiedział się, gdzie mnie znaleźć. Ani od żadnego z sąsiadów, którzy w środku nocy zwykle śpią.

Wziąłem z szuflady latarkę. Miała diodę LED i była nieoceniona podczas wieczornych spacerów z Promo albo dość częstych przerw w dostawie prądu. Po cichu wyszedłem na zewnątrz, na ścieżkę przed ogrodami i podszedłem do swojego opla, zaparkowanego na poboczu. Kucnąłem i zacząłem oglądać samochód od spodu. Mały lokalizator GPS znalazłem pod tylnym zderzakiem. Obejrzałem go w świetle latarki i wyrzuciłem w trawę, nie niszcząc go. Jeśli nie działał, nie miało to znaczenia, jeśli działał, to niech sobie leży i udaje, że nigdzie nie pojechałem, kiedy gdzieś pojedę.

Wróciłem do domu trochę spokojniejszy, aczkolwiek wciąż nieco zaskoczony, bo okazało się, że najwyraźniej rozwiązanie całej zagadki jest banalnie proste. Byłem lekki jak piórko. Tak się czułem. Wreszcie udało mi się powiązać Szczecin z Trójmiastem, i to bynajmniej nie przez Śląsk. Śląsk przestał się liczyć. To w Trójmieście musiał mieć początek ten cały huragan, który przeszedł przez życie kilku osób, jednym je niszcząc, a innym zabierając. Nić, która łączyła oba te miejsca – Szczecin i Trójmiasto, była napięta jak struna niemal od początku,

wystarczyło ją chwycić i iść jak... Jak po sznurku, właśnie. Ale nie wiodła do Marka Widucha. Wiodła prosto do zgasłej niedawno gwiazdy pomorskiej palestry, najlepszego trójmiejskiego adwokata. Wiodła do Ernesta Grynera. A może właśnie nie „do”, tylko od niego... Od niego, przez mały nadajnik prosto do tego kogoś, kto za tym wszystkim stał.

Kiedy kładłem się na kanapie, rozplątując nogami skotłowany koc i zastanawiając się, czy wysłać esemesa do Ziętarskiego, usłyszałem, że ktoś schodzi na dół. Obejrzałem się, to była Martyna.

– Co tam? – zapytałem szeptem.

– Pić mi się chce – odparła. – A woda mi się na górze skończyła.

– Częstuj się. – Wskazałem kredens w kuchni. – Kosma śpi?

– Jak susełek. Śniło mu się, że gonią go psy. Złe psy.

– To niedobrze – stwierdziłem. – Znaczy, że się czegoś boi.

– Naprawdę, Sherlocku? Ciekawe, czego może bać się dwunastoletni chłopiec ścigany przez mafię?

– Nie, no, przełożenie jest oczywiste. Ale myślałem, że tutaj trochę ochłonał.

– Gdyby to było takie proste... – Westchnęła.

Podeszła do blatu, wzięła butelkę mineralnej i naląła sobie do szklanki. Wypiła wodę duszkiem.



– Myślałem jeszcze trochę przed chwilą – rzuciłem w jej stronę, wciąż szeptem.

– I co wymyśliłeś?

– Brzytwę Ockhama.

– Słucham?

– Wiesz, co to takiego brzytwa Ockhama?

– Wiem – odparła zdziwiona. – Zasada ekonomii myślenia. W wyjaśnianiu jakichś zjawisk należy dążyć do prostoty. Najprostsze rozwiązania są najlepsze.

– Otóż to. Za dużo kombinowałem. Powinienem był chwycić się tej cholernej brzytwy na samym początku. Od razu.

– Nic nie rozumiem...

– A ja tak, Martyna. A ja już chyba tak.

Podeszła do mnie i zobaczyłem, że ma na sobie wyłącznie T-shirt. Kończył się tuż nad pępkiem, poniżej nie było już niczego, z wyjątkiem trójkąta ciemnych włosów łonowych.

– Ja też trochę przed chwilą myślałam – powiedziała, stając nade mną, wsuwając mi rękę we włosy i przeczesując je palcami.

Nie pytałem, o czym myślała. Poczulem jej zapach i wszystkie myśli wyleciały mi z głowy, a przecież już raz dziś to robiliśmy. Przycisnęła mi twarz do swojego podbrzusza, a ja uniosłem ręce. Jedną włożyłem pod koszulkę, głaszcząc brzuch i pieszcząc jej pierś, a drugą objąłem ją w pasie i pociągnąłem do siebie. Upadliśmy na

kanapę, koc zsunął się na podłogę. W ciszy nocy słyhać było tylko nasze przyspieszone oddechy i ciche jęki Martyny.

## VIII

Nie zadzwoniłem do Ziętarskiego. Nie dałem mu znać, co wymyśliłem; ani jemu, ani Jackowi. Wolałem najpierw sprawdzić to sam, zwłaszcza że mogłem to zrobić, nie prosząc nikogo o pomoc ani nawet nie wyjeżdżając z miasta. Bo zawsze jednak mogłem się mylić.

Pod budynkiem Lastadii, niemal blokując dojazd do głównego wejścia, stał samochód firmy Z.A.DO.BE. Ten nie miał na burcie baneru „Na sprzedaż”. Minałem go i wszedłem do budynku. Kiedy dotarłem już na górę, zobaczyłem, że stanowisko hetery jest puste. Sekretarki Leśniewskiego nie było dziś widocznie w pracy.

Kiedy zapukałem i zaraz potem otworzyłem drzwi jego biura, zdejmował właśnie zdjęcia ze swojej ściany chwały. W ręku trzymał nieduży młotek ciesielski, którego szpicem starannie wyciągał gwoździe wbite w zaprawę między cegłami. Akurat ściągał Kwaśniewskiego. Skojarzyłem to ze stojącym na dole firmowym dostawczakiem.

– Zmienia pan siedzibę firmy? – zapytałem zdziwiony i dodałem po chwili: – Dzień dobry.

– Dobry, dobry... Cóż, oszczędności. – Wzruszył ramionami, odwracając się. – Normalna rzecz. Nie wnikając w szczegóły charakteru mojej działalności biznesowej: tymczasowo będą musiały wystarczyć mi skromniejsze progi.

– To taka nagła decyzja? Jeszcze nie tak dawno nie było o tym mowy?

– Myli się pan. Nie było o tym mowy z panem, ale to nie oznacza, że nie miałem tego w planach. Już panu mówiłem: nie może pan wiedzieć o wszystkim. I nie musi.

– Zgadza się, nie mogę i nie muszę.

Rozejrzałem się.

– A co z prestiżem? – zapytałem.

– Prestiż częściowo zabieram ze sobą. – „Malecha” roześmiał się, podnosząc rękę, w której trzymał zdjęcie z Kwaśniewskim. – Sporządzając plan cięcia kosztów, bierze się pod uwagę różne rzeczy. Uznałem, że prestiż, jako rzecz kosztowna, tymczasowo ulegnie takiemu cięciu. Nic, czym należałoby się martwić. Ryzyko wliczone w koszty. Do przeżycia. To było tylko biuro...

– W porządku, to w końcu pana biznes.

– Właśnie. – Uśmiechnął się pogodnie. – Co pana do mnie sprowadza?

– Ja jak zwykle w sprawie Lichoty.

– Oczywiście nie powiem, że jestem zaskoczony. Za to powiem, że kiedy znajdzie pan już rozwiązanie swojej sprawy i nie będzie pan musiał przychodzić do mnie

wyłącznie po to, żeby spytać o Jurka, to i tak jest pan u mnie zawsze mile widziany. – Rozejrzył się po gabinecie i dodał: – Gdziekolwiek będzie to „u mnie”.

– O, dziękuję, to miło z pana strony.

– Nie ma sprawy. Słucham więc pańskich pytań.

– Czym on jeździł?

Leśniewski był lekko zdziwiony pytaniem.

– Moim mercedesem, tym samym, w którym się z panem poznaliśmy. Był moim kierowcą. Tak się kiedyś umówiliśmy, kiedy zaczynał, że będzie mnie woził. I tak jakoś zostało do dziś. Przeszedł nawet taki kurs, który organizowali byli funkcjonariusze BOR; wie pan, jazda w warunkach zagrożenia i tak dalej...

– Traktował to poważnie, co?

– Jak wszystko, panie Darku, jak wszystko.

– A kiedy pana nie woził, też korzystał z mercedesa?

– Nie, mam drugie auto. Lancię. I on nią jeździł. Ja praktycznie jej nie używałem, a żona woli małe auta, więc ma fiata pięćsetkę.

– W jakim kolorze jest ta lancia?

– Takim srebrnoszarym. A co?

– Chciałem panu powiedzieć, że wiem już, kto wynajął Lichotę, żeby zrobił to, co zrobił. A raczej: co miał zrobić, ale trochę mu nie wyszło. I już nie będę musiał przychodzić do pana i zawracać panu nim głowy.

– Wie pan, kto to był? – zdziwił się Leśniewski; zmarszczył brwi, a podbródek niemal zniknął w fałdach

szyi.

– Tak. I pan też to wie.

Syknął cicho, lekko mrużąc oczy.

– Mówiłem panu, żeby nie tykał pan tych ludzi ze Śląska, prawda?

– Prawda – przyznałem.

– Ale pan mnie nie posłuchał, co?

– Nie, tym razem skorzystałem z pańskiej rady. Nie tykałem ich.

– To dobrze. Niech mi pan wierzy, że to bardzo dobrze.

– Mówił mi pan różne rzeczy – przerwałem mu. – Ale nie zawsze mówił mi pan prawdę.

– Sugeruje pan, że pana okłamałem?

Mina pełna świętego oburzenia była autentyczna. Aż nie do wiary.

– Owszem. Tak właśnie było. Okłamał mnie pan. Czy może raczej to ja dałem się panu okłamać, a to różnica. Subtelna, ale różnica. Zgrabnie to panu wychodziło, wie pan?

– Przychodzi pan do mnie i ma czelność mi wmawiać, że...

– Dokładnie tak – znów nie dałem mu dokończyć. – Gdybym nie był tego absolutnie pewien, ale prawie pewien, to nie robiłbym z siebie teraz idioty. Ani z pana. Więc skoro już przyszedłem, to powiem panu, kto to był. Mogę?

– No, ciekawy jestem. Kto?

– Pan, panie Leśniewski. To był pan.

Obliział usta i spojrzał w kąt, ramiona niedostrzegalnie uniosły się i opadły.

– Potrzebował pan pieniędzy, prawda? – zapytałem. – Dużo pieniędzy i to bardzo szybko. Interes nie wypalił? Słyszałem, że bawi się pan w deweloperkę... – wskazałem makietę pod drewnianą ścianką – ...a tam podobno można nieźle wtopić.

Stał z opuszczonymi rękoma, w jednej trzymał ramkę ze swoim zdjęciem z Kwaśniewskim, w drugiej młotek. Usta ruszały mu się, choć nic nie mówił, wyglądało to na niekontrolowane drżenie zuchwy. Widać było, że zastanawia się, co powiedzieć.

– Nie. Nie dlatego, że interes nie wypalił – odezwał się w końcu.

– Długi?

– Nie mam długów.

– Nawet hazardowych, jak Szydłowski? Wie pan, kto to był Szydłowski, prawda? Skoro pan go do mnie skierował...

Przełknął ślinę.

– Nie gram nawet w totka. Płacę wystarczająco dużo podatków. Dodatkowy, „od szczęścia”, nie jest mi potrzebny.

– To powie mi pan, czemu to wszystko się wydarzyło? Czemu Lichota chciał zabić Martynę Maziarz, czemu pobił na śmierć Grynera? Bo mnie się wydaje, że to

z powodu pieniędzy. Obaj wiemy, jakich pieniędzy. Czyich. I obaj również wiemy, że to właśnie pan usiłował je przejąć. Mylę się?

Nie odzywał się, tylko stał, wpatrując się w jakiś punkt przed sobą, i wyglądało na to, że ten punkt jest gdzieś bardzo, bardzo daleko stąd.

– Widzę, że się jednak nie mylę, że doskonale pan wie, o czym mowa – powiedziałem, podchodząc do niego. – Mimo to opowiem panu pewną historię. Zaczyna się trochę jak bajka, tylko bajki raczej nie kończą się źle, a ta historia owszem. Dawno, dawno temu żył sobie w Gdańsku pewien człowiek, z zawodu księgowy i doradca podatkowy. Nazywał się Przemysław Maziarz. Miał młodą, ciężarną żonę, dobrą pracę w firmie o wdzięcznej nazwie „Omnium rerum” i niezłe perspektywy. Pracował jednak dla ludzi, którzy nie potrzebują zwykłych księgowych od PIT-ów, tylko osób niezwykle kreatywnych, które umieją robić z pieniędzmi to samo co cyrkowi magicy z królikiem i kapeluszem. Oczywiście to nie tak, że magik wyciąga z cylindra królika, którego tam nie było, on go musi tam wcześniej wsadzić, tylko tak, żeby nikt nie widział. Nawet dziecko to dziś wie. Ale to wciąż jest ten sam królik. A pieniądze, które ten księgowy wsadzał w różne firmy w ramach rozlicznych, nie zawsze jasnych transakcji, nie były już tymi samymi pieniędzmi. Wkładał brudne, wyciągał czyste. Wie pan, o czym mówię? Zapewne tak. Dodam, że



chodzi o ogromne pieniądze, ogromne nawet dla pana, panie Leśniewski. Ale do rzeczy. Bohater naszej historii był bardzo kreatywny. Był kreatywny do tego stopnia, że postanowił uszczknąć z tych sum coś dla siebie. Bez pośpiechu, tak żeby nikt się nie zorientował. Motywy jego postępowania są teraz nieistotne. Ale miał pecha, a może był nieostrożny, bo ktoś się jednak zorientował i zaczął się interesować tymi pieniędzmi i nim. Pieniędźmi zainteresowała się mafia, a Maziarem CBS. I ten biedak nagle znalazł się w położeniu nie do pozazdroszczenia. Był w potrzasku. Śmierć z rąk siepaczy mafii albo długoletnie więzienie. Lecz wtedy okazało się, że jest jeszcze trzecie zagrożenie, chyba najgorsze z nich wszystkich. Choroba. Ziarnica złośliwa. Nowotwór krwinek białych. Śmierć wygrywała z więzieniem dwa do jednego. Nie miał już nic do stracenia. Postanowił, że zanim odejdzie, rozegra to wszystko po swojemu. Zgodził się na status świadka koronnego, który zaproponował mu wymiar sprawiedliwości, mafia oczywiście nie miała o tym pojęcia. CBS z kolei nie miało pojęcia, że Maziarz ukrył gdzieś trochę pieniędzy ukradzionych mafii. Świadek koronny musi rozliczyć się ze swojego majątku, tak stanowi prawo, ale o tej jego nielegalnej części nikt nie wiedział. Nie wiedziała o niej nawet jego żona, dowiedziała się na krótko przed tym, jak Maziarza aresztowano. Status świadka koronnego dawał mu pewność, że zdąży wykonać swój plan, zanim osiągną go

długie ręce mafii. Pozostając z rodziną w ukryciu, Maziarz złożył zeznania w odrębnym procesie i jego sprawę umorzono, tak jak stanowi prawo. W procesie członków gdańskiej mafii finansowej, których wsypał, skazano kilka osób, oczywiście nie tych, które naprawdę stały za tymi wielomilionowymi przekrętami. Ludzie w białych kołnierzykach dalej mieszkają w domach z basenami i dalej kręcą swoje lody, tkwiąc w starych układach, których nic nie jest w stanie rozbić, i płacą nędzne setki tysięcy rodzinom ludzi, którzy siedzą za nich w więzieniu. Ale to też nie ma znaczenia dla naszej historii. Po zakończeniu sprawy Maziarza miała się rozpocząć procedura zmiany jego tożsamości. On jej nie dożył, ale ta procedura miała objąć również jego rodzinę, taki był układ i prokuratura go dotrzymała. Żona i synek otrzymali nową tożsamość. Ale przed śmiercią Maziarz potajemnie wydał ostatnie dyspozycje pewnemu trójmiejskiemu prawnikowi, choć nie było w nich słowa o pieniądzach mafii. Zniknęły, nie został po nich żaden ślad, przecież nikt prócz Maziarza nie miał pojęcia, że istnieją, nie mówiąc już o tym, gdzie są. Tak więc nasz młody księgowy zmarł. Ponieważ liczone się z tym, że zemsta mafii może osiągnąć również rodzinę Maziarza nawet po jego śmierci, jego żona Martyna miała być tą Mileną Korcz i mieszkać wraz z ich dzieckiem w Szczecinie, gdzie prowadziła prywatną praktykę jako psychoterapeuta, współpracując także z komendą

wojewódzką i miejską w charakterze policyjnego psychologa. Wszystko było dobrze przez jakieś dziesięć lat, a potem nagle w jej gabinecie zjawił się pewien człowiek, który zadał jej dziwne pytanie, a potem zginął, trochę przez przypadek, a trochę przez własną głupotę. To był pana człowiek, panie Leśniewski. I pan go tam wysłał. Jak się panu podoba ta historia?

„Malecha” wciąż stał nieruchomo, nie zmieniając pozycji, przez cały ten czas, kiedy snułem swoją opowieść. Mrugnął nagle powiekami, jakby wybudził się z letargu, odłożył zdjęcie z Kwaśniewskim na stół, zdjął okulary i powiedział, machając nimi w powietrzu:

– Ta historia ma nieścisłości i luki. Białe plamy.

– Wiem o tym – powiedziałem spokojnie. – Przeszedłem tu, bo liczyłem, że pan wyjaśni nieścisłości i wypełni luki. Pokoloruje te białe plamy i całą historię będzie można poznać bez niedopowiedzeń.

Leśniewski z powrotem założył na nos okulary. Zrobił to niedbale, wisiały nieco przechylone na jedną stronę, nadając jego szerokiej twarzy wrażenie asymetryczności, ale on nie zwrócił na to uwagi.

– Skąd pan wiedział, że mam z tym coś wspólnego? – zapytał po prostu i bez kluczenia.

Skrzywiłem się.

– Trochę przecucia, trochę zbiegów okoliczności, trochę szczęścia, trochę dedukcji. Taki łańcuszek. Naprawdę błądziłem, zanim powiązałem wszystko w taki

sposób, żeby dojść w końcu do pana. Pracownik „Malserwisu” bojący się o własną przyszłość w obliczu zwolnień, samochód „Z.A.DO.BE” na sprzedaż... Domyśliłem się, że traci pan płynność finansową i potrzebuje pieniędzy. No, ale przede wszystkim to. – Podszedłem do stołu, na którym leżały zdjęcia ze znanymi osobami, laury i certyfikaty.

Wybrałem jeden z nich. Gepard Biznesu 2014. Laur Pomorskiej Izby Gospodarczej z siedzibą w Gdańsku. Podpisy członków kapituły. Przewodniczący: Zdzisław Żelech, pan „McDonald” razy pięć, przekreślony solidną krechą. I sekretarz: prymitywny bazgroł z ogonkiem i kropką.

Ernest Gryner.

Leśniewski obojętnie przypatrywał się temu, co robię.

– „Często ze sobą pijemy, znamy się...”. Pańskie słowa. A ten trójmiejski adwokat, którego klientem był Maziarz, nazywał się Gryner. Ernest Gryner. Byłem pewien, że gdzieś już słyszałem to nazwisko, kiedy ktoś wymienił je przy mnie po raz pierwszy. Mój pech polegał na tym, że pan Gryner był bardzo obrotnym człowiekiem i maczał palce w wielu interesach, a ślady tego maczania napotykałem na swej drodze wielokrotnie. To dlatego nie wpadłem na to od razu. Bo myliłem się odrobinę. Ja nie słyszałem wcześniej tego nazwiska, ja je widziałem. Widziałem je u pana na ścianie. Przypomniał mi się ten podpis i charakterystyczne imię.

– To mógł być przypadek. – Wskazał młotkiem trzymaną przeze mnie ramkę.

– Zgadza się. – Odłożyłem ją na stół. – Ale tych przypadków zaczęło być za dużo i zaczęły się łączyć w logiczną całość. Wystarczyło tylko zmienić początkowe założenie. Nie, też źle, bo wstępnie zakładałem, że skoro Lichota był pańskim człowiekiem, to właśnie pan musiał go wysłać do gabinetu Martynty Maziarz. Takie było początkowe założenie, ale szybko się zmieniło. Ale to jednak pan go tam wysłał, prawda? Nabrał mnie pan, przyznaję. Prokuratora też, i sąd... Albo jest pan świetnym aktorem, albo potrafi pan w każdej sytuacji zachować zimną krew. Zimna krew to wbrew pozorom rzadkość. Zwłaszcza w takich sytuacjach.

Spojrzenie Leśniewskiego stwardniało.

– Zimna krew to podstawa. A kiedy walczy się o życie, kiedy nie ma się nic do stracenia, tym bardziej trzeba ją zachować. Inaczej wszystko runie, jak domek z kart.

– Obawiam się, że wszystko właśnie runęło.

– Przyszedł mi pan to obwieścić?

– I tak, i nie. Mówiłem już, że przyszedłem trochę w ciemno, bo chciałem to najpierw sprawdzić. I już wiem, że się nie pomyliłem. Opowie mi pan swoją wersję tej historii?

– Tylko panu?

– Na razie tylko mnie.

– Racja. Przecież i tak pan nie nagrywa... – Nikły uśmiech rozjaśnił jego napiętą twarz.

Przeszedł mnie dreszcz. Już to słyszałem, wcześniej. To oznaczało, że ma tu gdzieś wykrywacze podsłuchu. Błędnie zinterpretowałem jego słowa, kiedy wspominał o nagrywaniu poprzednim razem. To nie był sygnał dla mnie z powodu jego podejrzeń, że założono mu podsłuch i mam się pilnować przed powiedzeniem czegoś, czego mógłbym potem żałować ja, albo nawet obaj. To była zwykła przechwałka gadzeciarza. Takie zabawki ma teraz większość ludzi interesu, to pozwala uniknąć wielu problemów. I nie tylko takie zabawki; małe nadajniki GPS również...

Ale tym razem mój błąd nie polegał na tym, że nie nagrywałem rozmowy z Leśniewskim, tylko na tym, że w ogóle ją przeprowadzałem.

Sam.

Na moje usprawiedliwienie mógł przemawiać fakt, że idąc tu, nie miałem stuprocentowej pewności, że to on był motorem tej całej historii. Zawsze pozostawał pewien margines błędu, mogłem się po prostu mylić, jak z Widuchem. Błądzenie jest w końcu rzeczą ludzką. Chyba też nie wierzyłem do końca, że to może być aż tak proste. Banalnie proste. Ale było. Jak widać, jednak się nie pomyliłem. Do Ziętarskiego też w końcu nie zadzwoniłem. Ani do Jacka.

Do nikogo, kurwa, nie zadzwoniłem...

Leśniewski stał bez ruchu, wciąż spięty. Nabrał głęboki haust powietrza i powiedział:

– Dobrze więc, pokolorujmy te białe plamy, skoro pan tego chce... Historia Maziarza była lokalnym mitem w Trójmieście. Bajką o gdańskim księgowym mafii, który przewalił swoich mocodawców na spory szmal, a potem został koronnym i zniknął z tym szmałem. Oczywiście nikt nie znał szczegółów, ja też nie, o tym po prostu się mówiło, sprzedawało jako swego rodzaju anegdotę. Nikt go za rękę nie złapał i chyba nikt w to tak naprawdę nie wierzył. Grynera znałem z tej całej izby gospodarczej w Trójmieście, to był stary cwaniak, prawo miał i w małym palcu, i w dupie, wie pan, o czym mówię? I kiedyś wygadał mi się na jakiejś imprezie w Sopocie, że pomagał Maziarzowi załatwiać pewne sprawy przed śmiercią. Związane z pogrzebem i zabezpieczeniem rodziny. Co prawda był pijany w sztok, ale twierdził, że było, jak mówi. A mówił, że ten człowiek był młody, ale bardzo zapobiegliwy, liczył się z tym, że leczenie nie przyniesie efektu, więc na wszelki wypadek załatwił wszystko dużo wcześniej. Sporządzili testament, Maziarz wskazał zakład pogrzebowy, powiedział, jaka ma być trumna, i poprosił o dopilnowanie, żeby na pogrzebie puścili jakiś jego ulubiony kawałek. Zanim Gryner zniknął w kiblu, gdzie urwał mu się film, dodał również, że Maziarz wspominał kiedyś, podobno nie żartując, że naprawdę skubnął tych swoich mafiosów na spory

kawałek grosza. Już był bardzo chory i podobno zmulony lekami. Kiedy naciskałem, tak z czystej ludzkiej ciekawości, przecież też byłem nieźle naprany, Gryner się zamknął, jakby zrozumiał, że nie powinien być mi tego wszystkiego mówić... Poszedł do kibla, gdzie znaleźli go godzinę później zarzyganego, leżącego bez przytomności koło pisuaru. Następnego ranka nic nie pamiętał i twierdził, że coś mi się popierdoliło. Że on nie mógł czegoś takiego powiedzieć, bo nic takiego nigdy się nie zdarzyło i nie zna żadnego Maziarza. Zapomniałem o tym, ot, pieprzenie przy wódce, nie takie rzeczy przy alkoholu się słyszało. Przypomniałem to sobie, kiedy okazało się, że potrzebuję pieniędzy. Że bardzo ich potrzebuję, szybko i dużo, i nie mam możliwości uzyskania ich z żadnego innego źródła.

Postanowiłem przycisnąć Grynera. Jurek powiedział mi, że Gryner po... po rozmowie potwierdził, że to wszystko, co mówił mi na tej imprezie w Sopocie, było prawdą, ale niczego więcej nie wiedział. Na koniec podał tylko Jurkowi nazwisko gościa z programu ochrony świadków, o którym Maziarz kiedyś wspomniał, jak był już bardzo chory. To nazwisko brzmiało Szydłowski. Niczego więcej Gryner nie zdążył powiedzieć, bo nagle umarł na zawał, z czego Jurek nawet się ucieszył. Ale to, co powiedział, wystarczyło. Mieliśmy co prawda tylko nazwisko, ale jak ma się nazwisko, to reszta nie jest trudna. Jurek odnalazł tego policjanta. Potem pokręcił



się przy nim kilka dni i zorientowaliśmy się, że facet jest hazardzistą. Grał we wszystko: poker, ruleta, obstawiał konie, ligę angielską, niemiecką, włoską i hiszpańską... Tylko polskiej nie obstawiał – dodał po chwili tonem zdziwienia. – Jak ktoś taki mógł pracować w tej branży, tego nie wiem... Nie mam też pojęcia, dlaczego nikt tam u nich się nie zorientował. Również co do tego, że facet jest alkoholikiem.

Leśniewski pokręcił ze zdumieniem głową, ale dla mnie to akurat nie było dziwne. Stres, tryb pracy i rozłąka z rodziną to jałowa ziemia, która tylko czeka, aż ktoś ją nawiezie i podleje. Najlepiej alkoholem, i to w dużej ilości. To i uzależnienie od hazardu tłumaczyło również desperacki krok, na jaki zdecydował się Szydłowski. Nie wiem, czy nocna wizyta w moim domu była elementem planu Leśniewskiego, czy jego własnego, i nie wiem, czy chciałem „Malechę” w ogóle o to zapytać. Wiem jedno: ta wizyta była jak sprawdzenie przeciwnika w pokerze, w ciemno. Blef, w którym możesz zyskać wszystko i stracić wszystko. I on przegrał. Przegrał ostatnią grę, w której zaryzykował tak naprawdę swoje życie. A kiedy je przegrał, nie widział już innego wyjścia, jak tylko je sobie odebrać. Zdarza się i tak.

– Jurek na początku był za tym, żeby namówić go do współpracy. Żeby nie tylko ujawnił nam tożsamość wdowy po Maziarzu, ale żeby to on ją również wysondował. Delikatnie. Szydłowski się zgodził.

Zapłaciłem mu sto tysięcy, ale nie martwiłem się, że to utopione pieniądze, miałem przecież dostać miliony... Ale to sondowanie trwało, Szydłowski twierdził, że musi działać z wyczuciem, domagał się następnych pieniędzy, bo narobił sobie jeszcze więcej długów. Skurwiel dostał do ręki gotówkę, spłacił stare długi, a za resztę znów zaczął grać i oczywiście przegrywać. Ale ja już nie miałem forsy. Wszystko, co miałem, włożyłem w budowę osiedla, bo kredytowanie z banku okazało się mniej korzystne, niż zakładałem, a to przecież inwestycja, która zwraca się czasem latami. Musiałem sprzedać swoje udziały w kilku firmach, a to nie takie łatwe ani szybkie. Nie miałem ani forsy, ani czasu, więc Jurek postanowił wreszcie załatwić to sam. Po swojemu. Nie wysłałem go do niej. Chciałem jeszcze poczekać. Ale Jurek mi się postawił. Pierwszy raz. Zrobił to wbrew mnie, ale dla mnie, rozumie pan? Poszedł do niej i... I ona go zabiła. Został mi tylko ten pieprzony Szydłowski. A potem on też zginął, rzucił się pod pociąg.

Pomyślałem, że moje zdanie o Lichocie właśnie potwierdziło się, zresztą któryś już raz. Lichota był wiernym psem. Psem, który robi dla swojego pana wszystko.

– Wiem.

– Wszyscy wiedzą. Nawet film w Internecie puszczają.

– To też wiem. A pan z kolei pewnie wie, że Szydłowski odwiedził mnie pewnej nocy, kiedy dowiedział

się od Martyny Maziarz, że u niej byłem. Wie pan, prawda?

Pokręcił głową.

– Nie. Nie wiedziałem, że pana odwiedził.

– Odwiedził. Skończyło się krwawo. Ja wylądowałem w szpitalu, mój pies w ziemi, a Szydłowski w konsekwencji pod kołami pociągu. Kto w takim razie zamontował nadajnik w moim samochodzie? – Opuścił na chwilę głowę. Gest skruchy?

– Ja – przyznał w końcu. – Kazałem komuś to zrobić.

– Komu?

– To nieistotne.

– Komu?

Wzrok Leśniewskiego nie zmienił się, choć mój rozmówca w końcu ustąpił.

– To pewien prywatny detektyw, który sprawdza dla mnie różne rzeczy – powiedział cicho. – Kontrahentów, firmy i tak dalej. Nie mieszajmy go do tego, bo to nie ma znaczenia. On też ma rodzinę.

– Dobrze. Proszę dalej.

– Szydłowski twierdził, że ma pan z tym coś wspólnego i że muszę się dowiedzieć, gdzie pan mieszka. Pytałem, po co mu to i co planuje, ale nie chciał powiedzieć. Mówił, że mam to zrobić i nie dyskutować, jeśli chcę dostać to, na czym mi zależy. Zrobiłem więc, bo nie przyszło mi do głowy, że może chcieć pana... Że może chcieć zrobić panu krzywdę. Wiedziałem, że szuka pan tej

Maziarz, czy tam Korcz, ale nie wiedziałem, jak daleko pan zaszedł.

Uwierzyłem mu. Znów mu uwierzyłem, zastanawiając się, czy on tak dobrze kłamie, czy ja jestem takim idiotą. Czy to ta jego zimna krew, czy szczerą prawdą, którą mogę zaakceptować. Którą nawet chcę zaakceptować, mimo że nie ma żadnego racjonalnego powodu, by to zrobić. Bo sympatia, którą mimo wszystko wciąż jakimś cudem czułem do tego człowieka, z całą pewnością nie była racjonalnym powodem.

– Nie zrobił tego, co planował, dla pana, tylko dla siebie. Prawdopodobnie chciał zniknąć z tymi pieniędzmi, a nie oddać je panu – poinformowałem Leśniewskiego sucho.

Burknął tylko coś pod nosem i zobaczyłem, że palce zaciśnięte na trzonku młotka nagle bieleją, a twarz nabiega krwią. Te pieniądze były dla niego zbyt ważne, jak na zwykłą żądzę bogactwa.

– Odnalazłem Martynę Maziarz w miejscu, gdzie ukrywała się po tym, jak przyszedł do niej Lichota – mówiłem dalej. – Ukrywała się przed wszystkimi, również przed policją. A Szydłowski myślał, że powiedziała mi coś o pieniądzach. Nie wiem, skąd miał takie przekonanie, mogę się tego tylko domyślać. I nie mógł zmusić do mówienia Martyny, bo jako jej opiekun od razu byłby podejrzany, w końcu sama zadzwoniła do niego i zdradziła, gdzie się ukrywa. Ale ja? Widać uznał,

ze może zaryzykować. Że to mu się opłaci. I że potem zniknie z pieniędzmi. No i przesarżował.

– Przykro mi... Ale w sumie jakoś mnie to nie dziwi. – Leśniewski pokiwał głową z rozżaleniem. – Wóda i karty odebrały mu rozum. Kiedy rozmawialiśmy z nim pierwszy raz, coś mi mówiło, że on nie jest dobrym pomysłem na to wszystko. Ale Jurek stwierdził, że on jest naszym jedynym pomysłem. I miał rację. Nie mogliśmy chwycić się nikogo ani niczego innego, bo nikogo ani niczego innego nie było... Tylko ten jebany Szydłowski...

Klik. Układaliśmy całą historię razem, każdy z nas dawał kolejny kawałek i lokował go we właściwym miejscu. Kolejna kolorowa plama na białym tle. To było trochę nienormalne, ale wciągające. Jak hazard. Ile jestem w stanie dać, żeby usłyszeć całą historię taką, jaka zdarzyła się naprawdę? I dowiedzieć się, dlaczego Leśniewski tak bardzo pragnął tego mitycznego skarbu, który okazał się realny?

– To zdradzi mi pan, po co potrzebował tych pieniędzy? – zapytałem cicho. – Uzupełni pan również tę lukę? Pobawimy się jeszcze kolorami? Nieźle nam idzie jak na razie.

Spojrzał na mnie pustym wzrokiem.

– Andżelika jest bardzo chora. Muszę ją ratować. Dlatego potrzebuję tych pieniędzy. Potrzebuję mnóstwa pieniędzy. Potrzebuję, kurwa, góry forsy, żeby uratować jej życie, rozumie pan?

Milczałem przez chwilę, aż znów coś kliknęło w głowie.

– Guz mózgu, prawda? – zapytałem cicho.

– Jezu... – wydusił przez ściśnięte gardło, patrząc na mnie niemal z przerażeniem w oczach. – Skąd pan wie?

– Nie wiedziałem tego wcześniej. Wpadłem na to przed chwileczką, kiedy powiedział pan, że jest chora.

– Jak, na miłość boską?

– Byłem jakiś czas temu tu u pana w biurze, pamięta pan?

– Pamiętam, no i co z tego? – zapytał napastliwie, przestraszony, czy cokolwiek to było, zniknął bez śladu. – Przecież nic panu wtedy nie mówiłem o jej chorobie.

– Nie musiał pan. To, co zdarzyło się wtedy z pana córką, te nagłe, gwałtowne wymioty bez wcześniejszych nudności. To jeden z objawów. Leżałem kiedyś przez kilka tygodni na neurochirurgii, widywałem takie rzeczy. Stąd wiem. Zgadza się?

Spuścił głowę.

Uświadomiłem sobie nagle, u kogo widziałem taki wyraz twarzy, jaki miał Leśniewski w tej chwili, a także wtedy, kiedy jego córka zwymiotowała. Widziałem kiedyś taką twarz u kilku osób.

To zawsze byli rodzice, często samotni. Samotne matki, samotni ojcowie ciężko upośledzonych dzieci. Pchali wózki inwalidzkie, na których siedziały ich córki lub synowie, przypominający rośliny, kontaktujący się ze

światem tylko oczami i seriami jęków. Na więcej te dzieci, często dorosłe, nie miały siły. A ich rodzice pchali te wózki z desperacją i śmiertelnym zmęczeniem himalaisty świadomego, że zdobywa ostatni ośmiotysięcznik w karierze. To byli niewyobrażalnie silni ludzie, zdolni przez tyle lat znosić ciężki los, cierpieć cierpieniem swoim i swoich dzieci, zahartowani w bólu swoim i ich. Nie mieli nikogo, by ich wspomógł, drżeli na myśl o swojej śmierci, ale nie dlatego, że bali się umrzeć; że bali się o siebie. Oni bali się wyłącznie o swoje dzieci, co z nimi będzie, kiedy ich zabraknie. Z wyjątkiem tej obawy o dzieci ich własny los był im obojętny, żyli już tylko po to, aby żyły one. I to było widać w żłobionych tym strachem rysach twarzy i rzeźbionych potwornym wysiłkiem zgarbionych sylwetkach. Nie domagali się od nikogo współczucia i nie mieli do nikogo żalu. Już nie. Po prostu pchali przed siebie wózek ze swoim dzieckiem, pchali go przez całe życie i tak już miało pozostać, tak jak na ich twarzach miał pozostać ten wyraz mieszanki strachu, zaciętości i rezygnacji.

Leśniewski miał ten wyraz twarzy. Tamtego dnia i teraz również. Dołożyłem więc następny kawałek historii. Pokolorowałem kolejną białą plamę.

– Wtedy, w pańskim w biurze, pana reakcja na tę sytuację i tłumaczenie były nieco za nerwowe jak na zwykłą niestrawność. Nawet jak na pański pobyt w areszcie... Mam na myśli to, że pańska twarz wtedy...

Nie wiem, jak to określić. Stracił pan wtedy opanowanie, na moment. Dosłownie na ułamek sekundy. Stracił pan tę swoją zimną krew. Dopiero teraz to sobie uświadomiłem, wie pan?

Otworzył usta w taki sam sposób, w jaki robi to ktoś bardzo zdziwiony, i powiedział ni stąd, ni zowąd:

– Sam nie wiem, czy to dobrze, że pan tu przyszedł, czy źle. Ale stało się. Stało się i nic na to nie poradzę. Muszę... Muszę zachować zimną krew, rozumie pan? – Przełknął ślinę jak ktoś, kto właśnie zdecydował się na zrobienie czegoś szalonego, i powiedział: – Przykro mi, ale będę teraz musiał pana zabić.

Oznajmił to takim tonem, jakby mu było z tego powodu trochę przykro, ale równocześnie żywił przekonanie, że fakt ten nie podlega dyskusji jako coś zupełnie naturalnego w tej sytuacji. Zobaczyłem, jak jego palce znów bieleją, zaciskając się na trzonku młotka. Nie wypuścił go ani na chwilę z ręki, a ja zdążyłem się już na tyle przyzwyczaić do tego, że w niej tkwi, by nie traktować go jako zagrożenia.

Błąd. Drugi. Pierwszy, jak już wspomniałem, to ten, że przyszedłem tu sam. Sam, choć nie do końca bezbronny.

– Nie mam nic do pana osobiście, nawet pana trochę polubiłem, ale po prostu kocham swoje dziecko – oświadczył Leśniewski zduszonym głosem. – Boże, kocham je tak bardzo, jak nikogo na świecie.



Leśniewski miał klasę. Żeby powiedzieć to w tak kurtuazyjny sposób, będąc w takim stanie psychicznym, bez wątpienia trzeba mieć klasę. Uniósł wysoko rękę z młotkiem i ruszył na mnie ze zwinnością, jakiej nie spodziewałbym się po mężczyźnie jego postury i w jego wieku. Zdarzają się otyli ludzie, którzy mimo tuszy poruszają się z wdziękiem, potrafią nawet tańczyć, i to całkiem nieźle. Leśniewski należał chyba do tej grupy. Był szybki. To myśl o córce dodała mu skrzydeł, a może raczej myśl, że stanowią zagrożenie dla niej i dla niego. Nie czekałem, tylko ruszyłem mu naprzeciw z wyciągniętą przed siebie ręką. Ja też w swojej coś trzymałem. Zanim on opuścił swoją, tę z młotkiem, ja przytknąłem elektrody paralizatora do jego brzucha i wcisnąłem przycisk. Usłyszałem charakterystyczny lekki trzask i sto tysięcy woltów przepłynęło przez jego ciało, zmieniając niemal wszystkie mięśnie w kamień. Upadł na podłogę jak kłoda, dopiero teraz wypuszczając z ręki młotek. Poraziłem go lekko, nie wiedziałem, czy ma chore serce. Zresztą nie miałem zamiaru go krzywdzić, chciałem tylko uniemożliwić to, co usiłował zrobić przed chwilą.

Dopiero teraz pomyślałem, co bym zrobił, gdyby Leśniewski po prostu wyciągnął broń, a nie rzucił się na mnie z tym, co akurat miał pod ręką. Rychło w czas. Bo wtedy nie zrobiłbym już nic. To ja leżałbym teraz na podłodze, zapewne martwy, z drugą kulą w głowie, która

w przeciwieństwie do pierwszej tym razem załatwiłaby sprawę skutecznie.

Na szczęście dla mnie na podłodze leżał teraz Leśniewski; miał szeroko otwarte oczy i dochodził do siebie, chyba nie wiedząc, co się stało. Kiedy zrozumiał, szarpnął się, ale obolałe mięśnie nie dały rady poprawnie zareagować na impuls wysłany z mózgu. Leśniewski skulił się tylko i oddychał spazmatycznie. Potem powoli odwrócił głowę w moją stronę.

– Ona jest w wieku, w którym takie choroby są bardzo agresywne i szybko postępują. Liczy się przede wszystkim czas, rozumie pan? Powiedzieli, że jest beznadziejnie. Zawsze tak mówią, boją się próbować, boją się odpowiedzialności, boją się wszystkiego. Chuj z nimi. Jest w Stanach taki profesor... W Stanford. Skontaktowałem się z nim. Twierdził, że istnieje eksperymentalna terapia, którą można by zastosować u Andżeliki. Że być może guz zmniejszyłby się na tyle, że przestałby uciskać wrażliwe obszary i nawet można by się podjąć operacji, która uratuje jej życie. Tylko że to kosztuje. Ponad osiemset tysięcy... Dolarów. Plus przeloty, pobyt... NFZ nie refunduje niesprawdzonych terapii, poza tym to i tak za granicą.

– Są inne sposoby – powiedziałem to trochę niepotrzebnie, bo poczułem żal.

Czułem żal wcześniej, ale walczył on z innymi odczuciami, które żywiłem wobec Leśniewskiego. Teraz

chwilowo wygrywał, więc teoretycznie mogłem oszczędzić Leśniewskiemu tych słów.

Twarz „Malechy” wykrzywiła się w grymasie lekceważenia.

– Co, zbiórka w Internecie albo podłączenie się pod jakąś fundację? Kpi sobie pan? Widział pan Andżelikę? Grubawa nastolatka z trądzikiem... Tak, kocham ją, ale to nie znaczy, że nie zdaję sobie sprawy, że jest brzydka! Gdyby miała trzy latka i buźkę aniołka, pokazywaliby ją w telewizji, a tę forszę zdobyłbym w tydzień, rozumie pan? W ty-dzień! A fundacja? Pierwsze pytanie: jaka jest sytuacja materialna rodziców dziecka? Kurwa, myśli pan, że ktoś by uwierzył, że mój realny majątek nie przewyższa majątku pierwszego lepszego dyrektora jakiejś miejskiej czy państwowej spółki? Wszystko pozory, wszystko! Kiedy jest się ładnym i bogatym, można wiele, kiedy jest się brzydkim i biednym, życie kopie cię w twarz... Co miałem robić? Co, do kurwy nędzy, miałem robić!? Powie mi pan, jak pan jest taki mądry? Co?

– Nie jestem mądry. – Znów nie chciałem mówić tego, co przyszło mi do głowy, to było trochę jak kopanie leżącego, ale nie mogłem się powstrzymać, żal zajmował widać chwilowo odleglejsze miejsce. – Nie jestem mądry, ale nie oceniam tego pod wpływem emocji, jak pan teraz i być może wcześniej, skoro brał pan pod uwagę nawet morderstwo. Chyba że ono nic dla pana nie znaczy, tego

tak naprawdę nie wiem. Ratował pan jedno życie, zabierając inne, i to tylko dlatego, że należało do kogoś obcego. A gdyby musiał pan poświęcić życie któregoś z pozostałych córek, by ratować tę pierwszą? Albo swoje? Co by pan zrobił?

Wciąż leżąc, uniósł wysoko głowę.

– Mówiłem już panu, co bym zrobił ze swoim życiem. Oddałbym je jej. Bez wahania...

Nie powiedział nic o pozostałych córkach. Nie miał argumentu albo bał się go użyć. Trzymał się Andżeliki, rozpaczliwie, jakby wspomnienie o pozostałych córkach i wrzucenie ich w te chore rozważania przekraczało jego siły. Dylemat wagonika ćwiczony w realnym życiu. Koszmar.

– Zgadza się, mówił pan – przyznałem, nie wracając do tego, bo to i tak nie miało znaczenia. – I ma pan takie prawo, bo może pan decydować o swoim życiu, może pan z nim zrobić, co się panu żywnie podoba. Ale decydował pan o życiu innych, o jego odebraniu, a to jest już zbrodnia. Łatwiej oddać czyjeś życie niż swoje, prawda?

– Słyszysz się pan w ogóle? – Razem z głową podniósł głos. – Nikogo nie zabiłem!

– Chce mi pan powiedzieć, że po wyciągnięciu informacji od Grynera Lichota zadzwoniłby po karetkę i powiedziała by, że on spadł ze schodów? A Gryner by to potwierdził? To przecież pan wysłał tam Lichotę, a przynajmniej dał mu pan na to przyzwolenie. A on

poszedł, w końcu lojalność legionisty zobowiązuje, prawda? Więc poszedł. I musiał pan wiedzieć, jak to się skończy, nawet jeśli nie kazałby pan mu Grynera uciszyć na zawsze, mówiąc to wprost. To samo z Szydłowskim. Nie pożyłby długo, gdyby udało się panu zdobyć skarb Maziarza. Chciałby więcej i więcej, już nie za zdradę, a za milczenie, więc Lichota zrobiłby z nim to samo: uciszył go. Nie tak?

Leśniewski patrzył na mnie i nic nie mówił. Nie musiał. Potwierdzenie moich przypuszczeń widziałem w jego oczach. Moja teoria nie była wymysłem, spekulacją ani bajeczką. Byłem pewien, że właśnie w ten sposób to by się skończyło. Bo to zawsze się tak kończy: spiralą śmierci. I Leśniewski też to wiedział.

– Owszem, nie zabijał pan osobiście – kontynuowałem, potok gorzkich słów wylewał się z moich wykrzywionych ust. – Ale moim zdaniem to pana nie tłumaczy. Zastanawiam się tylko, czy byli inni; inne ofiary, o których nie wiem. Ale najgorsze w tym wszystkim jest to, że gdyby nie głupi przypadek, Martyna również by zginęła. I chyba tego najbardziej nie mogę panu darować... Nie tego skurwysyna Lichoty, nie cwaniaczka Grynera i nie Szydłowskiego, tylko jej... Jest pan jak ten człowiek z pociągu, o którym pan opowiadał, wie pan? Tylko że nie podstawił pan esesmanowi swojej dziewczyny jak tamten chłopak, ale jakiegoś obcego człowieka. Nie podstawił pan swojej córki, tylko Grynera,

Martynę Maziarz, Szydłowskiego. Lichotę też. Ale to nie ma znaczenia. Nie ma różnicy, czy to swój, czy obcy. Człowiek to człowiek.

– Pomyliłem się co do pana – warknął Leśniewski, marszcząc twarz w wyrazie obrzydzenia. – Kompletnie się pomyliłem. Pan nie wie, co to znaczy kochać własne dziecko. Nie ma pan, kurwa, bladego pojęcia! Ale nie dziwota. W końcu dopuścił pan do śmierci swojej córki, a ja... Ja po prostu robiłem i robię wszystko, żeby moja córka przeżyła. Wszystko! Rozumiesz? Wszystko!!!

Trafił mnie w czuły punkt. Może chciał, żebym coś zrobił? Ale minęło już sporo czasu, odkąd moja córka i żona zginęły; dość, żebym mógł sobie pewne sprawy wytłumaczyć. A na pewno to, że w ich śmierci nie było krzty mojej winy. Takie rzeczy po prostu się zdarzają. Nie powinny, ale zdarzają.

– Pierdolisz pan – powiedziałem powoli, patrząc na Leśniewskiego z góry. – Zabijałeś ludzi. Cudzymi rękoma, ale zabijałeś. Nie ma usprawiedliwienia. Nie ma na to usprawiedliwienia, nawet jeśli umiera ci dziecko. Bo nie pozostaje wtedy nic innego, niż się z tym pogodzić. Albo zwariować. Taka jest prawda, z którą trzeba się zmierzyć. Jakkolwiek trudne by to było.

– To pan pierdolisz. – Spojrzał na mnie z nienawiścią i obłędem w oczach. – To pan pier-do-lisz! To frazesy! Pieprzenie w bambus... Takie pieprzenie skuteczniają nieudacznicy, którzy zamiast działać, wołają się nad sobą

użalać! Wynajdują takie pierdoły w Internecie, jakieś głupawe teksty o podnoszeniu się z upadku i podniecają się nimi, jakby to, kurwa, miało im w czymkolwiek pomóc.

Człowiek, który odbierał ludziom życie nie swoimi rękoma, nie umiał pogodzić się z tym, że jego córce odbierało je jej własne ciało. Ale rozumiałem go. Nie mogłem zgodzić się z jego podejściem do sprawy, ale go rozumiałem.

– Co ty wiesz o umieraniu, Suder? – wysyczał nagle.

Dotknąłem lekko głowy i wyczułem pod opuszką zgrubienie sierpowatej blizny i kształt tytanowej płytki. Gdzieś pod nią tykał zegar mojego życia, a ja nie miałem pojęcia, która na nim może być godzina.

– Coś niecoś wiem – mruknąłem, patrząc spokojnie, jak Leśniewski usiłuje wstać z podłogi. – Coś niecoś wiem...

– Chuj mnie to obchodzi – wybełkotał zaśliniony i już bez klasy.

Kucał teraz podparty rękami jak jakaś zaba. Przypominał wielkie dziecko bawiące się w berka kucanego, tylko że to nie była zabawa, a on szykował się do zrywu.

– I tak nie mam już wyjścia. Moja córka jest dla mnie... najważniejsza, rozumiesz? Nie dopuszczę, żeby to wyszło na jaw... Nie dopuszczę... Mam jeszcze... Mam jeszcze szansę!

Kiedy rzucił się na mnie desperacko, po prostu wyciągnąłem rękę przed siebie, wcisnąłem przycisk paralizatora i pozwoliłem, żeby zrobił to sobie sam. Wyładowanie było dużo słabsze od pierwszego, ale to była kolejna dawka wysokiego napięcia, jaką Leśniewski przyjął. Odbił się ode mnie i znów przez kilkanaście sekund leżał sztywno na podłodze. Kiedy zaczął ponownie głęboko oddychać, rzuciłem mu koło głowy sztabkę złota. Upadła z głuchym łoskotem, plastikowa osłona plasnęła o podłogę, przejechała po czarnej posadzce kilkanaście centymetrów i znieruchomiała, zatrzymując się niemal tuż przy jego twarzy. Zamrugał, a potem zrozumiał, na co patrzy.

– Już po wszystkim, panie Leśniewski – powiedziałem cicho. – Po wszystkim. Mityczny skarb księgowego mafii. Nie było pieniędzy, było to złoto ukryte w grobowcu Maziarza, ale wszystko zostało już zabrane przez policję. Wszystko, oprócz tego. – Wskazałem na leżącą obok niego sztabkę i dodałem: – Przykro mi.

– Ile tego było? – wydusił z siebie.

– To nieistotne...

– Ile?! – wywarczał przez zaciśnięte zęby.

Patrzyłem na niego i zastanawiałem się, czy mu powiedzieć. Czy jest sens mówić cokolwiek. Czy ta wiedza mu w czymś pomoże, czy tylko zaszkodzi, albo w drugą stronę; czy będzie się tym gryzł do końca życia, jeśli mu nie powiem. Jeśli jednak nie będzie wiedział.



I zastanawiałem się nad czymś jeszcze. Czy gdybym znalazł to złoto sam i nikt nie miałby pojęcia o jego istnieniu, co zrobiłbym teraz. W tej chwili, mając tę wiedzę. I nawet jeśli znałem odpowiedź na to pytanie, i tak nie miała ona żadnego znaczenia. Nie da się zawrócić czasu.

– Nie wiem ile, panie Leśniewski – powiedziałem w końcu. – Nie udzielili mi żadnych informacji. Wszystko, co dotyczy świadków koronnych, z mocy ustawy objęte jest klauzulą „ściśle tajne”. Zanim kazali mi opuścić miejsce ekshumacji, zdążyłem tylko zabrać tę jedną sztabkę...

– Dlaczego mi to robisz, człowieku? – stęknął Leśniewski, wskazując złoto podbródkiem. – Dlaczego mnie katujesz?

Tak się składało, że akurat na to pytanie znałem odpowiedź.

– Powiem panu, dlaczego ukradłem tę sztabkę. Bo chciałem, żeby osoba odpowiedzialna za to wszystko zobaczyła na własne oczy, że dalsza walka o ten pieprzony „skarb” nie ma sensu. Zrobiłem to, nie wiedząc jeszcze, że tą osobą jest pan. I teraz chcę, żeby pan zostawił już tę biedną dziewczynę i jej dzieciaka w spokoju, żeby mogli jakoś posklejać na nowo swoje życie, które pan oraz Lichota rozpieprzyliście w drobny mak. A jeśli chodzi o mnie... Jestem teraz trochę rozdarty: czuję satysfakcję i jest mi przykro jednocześnie.

Rozumie pan, co mam na myśli? Czy pan to rozumie, panie Leśniewski?

Pokiwał głową i zaczął płakać. To był moment kapitulacji, właśnie w tej chwili dotarło do niego z całą przerażającą jasnością, że to już naprawdę koniec. Przywarł do podłogi, ukrył twarz w dłoniach i szlochał cicho. Przez chwilę miałem wrażenie, że patrzę w lustro, w którym widać przeszłość.

Wyszedłem.

\* \* \*

Nie wierzę w sprawiedliwość. Nie ma czegoś takiego, a nawet jeśli istnieje, jest niemierzalna w żadnych rozsądnych kategoriach. Czy śmierć jest karą? Dla jednych jest karą albo zemstą, dla innych łaską. Czy trzydzieści, czterdzieści albo pięćdziesiąt lat spędzonych w więzieniu jest dla Marty Kielan i Marcina Bogutowicza sprawiedliwą karą za to, co zrobili moim bliskim i innym ludziom? Za to, że zabrali im życie? Nie sądzę. Czy skazanie ich na karę śmierci, gdyby obowiązywała, byłoby sprawiedliwe i zadośćuczyniłoby mi krzywdy, zmieniłoby to, że Jola, Agnieszka i inni nie żyją? Nie sądzę. Byłoby po prostu o dwa trupy więcej, tyle że w majestacie prawa.

Jaką karę musiałby ponieść Jarosław Leśniewski za to, co zrobił, żeby można było uznać ją za sprawiedliwą? Ten człowiek decydował o życiu i śmierci ludzi. Jednym je

niszczył, innym odbierał. Czy jest ważne, że robił to w imię celu, który uznał za najwyższy? W imię ratowania innego życia? Czy jest ważne, że nie zabijał osobiście, a jedynie sprawiał, że w jego imieniu robił to ktoś inny? Że to nie jego palec pociągał za spust, nie jego pięść biła na śmierć, nie on wpychał pod pociąg? Że to wszystko nie jest takie oczywiste i jednoznaczne? Nie, to nie jest istotne. Istotne jest to, że zginęli ludzie. Żli ludzie, ale ludzie. Czy to też ma jakieś znaczenie i umniejsza winę Leśniewskiego w jakikolwiek sposób? Nie wiem. Nikt tego nie wie. Niektórzy twierdzą, że wiedzą takie rzeczy na pewno. Inni starają się tego dowiedzieć, starają się doszukać w tym wszystkim jakiegoś ukrytego sensu, ale śmiem twierdzić, że ich trud z góry skazany jest na porażkę. O tych pierwszych, którzy wiedzą na pewno, nawet nie wspomnę.

Bo nie ma sensu.

Milczałem. Oficjalnie wciąż nie było jasne, kto kazał Lichocie wyciągnąć od Martyny informację o ukrytych przez jej męża pieniądzach. Nie wiadomo było również, komu jej prawdziwą tożsamość zdradził Szydłowski, a sprawa śmiertelnego pobicia Grynera wciąż omyłkowo zawyżała policyjne statystyki wykrytych sprawców zabójstw.

Sprawa Martyny Maziarz została nierozwiązana. A przynajmniej nie do końca.

Milczałem nie ze strachu. Nie bałem się Leśniewskiego. Niewielu rzeczy już się bałem. Milczałem z poczucia bezsensu. Z braku wiary w sprawiedliwość, jakąkolwiek: ludzką czy boską. I dla świętego spokoju. Swojego i Martyny. Ona też chciała to tak zostawić, mimo że Leśniewski zniszczył jej drugie życie. Miała już dość i chciała, żeby to wszystko wreszcie się skończyło. Więc skończyliśmy to razem, spuszczać na zgliszcza tej sprawy zasłonę milczenia.

Jeśli to, co stało się potem, traktować już jako coś w rodzaju ślepej sprawiedliwości czy też kary, to Leśniewski otrzymał jej najwyższy z możliwych wymiar. Była nią śmierć, ale nie jego śmierć. Córka Leśniewskiego zmarła trzy tygodnie później w szpitalu na Unii Lubelskiej podczas operacji neurochirurgicznej, którą zdecydowali się przeprowadzić tamtejsi lekarze. Leśniewski nie zdobył pieniędzy na leczenie w Stanach, eksperymentalna terapia, która była jego nadzieją, pozostała w sferze marzeń. Nie wiem, czy winił za to mnie, czy siebie, czy kogokolwiek innego. Na przykład Boga.

Ale był jeszcze jeden powód mojego milczenia. Leśniewski miał przecież drugą małoletnią córkę.

Byłem na pogrzebie Andżeliki. Stałem i obserwowałem, jak biała trumna z chromowanymi okuciami opuszczana jest do grobu. Była warta tyle, że można by za to sfinansować na przykład rehabilitację

dziecka po przeszczepie szpiku. Albo porządny wózek inwalidzki. Cokolwiek, co mogłoby komuś posłużyć znacznie dłużej niż pół godziny, które zajmuje przeciętny pogrzeb. Leśniewski patrzył bez zmrużenia powiek i bez śladu łez, jak ciało jego córki znika w ziemi. Po jego twarzy widać było, że nie będzie płakał, że po prostu nie ma już czym. Jego żona przeciwnie. Płakała bez przerwy, pocieszana przez matkę Leśniewskiego, chwiejąca się, wtulona w jej ramię, schowana w kokonie rozpaczony tak wielkiej, że nie jest jej w stanie zrozumieć nikt, kto nie jest matką. Obok stała najstarsza córka Leśniewskich, pod rękę z jakimś młodym człowiekiem, zapewne swoim mężem. Błada, na oko szesnastoletnia dziewczynka, która stała wciśnięta między nich, była za duża na ich dziecko, to musiała być Sandra, średnia córka Leśniewskiego; ta, o której musiałem pamiętać, rozważając, jak postąpić z jej ojcem.

Czy myślałem podczas tej smutnej, pełnej łez i żalu do losu uroczystości o swojej rodzinie? To byłoby całkiem naturalne, ale nie miałem przykrych wspomnień, bo przecież gdy chowano moją córkę i żonę, leżałem w śpiączce w berlińskim szpitalu. Teraz byłem po prostu na pogrzebie nastolatki, której się nie udało.

Kiedy grabarze zaczęli usypywać prostopadłościenny kopiec nad jej ukrytym w pięknej, drogiej trumnie martwym ciałem, Leśniewski podszedł do mnie. Stałem z tyłu, ukryty za tłumem ubranych na czarno ludzi, ale

on mnie dostrzegł, precyzyjnie się pomiędzy nimi i stanął przede mną. Nic nie powiedział, nie wspomniał słowem o tym, co wydarzyło się między nami w jego biurze miesiąc wcześniej. Panowała cisza, ksiądz skończył swoje zawodzenie, którego nie podjęli żałobnicy, słychać było tylko metaliczne szuranie szpadli kształtujących lekko pochyłe ściany kopca. Kiedy tę ciszę, niczym cios, przeszył dźwięk wbijanego w jego wezłowie drewnianego krzyża, Leśniewski wyciągnął do mnie dłoń. Przez chwilę wahałem się, czy podać mu swoją. Miałem w dupie to, że uczyniłbym mu publiczny afront. Nie byłem po prostu pewien, czy ten jego gest ma być gestem wdzięczności za to, że trzymałem język za zębami, dzięki czemu był na wolności i jak na razie nic mu nie groziło. Miałem nadzieję, że nie o to mu chodziło, że chciał mi po prostu podziękować wyłącznie za to, że przyszedłem na pogrzeb jego córki. W końcu uścisnąłem wyciągniętą do mnie rękę. Zrobiłem to nie jako cichy współnik w zbrodni, za którego niektórzy mogliby mnie wobec mojego milczenia uznać. Zrobiłem to jako ojciec. Ojciec, któremu los też odebrał córkę. Wyłącznie dlatego.

Popatrzyliśmy sobie w oczy po raz ostatni, a potem on odszedł ścisnąć dziesiątki, a może nawet setki innych dłoni. Zwyczajny kopiec z brązowożółtej ziemi zalało morze kwiatów, wartych fortunę. Za kilka dni miały być równie martwe, jak przykryta nimi dziewczynka, i warte tyle, co nic. Patrzyłem na nie i na dołączające do nich pluszowe

zwierzaki, rzućane na stos wieńców przez jej koleżanki i znów, wbrew sobie, może z rozpaczliwą nadzieją na znalezienie odpowiedzi, zastanawiałem się, gdzie w tym wszystkim jest sens.

\* \* \*

Jeśli komuś po tej historii, po tym, jak się zakończyła, pozostał niedosyt, to trudno. Mnie on również pozostał, ale nigdy nie dostaniemy od życia tego, czego oczekujemy. Dostaniemy jedynie ten niedosyt. Czasem tylko skapnie nam coś lepszego. A czasem wręcz przeciwnie.

Życie.

Zdarza się.

## IX

Po Martynę i Kosmę przyjechali rano.

Dwa dni wcześniej Martyna odbyła przez telefon długą rozmowę z Ziętarskim, uzgadniając warunki dalszej ochrony. A dziś zjawił się po nich cywilny samochód, ale wiedziałem, że w srebrnym opalu vivaro z ciemnymi szybami, który jak przyklejony przyjechał za nim, kryło się kilku uzbrojonych funkcjonariuszy. Ci w furgonetce nie mieli pojęcia, po kogo jadą, wiedzieli tylko, że jakby co, muszą ich chronić nawet za cenę swojego życia.

Taka robota.

Wyszliśmy z Martyną i Kosmą do ogrodu. Ziętarski i jakiś policjant zrobili to samo od strony furtki i spotkaliśmy się mniej więcej w połowie drogi. Mołczuna tym razem nie było i trochę mnie to dziwiło, ale widać tak miało być. Obaj funkcjonariusze zatrzymali się kilka kroków wcześniej, świadomi chyba tego, że zaraz nastąpi bardzo intymny moment pożegnania. Żegnaliśmy się już z Martyną i Kosmą jakiś czas temu, ale co z tego?



Nie było ostatnich spojrzeń, ostatnich słów. Po prostu przejęli ją i Kosmę i zaprowadzili ich do samochodu. Usłyszałem tylko trzaśnięcie drzwi. Wiedziałem, że tak to się odbędzie. Byłem tego pewien, dlatego wszystko, co trzeba, powiedzieliśmy sobie poprzedniego wieczoru.

Wczoraj po kolacji, kiedy Kosma poszedł już spać, Martyna zeszła na dół, stanęła przy blacie w kuchni i zapatrzyła się w okno. Kiedy usłyszała, że idę do niej, odwróciła się i jak zwykle odgarnęła grzywkę.

Kurwa, jak mi będzie tego brakować...

– Cóż... – zacząłem, bo nie wiedziałem, co innego mógłbym powiedzieć.

Nie miałem doświadczenia, jeśli chodzi o trudne rozstania z bliskimi. Nawet jeśli do tej pory się zdarzyły, to nie uczestniczyłem w nich świadomie, a te osoby były mi po prostu odbierane. Jak Jola i Aga.

Martyna uśmiechnęła się smutno, a jej oczy wypełniły się łzami.

– Nie becz – powiedziałem. – Jesteś w końcu psychologiem.

– I co z tego, głupku. – Pociągnęła nosem, głaszcząc mnie po klatce piersiowej.

Wdychałem zapach jej włosów.

– Będzie mi cię brakować jak cholera, Martyna – szepnąłem.

– Nie Martyna – powiedziała. – Trochę namieszam ci w głowie, ale zostaję jednak przy Milenie Korcz. Tak

zdecydowałam. Dla Kosmy też tak będzie lepiej. Oni... – mówiła o funkcjonariuszach z programu ochrony świadków – ...chcieli, żebym znów zmieniła tożsamość, ale ja zdecydowałam, że zmienię jedynie miejsce pobytu. Wszyscy wciąż myślą, że grozi mi realne niebezpieczeństwo, tylko my dwoje wiemy, że to, co się ostatnio zdarzyło, nie ma nic wspólnego z przeszłością, z tym, co zrobił Przemek... I dalej nikomu nic nie powiemy, prawda?

Patrzyła na mnie badawczo.

– Prawda – przytaknąłem. – Taką decyzję podjęliśmy i tego będziemy się trzymać.

Leśniewski nie miał pojęcia, że jego życie wciąż było w naszych rękach, moich i Martyny. Wiedział tylko o moich i tak naprawdę nie mógł być pewien, że kiedyś nie zmienię zdania. Nie powiedziałem mu nigdy wprost, że to wszystko, co wydarzyło się w Szczecinie i Gdańsku, pozostanie tajemnicą, wyłącznie naszą i na zawsze. Musiał mi zaufać, a ja musiałem zaufać jemu, że nie ponowi próby zamknięcia mi ust, definitywnie, właśnie po to, żeby ta nasza tajemnica pozostała nią już na zawsze. Ale Leśniewski nie wiedział, że Martyna podzieliła mój punkt widzenia na jego sprawę. Gdyby doszła do wniosku, że „Malecha” ma jednak odpowiedzieć za to, co zrobił, bez wahania zakapowałbym go Januszowi Pałce. Ale Martyna tego nie chciała. Podziwiałem ją, jej siłę, gotowość do wybaczenia, a właściwie empatię. Bo

podobnie jak ja, nie zrobiła tego dla Leśniewskiego, tylko dla jego pozostałych córek. Wyłącznie dla nich. Wiedziała dobrze, jak to jest być bliskim przestępcy. Wiedziała to po sobie i po swoim synu. I nie roztrząsaliśmy tego dłużej. O ile w przypadku Lichoty czy Szydłowskiego brak skrupułów miał jakieś usprawiedliwienie, o tyle w przypadku Grynera sprawa była dyskusyjna. On też miał córkę, dorosłą. I ona zasługiwała na prawdę, zasługiwała na to, żeby wiedzieć, dlaczego jej ojciec zginął. Kibolom odpowiadającym przed sądem za pobicie ze skutkiem śmiertelnym mogłem tylko życzyć powodzenia. Ale tak wybraliśmy. Dokonaliśmy najlepszego wyboru spośród wszystkich złych. Minimalizacja negatywnych skutków, oto czym był nasz wybór. Przystawieniem zwrotnicy i skierowaniem wagonika na tor, do którego było przywiązanych najmniej ludzi. Bo zło się już wydarzyło, wagonik pędził i nie chciało mi się już dociekać, czy Leśniewski, popychając go, był świadomy konsekwencji... które poniósł również on sam.

Takie wybory nigdy nie są łatwe, ale dobro dzieci, dobro córek Leśniewskiego, uznaliśmy z Martyną za najwyższe.

Poza tym byliśmy już zmęczeni. Oboje.

W ogólnopolskich mediach pojawiły się wieści o odkryciu sztabek złota w grobowcu mężczyzny powiązanego z aferą „mafii finansowej” sprzed ponad

dziesięciu lat. Odgrzano stare kotlety, przypomniano okoliczności tamtej sprawy, które jednak bladły wobec afery Amber Gold; w końcu w sprawie „Omnium rerum” nie powołano sejmowej komisji śledczej, a straty poniósł wyłącznie skarb państwa, a nie setki czy tysiące zwykłych ludzi, konkretnych osób. Mieliśmy jednak nadzieję – Martyna, ja, Ziętarski i inni z programu ochrony świadków – że to wystarczy, by uchronić Martynę przed kolejnymi próbami ataku. Że wystarczą te wieści i kolejna potajemna przeprowadzka. My z Martyną mieliśmy coś więcej niż nadzieję, choć stuprocentowej pewności też nie mogliśmy mieć.

Nigdy.

– Gdzie pojedziecie? – zapytałem.

– Na razie nie będziesz tego wiedział. – Uśmiechnęła się przepraszająco. – Oczywiście udowodniłeś już, że nie ma dla ciebie przeszkód, jeśli chcesz kogoś odnaleźć, ale nie rób tego na razie po raz drugi, dobrze? Daj mi trochę czasu. Kto wie, może kiedyś się do ciebie odezwę? Może nawet niedługo? A jeśli chodzi o naszą rozmowę o biochemii i doświadczeniu w miłości... Nie mówię ci, żebyś na mnie czekał, nie żądam tego od ciebie, ale jeśli nic ci się po drodze nie trafi, żadna strzała amora, ani mnie również i w końcu się spotkamy, to... To myślę, że moglibyśmy spróbować. Co ty na to? Ale dopiero za jakiś czas. W porządku?

Pokiwałem głową. Co mogłem powiedzieć? Że nie w porządku? Że ja chcę spróbować teraz?

– Będzie mi pana brakować, panie Suder – oznajmiła, patrząc mi z bliska w oczy. – To wiem na pewno. Bardzo.

Objęła mnie mocno i przytuliła, zrobiłem to samo. Staliśmy tak dłuższą chwilę, czułem jej zapach i dłonie na swoim karku. A potem spojrzała zza mojego ramienia i parsknęła śmiechem. Odwróciłem się. Mały ciekawski podsłuchiwacz stał na schodach i patrzył na nas.

Podszedłem do schodów i kucnąłem przed nim, myśląc, jak banalnie i hollywoodzko wygląda ta scena i to, co zaraz zamierzałem mu powiedzieć. Ale cholernie się cieszyłem, że to wygląda właśnie tak, a nie inaczej. Że nie żegnam jego i jego matki w kostnicy albo na cmentarzu, tylko w swoim ogrodzie i na swoich warunkach.

– Skoro już nie śpisz, a właściwie jeszcze nie śpisz, to mam dla ciebie kilka słów na pożegnanie. Opiekuj się mamą, bądź grzeczny i nie podsłuchuj za dużo. Masz się cieszyć Harrym Potterem, transformersami i deskorolką, a nie martwić rzeczami, którymi martwią się dorośli, rozumiesz? Na to jeszcze przyjdzie czas. Ciesz się życiem, a resztę zostaw nam. Jasne? – Wstałem, wszedłem na pierwszy stopień i chwyciłem go za drobne, kościste ramiona, lekko nim potrząsając, jakbym chciał wymóc na nim tę obietnicę.

Kosma w milczeniu skinął poważnie głową. Martyna zaprowadziła go na górę i już nie wróciła. Czekałem, siedząc na kanapie i gapiąc się w okno, ale nie zeszła już do mnie. Ja też nie poszedłem do niej, tylko wziąłem do ręki telefon i wybrałem numer Ziętarskiego.

Odebrał od razu.

– Coś się zmieniło? – Miał zaniepokojony głos.

– Nie – odpowiedziałem. – Nic się nie zmieniło. Uznałem... Uznałem, że wypadałoby podziękować.

– Mnie? Za co? – Roześmiał się. – Taka robota.

– Sam pan dobrze wie, że to nie do końca tak. Wie pan też, za co chciałbym panu podziękować, więc daruję sobie łązy szczęścia i oszczędzę mnóstwo słów. Może być?

– Może. – Znów się roześmiał. – Może... Czyli jednak miałem rację?

– Z czym? – zapytałem.

– Skoro podejmujemy obiekt z konkretnego miejsca, to oznacza, że on tam ciągle był?

– A skąd!

Westchnął.

– Mam nadzieję, że nic podobnego więcej się nie zdarzy – powiedziałem cicho. – Nie teraz, co?

– Ja też mam taką nadzieję, choć pani Korcz nie wyraża zgody na niektóre nasze działania związane z zapewnieniem jej bezpieczeństwa. Twierdzi, że robi to na własne ryzyko, choć powinna być świadoma, że nie

tylko na własne. Więc sam pan wie, że teoretycznie musimy być przygotowani na wszystko...

Wiedziałem. Ale on nie wiedział wszystkiego. I to dobrze, bo to oznaczało, że będą się starać.

– Taka robota, co? – zapytałem tylko.

– Zgadza się – przytaknął. – Taka robota...

– W takim razie do jutra. – Westchnąłem.

– Tak. Do jutra.

Rozłączyłem się.

A jutro nadeszło wyjątkowo szybko. Stałem teraz na szczycie schodków prowadzących do mojej altany i patrzyłem, jak Martyna, Kosma i Ziętarski idą w kierunku nieprzekraczającego dwóch metrów wysokości żywopłotu, za którym czekał na nich ciemnoszary volkswagen i ochrona w opłu.

Mijając furtkę, Martyna odwróciła się do mnie na chwilę, kiwnęła głową, potem poprawiła grzywkę, pomachała mi i wszyscy zniknęli za żywopłotem. Zniknęli mi z oczu i z mojego życia.

Stałem, patrząc na przedni błotnik i maskę volkswagena, widoczne zza żywopłotu przez otwartą furtkę, i słuchałem cichego klekotu dieslowskich silników obu samochodów. A potem patrzyłem, jak maska i błotnik powoli znikają, a klekot przechodzi w odległy jednostajny szum, cichnie i w końcu zupełnie ustaje, rozplywając się w upalnym powietrzu spokojnego letniego dnia. Wzbity oponami tuman kurzu powoli osiadał na ścieżce.

Jakby powiedział to Leśniewski: scena jak z kiepskiego filmu klasy B.

Zabawne, jak punkt widzenia zależy od tego, z której strony ekranu się siedzi. Kiedy się taką scenę ogląda, razi trywialnością i ograniem, a kiedy się w niej gra, gra tak naprawdę, wtedy poraża smutkiem i beznadzieją.

Znowu zostałem sam.

KONIEC

Szczecin/Pilchowo, 18 lipca – 17 października 2016



## OD AUTORA

Zwykle staram się porządnie przygotować do historii, którą Wam przedstawiam. Rozmawiam ze specjalistami, drażę temat, a i tak czasem okazuje się, że gdzieś popełnię błąd, za który można tak naprawdę winić wyłącznie mnie. Tym razem na tapecie był program ochrony świadków. To bardzo poważna sprawa, i to chyba jest oczywiste. Przez jakiś czas zabiegałem u pewnego policjanta o kontakt z byłym oficerem policji działającym w POŚ, ale te starania spełzły na niczym. Chodziło generalnie o to, że nie jestem w stanie wypić z kimś takiej ilości alkoholu, która mogłaby rozwiązać mu język. Tym razem musiałem sporo nazmyślać, opierając się jednak na dostępnych informacjach, takich jak na przykład ustawa o ochronie informacji niejawnych i inne akty prawne dotyczące tej kwestii czy publikowane w Internecie zarządzenia komendanta głównego policji. Mam nadzieję, że ten fakt nie zepsuje Wam przyjemności spotkania z Suderem...

Chciałbym jak zwykle serdecznie podziękować kilku osobom, pomocnym w powstaniu tej opowieści. To między innymi dzięki Wam Suder wikła się wciąż w nowe

historie, które mogę opisać. Uświadomiłem sobie właśnie, że to już w sumie piąte podziękowania, wyrażone częściowo po raz kolejny tym samym ludziom, co mnie bardzo cieszy. Mam nadzieję, że będę Wam dziękował jeszcze nie raz i nie dwa. I że to grono będzie się powiększać z książki na książkę!

A więc:

Sylwkowi, jak zwykle.

Pani prokurator Małgorzacie Wojciechowicz ze szczecińskiej Prokuratury Okręgowej, panu prokuratorowi Ryszardowi Gąsiorowskiemu, rzecznikowi Prokuratury Okręgowej w Koszalinie, pisarce Magdzie Witkiewicz (to, jak się poznaliśmy, to jeden z najbardziej zaskakujących przypadków w moim życiu) – za dziki na Matemblewie i za aferę z Matemblewem, dyżurnemu z komórki Dyżurnego Inżyniera Miasta (gdańszczanin z dziada pradziada) – za niebieskie berety, też na Matemblewie.

Krzysztofowi Konkolewskiemu z *Ahlbeck OstseeTherme* dziękuję za użyczenie nazwiska i osoby do jednej ze scen. Kiedy tylko go zobaczyłem (wyłącznie dzięki awarii systemu informatycznego, która „zawiesiła” kasy), wiedziałem, że tak musi wyglądać pracownik basenu, z którym rozmawia Suder. Zaskoczony głupim pytaniem, czy chciałby wystąpić w powieści kryminalnej, najpierw zdębiał, ale potem wziął to na klatę. No, to teraz ma!

Pani Teresie dziękuję nie tylko za użyczenie postaci ofiarnej niani, ale i za wiele innych rzeczy, już my czworo wiemy jakich. Pozdrawiam!

Może niektórzy z Was zwrócili uwagę, że data rozpoczęcia pisania tej powieści jest dość precyzyjna. W odróżnieniu od poprzednich tym razem mogę określić ją dokładnie co do dnia. *Niewiadoma* nie kiełkowała dniami czy tygodniami, jak seria o Krugłym i Michalczyku, czy Suder nr 1. Po prostu pewnego dnia poszedłem do lasu na długi spacer z psem; pies wrócił z wywalonym jęzorem, a ja z książką w głowie. Zdarza się.

Aha, jeszcze jedno. Jesień 2015 roku, kiedy to Suder znalazł w lesie Promo, nie była łaskawa dla grzybiarzy, którzy odwiedzili Puszcę Wkrzańską. Suder raczej nie mógł „nakosić” tylu grzybów, już bardziej prawdopodobne, że znalazł przywiązane do drzewa psa. Bo takie rzeczy też się zdarzają i czasem myślę (z całkowitą świadomością radykalności owego poglądu), że tego kogoś, kto to zrobił, również powinno się przywiązać do tego samego drzewa co psa i też za szyję.

Najlepiej trzy metry nad ziemią.

Pozdrawiam,  
Stelar

# Spis treści

Strona tytułowa	2
Karta redakcyjna	3
***	5
I	22
II	72
III	143
IV	189
V	269
VI	338
VII	443
VIII	475
IX	512
Od autora	521